

Brockway Connie

Miłość w cieniu piramid

1890

Nad rozległą egipską pustynią wisiało nocne niebo, równie puste, jak ziemia w dole. Była to niezbadana Wielka Pustynia, zapewniająca bezpieczny azyl tym, którzy go szukali.

W ponurym obozowisku handlarzy niewolników, u podnóża piaszczystej wydmy kręciło się sporo takich uciekinierów przed światem. Obóz był niewielki: kilka wielbłądów, pół tuzina namiotów rozbitych wokół ogniska, ze dwadzieścia otwartych skrzyń.

Kilkunastu mężczyzn w blasku ognia wpatrywało się w ich zawartość. Niektórzy wyglądali na kupców. Przybyli na pustynię z odległych o wiele kilometrów miast po czarnorynkowe towary. Byli to Arabowie zamieszkujący Egipt stosunkowo od niedawna. Bo cóż znaczy czternaście stuleci w tym prastarym kraju? Sprzedawcy — nawet teraz, w nocy, zasłaniający twarze — należeli do ludu Tuaregów, rdzennych mieszkańców tych ziem, prawdziwych spadkobierców starożytnych Egipcjan. Tam, gdzie nie sięgał blask ognia, kryli swój najbardziej wyjątkowy i bezcenny łup wśród innych też wyjątkowych i cennych: młodą, jasnowłosą Angielkę.

Niewolnicę.

Bładolica dumna dziewczyna śmiało patrzyła w twarz swoim porywaczom, nawet nie próbując ukrywać pogardy. Kiedy cztery dni temu schwytali ją na kairskim bazarze, strach zupełnie ją sparaliżował. Bez reszty straciła głowę i upadła na duchu, pewna, że wkrótce stanie się zabawką jakiegoś okrutnego pustynnego szejka.

Jednak mijał dzień za dniem, a żaden książę pustyni po nią nie przybywał. Prawdę mówiąc, w ogóle nikt się do niej nie zbliżał i dziewczyna, I której kobiecość dopiero zaczynała delikatnie rozkwitać, stwierdziła, że przerażenie ustąpiło miejsca...

Nudzie?

Wsparta o stos perskich dywanów, odurzona napojem, którym poiłi ją porywacze, Desdemona Carlisie ponuro rozważała to słowo. W jej położeniu wydawało się zbyt nonszalanckie, ale nie mogła dłużej udawać przed samą sobą; że nadal dręczy ją śmiertelny strach. Wsunęła palec pod osłaniający jej twarz czador, którego porywacze nie pozwalali zdejmować ani na chwilę, i podrapała się.

Zniecierpliwiona? Tak!

Młoda dama o mężnym sercu z niecierpliwością pragnęła stawić czoło swemu losowi.

Ale najpierw, pomyślała Desdemona, młoda dama pociągnie kolejny łyk jedyne w swoim rodzaju i wcale nie najgorszego mlecznego napoju, do picia którego ciągle nakłaniał ją ponury chłopak o imieniu Rabi.

Prawdę mówiąc, poza nudzeniem się, układaniem kolejnych zdań do nieistniejącego dziennika i popijaniem sfermentowanego mleka nie miała wiele do roboty. Sfałszowany zwój papirusu, który dał jej Rabi, żeby czymś się zajęła, okazał się interesujący, owszem, ale wymagał zbytnej... koncentracji... by go uważnie studiować wtakim miejscu. Stanowił odpowiednią lekturę raczej w domowym zaciszu.

Desdemona była pewna, że w skrzyniach, zwalonych na stos wokół obozowiska, znalazłaby wiele równie ciekawych rzeczy. Dostrzegła błysk lśniącego metalu, kolorowych kamieni, figurki i posążki. Ale za każdym razem, kiedy zbliżała się do łupów, strażnicy warczeli na nią; pokrzykiwali; za każdym razem, gdy próbowała ucieczki, sprowadzali ją z powrotem, coraz mniej kryjąc niechęć, a kiedy starała się uprzejmie z nimi rozmawiać, gapili się tylko w milczeniu.

Ta powściągliwość, doszła do wniosku Desdemona, brała się zapewne z przekonania, że muszą strzec jej cnoty, by zażądać za towar wyższej ceny. Wzdrygnęła się i zaczęła szukać po omacku cynowego kubka.

Uniosła wzrok i dostrzegła wlepione w nią oczy Rabięgo. Gdy tylko zauważył, że na niego patrzy, odwrócił się i oddalił chyłkiem niczym młody szakał, wcielenie opiekuna zmarłych, Anubisa. Mądry chłopak, pomyślała ponuro.

To właśnie Rabi jąporwał. Oglądała ładne, wyglądające na oryginalne kanopy, urny grobowe, kiedy zakneblowano jej ustajakąś brudnąszmatą, na głowę zarzucono równie brudny worek i ktoś przerzucił ją sobie przez kościste ramię. W chwilę później znalazła się, sądząc po zapachu, na grzbiecie wielbłąda.

Jechali cały dzień. Było jej gorąco w grubym worku na głowie. Wreszcie przybyli na miejsce. Rozległ się młodzieńczy głos z durną obwieszczający o zdobyczy i chłopak zsadził Desdemoneę na ziemię. Potem teatralnym gestem zerwał z niej worek.

Zmieszana, przestraszona, odczuwając mdłości po podróży na wielbłądzie, zmrużyła oślepienie światłem oczy. Spod półprzymkniętych powiek ujrzała ciemne twarze milczących mężczyzn, którzy ją obstąpili. Jeden z nich powiedział po arabsku coś, co

zabrzmiało podejrzenie podobnie do angielskiego „O, nie!” Mężczyźni pospiesznie zasłonili się chustami. Od tamtej pory ani razu nie widziała już ich twarzy.

Wkrótce wzięli Rabię na stronę i sprawili mu największe lanie w jego krótkim życiu.

Desdemona przypuszczała, że próbował uzurpować sobie do niej prawo własności. Na tę myśl aż się skrzywiła. Piętnastoletni wyrostek nie był dla niej ideałem... Boże, co też jej przychodzi do głowy?

Uniosła cynowy kubek do ust. Cholera, pusty.

— Ej, Rabi! — zawołała. — Mógłbyś mi przynieść jeszcze trochę tego... no wiesz! — Na dźwięk jej głosu, jakby za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, w obozie umilkły wszelkie rozmowy. Wszyscy, nie wyłączając kupców z miasta, zwrócili się w stronę, gdzie siedziała. Pięć minut później Arabowie czmychnęli, zostawiając ją samą z porywaczami, którzy zza swoich chust spoglądali na nią niechętnie.

— Przykro mi, ale oni itak z pewnością by mnie nie kupili. Nie stać ich nawet na wasze podrabiane skorupy. Założę się, że nie było między nimi szejka — oświadczyła z logiką zrodzoną w oparach alkoholu. Rzeczywiście mężczyźni, którzy uciekli, wyglądali raczej na niezbyt dobrze prosperujących kupców niż na bezwzględnych handlarzy białymi niewolnicami. Desdemona rozejrzała się wkoło. A może mogłaby ich jeszcze dogonić. Może źle to sobie wymyśliła z tą białą niewolnicą? Może...

I właśnie wtedy go ujrzała.

W ciemnościach zamajaczyła postać jeźdźca. Tworzył ze swoim ruznakiem jedną całość. Zdawał się raczej centaurem niż człowiekiem. Jego sylwetka odcinała się na osrebrzonym księżycem skraju wydmy. Pęd powietrza wydał peieinyę, która powiewała niczym wielkie, czarne skrzydła. Jeździec był coraz bliżej. Galopował przez spowite mrokiem piaski. Pędził co sił ku niej.

Jej przeznaczenie.

Wstała i zachwiała się. Rabi przestał napełniać kubek i złapał ją za łokieć, by nie upadła.

— Kto to? — rzuciła bez tchu, utkwivszy wzrok w ciemnej postaci. Nieznajomy już niemal dotarł do obozu.

— Przyjechał po ciebie — powiedział Rabi.

Ze zdumieniem odwróciła głowę. Myślała, że jego znajomość angielskiego ogranicza się do „pić, ty pić”. Rabi był wyraźnie ucieszony.

— Chcesz powiedzieć, że... zabierze mnie..., dziś w nocy?

— Tak, tak — potwierdził, ciągnąc ją za rękę w stronę ogniska. — Dzisiaj z nim wyjedziesz. Wszyscy będą szczęśliwi.

Potknęła się i upadła na kolana.

— Dalej, dalej, dalej — krzyknął zrzędliwie jeden z mężczyzn z zasłoniętą twarzą. Podeszedł i stanął nad Desdemoną.

Dumnie uniosła podbródek.

— Czemu miałabym cię słuchać?

Chwycił ją więc sama pospiesznie zerwała się na nogi. Nie da mu tej satysfakcji, by przerzucił ją sobie przez ramię niczym worek zboża i zaniósł do dusznego, śmierdzącego namiotu, jak zdarzało się to przy wcześniejszych aktach buntu.

Była Angielką; miała swoją dumę. Odrzuciła włosy i weszła w jasny krąg światła.

— Oto Sitt — wymamrotał jeden z jej prześladowców, po czym wyrwał Rabiemu kozi pęcherz i pociągnął z niego długi łyk.

Rozejrzała się i dostrzegła mężczyznę, którego wcześniej nie widziała w obozie. Serce zaczęło jej walić w piersiach. Nie mogła złapać tchu. Nie wiedziała dlaczego, lecz nie miała wątpliwości, że właśnie ten nieznajomy ją posiadzie.

Stał w mroku, spowity cieniami, i przyglądał się jej. Po chwili zbliżył się. Jego ruchy były miękkie i pewne jak u pantery. Przechylił głowę, jakby oceniał swoją zdobycz. Desdemonie jakoś udało się zachować spokój pod tym przenikliwym i obojętnym spojrzeniem.

Mężczyzna odrzucił atramentowoczną pelerynę, spiętą na ramieniu wysadzaną drogimi kamieniami broszą, i wsparł na biodrze dłoń w rękawicy. Twarz zasłaniała mu chusta koloru indygo, wsunięta za skraj kalfJeh. Widać było tylko błyszczące oczy.

Jeszcze jeden Tuareg, pomyślała Desdemona bez tchu. Najbardziej dziki ze wszystkich nomadów pustyni.

Niebezpieczny, gładki i bezczelny, podchodził do niej coraz bliżej. Głośno przełknęła ślinę. Czowała, że traci panowanie nad sobą. Cofnęła się.

Nieznajomy roześmiał się głośno, bezlitośnie. Na ten dźwięk znieruchomiała.

Odziedziczona po przodkach durna sprawiła, że wyprostowała się i spojrzała na przybysza buntowniczo. Ten wyciągnął rękę z szybkością atakującej kobry, chwycił dziewczynę za przegub dłoni i przyciągnął do siebie. Stawiała zaciekły opór, wiedząc, że porywacze nie ruszą palcem w jej obronie. Buńczuczność zastąpił strach.

Wysiłki na nic się jednak nie zdały. Mężczyzna bez trudu jąprzytrzymał i krzyknął coś po

arabsku do porywaczy. Dlaczego nigdy nie nauczyła się mówić tym przeklętym językiem? Potrafiła tylko w nim czytać.

Jeden z Tuaregów, podejrzanego indywiduum w przekrzywionym turbanie, wskazał ręką namiot, w którym sypiała. Nieznajomy jeszcze raz zaśmiał się cicho i pociągnął ją za sobą do mrocznego wnętrza.

Wreszcie w pełni dotarła do niej powaga sytuacji. Strach wyrwał ją z alkoholowego ośpienia. To nie był romantyczny książę pustyni, Wlko bezwzględny dzikus, mężczyzna, który zbruka jej ciało tak obojętnie, jak Anglik ubrudziłby serwetkę, a potem równie obojętnie ją zostawi.

Krzyknęła. Zasłonił jej usta wielką dłonią obrócił twarzą do siebie. Desdemona ujrzała twarde, muskularny tors. Nieznajomy coś syknął jej do ucha, ale nie zrozumiała słów. Słyszała tylko własny zduszony krzyk. Walczyła, kopiąc i wymachując rękami.

— Uspokoisz się, do jasnej cholery? — wrzasnął wreszcie.

Znieruchomiała. Zdumienie nie tylko na dźwięk angielskiej mowy, ale i nieskazitelnego akcentu było tak wielkie, że nie potrafiła wydobyć z siebie słowa. Tymczasem napastnik zabrał rękę, którą zatykał jej usta. Podczas szamotaniny zsunęła mu się z twarzy zasłona. Desdemona wpatrywała się w niego, najpierw z niedowierzaniem, potem z osłupieniem, w końcu z wściekłością.

— Harry Braxtonie, jeśli mnie kupiłeś, zabiję cię.

2

Czy to właściwe zachowanie? — Harry Braxton uchylił się i chwycił uniesioną do ciosu rękę. Cmoknął, obrócił dziewczyną zaimprovizowanym piruce i objąwszy ją w pasie, przyciągnął do siebie. — Zwłaszcza że właśnie uratowałem cię przed losem gorszym niż śmierć. — Jego ciepły oddech łaskotał ją w ucho. — A propos, jaką to straszliwą przyszłość malowała ci twoja bujna wyobraźnia?

— Cokolwiek sobie wyobrażałam, nie mogło być gorsze od perspektywy należenia do ciebie oświadczyła Desdemona, rezygnując z walki.

Nie stanowiła dla Harry'ego godnej przeciwniczki. Czula jego twarde mięśnie. Czula, jak bije mu serce. Spojrzała na rękę, którą obejmował, dostrzegła złociste włoski porastające muskularne przedramię. A niech to, miał w sobie tyle męskiej siły i z wrodzoną sobie

arogancją całkiem to lekceważył. Ta myśl sprawiła, że Desdemona zamilkła. Gdyby nie Harry, nie wy dostałaby się stąd. Może się z niej naśmiewać, ale przecież przyjechał tu po nią. Męska siła ma też swoje dobre strony.

Rozluźniła mięśnie i odniosła wrażenie, że Harry mocniej ją przytrzymał. W jego objęciu wyczuła jakąś natarczywość i zniewalającą moc...

O, nie! Drugi raz nie popełni tego samego błędu. Wprawdzie nie zamierzała rezygnować ze zwyczaju wymyślania romantycznych historyjek, ale za nic nie obsadzi Harry'ego w głównej roli w tych swoich fantazjach. Raz już tak zrobiła i zbyt boleśnie poznała różnicę między marzeniem a rzeczywistością.

— Dlaczego nie powiedziałaś, że to ty? — burknęła, uwalniając się z jego uścisku. Chociaż, prawdę mówiąc, powinna się tego domyślić. Nikt, żaden książę pustyni ani amerykański czerwonoskóry, ani nawet kapitan oksfordzkiej drużyny polo, którym — o ile jej pamięć nie myliła — Harry kiedyś był, nie jeździł konno tak wyśmienicie jak Braxton.

— Nie chciałem ci zepsuć zabawy. Z takim zapałem grałaś hardą branke. Poza tym — ciągnął — od czasu do czasu prowadzę z tymi ludźmi interesy.

— I co z tego?

— Muszę dbać o swoją reputację. Egipt to kraj mężczyzn. Zachowywałem się więc jak przystało na prawdziwego mężczyznę. Nie chciałbym, żeby te typy straciły do mnie szacunek.

— I tak nikt cię nie szanuje, Harry.

Ta daleka od prawdy uwaga nie wywarła na nim żadnego wrażenia. Desdemona uklękła i na czworakach zaczęła obmacywać gruby leżący na ziemi kobierzec.

— Co robisz?

— Zabieram swoje rzeczy — odparła, a potem, uświadomiwszy sobie, że jej głos zabrzmiał trochę bełkotliwie, dodała, starając się mówić wolno i wyraźnie: — Przypuszczam, że zamierzasz mnie zabrać z powrotem do Kairu? Wprawdzie moi gospodarze byli czarujący, nie widzę jednak potrzeby przedłużania wizyty w tym obozie.

— Rzeczy? — powtórzył Harry. — Jakie rzeczy? Abdul powiedział, że Rabi porwał cię na bazarze. Nie miałaś przy sobie żadnych rzeczy.

— Teraz mam.

W jasnych oczach pojawił się znajomy błysk. To był dawny Harry.

— Co to takiego?

— Och, tylko sta... — W porę się zreflektowała. Na samą myśl o tym, że Harry miałby się dowiedzieć, co czytała, poczuła, jak policzki zalewa jej rumieniec. Gdyby kiedykolwiek się wydało, spaliłaby się ze wstydu.

—Nieważne.

— Jesteś wyjątkową kobietą, Dizzy. Oto cała ty. Na wpół odurzona sfermentowanym kozim mlekiem, którym cię pojono, bo —jak utrzymuje Rabi — był to jedyny sposób, żebyś siedziała cicho, przekonana, że jesteś nieszczęsną niewolnicą, którą czeka życie w haremie, a jednak udało ci się kupić... — Oczy zrobiły mu się okrągłe, kiedy dostrzegł na jej twarzy wyraz wahania. — Chyba pani tego czegoś nie ukradła, panno Carlisle? To byłoby wysoce naganne. Aż kusi, żeby powiedzieć nieetyczne, a nawet niemoralne. Taki wzór cnót, jak pani...

— Niczego nie ukradłam! — zaprzeczyła. — Dostałam od tego chłopaka, od Rabięgo.

— Nakłoniłaś porywaczy, by cię obsypywali prezentami? — Patrzył na nią z nieukrywanym podziwem. — Wyjdź za mnie.

— Przestań — burknęła Desdemona. Wymacała zwój, wyciągnęła go spod dywanu i pospiesznie wsunęła za pasek spódnicy. Ponieważ miała na sobie luźną bluzkę, podobną do noszonych przez miejscowe kobiety, papirus był zupełnie niewidoczny.

Wyjść za Harry'ego, dobre sobie! Nigdy by nie przepuścił okazji, by przypomnieć jej, jak się kiedyś wygłupiła. Gdyby mówił poważnie...

Urwała, upominając samą siebie za takie niebezpieczne myśli.

— I przestań mówić na mnie Dizzy. Nikt mnie tak nie nazywa. Nie jestem żadną Dizzy.

W namiocie było cicho i ciepło. Ogarnęła ją dziwna senność.

— Uważam, że zasłużyłem sobie na przywilej nazywania cię, tak jak mi się spodoba.

Zgodnie z prawami obowiązującymi w wielu kulturach, również wśród Tuaregów, należysz do mnie.

Spojrzała mu prosto w oczy. Jakie to dziwne. Chociaż miała zawroty głowy, zupełnie wyraźnie widziała grę światła i cienia wywołaną przez blask księżyca, kurze łapki w kąciakach oczu, gładkość skóry.

Jednak musiała być bardzo pijana, ponieważ mimo jego nonszalanckiego tonu, dostrzegła w twarzy Braxtona jakąś tęsknotę, której nigdy by się nie spodziewała zobaczyć. Coś więcej niż pragnienie. Pragnienie i... Potrząsnęła głową, starając się zebrać myśli. Stanowczo zbyt dużo wypila.

Tak, pomyślała, i podkuliwszy nogi, opłotła ramionami. Upiła się kozim mlekiem. To jedyne wytłumaczenie tego tajemniczego wyrazu, który przysięgłaby, że dostrzegła na gładkim obliczu Harry'ego.

Zacisnęła powieki i pomasowała skronie. Kiedy otworzyła oczy, na twarzy jej towarzysza malowała się zwykła ironiczna pewność siebie. No, oczywiście, stwierdziła w duchu.

— Co to za prezent? — spytał znowu Harry.

— Królewski sarkofag — powiedziała, chociaż nie tak nonszalancko, jak by tego pragnęła.

— I co znaczy, że należę do ciebie? — Z trudem dźwignęła się z kolan.

— A tak nie jest? — spytał cicho. — Uratowałem ci życie. A ty mi nawet nie podziękowałaś.

Znieruchomiała. A niech go, miał rację. Prawdopodobnie uratował jej życie i chyba coś mu była za to winna.

Podniosła oczy. Patrzył na nią z miną skrzywdzonego psiaka, ale nie dała się na to nabrać.

Harry Braxton nie miał w sobie nic z obłaskawionego zwierzęcia. Był szakalem i jak wszystkie szakale urodzonym oportunistą. A jednak Bóg wie, jak długo jej szukał, pokonywał zdraдлиwe ruchome wydmy, smażył się w bezlitosnym pustynnym słońcu, spał samotnie w dzikiej, niegościnniej krainie. Poczwała, że mięknie.

Było to całkowicie bez sensu, ale nie potrafiła się opanować.

— Wyobrażam sobie, że musiałeś za mnie dużo zapłacić — powiedziała przygnębiona.

— O, tak.

Ciekawe, ile kosztowało wykupienie jej z rąk tych drani? Prawdopodobnie okragłą sumkę. Podejrzewała, że niełatwo zdobyć blondynki do haremu.

— Wymyślę jakiś sposób, by cito wynagrodzić. Może uda mi się znaleźć czas i przetłumaczyć papirusy, które podstępnie wyludziłeś od tego amerykańskiego archeologa. Będiesz przynajmniej wiedział, ile wyciągnąć za nie..., od swoich klientów.

Zataczając się, wstała. Harry milczał wymownie. Nie powinna była zaczynać tej rozmowy.

Niewątpliwie Braxton bezczelnie wykorzysta sytuację. W swym obecnym stanie Desdemona stanowiła bardzo łatwą ofiarę.

— Harry — powiedziała żałośnie. — Wiesz, że nie mamy pieniędzy. Dziadek zupełnie nie zna się na rachunkach. Zawsze podejrzewałam... — Irzysnęła się bliżej, zerknąwszy najpierw w prawo, a potem w lewo,

by się upewnić, że nikt nie podsłucha tego, co zamierzała ujawnić, itak mocno się

zachwiała, że prawie upadła.

Harry złapał ją za ramię i pomógł odzyskać równowagę. Delikatnie przesunął dłonią po jej twarzy, odgarnął loki z oczu. Desdemonę przeszedł dreszcz, kiedy poczuła ciepłe mrowienie wywołane dotykiem jego palców i zobaczyła rozchylone wargi, zza których błysnęły białe zęby. Gdyby Harry nadjechał z odsłoniętą twarzą pomyślała bez związku, poznałaby go nawet z odległości stu metrów. Wszędzie rozpoznałaby ten kształt ust.

Teraz już jego oddech łaskotał czoło i policzki. Harry przysunął się bliżej i Desdemona gwałtownie wciągnęła powietrze, zaskoczona reakcją własnego ciała. Natychmiast cofnął się o kilka kroków, ale jej się wydawało, że się znacznie oddalił.

— Coś mówiłaś? — spytał, ściągnawszy brwi.

Zamrugnęła zdezorientowana. Coś o dziadku... Ach, tak.

— Zawsze podejrzewałam, że jednym z głównych powodów, dla których dziadek zgodził się przyjąć tę posadę, była chęć ucieczki przed wierzycielami.

Harry bynajmniej nie poczuł się zdziwiony. Wszyscy w Kairze wiedzieli, że sir Robert Carlisle, kierownik działu zakupów antyków dla Brytyjskiego Muzeum Historycznego, wspinały archeolog i niezbyt skrupulatny formalista zupełnie nie ma głowy do interesów.

— Nigdy nie rozumiał pojęcia zysków i strat.

— Czego nie można powiedzieć o tobie — zauważył Harry.

— Tak. Gdyby tylko udało mi się zgromadzić dość pieniędzy, dziadek mógłby przyjąć stanowisko, które zaproponowano mu w Londynie.

— I to jest najważniejsze. Triumfalny powrót twojego dziadka do Anglii.

Desdemona energicznie skinęła głową.

— Od dwudziestu lat marnuje tutaj swój geniusz. Kiedy wrócimy do Anglii, w końcu zdobędzie uznanie, bo na nie zasługuje. Potrafisz sobie wyobrazić, Harry, jak go boli widok domorosłych archeologów, którzy tu przyjeżdżają pokręca się sezon czy dwa, a potem wracają do kraju

i natychmiast zyskują międzynarodowy rozgłos?

— Chyba tak.

— Ale nie ruszy się stąd, dopóki uważa, że wyjazd oznaczałby dla mnie finansowe ograniczenie. Gdyby tylko udało nam się spłacić tamte dawne długi, jestem pewna, że dzięki stypendium z muzeum i wykładom stać by go było na życie na odpowiedniej stopie...

— Tak — przerwał jej Harry. — Ale co z twoimi pragnieniami?

— Z moimi? — Zamrugła zdumiona. — Będę tam szczęśliwa. To oczywiste.

Zamieszkamy w małym, krytym strzechą domku, z malwami i żywopłotem z ligustru i...

— ...przeciekającym dachem i sąsiadką, starą jędzą, która będzie rozpuszczała język za każdym razem, kiedy się pokażesz w swoich szarawarach.

— Och — powiedziała cicho Desdemona. — Zrezygnuję z tego wszystkiego, kiedy wrócę do domu.

Harry pokręcił głową.

— Naprawdę chcesz wrócić do Anglii?

— A masz jakąś inną propozycję? — Starając się nie okazywać przygnębienia, prychnęła lekceważąco. — Myślisz, że chcę spędzić tu resztę moich dni, wzbudzając powszechną ciekawość jak jakiś wybryk natury? Mam już tego po dziurki w nosie. Pragnę normalnego życia — ciągnęła pospiesznie. — Chcę mieć towarzystwo, które nie pasjonuje się wyłącznie starożytnościami, martwymi ludźmi i martwymi językami. Chcę być przedstawiana dżentelmenom, mając choć odrobinę nadziei, że bardziej zainteresują się mną niż tym, czy potrafię przetłumaczyć zatłuszczony kawałek papirusu, który zawsze przypadkiem mają w kieszeni. Tu z całą pewnością nie mam co na to liczyć.

— Cóż, zanim zaczniesz dziergać koronkowe firanki, musisz przetłumaczyć mi to, co obiecałaś — przerwał jej Harry, najwyraźniej nie poruszony żalną opowieścią. — Sama się zgodziłaś w ten sposób wynagrodzić moje trudy.

Desdemona dosłyszała w jego głosie wyrzut.

— Tłumaczenie tego zajmie całe tygodnie, Harry. Czy to nie wystarczająca rekompensata? Skinął głową bez przekonania.

— No pewnie. Co to dla mnie spędzić cztery dni w prażącym słońcu? Nie wspominając o kosztach, jakie pociągnęła za sobą ta mała ekspedycja ratunkowa. Ale taki już kłopot z nami, śmiertelnikami, Diz. Uśmiech damy — spoważniał i wyciągnął rękę, by przesunąć palcem po jej podbródku — chociaż może być olśniewający, nie zapełni żołądka. Ot, przyziemne troski, lecz takie już jest życie.

Znieruchomiała. Wśród wszystkich niezwykle wydarzeń czterech ostatnich dni to, co się z niego teraz działo, było najdziwniejsze. Harry przedtem często ją dotykał — zwyczajnie, jak brat siostrę. Jednak tym razem jego dotyk nie przypominał niewinnej pieczyoty. Był przepełniony świadomością czegoś, co nie dawało spokoju, pełną uszanowania czcią, niespodziewanym odkryciem albo... przyznaniem się do porażki.

Chciała mu ulec, a zrobiła coś wprost przeciwnego, pewna, iż to, co widzi, to złudzenie; że wszystkiemu winien jej dziwny nastrój, alkohol i niesamowity kształt ust Harry”ego. Zła na siebie, że jest taką naiwną gąską, warknęła:

— Dlaczego raz nie możesz zrobić czegoś godnego podziwu bez prób... — zaczęła szukać odpowiedniego określenia — ...wyciągnięcia z tego korzyści dla siebie? Dlaczego chociaż raz nie możesz być szlachetny?

— Ponieważ wtedy zawsze spodziewałabyś się po mnie szlachetności. — Jego słowa zabrzmiały szorstko. Może ostrzej niż zamierzał, bo nagle spuścił wzrok i lekko pokręcił głową. — Nie chciałbym, żebyś wyrobiła sobie o mnie błędne mniemanie. — Spojrzał na nią i usta wykrzywiły mu się drwiąco. — A więc jak będzie, Diz? Zadnej pociechy dla bohatera mimo poniesionych strat i kosztów?

Bez względu na to, ile wyniósł okup, nie zubożył Harry”ego nadmiernie. Braxton był na najlepszej drodze, by zostać jednym z najbogatszych rabusiów grobów w Egipcie.

Desdemona westchnęła, odczuwając niewyraźną ulgę, a zarazem rozczarowanie, że przeminął czar, który przed chwilą zawładnął nią z taką intensywnością.

— Dowiem się, czy Hammad zgodzi się sprzedać ci ten naszyjnik z okresu dziewiętnastej dynastii — zaproponowała. — Naprawdę ładnie z twojej strony, że przyjechałeś za mną i w ogóle, Harry. Mimo że mnie wykorzystujesz.

— Nie przejmuj się tym — powiedział.

— Bardzo bym chciała — mruknęła pod nosem, świadoma, jak wymuszone były jej podziękowania. — Nienawidzę myśli, że jestem twoją dłużniczką.

Harry właśnie tak na nią działał. Przy innych potrafiła być opanowana, uprzejma, łagodna.

Harry wydobywał jej najgorsze cechy: sarkazm, zapalczywość, potrzebę współzawodnictwa. Stale jej przeszkadzał w próbach zostania prawdziwą angielską damą.

No, Harry, stary druhu, pomyślała, przesuwając palcami po zwoju ukrytym za paskiem spódnicy. Jeśli kogoś się zmusza wbrew lepszej części jego natury do rywalizacji, ów ktoś może równie dobrze wygrać.

Z pewnością znajdzie się kupiec na papyrus, który teraz wpijał jej się w ciało. Trudno będzie się targować, ale...

Brax-Stone — Egipcjanin w przekrzywionym turbanie uniósł płachtę osłaniającą otwór namiotu. Niecierpliwym ruchem nakazał, żeby wyszli. Harry schylił się

w niskim przejściu, Desdemoną pospieszyła za nim. Egipcjanin pokazywał na nią wydając przy tym gniewne okrzyki. Harry mu odpowiedział.

Coś było nie tak. Może porywacze się rozmyślili. Może znaleźli bogatszego kupca.

— O co chodzi? — Chwyła Harry'ego za ramię. — Co on mówi?

— Nic takiego. Nieważne. Idź i poczekaj przy moim koniu — odparł spokojnie. Stary handlarz splunął. — No idź już.

Ruszyła, starając się przemknąć chyłkiem obok nich, kiedy Egipcjanin nagle sięgnął pod burnus. Wzdrygnęła się przerażona, pewna, że mężczyzna wyciągnie sztylet. Ale on tylko wyjął pękata atlasową Sakiewkę i rzucił w stronę Harry'ego, który złapał ją w powietrzu. Posypały się złote monety.

— Ty zabrać! — krzyknął Egipcjanin. — Ty zabrać Sili! A to za twój trud. Tylko ty zabrać Sili!

Desdemonie aż dech zaparło. Powinna się była domyślić. Kto jak kto, ale ona powinna była o tym wiedzieć: znika Harry bohater. Pojawia się Harry kwidel. Uczucie i coś niewytłumaczalnego. Boże, ależ onajest głupia! Zbliżyła się, zacisnąwszy dłonie w pięści. — Desdemono — powiedział Harry, cofając się przed nią. — Teraz nie mamy na to czasu. Abdul bardzo się gniewa, że jeszcze tu jesteśmy. Chce, żebyśmy... żebyś już stąd wyjechała. I to natychmiast.

— Ach tak! — Zatrzymała się, spoglądając przez ramię na Abdula. Egipcjanin wyglądał, jakby za chwilę miał dostać ataku apopleksji.

— Słowo daję, Diz. Mówi, że ma jakichś kupców, którzy od dwóch dni czekają, by ubić interes. Nie będą czekali dłużej, a nie zbliżą się do obozu, póki ty tu jesteś.

— Naprawdę? — spytała cierpko. — Niby dlaczego? Aty... — spojrzała z wściekłością na handlarza. — Możesz zamknąć gębę, Abdul? Nie wyjadę z Harrym, póki nie otrzymam odpowiedzi na kilka pytań. — Abdul musiał zrozumieć, bo jego wrzaski przeszły w ciche mamrotanie. — Czekam na wyjaśnienia, Harty.

— Jesteś dystygowaną angielską dam Di... Desdemono. Nasz drogi sir Baring — znasz go, prawda? — być może nie jest tytułarnym władcą Egiptu, ale faktycznie rządzi krajem.

Myślisz, że ten oto Abdul ryzykowałby międzynarodowy zatarg, żeby zarobić kilka funtów? Kilka funtów? A więc tyle wynosił królewski okup za nią. Cieszyła się, że jest ciemno i nie widać, jak na jej policzki występują rumieńce.

— Pomyśl tylko — ciągnął Harry. — Gdyby się rozeszła wieść o porwaniu, nie tylko każdy

szlachetny — słowo to aż ociekało sarkazmem — angielski dżentelmen w tym kraju, ale również wszyscy ziomkowie Abdula staraliby się dostać go w swoje ręce. Porywanie młodych Angielek źle wpływa na interesy. Więc posłał po mnie. Te pieniądze to tylko swego rodzaju wyraz wdzięczności.

— To dlaczego — spytała zimno — Abdul w ogóle mnie porwał?

— To nie on, tylko Rabi. Przez pomyłkę. A tak w ogóle ten mały jest na ciebie wściekły za twój podstęp.

— Mój podstęp?

Harry z moralizatorską miną pokiwał głową. Abdul wciąż coś mruczał pod nosem.

— Rabi mówi, że go oszukałaś. Myślał, że jesteś zabiedzoną niewolnicą bez opiekuna.

Uważał siebie za kogoś w rodzaju błędnego rycerza, który cię wybawił z rąk niedbałego właściciela. A kiedy cię złapał, jeszcze się umocnił w przekonaniu, że jesteś źle traktowana.

Sama skóra i kości, słabowita...

— Och, na litość boską!

— To słowa Rabiego, nie moje. Uważa, że został wykorzystany. Twierdzi, że kierowały nim najszlachetniejsze pobudki.

— Musicie być ze sobą spokrewnieni.

— Dlaczego tak uważasz? — Harry przechylił głowę.

— Mniejsza o to. — Znów spojrzała na Abdula. Był fioletowy na twarzy. Wyglądał, jakby za chwilę miał pęknąć. — Będziemy tu tak stali i rozmawiali przez całą noc?

Harry z ulgą wypuścił powietrze z płuc.

— Naturalnie, że nie.

Nawet nie spojrzawszy na Abdula, ruszył do miejsca, gdzie czekała jego arabska klacz.

Lekko wskoczył na grzbiet — Desdemona musiała przyznać, że Harty potrafi elegancko się poruszać — ścisnął boki konia kolanami i wyciągnął rękę.

Bez dalszych ceregieli posadził dziewczynę przed sobą otoczył ramieniem i przyciągnął bliżej.

— Jesteś pewna, że nie byłoby ci wygodniej, gdybym wziął od ciebie to, co wsunęłaś za pasek? — szepnął. Poczula na karku miękkie jak aksamit, ciepłe wargi.

Dotyk jego ust sprawił, że przeszedł ją dreszcz, ale pokręciła głową.

— Jestem całkowicie pewna, Harry. — Jej głos zabrzmiał dziwnie piskliwie. — Dziękuję za troskę.

Musiała być bardziej wyczerpana, niż zdawała sobie z tego sprawę, bo teraz, kiedy zimny, nocny wiatr rozwiewał jej włosy, a Harty obejmowały by nie spadła z konia, ogarnęła ją senność i dziwne uczucie... zaspokojenia. Świat, który przez ostatnich kilka dni wydawał się nierealny, pozbawiony ostrości i — tak, teraz mogła to przyznać — przerażający, znów zaczął wyglądać bezpiecznie i znajomo.

Desdemona zamknęła oczy i wsparła głowę na ramieniu Harry'ego. Był szczupły, ale barczysty. Dobrze się przy nim czuła. O wiele lepiej niż w brudnym, dusznym namiocie, w którym spędziła ostatnie trzy noce.

— Diz?

-Hm?

— Co ci dał Rabi?

— Listy miłosne — mruknęła.

Roześmiał się i spał klacz do kłusa.

Sir Robert Carlisie oderwał wzrok od książki, którą właśnie czytał, i znad okularów spojrzał na wchodzącą wnuczkę.

— Och. Witaj, Desdemono.

Witaj? Porwano ją. Spędziła cztery dni i trzy noce w dusznym namiocie. Niemal sprzedano ją jako niewolnicę. Była zmęczona, brudna, czuła nieznośne łupanie w głowie, a wszystko, na co stać jej troskliwego dziadka, to „witaj”?

— Dziadku, zdajesz sobie sprawę...

— Witam pana.

Carlisle zmrużył oczy. Jego rysy wyostrzyły się.

— Ach, to ty, Braxton. Co tu robisz?

— Spotkałem Dizzy po drodze. — Sir Robert przymknął powieki. Nie lubił zdrobnienia, którego używał Harry, prawie tak samo jak nie cierpiała go Desdemona. — Pomyślałem, że skorzystam z okazji, by złożyć wyrazy uszanowania.

Starszy pan prychnął. Desdemona też.

— Dziadku, byłam...

— Dizzy właśnie mi mówiła, jak wspaniale spędziła czas u Comptonów.

— Naprawdę? — przerwał mu Carlisie. — Cóż, Desdemono, następnym razem, kiedy postanowisz złożyć komuś wizytę, proszę uprzedź mnie o swych planach osobiście, zamiast zostawiać liścik u gospodyni.

Liścik? U Magi? Ukradkowe spojrzenie, rzucone na Harry'ego, który stał z miną niewiniątka, powiedziało jej, kto był autorem „liściku”. Westchnęła w głębi duszy. Chociaż bardzo tego nie lubiła, będzie musiała okłamać dziadka. Lepsze to, niż gdyby miała spędzić najbliższy rok

W swoim pokoju. Cholera. Jeszcze jeden dług wdzięczności wobec Harry'ego.

— Zdaję sobie sprawę, że dziś między wami, młodymi, obowiązują inne zasady. Próbuję się dostosować. Ale mimo wszystko ważne jest zachowanie pozorów. A skoro już poruszyliśmy ten temat, dlaczego jesteś tak dziwnie ubrana? — Obrzucił zdumionym wzrokiem strój wnuczki.

Desdemona zaczęła rozpaczliwie szukać jakiegoś wytłumaczenia. Gdyby dziadek dowiedział się o jej samotnych wyprawach na kairskie suki, czego kategorycznie zabronił, na rok zamknąłby ją w domu.

— Bal przebierańców — powiedział Harry.

— Och? — zdziwił się starszy pan.

Spojrzała na Harry'ego, zmrużywszy oczy. Uśmiechnął się łaskawie. Niemal widziała, jak zaznacza sobie w myślach kolejną pozycję na liście „długów wdzięczności Desdemony wobec Harry'ego”.

— Bal przebierańców, Desdemono?

Niechętnie skinęła głową.

— Cóż, proponuję, żebyś następnym razem, kiedy postanowisz się przebrać za Egipcjanę, znalazła sobie coś czystego. Boże, śmierdzisz jak wielbłąd.

— To kozie mleko. Sfermentowane — wyjaśnił Harry.

Dziewczyna poczuła, że palają policzki.

— Idę do łóżka — oświadczyła.

— Świetny pomysł. Braxton, sam trafisz do wyjścia, prawda? — Sir Ł Robert oddalił się w głąb domu, znów pochłonięty lekturą książki.

Nie czekając, aż Harry odejdzie, Desdemona wspięła się po schodach. Kjel, lekki posiłek, łóżko, a potem — poklepała grubo zwój za paskiem spódnicy — a potem jeszcze raz przeczyta szokujące, podniecające, wręcz nieprzyzwoite wiersze Nefretete.

Tak dobrze mi, gdy jesteś ze mną, którą twe serce wyróżniło.

Czy brak uścisków albo pieszczot
wtedy, gdy mnie odwiedzasz w domu?

Klóż niii zabroni tych rozkosz)”?

Gdy zechcesz dotknąć moich bioder

I piersi mych, ramiona moje
na pewno nie odtrąca ciebie*.

Desdemona przekreśliła się na drugi bok. Słowa wiersza nie dawały jej usnąć, rozpalając gdzieś w środku gorący płomień. Przez cały wieczór ślęczała nad papirusem. Oczywiście nie był autentyczny. Nigdy nie odnaleziono grobowców Echnatona i Nefretete.

Pomyślała, że mogłaby udzielić twórcy zwoju kilka wskazówek, jak podrabiać papirusy, by wyglądały na oryginalne. Ten był zbyt czysty, barwniki miały zbyt żywe kolory, całość zachowała się w zbyt dobrym stanie. Osobna kwestia to wyobraźnia autora.

Te wersy były nie tylko erotyczne. Rozpalały zmysły, ale też... chwytaly za serce.

O dziesiątej Desdemona była zaintrygowana, o północy nie mogła się od nich oderwać, a o pierwszej poczuła się tak, że dopiero wytarcie ciała zmoczoną w zimnej wodzie gąbką przyniosło jej ulgę. Leżała jeszcze przez godzinę, nie mogąc zasnąć ani przestać myśleć o przeczytanych wierszach. Zupełnie nie przypominały romansów, które trzymała ukryte w bibliotece dziadka. I były o wiele bardziej sugestywne niż cokolwiek, co potrafiła stworzyć jej własna bujna wyobraźnia.

Kiedy miała dwanaście lat, zatrzymała się z rodzicami w Hamburgu u pewnego profesora historii starożytnej, który miał córkę w wieku Desdemony, Marię. W niej właśnie Desdemona znalazła pierwszą prawdziwą przyjaciółkę. Codziennie obie dziewczynki udawały się na górę, żeby się rzekomo wspólnie uczyć. W rzeczywistości leżały na wielkim łóżku Marii, wyglądały przez okno i dzieliły się marzeniami. Układały opowiadania niemające nic wspólnego z filozofią, historią czy polityką. Wyliczały szlachetne uczynki dzielnych i prawych kawalerów, którzy kochali śliczne damy swego serca znacznie bardziej niż bogactwo, sławę i władzę.

Była to całkowicie niewinna rozrywka. Desdemona oddawała się jej podczas nieustannych sympozjów i konferencji, w których uczestniczyli jej rodzice, a więc i ona. Wybierała

zwykle, nieciekawe epizody ze swego życia i budowała wokół nich misterne konstrukcje. Z upływem lat nie zrezygnowała z tej zabawy. Romantyczna natura niekoniecznie oznacza głupotę. Cóż jest złego w lekkim upiększeniu szarej codzienności? Desdemona wiedziała, że bohater jej fantazji nie istnieje. Ale jeśli wyobraźnia pomaga zaspokoić nienazwane tęsknoty...

Poruszyła się niespokojnie. Może była romantyczką, ale nie dziwaczką. Tęsknoty, dobre sobie. Jeżeli dalej będzie się tak zachowywała, jeszcze gotowa sobie wmówić, że Harry jest nieszczęśnikiem, którego nikt nie rozumie, a nie czarującym, ale pozbawionym wszelkich skrupułów łajdakiem, czego się zresztą wcale nie wypierał. Zmusiła się, by znów sięgnąć po papirus.

Nie należał do tego rodzaju pamiątek, na jakie można się natknąć u handlarzy ulicznych przed hotelem Shepharda. Był przeznaczony dla szczególnego typu kolekcjonera. Dla mężczyzny.

Desdemona już się zdążyła przekonać, że mężczyźni to dziwne istoty, często oszukujące same siebie. Ci, którzy nawet by nie spojrzeli na rozwiązłe teksty, wydrukowane na zwykłym papierze i zawarte między okładkami współczesnej książki, zapłaciliby krocie za ten sam wiersz na kawałku papirusu. I nie podziękowałiby z pewnością za zwrócenie uwagi na nieudolną podróbkę.

A więc kupiec gdzieś tam czeka. Wystarczy go tylko odnaleźć. Dyskretnie. Desdemona nie może stanąć na rogu ulicy i zachwalać egipskie teksty pornograficzne. Podobny wybryk zrujnowałby zupełnie jej pozycję towarzyską. Przynajmniej w kręgach, w których się znajdzie po powrocie do Londynu.

Ta myśl wywołała uczucie niezadowolenia. Pospiesznie je stłumiła. Nie ma najmniejszego sensu beznadziejnie pragnąć tego, co nieosiągalne. Przekonawszy się pewien czas temu, jakie korzyści daje trzeźwe patrzenie na świat, już dawno postanowiła, że skoro jej przyszłość związana jest z Anglią, pokocha ten kraj.

Nie mogła zostać w Egipcie bez dziadka, a ten chciał wrócić do Londynu. Miał prawie sześćdziesiąt lat. Powinien mieć szansę nacieszenia się uznaniem, na które w pełni sobie zasłużył.

Westchnęła i wtuliła policzek w poduszkę powleczoną powłoczką z egipskiej bawełny, tak misternie utkanej, że przypominała w dotyku atlas. Tak będzie jej brakowało egipskiej bawełny.

Poczuła, jak usta Harry'ego, usta stworzone do grzechu, przesuwały się delikatnie w dół jej szyi, a potem jeszcze niżej, tam gdzie pierś tworzy lekką wypukłość...

Desdemona wolno budziła się ze snu. Ciepły wietrzyk poruszał moskitierą zawieszoną nad jej łóżkiem. Rozkoszowała się cudowną pieśczęcią porannego zefirka, trochę zdziwiona, ponieważ wyraźnie pamiętała, jak Magi wieczorem zamykała okiennice. Nagle jej uszu dobiegł cichy szelest, zupełnie jakby ktoś miękko zeskoczył na podłogę. Nie odwracając głowy, otworzyła oczy.

Przez przejrzysty materiał moskitiery dostrzegła mężczyznę, poruszającego się z wyjątkowym wdziękiem. Harry Braxton z wielką wprawą grzebał w jej szufladach.

Desdemona pomyślała, że dawniej mógłby coś znaleźć. Ale już nie teraz. Przez pięć lat dowiedziała się o Harrym wszystkiego, czego trzeba, i nawet gdyby wypła nie wiadomo jaką ilość sfermentowanego koziego mleka, nie zapomniałaby o zachowaniu podstawowych środków ostrożności.

Zasadą numer jeden, jakiej się nauczyła; było nigdy, przenigdy nie zostawiać niczego cennego w łatwo dostępnym miejscu. Na przykład takim jak szuflada. Widząc, że się zasepił, wyprostował, i z rękami wspartymi na biodrach wściekle rozejrzał po pokoju, sama siebie poprawiła:

może nie była to zasada numer jeden. Ta pierwsza mówiła, że wygląd człowieka często wprowadza w błąd.

Kiedy pięć lat temu Desdemona pojawiła się w Egipcie. natychmiast do szaleństwa zakochała się w Harrym. Przyjechała do zupełnie obcego kraju, by zamieszkać z dziadkiem, którego nigdy wcześniej nie widziała. Była tak naiwna, jak tylko może być jedynaczka rodziców naukowców. Krótko mówiąc, bezgranicznie naiwna. Harry Braxton, młody, czarujący i wysportowany, wyglądał na uosobienie bohatera z jej ulubionych powieści. Teraz, mając za sobą pięć lat doświadczeń, uświadamiała sobie, że każdy — łącznie z krokodylem czającym się w Nilu — lepiej pasowałby do roli romantycznego księcia. Nawet nie jest taki przystojny, pomyślała, zerkając spod wpeł przymkniętych powiek.

Kiedyś porównywała go do greckich i rzymskich bogów. Dobrze sobie. Jedyne, co było w wyglądzie Flarry'ego klasyczne, to nos prosty i kształtny. Poza tym nic. W jego twarzy nie przywodziło na myśl wybrzeży Morza Śródziemnego. Należał całkowicie do typu północnoeuropejskiego. Miał wydatne, szerokie kości policzkowe, ostro zarysowany podbródek, gęste, brązowe włosy i jasnoniebieskie oczy okolone gęstymi, brązowymi

rzęsami. Grecki bóg patrzyłby na nią pełnymi wyrazu oczami koloru obsydianu. Czasem Desdemona wątpiła, czy I-larry w ogóle ma duszę.

Tak, pomyślała z satysfakcją, kiedy zniknął w jej garderobie, by po kilku chwilach wrócić. Dziewczęce zauroczenie zupełnie minęło. Nic niC mogła poradzić, że od czasu do czasu w sennych marzeniach zapominała o nauczkach, jakie już dostała. Musi jej wystarczyć, że budząc się, jest na tyle rozsądna, by pamiętać o różnicy między jawą a snem.

Prawdę mówiąc, pogratulowała sobie, do takiego stopnia przeszła jej fascynacja Harrym, że stać ją było nato, by przyznać, iż pod kilkoma względami wcale nie był gorszy od greckich bogów.

Na przykład jego usta. Harry miał ładne usta. Nie, uczciwość kazała zgodzić się, że miał usta prześliczne. Szerokie, ruchliwe, twarde. Górna warga zmysłowo wygięta nad wydatną dolną. Usta I-larry”ego wyglądały na delikatne. Mógłby nimi czytać pismo Braille”a, pomyślała.

A uśmiech miał rozbijający. Uwodzicielski. Cóż, ostatniej nocy, kiedy — trzeba przyznać — Desdemona nie była sob dała się zwieść temu uśmiechowi. Dostrzegła w nim nieistniejącą czulość. Bardzo źle, że Harry nie tylko wie o swoim czarze, ale wykorzystuje go w niecnym zamiarach. Gdyby dostawała funta za każdą kobietę, która padła ofiarą uśmiechu Harry”ego Braxtona, żyłaby samymi frykasami i nie musiałaby zatrudniać się jako tłumaczka, korespondentka i Bóg wie kto jeszcze, by podreperować domowy budżet. Czego by jednak nie mówić, Harry był pociągający, jeśli miało się słabość do niekoniecznie klasycznej urody. A ona właśnie zaliczała się do takich osób. Szczupły, gibki i silny. Gdy błyskawicznym ruchem pochylił się i przesunął ręką pod blatem jej biurka, pomyślała, że przypomina dzikiego kota.

Pozwoliła sobie na triumfujący uśmiech. Niczego tam nie znajdziesz, przyjacielu.

Harry wyprostował się z niezadowoloną miną i przystawiwszy bezgłośnie krzesło do ściany, lekko na nie wskoczył. Zajrzał do wnętrza gazowego kinkietu.

— Myślisz, że jestem taka głupia? — nie wytrzymała Desdemona. — Gdybym tam coś schowała, spłonęłoby w chwilę po zapaleniu lampy.

Odwrócił się gwałtownie. Krzesło niebezpiecznie się przechyliło. Każdy przeciętny mężczyzna runąłby jak długi. Ale żaden przeciętny mężczyzna nie spędził tylu lat życia na węszeniu wkoło. Harry zeskoczył z przewracającego się mebla zwinnie jak kot i z kocią nonszalancją przyjrzał się Desdemonie.

— Dizzy, moja droga, obudziłaś się — stwierdził zadowolonym tonem.

— Co tu robisz, Harry?

— Przyszedłem zobaczyć, jak się czujesz. — Zabrzmiało to raczej jak pytanie. — Wpadłem z samego rana, ale Magi powiedziała, że wciąż słodko chrapiesz. Kiedy następnym razem złożysz wizytę w obozie Tuaregów, unikaj sfermentowanego koziego mleka. Zdarza się, że nawet silny mężczyzna przez tydzień nie może po nim dość do siebie.

Desdemona poczuła się nieswojo. Odwróciła wzrok. Fakt, że była lekko wstawiona, przynajmniej do pewnego stopnia stanowił wytłumaczenie tych wszystkich rojeń o księżętach pustyni i haremach, które snuła, nim dotarło do niej, jaki to książę zjawił się po nią.

Książę szakali.

Mityczna postać stworzona z wiatru i ciemności. Dobrze sobie. Lekko wstawiona? Musiała być pijana w sztok. Ta myśl stanowiła pewne pocieszenie.

— A więc, jak widzisz, czuję się świetnie. A teraz, czy mógłbyś mi wyjaśnić, czemu grzebiesz w moich rzeczach?

— Grzebię? Skąd cito przyszło do głowy? — zdziwił się Harry. — Czekałem, aż się obudzisz i rozglądałem się trochę po pokoju z braku lepszego zajęcia.

— Kradzież to bardzo interesujący sposób spędzania czasu.

— Kiedyś byłaś takim słodkim dziewczątkiem. Takim ufnym. Co się z tobą stało?

— Poznałam ciebie.

— Dizzy, sprawiasz mi ból. Naprawdę. Właściwie — dodał pospiesznie, wyczytując z jej twarzy bojowy nastrój — przyszedłem w sprawie tego papyrusu, który obiecałaś mi przetłumaczyć.

— Obiecałam ci, bo myślałam, że ryzykowałeś życiem, żeby mnie oswobodzić z rąk bandytów. Nie przyszło mi do głowy, że pojawiłeś się na wezwanie swoich niemających za grosz wstydu koleżków, by ich uwolnić ode mnie. Za sutą opłatą, mogłabym dodać — dokończyła ponuro.

— Abdul miał spore trudności z doprowadzeniem do tego, żebyś bezpiecznie — i dyskretnie — wróciła do domu.

— Abdul jest śmierzącym pustynnym szczurem i zadaje się z osobnikami podobnymi do siebie. Podejrzliwie zmrużyła oczy. — Jak się dowiedziałeś o moim porwaniu, Harry?

— Nie patrz tak na mnie. Nie zaaranżowałem tej całej historii.

— Tak? Bardzo szybko wymyśliłeś, w jaki sposób mogłabym ci wy- nagrodzić twój bohaterski czyn.

— Powinnaś poczuć ulgę, że nie domagałem się oczywistego i zwyczajowego podziękowania, jakim dama wynagradza kawalera, który uratował jej życie. — Harry podszedł do łóżka i oparłszy się o nie jedną rękę nachylił się. Jego twarz nagle zginęła w cieniu. Przez dłuższą chwilę przyglądał się Desdemonie.

— Mała świątynna kotka — mruknął w końcu. Jego głos dotarł do niej jakby przez zasłonę dymu: niebezpiecznego, ciepłego, zasnuwającego wszystko wokół. — Powiedziałem ci już, że należysz do mnie. — Nachylił się jeszcze niżej. Słyszała, jak wciągnął powietrze. Poczula podniecenie i zmieszała się. Wczorajszego wieczoru odniosła wrażenie, że Harry wygląda jakoś inaczej. Teraz znowu wydał jej się odmieniony.

— A może to ja należę do ciebie? — szepnął, hipnotyzując ją głosem. W jego spojrzeniu dostrzegła zarazem tęsknotę i błysk kpiny. Tęsknotę...

Zamknęła oczy. Przeszedł ją dreszcz. Krew zaczęła szybciej krążyć w żyłach. Desdemona zmusiła się, by oddychać miarowo. Jej reakcje były spowodowane tym, że jeszcze niezupełnie wytrzeźwiała i wypo-
częła. To oczywiste.

Policzyła do dziesięciu. Odruchowo napięła mięśnie, świadoma, że wystarczyłoby przysunąć się kilka centymetrów, a poczułaby naprawdę dotyk warg, które prześladowały ją w snach.

Ale to nie był sen i nie miała żadnego wytłumaczenia, dlaczego ostat

• niej nocy zawładnęły nią te nieprawdopodobne marzenia. Może w obecności Harry'ego jeszcze nie w pełni panowała nad reakcjami swego ciała, ale z całą pewnością mogła zapanować nad własnymi myślami.

— Czy wziąłbym nagrodę, gdyby mi ją zaproponowano? — W jego na pozór obojętnym tonie można było dosłyszeć desperację. Nonsens. Zmusiła się do uśmiechu i otworzyła oczy. Bawił się jej kosztem.

— Wiesz, że nie ma żadnej szansy na odebranie takiej nagrody.

— Czyżby? — Harry zadumał się. Przez twarz przemknął mu cień... autoironii? Nie. Bardziej prawdopodobne, że to zmęczenie. Gwałtownie się wyprostował. — Cóż, nie kazałem cię porwać. Myślisz, że uciekałbym się do takich metod, żeby cię nakłonić do

przetłumaczenia jakiś bazgrołów?

— Tak.

— Mylisz się. Nie jesteś jedyną tłumaczką w Kairze. Aż się tu od nich roi.

— Ale ja jestem najlepsza.

— Cóż za zarozumiałość. — Smutno pokiwał głową. — To nie przystoi takiej ładnej, delikatnej i kruchej młodej kobiecie.

Słyszając w jego ustach słowa, którymi zaledwie wczoraj sama siebie określała, Desdemona poczuła, że robi się czerwona na twarzy. Harry Braxton wyszczerzył zęby w uśmiechu.

Wstrętny łobuz. I w dodatku czyta w myślach.

Spojrzała na niego z wyższością. A przynajmniej miała nadzieję, że tak to wyglądało.

— Jestem najlepsza i dobrze o tym wiesz. Cudowne dziecko egiptologii. Ojciec kazał mi...

— .. tłumaczyć hieroglify, kiedy miałam sześć lat — dokończył Harry znudzonym głosem.

— Tak, tak. Już to wszystko słyszałem. Nie chcę myśleć, czym byłoby twoje życie, gdyby rodzice dokończyli to, co zaczęli.

— A, „coż to ma znaczyć? — Usiadła tak gwałtownie, że cienki koc zsunął się aż na kolana. Harry obrzucił ją szybkim spojrzeniem jasnych oczu.

— Na litość boską, Dizzy, nie masz za grosz skromności? — Poprawił wystrzępione koronkowe ramiączko. Palce drżały mu, kiedy musnął nimi nagie ramię Desdemony. A może to ją ogarnęło drżenie? Z całej siły napięła mięśnie brzucha. — A co ważniejsze — dodał cierpko — nie masz przyzwoitej bielizny nocnej?

Wcale nie był tak obojętny, jak by tego chciał, pomyślała triumfująco. A niech go lichy, najpierw przyprawia ją o takie sensacje, a potem beszta za nieskromność! Cóż, nie była jedyną na świecie słabą istotą wrażliwą na urok roztaczany przez niektórych mężczyzn, chociaż nie wiadomo na czym on tak naprawdę polegał. Jednak jeśli wierzyć plotkom, Harry miał go więcej niż inni.

— Czy mogę ci przypomnieć, że pojawiłeś się w mojej sypialni bez zaproszenia? Jeśli mój brak wstydu lub strój tak bardzo cię rażą wyjdź.

— Usiadła prosto i aż się zarumieniła, kiedy poczuła, jak poruszyły się jej niczym nieskrępowane piersi pod znoszoną bawelnianą koszulką.

— Gdybyś leżała skromnie okryta kocem, zamiast wiercić się w tej cienkiej... — Urwał i wbił wzrok gdzieś nad jej lewym ramieniem. — A czy ja mogę przypomnieć tobie, że nie jestem eunuchem, ani twoim bratem ani wujem staruszką? Jestem mężczyzną Dizzy. —

Jego oddech nagle stał się przyspieszony. — Tylko mężczyzną.

Ton głosu Harry'ego sprawił, że mocniej zabiło jej serce. Ten człowiek był kimś, z kim należało się liczyć, a w dodatku żadna kobieta w Kairze nie oparła się jego urokowi. Nie wyłączając Desdemony Car- lisie.

Ale Magi przy każdej okazji przypominała, że rozbudzenie w mężczyźnie pożądania nie jest równoznaczne z poruszeniem jego serca. A Desdemona pragnęła mężczyzny, który nie tylko by jej pożądał, ale wnieź kochał. Z pewnością nie mógł być nim Harry. Kiedyś już dał jej ójasno do zrozumienia. Bez względu na to, jak się z nią teraz przekomarzał.

— W takim razie nie przychodź tu bez zaproszenia — warknęła gniewuje. — I przestań kpić z moich dawnych... złudzeń. Pewnego dnia, Harry BraXtonie, role się odwrócą.

Pewnego dnia to ty zostaniesz upokorzony przez kogoś, na kim ci będzie zależało.

— Wciąż mi to obiecujesz.

Opadła na poduszki i podciągnęła koc pod samą brodę.

— Kiedyś padniesz na kolana — tak, na kolana — z powodu jakiejś fascynującej kobiety, Harry...

— Niezbyt pociągająca perspektywa.

— ...aja będę się temu przyglądała.

— Nie wątpię — powiedział, nagle spowaźniawszy. A potem znowu się śmiechnął się szelmowsko, przemieniając się z ponuraka w beztroskiego, czarującego łotra, czym zupełnie zbił ją z tropu. — Jesteś fascynującą kobietą Diz.

Prychnęła.

— Naprawdę. Tylko spójrz na siebie — ciągnął tonem, w którym mogłaby się dosłuchać nutki podziwu, gdyby była w odpowiednim nastroju.

— Pewna siebie, mądra, pełna życia. Egipt uczynił z ciebie kobietę. Dlaczego miałabyś chcieć kiedykolwiek wracać do tej fabryki manekinów, zwanej Anglią? W Egipcie panuje romantyczna atmosfera. Połowa oficerów Jej Królewskiej Mości jest w tobie do szaleństwa zakochana...

— Harry, na litość boską naprawdę wierzysz, że dzięki takiemu gadaniu owiniesz mnie sobie wokół małego palca? — przerwała mu. — .hcesz, żebym tu została, ponieważ jestem najtańszą tłumaczką jaką zatrudniasz.

— Owszem, chcę, żebyś została. — Ich spojrzenia spotkały się. Przez ułamek sekundy cień przesłaniał jasne oczy Harry'ego. — W każdym razie, moja droga Dizzy, przynajmniej póki

nie skończysz dla mnie tłumaczyć. — Połaskotał ją lekko pod brodą i jednym palcem musnął policzek. No, no. Tylko nie rób takiej miny. Możesz mieć pretensje wyłącznie do samej siebie. Gdybyś się nie uparła folgować swoim artystycznym skłonnościom, nie przebierała za hurysę, żeby włóczyć się po bazarach... — Wstał i odchodząc od łóżka, wsadził ręce głęboko do kieszeni.

— Nie włóczyłam się. Próbowалам się wtopić w tło.

— No właśnie — wymamrotał z roztargnieniem. — Wiesz, że jesteś znacznie bardziej bezpieczna, ubierając się po europejsku. Nie masz pojęcia, jak biedny Abdul się przeraził, kiedy odkrył, jaki to łup jego najmłodszy syn przywiózł do obozu. — Przystanął obok jej zniszczonego biurka i oparł się o nie.

— Dlaczego od razu po mnie nie przyjechałeś?

— Nie wiedziałem, gdzie jesteś. Byłem bliski szaleństwa... — Na chwilę na jego twarzy pojawiło się coś na kształt bólu. Nie. To raczej bezsilność. Harry nie lubił, kiedy coś krzyżowało mu szyki.

— Abdul był tak przerażony, że zapomniał w swoim liściku umieścić tę dość istotną informację. — Odwrócił od niej wzrok, jakby się nagle poczuł skrępowany. — Więc krążyłem po pustyni, aż cię znalazłem.

— Zajęło cito trochę czasu.

— Zacząłem od północy. A on akurat ruszył na południe. Biedny Abdul.

— Och, na litość boską, Harry! Przecież to handlarze niewolnikami.

— Abdul nie jest handlarzem niewolnikami — wyjaśnił Harry. — To przedsiębiorczy młody” Rabi pragnie rozszerzyć rodzinny interes o now dochodową działalność.

— Dziwię się, że o tym nie pomyślałeś.

— Och, pomyślałem — powiedział.

Desdemona pogardliwie wykrzywiła usta.

— Nie ma w tobie za grosz poczucia przyzwoitości?

— Skądże znowu — powiedział Harry. — Ale postanowiłem ignorować niektóre sprawy.

Tak jak zrobiłaś to ty, kiedy wykorzystawałaś biednego Rabiego i przyjęłaś... — Zawiesił głos.

— Aha! — krzyknęła. — Wreszcie doszliśmy do sedna. To prawdziwy powód twojej wizyty.

— Co tu się dzieje? — Od progu rozległ się głos dziadka.

Na widok gościa w sypialni wnuczki starszy pan jedynie uniósł brew, co wyraźnie

świadczyło, jak dużym zaufaniem darzył Desdemonę. A także, doszedł do wniosku I-Iarry, sugerowało, że chociaż nie było ku temu żadnych podstaw, sir Robert traktował go trochę jak członka rodziny.

— Co tu robisz, Braxton?

— Przyszedłem zobaczyć, jak się czuje Dizzy i zaprosić obydwójce państwa na kolację w najbliższy piątek do Shephearda.

— A z jakiej to okazji? — podejrzliwie spytał sir Robert.

— Przyjechał mój kuzyn, by dość do siebie po zawodzie miłosnym. Przynajmniej tak pisze mi matka. Obiecałem jej, że go przedstawię niektórym mieszkającym tu Inglizi.

Kuzyn? — zainteresowała się Desdemona.

— Lord Blake Rayenscroft.

Desdemona poczuła, jak ogarnia ją ciekawość. Wiedziała, że Harry ma rodzinę w Anglii. Liczną i kochającą. Po każdym Bożym Narodzeniu bez końca paradował w nowych koszulach. Nie spodziewała się po nim jednak kuzyna lorda.

— Naprawdę? — spytała.

Harry rzucił jej kpiący uśmiech.

— Och, spodoba ci się, Desdeniono. Jest tak cholernie angielski, że podejrzewam, iż nosi przy sobie w charakterze talizmanu kawałek pałacu Buckingham. Itak romantycznie wygląda! Barczysty, czarnowłosy... postawny. Przypuszczam, że większość czasu spędza, nadymając się, chociaż ty niewątpliwie nazwiesz to rozmyślaniem. Przynajmniej robił tak, kiedy był dzieckiem. Najnudniejszy, najbardziej pozbawiony poczucia humoru towarzysz, z jakim kiedykolwiek byłem zmuszony spędzić wakacje. Nie sądzę, by w ciągu tych kilkunastu lat wiele się zmienił.

Harry nie lubił swojego kuzyna; ona już niemal się w nim zakochała.

4

Sir Robert wyjrzał na korytarz, apotem znów zaczął oglądać walec z alabastru, który trzymał w dłoniach. Tyle czasu już się trudził z określe niem wieku przekłętogo przedmiotu, a Harry”ego ciągle jak nie było, tak nie było. O czym, na litość boską tak długo z Desdemoną dyskutowali? Wydał lekceważąco policzki. O hieroglifach i chronologii, naturalnie.

Rozejrzał się wkoło i westchnął. Prowizoryczna biblioteka, połączona z gabinetem i bawialnią, niewątpliwie wyglądała okropnie. Ale chociaż była zagiacona i zastawiona różnymi mniej lub bardziej cennymi przedmiotami, miała przynajmniej ten plus, że wszystko co się tutaj : znajdowało, było autentyczne, czego nie można powiedzieć o pozostałych pomieszczeniach małego domu. Ciasny, pełen przeciągów i od dawna wymagający remontu, urzą. dzony był używanymi meblami i kiepskimi imitacjami antyków tworzącymi niezwykłą i eklektyczną mieszalinę. Desdemona sobie tylko znane nymi sposobami zdobywała różne sprzęty od angielskich wracających do Wielkiej Brytanii małżeństw wojskowych. Szczyłała też najdziwniejsze przedmioty z kairskich suków.

Na pewno nie był to odpowiedni dom dla młodej Angielki, chociaż jemu wystarczał aż nadto. Prawdę mówiąc, sir Robert nie wyobrażał sobie innego miejsca niż to, wśród ukochanych skarbów, o rzut kamieniem od krainy, która fascynowała go, odkąd ponad pięćdziesiąt lat temu przeczytał o niej po raz pierwszy.

Nie chciał opuszczać Egiptu.

Ale jeśli coś kochał bardziej niż Egipt, to niewątpliwie swoją wnuczkę. Przez pierwsze piętnaście lat życia Desdemony prawie nie zdawał sobie sprawy z jej istnienia, nie licząc okazjonalnych wzmianek o genialnej dziewczynce w naukowych czasopismach, które przypadkowo trafiały na jego biurko, albo rzadkich listów od syna, którego znał niewiele lepiej niż wnuczkę.

Kiedy po śmierci rodziców przyjechała do niego, dowiedział się więcej. I ta wiedza go przeraziła. Ostatnie pięć lat sir Robert spędził, szukając sposobu naprawienia poważnych szkód, jakie jego syn i synowa wyrządzili swej jedynaczce.

Desdemona, obdarzona niezwykłym talentem lingwistycznym, właściwie nigdy nie miała prawdziwego dzieciństwa. Była ciągnana po całej Europie, od miasta do miasta, z konferencji na sympozjum. Pierwsze piętnaście lat życia spędziła, występując na podiach i mównicach, przesiadując w bibliotekach i zadziwiając zasuszonych naukowców niesłychaną umiejętnością odczytywania starożytnych tekstów.

Kiedy po raz pierwszy pojawiła się w jego domu, sir Robert spytał ją, czego pragnie. Nigdy nie zapomniał jej słów, wypowiedzianych nieśmiało, niepewnym tonem. Chciałaby, oświadczyła wówczas, być zwyczajną angielską dziewczyną.

Zrobiłby wszystko, żeby spełniło się to jej proste marzenie, jednak z pewnością nigdy nie uda się to w Kairze, wśród emigrantów, szalonych archeologów i dyletantów, polityków i despotów. Sir Robert miał własne ambicje, ale dobrze znał Desdemonę. Wiedział, że istnieje tylko jeden sposób, by wnuczka wróciła do Anglii. Musiał udawać, że on też tego pragnie. Desdemona była tak cholernie gotowa poświęcać się dla innych. Nigdy go tu nie zostawi samego.

Ale teraz, błogi uśmiech rozjaśnił twarz sir Roberta, być może nadeszła szansa, by spełniły się marzenia ich obojga. Odgłosy kroków na korytarzu wyrwały go z zamyślenia. Wstał z biurka. Chociaż wydawało się to nieprawdopodobne, wszystkie problemy mogły zostać rozwiązane dzięki Harry'emu Braxtonowi.

— Braxton! — zawołał, kiedy młody człowiek mijał drzwi biblioteki.

Harry zawrócił i przystanął w progu, z rękami w kieszeniach i lekko podejrzliwą miną.

— Słucham, sir?

— Wejdz, Braxton, mój chłopcze. Wejdz i usiądź. — Sir Robert odłożył alabastrowy walec i uśmiechnął się.

Obejrzawszy się za siebie, jakby chciał się upewnić, że na korytarzu nie ma żadnego innego „chłopca”, Harry wszedł do pokoju. Starszy pan wskazał mu krzesło w pobliżu pustego sarkofagu i Harry ostrożnie usiadł.

- A więc... — Sir Robert złączył palce rąk i zachęcająco skinął głową.

— A więc...?

Zapadło niezręczne milczenie.

- A więc, zajmujesz się obecnie czymś ciekawym, mój chłopcze? Nie. — Braxton uśmiechnął się miło. Gospodarz zaklął w duchu.

Cholerny drań nigdy nie robi najmniejszego wysiłku, by ułatwić prowadzenie rozmowy. Sir Robert rozejrzał się wkoło, szukając czegoś, co w sposób pozornie naturalny pozwoliłoby mu poruszyć temat, na który chciał porozmawiać. Zaczął grzebać w piętrzących się na biurku papierzyskach. Znalazł o Atonie i monoteizmie i wręczył go Harry'emu.

— Co myślisz o tych bredniach?

Ran-y ledwo rzucił okiem na kartkę i oddał ją Carlisle'owj.

— Fascynujące. Czy konkretnie o coś panu chodzi, sir?

— Och, nie. Nie. Po prostu ostatnio nie miałem okazji pogawędzić z tobą. Rozumiesz, jak mężczyzna z mężczyzną.

Rany spoważniał.

— Jeśli mówi pan o mojej obecności w pokoju Dizzy, to nic...

— Naturalnie, że nic się nie stało! — wykrzyknął sir Robert. — Za kogo ty mnie uważasz, chłopcze? Ty i Desdemona! — Parsknął. — Nie wyobrażam sobie czegoś bardziej nieprawdopodobnego. Przyznaję, że był czas, kiedy czuła do ciebie słabość. Dzięki Bogu, już jej to przeszło. Spodziewam się, że ty też przyjąłeś to z ulgą.

— O, tak.

— Nie. Nie o tym chciałem z tobą porozmawiać. Myślałem o twoim kuzynie.

Harry odprężył się. Wyciągnął nogi, ręce skrzyżował na piersiach i uniósł pytająco brwi.

— Tak?

— Powiedziałaś, że to lord.

Młody człowiek skinął głową.

— Myślałem, że twój ojciec jest dziekanem, wykładowcą czy kimś w tym rodzaju.

— Nie myli się pan.

Sir Robert przez chwilę bawił się piórem, przyglądając się z uwagą stalówce. Wreszcie spytał:

— Ale należy do szlachty?

— Nie, proszę pana. Jestem spokrewniony z Rayenscroftem przez rodzinę ze strony matki.

— Wspomniałaś, że twój kuzyn doznał zawodu miłosnego? — Podchwytliwe pytanie nie przyniosło spodziewanego rezultatu. Sir Robert zazgrzytał zębami z niezadowolenia i spróbował jeszcze raz. — Czy to była... jego wina? Jak wiesz, nie jestem wścibski. Po prostu nie chciałbym, żeby Desdemona była narażona na towarzystwo nieodpowiednie dla młodej, skromnej dziewczyny.

Harry wybuchnął śmiechem. Carlisle utkwiał w nim płonący wzrok. Poczul wściekłość na myśl, że Harry może się śmiać z Desdemony.

— Jesteś prawdziwym łajdakiem — warknął przez zaciśnięte zęby. — Nie masz za grosz przyzwoitości? Brak ci lepszych odruchów?

— Widocznie tak. — Harry uśmiechnął się bez cienia skruchy.

Złość, która zawsze ogarniała sir Roberta, kiedy pomyślał, jak Harry Braxton marnuje swój talent i inteligencję, znów ujawniła się z całą siłą.

— Mógłbyś być wybitnym egiptologiem, Harry — powiedział cierpko. — Dokonać czegoś

wielkiego. Czegoś wiekopomnego. Ze swoimi umiejętnościami i wiedzą mógłbyś zdobyć sławę. Ale zamiast tego wolisz marnować zdolności na... — zaczął szukać odpowiednio uwłaczającego określenia i znalazł. — Na plądrowanie grobów.

W ten sposób zarabiam na życie.

Sir Robert wstał, pochylił się nad biurkiem i uderzył dłonią w blat.

— Nie bądź impertynentem!

Przez chwilę w jasnych oczach Harry'ego pojawił się twardy błysk, ale szybko zgasi i młody mężczyzna znów przybrał bezczelną minę.

— Proszę mi wybaczyć.

— Gdybyś tylko się zmobilizował. Gdybyś przysiadł fałdów i wziął się do pisania...

— Za dużo zachodu. Ale chyba nie zaprosił mnie pan, żeby prawić mi kazania, sir? — spytał z miłym uśmiechem.

Carlisle westchnął głęboko i znów opadł na fotel.

— Nie. Masz rację. Nie po to. Wielka szkoda, naprawdę. Lubię cię, l-larry. Gdyby sytuacja była inna...

— Chciał pan powiedzieć: gdybym ja był inny — zauważył obojętnie Braxton.

— No właśnie. Gdybyś był inny, przychylnym okiem patrzyłbym na słabość, którą miała do ciebie Desdemona. I myślę, że ty też byś coś do niej poczuł. To wspaniała kobieta.

— Niewątpliwie.

— Zasluguje na wspaniałego, uczciwego mężczyznę. Człowieka z pozycją majątnego, wykształconego.

Tak. Rozumiem.

W postawie Harry'ego można było wyczuć jakieś napięcie, niepasujące do obojętnego tonu głosu. Sir Robert odniósł wrażenie, że młody człowiek pragnąłby już zakończyć tę rozmowę. Cóż, na Boga, nawet jeśli nie stanowił odpowiedniego materiału na męża, byli z Desdemoną przyjaciółmi — dobrymi przyjaciółmi — a przyjaźń zobowiązuje.

Obawiam się, że jednak nie rozumiesz. Desdemona zasługuje na najlepszego mężczyznę pod słońcem. Zasługuje na to, żeby spełniły się jej marzenia. Bóg mi świadkiem, rodzice nigdy na nic nie zważali.

— Nie wyjawiałby tak osobistych spraw, ale l-larry swym śmiechem dopiekl mu do żywego. Braxton opuścił powieki, nie było widać jego oczu. Udawał, że pilnie przygląda się swoim dłoniom. Na pociągłych policzkach pojawił się rumieniec. Dobrze, pomyślał sir Robert,

bardzo dobrze. Powinien się trochę wstydzić swojej beztroski.

— Tak, sir? — powiedział cicho Harry.

Robert Carlisle zawahał się. Nigdy do tej pory z nikim nie rozma wiało bolesnych stronach dzieciństwa Desdemony. A już z całą pewnością ani słowa nie wspomniał na ten temat Harry'emu. Ale ostatecznie do tej pory nigdy też nie brał pod uwagę tego, żeby prosić Harry'ego o przysługę.

— Nie była taka, jak inne dzieci.

— Domyślam się.

Umiała czytać, nim ukończyła dwa latka. Mój syn bał się, że jej niezwykły talent się zmarnuje.

— Potrafię sobie wyobrazić jego niepokój — odparł Harry, przyglądając się uważnie swemu rozmówcy.

— Niepokój? — powtórzył sir Robert. — To był strach. Desdemona wywoływała lęk u rodziców. Zamiast wziąć na siebie odpowiedzialność za jej wychowanie, wynajmowali nauczycieli, korepetytorów, najlepszych specjalistów, na jakich ich było stać, i przekazali ją w obce ręce. W ręce starców bardziej interesujących się martwymi językami niż żywymi dziećmi. A kiedy już nabili jej głowę wszystkimi tymi mądrościami, wozili ją po Europie, żeby mogła imponować światu.

— Tak? Harry powiedział to na ty(e cicho, że sir Robert ledwo do-
słyszał.

— Zmuszali ją do wielogodzinnej pracy, żeby ani odrobina jej talentu się nie zmarnowała. Ale za każdym razem, kiedy się nauczyła nowego języka, okazywało się, że już jest kolejny do opanowania. Po każdym sukcesie czekały nowe wyzwania. Nie miała koleżanek. Nie można było narażać tak wybitnego umysłu na kontakt ze zwykłymi dziećmi.

— Czy sama to panu opowiedziała? — Harry wyglądał na wstrząśniętego.

— Tak, chociaż nie wprost. Większość wywnioskowałem z półsłówek, aluzji, drobnych uwag rzucanych obojętnie przez te wszystkie lata. Najdziwniejsze w tym wszystkim, że Desdemona nawet nie zdaje sobie sprawy, jak dziwacznie została wychowana. Nie znała nikogo, z kim mogłaby się porównać. Miała tylko swoje książki, te romanse, o których myśli, że nie wiem. Teraz też nie widzi, jakie osobliwe życie tutaj prowadzi. Ale domyśla się i tęskni za czymś...

— Za czymś angielskim, zdrowym i romantycznym.

— Tak. — Sir Robert pochylił się nad biurkiem. Jego twarz złagodniała. — Tutaj Desdemona ma niewiele okazji, by poznać godnych szacunku dżentelmenów. Czy twój kuzyn jest... człowiekiem godnym szacunku?

I-larry tak długo milczał, że sir Robert już zaczął się obawiać, że nie usłyszy odpowiedzi.

W końcu jednak młody mężczyzna odchrząknął i oświadczył:

— Tak, chociaż przyznaję, że nie znam go zbyt dobrze. Blake Rayenscroft jest bardzo typowym produktem angielskiego wychowania.

— Angielskiego wychowania? — Carlisie zmieszany uniósł brwi.

— Jest godny szacunku, konserwatywny, nieciekawym.

— Nieciekawym w sensie „głupi”?

— Nie. Nieciekawym w sensie „pozbawiony fantazji”. Zawsze można liczyć, że postają, tak jak wypada, jak należy. Zawsze. Sir Robert rozpromienił się.

— Odnoszę wrażenie, że jest wspaniałym młodzieńcem.

— Naprawdę? — Harry uśmiechnął się kpiąco. Starszy pan pokręcił głową. Ten Braxton nigdy nie zrozumie, co to znaczy być człowiekiem prawym, z zasadami, uczciwym. Chociaż potrafi zachowywać się do pewnego stopnia lojalnie i w sposób godny zaufania, jest jednak skończonym łotrem.

Tym niemniej sir Robert dowiedział się tego, czego chciał i wiedza ta okazała się satysfakcjonująca. Rozsiadł się wygodniej. Jego wzrok padł na alabastrowy walec stojący na biurku.

Co o tym sądzisz, Harry?

I-larry wstał i sztywno przeszedł przez pokój. Pewnie zdrętwiał, siedząc tak długo na tym niewygodnym krześle, pomyślał gospodarz.

Tymczasem młody człowiek podniósł walec i powoli obrócił w dłoniach, przez chwilę przyglądał się gładkiej powierzchni, nim odstawił go na biurko.

— Stare Państwo. Kartusz jest wytarty. Prawdopodobnie pieczęć.

Sir Robert skrzywił się.

Dlaczego uważasz, że to Stare Państwo? Nie widzę żadnych dowodów... — Pochylił głowę i zaczął studiować niewyraźne nacięcia w kamieniu.

I-larry odwrócił się, jego ruchy były mechaniczne, pozbawione zwykłej miękkości.

— W kartuszu jest imię Ozyrysa. Ozyrys był szczególnie czczony między rokiem 2200 a

2100 przed naszą erą. Myślę, że mogła to być pieczęć funeralna.

— Na Boga, Harry, chyba masz rację! — Podniecony sir Robert uniósł wzrok, by stwierdzić, że jest sam. Zeby tak się marnował równie wspaniały umysł, pomyślał ponuro, nim znowu skupił całą uwagę na pieczęci.

5

Wszyscy, którzy się liczyli, wcześniej czy później odwiedzali restaurację hotelu Shepharda. Wzniesiony na miejscu, gdzie kiedyś stał pałac beja Muhammada, hotel przeszedł właśnie gruntowny remont i przyciągał jeszcze większe niż poprzednio tłumy obcokrajowców. Jadali w nim najbogatsi, najbardziej wpływowi kosmopolityczni przybysze bawiący akurat w Kairze.

W owych czasach u Shepharda spotkać można było naprawdę różnych ludzi. Na eleganckim przestronnym tarasie wysiadali dziedzice dawnych fortun i dorobkiewiczowie, szlachetnie urodzeni i uczeni, dyletanci i poszukiwacze przygód.

Harry”emu naturalnie udało się zdobyć stolik nie tylko na tarasie, ale przy samej balustradzie, skąd rozciągał się prześliczny widok na parki i pałace.

Marta Douglass, jedyna kobieta w tym towarzystwie, powiodła spojrzeniem po twarzach pozostałych biesiadników: pułkownik Simon Chesterton, od ponad dwudziestu lat służący w Egipcie; Cal Schmidt, jej osobista, amerykańska eskorta i lord Blake Rayenscroft, przystojny kuzyn Harry”ego. Zadowolona z liczebnej przewagi mężczyzn, Marta próbowała zgadnąć, na kogo czekają dwa puste krzesła.

Chciałbym wnieść toast. — Lord Rayenscroft sięgnął po kieliszek. Reszta gości poszła w jego ślady. — Za Lenorę DuChamp.

Marta Douglass czekała na dalsze szczegóły o damie, której zdrowie właśnie wychylili. Ale na próżno. Lord Rayenscroft nie ciągnął dalej tematu, za co Marta właściwie była mu wdzięczna. Zachwyty mężczyzn nad zaletami innych kobiet z reguły męczyły ją i nudziły. Kiedy tylko przedstawiono jej Blake”a Rayenscrofta, z miejsca go rozgryzła: arystokrata, świadomy własnej urody, wysokiej pozycji społecznej i starannego wykształcenia. I trochę hulaka, dodała po chwili namysłu.

Tak niewielu hulaków naprawdę lubi kobiety. Traktują swój cynizm jak talizman. Natomiast łajdacy są zupełnie inni, pomyślała z zadowoleniem. Jej mąż był łajdakiem. Szkoda, że już

nie żył. Gdyby miała naturę romantyczną, czego z całą pewnością nie dawało się o niej powiedzieć, może nawet uznałyby to za tragiczne.

Owdowiała w roku osiemdziesiątym pierwszym. Porucznik Douglass zginął podczas kampanii pułkownika 1-licka. Zamiast powrócić na łono niechętnej jej rodziny męża, Marta została w Kairze. Okazało się to ciekawe, a czasem nawet dawało pewne zyski.

Ale teraz nadeszła pora, by pomyśleć o przyszłości. Piękna wdówka wkrótce miała skończyć trzydzieści dwa lata. Nie posiadała żadnego majątku a jej uroda, chociaż nadal oszałamiająca, zaczynała powoli gasnąć.

Na szczęście ogorzały Amerykanin, Cal Schmidt, jakby nie zauważał, że jest od niego o kilka lat starsza. Pod lnianym obrusem jego ręka zdawała się żyć własnym życiem. Kochany chłopak. Marta pociągnęła łyk wina akurat, gdy obok ich stolika pojawił się Georges Paget, zastępca dyrektora Muzeum Kairskiego.

— Madame Douglass. — Pulchny Francuz w średnim wieku pochylił głowę w ukłonie.

— Monsieur.

— Paget, dołącz do nas — zaproponował Harry, ruchem ręki prosząc o jeszcze jedno nakrycie. Kelner natychmiast pospieszył, by wykonać polecenie.

— Jeśli tylko nie będę przeszkadzał — krygował się Paget. Oszacował majątek, reprezentowany przez siedzących przy stoliku i stwierdził, że to spotkanie towarzyskie może przynieść jakąś wymierną korzyść. Pilnowanie interesu Francji nie przeszkadzało zbytnio obrotnemu Pagetowi dbać o własne dostatnie życie. Szybko więc doszedł do wniosku, że wśród obecnych może trafić na kupca zainteresowanego różnymi cennymi drobiazgami.

— Ależ skądże! — zapewnił go Uarry. Tymczasem pojawiło się dodatkowe nakrycie i krzesło dla nowego gościa.

Podczas ceremonii przedstawiania Pageta lordowi Rayenscroflowi, Simon Chesterton pograżył się w myślach, głaszcząc długą, opadającą na piersi siwą brodę. Chociaż przede wszystkim był oficerem armii Jej Królewskiej Mości —tak przynajmniej utrzymywał— należał również do najbardziej znanych na świecie kolekcjonerów egipskich starożytności. Co za szczęście, że skierowano go akurat do Kairu, pomyślała drwiąco Marta, rzucając okiem na ciężki, złoty sygnet na małym palcu pułkownika. Z trudem ukryła rozgoryczenie. Simona, zatwardziałego starego kawalera, stać było na życie kolekcjonera. Wydawało się jej czymś zgoła dziwnym, że jedynymi kobietami, na które wydawał pieniądze, były damy

zabalsamowane przed tysiącami lat.

— Jak interesy, Georges? — spytał Harry, czym zwrócił na siebie uwagę Marty. Nie, żeby o nim zapomniała. Nawet na chwilę. Kołnierzyk miał zmięty, marynarkę pogniecioną. Ale w najmniejszym stopniu nie ujmowało mu to uroku.

— Kwitną — odparł Paget. — W zeszłym tygodniu przyniesiono mi coś, co — mogę się założyć — pochodzi z grobowca Echnatona.

— Daj spokój, Georges, Echnatona? — z powątpiewaniem spytał Harry.

— Kto to jest Echnaton? — zainteresował się Cal.

— Kto to jest Echnaton? — powtórzył Simon takim tonem, że Marta niemal się roześmiała na głos. — Mój drogi chłopcze, naprawdę powinieneś wydać trochę tych swoich jankeskich pieniędzy na książki. Szczególnie, jeśli zamierzasz zająć się archeologią.

— Echnaton był faraonem — wyjaśnił Harry. Jego twarz rozpromieniła się, jak to się często zdarzało, kiedy mówił o starożytnym Egipcie. — Faraonem, który wpadł na pomysł, by wprowadzić kult własnego boga. Zabrał się do tego dość energicznie. Przybrał imię bóstwa, w”zniósł dla niego miasto, zmusił ludzi do oddawania mu czci.

— I znaleziono jego grobowiec? Właśnie tego faraona? — Cal był wyraźnie podekscytowany.

— Och, bardzo w to wątpię. — Uśmiechnął się z wyższością Simon.

— Dlaczego?

— Jak można sobie wyobrazić, Echnaton nie cieszył się popularnością wśród kasty kapłanów oddających cześć tradycyjnym bóstwom. Wszystkich ich pozbawił pracy, że się tak wyrażę. Po jego śmierci kapłani mieli używanie. Wymazywali zewsząd imię Echnatona, niszczyli każdą pamiątkę po nim, po jego rodzinie i jego bogu. Opuścili jego miasto i z całą pewnością zbezczeszcili grobowiec. Nigdy nie znaleziono żadnych przedmiotów związanych z Echnatonem.

— Aż do tej pory. — Georges uśmiechnął się zagadkowo. — Wiem, gdzie szukać. Ale to ciężka praca, z dala od jakiegokolwiek miasta. Muszę zatrudnić energicznego kierownika robót do nadzorowania wykopalisk.

— Może nadałby się ten Francuz, Maurice Chateau? — zaproponował Simon.

— Maurice Franklin Shappeis jest takim samym Francuzem jak pan

— warknął Georges, najwyraźniej dotknięty do żywego. — Poza tym już dla mnie nie pracuje... to znaczy dla muzeum. — Zwrócił się do Harry’ego. — Na pana miejscu byłbym

bardzo ostrożny, mój przyjacielu. Maurice Shappeis nie życzy panu dobrze.

— A cóż takiego mu zrobiłeś, Harry? — spytał lord Rayenscroft, zabierając głos po raz pierwszy, odkąd wznosił toast.

— Nic szczególnego.

Georges prychnął.

— Harry uważa, że sposób, w jaki Shappeis ma zwyczaj werbować młodych robotników, nie jest godny pochwały.

Ach, pomyślała Marta. Przypomniała sobie teraz. Krążyły plotki, że Harry pobił się z Maurice'em po tym, jak praktyki tego drania doprowadziły do śmierci jakiegoś biednego arabskiego chłopaka. Podobno Mau. rice oberwał. I to nieźle.

— Rozumiem — powiedział lord Rayenscroft.

— Wątpię, Blake. — Harry uśmiechnął się łagodnie. — W Egipcie stanowisko kierownika robót wykopaliskowych to jedno z bardziej lukratywnych zajęć dla osób bez wykształcenia. Chyba, że ktoś sam wie, gdzie szukać zabytkowych przedmiotów. — Rzucił Georges'owi spojrzenie zachęcające do zwierzeń. Paget tylko ściągnął brwi.

— Ach, rozumiem — powtórzył lord Rayenscroft. — Na całym świecie ludzie... niewykształceni mają ograniczone możliwości. — Kuzyni zmierzli Śię wzrokiem i Marta uświadomiła sobie, że nie darzą się sympatią.

W tej samej chwili poczuła, jak czyjaś ręka głaszcze jej kolano. Spokojnie sięgnęła pod obrus i odtrąciła natręta. Cal Schmidt, zupełnie niejązony zrobił do niej perskie oko i Marta prawie wybuchnęła śmiechem.

Cal był tak niemożliwie amerykański. Przyznając się, że jest „neofiw kolekcjonowaniu starożytności i nie dysponując żadną wiedzą archeologiczną przybył miesiąc temu do Kairu. Wkrótce potem przedstawiono ich sobie. Był tyczkowatym blondynem. Dość bogatym. Marta mogłaby go nawet szczerze polubić, gdyby...

Uniosła wzrok i natrafiła na spojrzenie Harry'ego. Uśmiechnął się obojętnie. W jego niebieskich oczach skrzyły się iskierki humoru. Serce podeszło Marcie do samego gardła. Boże, co za mężczyzna! Miał w sobie tyle magnetyzmu. Nie tylko czarujący, ale również inteligentny i wielkoduszny, w najmniejszym stopniu nie był przy tym naiwny.

Pięć lat temu przeżyli krótki, namiętny romans i rozstali się w przyjaźni. Zapewniała go, że już jej nie interesuje.

Kłamała.

Nigdy naprawdę nie przestała kochać Harry'ego Braxtona. Odwróciła wzrok, nie chcąc, by zbyt dużo wyczytał z jej twarzy. Mądra kobieta nie ujawnia swych uczuć.

— Sala restauracyjna jest dziś wyjątkowo zatłoczona — odezwał się Cal, kiedy przy stoliku zapadło milczenie. — Ciekawe dlaczego?

— Musiał zawinąć kolejny statek pana Cooka z uczestnikami wycieczki w dolinę Nilu — wyjaśnił z szyderczym uśmiechem Simon. — Z każdym rokiem ten gość sprowadza tu coraz więcej wścibskich bab. Kraj aż roi się od Angielek. Już prawie nie widać piramid, tak je oblażyły.

— Ale chyba nie wszyscy przyjechali z panem Cookiem? — spytał Cal, rozglądając się po sali.

— Nie—zapewnił go Harry. —Tylko ci dobrze ubrani. Biedniej odziani to archeolodzy. Reprezentują wszelkie możliwe nacje.

— Tak — potwierdził Georges. — Widzę tu też przedstawiciela narodu, który, jestem pewien, pragnie panu osobiście wypowiedzieć wojnę.

Marta obejrzała się. Rudowłosy Gunter Konrad, domorosły archeolog, siedział tuż za nimi. Grube ręce skrzyżował na beczkowatej klatce piersiowej. Sciągnął brwi i zacisnął zęby, utkwivszy wzrok w plecach Harry'ego.

— Zdaje mi się, że Herr Konrad jest na ciebie zły, Harry. Nie powinieneś być podstępnie...

— Simon spojrzał na lorda Rayenscrofta. — Nie powinieneś być nakłaniać go, żeby sprzedał tak tanio ten naszyjnik z okresu Średniego Państwa.

— Człowiek musi znać wartość tego, co posiada. — Harry pociągnął łyk wody. — Poza tym postanowiłem wynagrodzić mu stratę.

— Ach tak. — Lord Rayenscroft nagle zamilkł. — A oto skarb wart pożądania. Czy kiedykolwiek widzieliście takie złote cacko?

— Złote cacko? Gdzie? — ożywił się Simon.

Georges oblizał palce, podążając za spojrzeniem Rayenscrofta.

— Ładna, prawda? To Desdemona Carlisie.

Marta Douglass spojrzała tam, gdzie patrzyli wszyscy. Na widok panny Carlisie mężczyźni pospiesznie wstawali, by się jej uklonić.

Marta powinna się była domyślić, dla kogo są te puste krzesła. Na każde organizowane przez siebie przyjęcie Harry zapraszał Desdemonę Carlisle.

— Prześliczna — stwierdził lord Rayenscroft.

— Och — mruknął Simon, w końcu dostrzegłszy młodą kobietę. — Desdemona. — Zapadł się w krzesło, wyraźnie rozczarowany. — Miła dziewczyna. Ale dziwna. Chodząca encyklopedia. Więcej wie o hieroglifach od wszystkich tu obecnych i zna kilkanaście języków. A jej dziadek to osioł.

— Kilkanaście języków? — Blake Rayenscroft nie wierzył własnym uszom. — Z pewnością się pan pomylił.

— Nie, lordzie — odparł urażony pułkownik. — Była cudownym dzieckiem, sławnym na cały świat. Pisały o niej wszystkie gazety codzienne i naukowe periodyki. Prezentowano ją na konferencji Krajowego Towarzystwa Geograficznego w osiemdziesiątym roku.

— Chciał pan powiedzieć, że prezentowano jej umiejętności — poprawił go delikatnie Harry.

— Naturalnie. Wywołała dużą sensację wśród egiptologów. Sam byłem obecny na jednym z pokazów.

— Niesłychane. — Lord Rayenscroft ani na chwilę nie odrywał wzroku od drobnej młodej kobiety. — Jak to się stało, że trafiła tutaj?

— Rodzice umarli — wyjaśnił krótko Simon. — W Anglii nie miała żadnych krewnych, więc wsadzono ją na statek i przyплыnęła tutaj, żeby zamieszkać z dziadkiem. Biedactwo! A stary osioł — proszę o wybaczenie, pani Douglass — tylko na tym skorzystał.

Prawdopodobnie nadal wegetowałby w jakiejś norze, gdyby nie Desdemona. Troskliwie się nim opiekuje.

Marta przyjrzała się uważnie młodej kobiecie idącej w stronę ich stolika. Kuzyn Harry”ego miał rację; była prześliczna.

Włosy, zebrane w luźny niemodny węzeł nisko na karku, błyszczały jak stare złoto. Taki sam kolor miała delikatna, nieprzystająca damie opalenizna, którą uwydatniała jeszcze staroświecka toaleta wieczorowa, mieniąca się jak topaz.

Desdemona szła szybko przez salę, nieświadoma zainteresowania, jakie wywołało jej pojawienie się. Chociaż poruszała się z wdziękiem, wyczuwało się w niej pewne zniecierpliwienie, jakby biegła na spotkanie swych największych pragnień.

Obserwując ją taką delikatną, śliczną i żywą, tak rozpromienioną i szczęśliwą, Marta poczuła się staro. Towarzyszący wnuczce sir Robert dostrzegł rozradowane, uśmiechnięte oblicze Simona i nachmurzył się.

Desdemona zwolniła kroku, gdy siedzący przy stoliku mężczyźni wstali. Dopiero wtedy

można było dostrzec, że jej oczy są niemal czarne, podobnie jak i proste linie brwi. Nic dziwnego, że - o czym krążyły już plotki — kiedy zakwefiona wędrowała po Kairze, nikt nie brał jej za Europejkę. Gdyby zobaczyć ją z zasłoniętą twarzą w długim czadorze, narzuconym na ciemnoblond włosy, to sądząc jedynie na podstawie oczu, można by pomyśleć, że jest rdzenną mieszkanką Imperium Osmańskiego.

Marta z ociąganiem spojrzała na Harry'ego. Zupełnie znieruchomiał. W jego zachowaniu dostrzegła dziwne skrępowanie, tak niepasujące do zwykłej bezceremonialności. Napięte mięśnie ramion i twarzy, nieznaczne pochylenie ciała w przód... zupełnie jakby przyciągała go do Desdemony jakaś magnetyczna siła, której się opierał.

Jednak powitał przybyłych z nonszalancją. Uśmiechnął się i wstał ostatni, maskując prawdziwe groźne oblicze jak lew udający kotka.

A niech to diabli. Marta miała ochotę nim potrząsnąć. Co widział w tej zuchwałej dziewczynie o ciemnych, skośnych oczach? Niemodnie ubrana dziwaczka, za bardzo lubiąca wypowiadać własne zdanie, uparta i niesforna. Nie była odpowiednią kobietą dla l-larry'ego.

A jednak mimo pewnej poufałości, jaka między nimi istniała, dawało się wyczuć dystans — ledwo uchwytny, niezrozumiały — który l-larry sam narzucał. Lecz i tak, zauważyła niepokieszona Marta, Braxton patrzył na Desdemone, jakby pragnął pokonać przepaść między nimi i pozreć tę połączoną istotę. Gdyby jakiś mężczyzna tak na nią Martę, kiedyś spojrzał, poszłaby za nim na koniec świata.

Złe się czuła w roli mimowolnego świadka tego gorącego uczucia. To ona powinna być na miejscu Desdemony. Czas płynie. Mnsi coś zrobić i to szybko.

Kiedyś Harry'emu znudzą się te dziwne zaloty I odkryje karty. Tylko skończona idiotka odepchnęłaby takiego mężczyznę. I chociaż Marta gorąco pragnęła, żeby Desdemona okazała się tak głupia, nie wierzyła, że to możliwe.

6

Dlaczego tak dziwnie na nią patrzy? Co on sobie wyobraża? Desdemona nie miała cienia wątpliwości, że Harry celowo stara się roztaczać przed nią cały swój męski czar. Nie wiedziała jednak po co. Był zanadto pewny swego zniewalającego uroku. Prawdopodobnie po wyjściu podsłuchiwał jeszcze pod drzwiami, żeby się przekonać, ile razy padnie jego

nazwisko.

Desdemona postanowiła, że nie da mu tej satysfakcji i nie zdradzi, jakie robią na niej wrażenie jego uśmiech, spojrzenie i gładko wygolone policzki z ciemną opalenizną którą podkreślała jeszcze biel koszuli. Lekko skinęła Harry'emu głową i wspięła się na palce, spoglądając nad jego szerokim ramieniem w nadziei, że uda jej się dojrzeć gościa z Anglii. Jednak na próżno. Zeby móc się przypatrzeć lordowi Rayenscrofowi, musiałaby obejść Harry'ego, tym samym zdradzając swoją ciekawość. Pozostawało więc tylko cierpliwie zaczekać, aż zostaną sobie przedstawieni.

Georges Paget uklonił się Desdemonie z galanterią, a Cal Schmidt powitał ją szerokim uśmiechem.

— Bardzo mi miło znów panią spotkać, panno Carlisie.

— Panno Desdemono — powiedział Simon Chesterton, kłaniając się lekko — cieszę się, że panią widzę. Po dłuższej chwili zwrócił się w stronę jej dziadka: — I pana również.

— Widzę, Harry, że przedstawiasz swego kuzyna najbardziej podejrzanyemu indywiduum, jakie można spotkać w Kairze — stwierdził sir Robert, patrząc lodowato na pułkownika Chestertona. - Brak dobrego smaku? Czy też ten zbój sam się wprosił?

— Ty świętoszkowaty...

— Żalony stary...

— Proszę, dziadku — pospiesznie wtrąciła się Desdemona. — Jak się pan miewa, pułkowniku?

— Świetnie. Wspaniale. Skupuję starożytności w tempie, które przyprawia mnie o zawrót głowy.

Twarcz sir Roberta przybrała nieprzyjemny jasnofioletowy odcień. Między obu panami trwała niekończąca się rywalizacja o to, któremu z nich uda się zgromadzić więcej zabytkowych unikatów.

— Moja droga, nie miałem jeszcze okazji należycie ci podziękować za tłumaczenie. Wiesz, za tamto, które dla mnie zrobiłaś w ubiegłym tygodniu — ciągnął Simon. Jego malutkie, niebieskie oczka błyszczały złośliwie. Desdemona chętnie udusiłaby starego capa. Dziadek wyraźnie zabronił jej zatrudniać się jako tłumaczka. Zajęcie to ponoć „nie było odpowiednie dla damy”. Nieważne, że dzięki zarobionym w ten sposób pieniądzom częściowo utrzymywała dom.

Sir Robert spochmurniał.

— Desdemona, obiecałaś mi, że nie będziesz...

— Obawiam się, że to moja wina — wtrącił Harry. — Poprosiłem Desdemonę, żeby rzuciła okiem na pewne naczynia, zanim nabył je ode mnie Simon.

— Jakie naczynia?— spytał sir Robert. Udało się odwrócić jego uwagę. Był zazdrosny o wszystkie nabytki. — I dlaczego, Harry, sam nie tłumaczysz napisów?

— To byłoby nawet ciekawe — mruknął Blake Rayenscroft, czym zasłużył sobie na nieprzyjemne spojrzenie kuzyna.

Z okresu Nowego Państwa. — Simon uśmiechnął się oblesnie. — Ceramiczne, zdobione szklanymi paciorkami.

— To bardzo rzadka rzecz, prawda? — spytał Cal Schmidt.

— Tak — zamruczała jak kotka Marta Douglass. Marta, smukła, wy-

soka, o mlecznej cerze, poruszająca się z gracją i jak zwykle elegancka, sprawiała, że

Desdemona czuła się przy niej mała, nieważna i niedoświadczona. Zupełnie jakby starsza kobieta posiadała wiedzę, której ona nigdy nie posiadzie.

— Pani też jest kolekcjonerką pani Douglass? — zainteresował się Cal.

— Niech Bóg broni. Ale jeśli wejdzie się między wrony, prędzej czy później zaczyna się krakać jak i one — odparła z powagą czym rozśmieszyła zebranych przy stoliku mężczyzn. Jednak sir Robert nie dopuścił, by cokolwiek odwróciło jego uwagę od tematu.

— Wielki Boże, Braxton — parsknął. — Jak mogłeś pozwolić, żeby ten..., ten osobnik skradł skarby należące się naszemu krajowi? To ja reprezentuję interesy Anglii i Muzeum Brytyjskiego.

— Naszemu krajowi? — powtórzył Narry, udając zdumienie. — Mam wrażenie, że jesteśmy w Egipcie, proszę pana.

Desdemona zasłoniła usta dłonią i zdusiła śmiech. Ten Harry jest niemożliwy.

— Bardzo dobrze wiesz, co mam na myśli, Braxton.

— No cóż, sir, gdyby nasz kraj był gotów płacić mi tak hojnie za przywłaszczone zabytki, jak obecny tu pułkownik...

— Moim zdaniem — nie dał mu dokończyć sir Robert — jako historycy powinniśmy patrzeć bardziej dalekosiężnie. Egipcjan nie stać na otoczenie odpowiednią opieką swych skarbów narodowych. Nie potrafią nawet stworzyć własnego rządu...

— Gdybyśmy dali im szansę, zamiast pozwalać, żeby ci tureccy... — zaczęła Desdemona i urwała, widząc, jak Marta unosi wydepilowaną brew. To upomnienie bez słów było więcej

niż wymowne.

— Naszym obowiązkiem — ciągnął sir Robert — jako strażników kultury światowej jest strzec skarbów Egiptu dopóki Egipcjanie nią będą mogli sami się tym zająć.

— Oczywiście — przerwał mu Georges, odgryzając kawałek rachatlukum. — Kiedy Anglia dojdzie do wniosku, że Egipt stać już na własny rząd, po prostu spakujecie wszystkie ich zabytki i przysłecie je z powrotem do Kairu. — Uśmiechnął się szyderczo. — Mam poważne wątpliwości. Muzeum Brytyjskie to największy na świecie grabieżca. A pan jest w takim samym stopniu rabusiem grobów, jak... jak... obecny tu biedny Braxton.

Biedny Braxton? — pomyślała Desdemona ze złością. Biedny Braxton wyszczerzył zęby w uśmiechu.

— Myślę, że Georges ma rację — oświadczył z godnością. — Nawet księżę dał się na to skusić. Z aktualnych wyliczeń wynika, że jest właścicielem piętnastu mumii, które rozdaje w prezencie różnym przyjaciółom,

— Skąd możesz o tym wiedzieć? — zirytował się sir Robert.

Sam sprzedałem mu ostatnią.

Georges wybuchnął śmiechem, a Cal i Marta zachichotali. Tym razem Desdemona też im zawtórowała. Mimo najlepszych chęci, nie mogła się powstrzymać. Na chwilę spojrzenia jej i Harry'ego spotkały się i dostrzegła w jego wzroku coś takiego, co przstraszyło ją swoją intensywnością.

Jak to się stało? Kiedy stosunki między nimi nagle uległy zmianie i zaczęły budzić jej niepokój? Była pewna, że w jakiś sposób sama się przyczyniła do tego, że Harry z nią flirtuje. Nie powinna mu była okazywać, jak na nią działa. Ależ z niej idiotka!

Sir Robert poczerwieniał, szukając odpowiedzi na oburzającą — i niewątpliwie prawdziwą — uwagę Harry'ego. Furia dziadka sprawiła, że Desdemona odzyskała panowanie nad sobą.

— Powinniśmy się tego wstydzić — powiedziała, niemal jakby recytowała wyuczoną kwestię. — Rządy państw europejskich oblażyły Egipt niczym mrówki padlinę i rozrywają go na części. Harry przynajmniej nie udaje, że kieruje się jakimiś szlachetnymi pobudkami.

— A cóż taka młoda dama może wiedzieć o interesach narodowych?

— rozległ się nagle czyjś niski głos.

Wszyscy, nie wyłączając Harry'ego, odwrócili się. Dzięki temu Desdemona mogła w końcu zobaczyć jego kuzyna. Oczy zrobiły jej się okrągłe. Lord Rayenscroft wyglądał

fantastycznie!

Idealne antidotum na Harry”ego.

Nieźródnana Ouida nie mogłaby stworzyć przystojniejszego mężczyzny. Nawet powołany do życia przez tę płodną autorkę romansów ulubiony bohater Desdemony, męski i nieszczęśliwy Bertie Cecil, nie dorównałby mu urodą.

Blake Rayenscroft był nieco więcej niż średnio wzrostu. Jego szerokie ramiona opinał idealnie skrojony smoking. Snieżnobiała koszula silnie kontrastowała z kruczoczarnymi lokami opadającymi na blade, pięknie sklezione czoło. I przyglądał się Desdemonie z... z...

...z czujnością sokoła. Czarne oczy błyszczały pod ciemnymi, gęstymi brwiami. Usta tworzyły prostą linię pod orlim nosem. Rysy były wyczelowane i szlachetne, — To przez te wszystkie języki, w których potrafi czytać — wyjaśnił sir Robert. — Kiedy była dzieckiem, ludzie ciągle się nad nią rozplýwali, więc nabrała przeświadczenia, że jej opinie, bez względu na to, czego dotyczą, są warte uwagi — mruknął z miną kogoś, kto zdradza wstydliwą rodzinną tajemnicę.

— Ach tak? — W głosie lorda Rayenscrofta zabrzmiała nutka rozbawienia.

— Hm. — Desdemona obrzuciła Harry”ego karcącym spojrzeniem.

— Ach, racja — oprzytomniał. — Sir Robercie, to mój kuzyn, lord Blake Rayenscroft.

Dizy, to lord Blake RayenscrofL Blake, panna Desdemo na Carlisie.

Blake — cóż za podniecające i męskie imię — przepchnął się przed Harry”ego, ujął jej dłoń i uniósł do ust. Ani na chwilę nie odrywał wzroku od twarzy Desdemony.

— Ogromnie się cieszę, że mam przyjemność panią poznać, panno

Carlisie. — Ucałował jej rękę i zwrócił się do starszego pana.

— Proszę usiąść, sir Robercie. — Wskazał puste krzesło po drugiej stronie stołu. — Panno Carlisie? — Odsunął krzesło, które stało tuż przy nim.

— Dziękuję — szepnęła Desdemona, zwinnie zajmując miejsce.

Nikt już nie podejmował dyskusji o słabości do antyków, który to temat należał w Kairze do stałego repertuaru wszystkich spotkań towarzyskich i zaczynał już się stawać nudny. Przez pozostałą część wieczoru rozmowy krążyły wokół innych mniej lub bardziej interesujących spraw.

Podczas obiadu Desdemona była dziwnie milcząca. Usilnie starała się nie wpatrywać w

lorda Rayenscrofta, co okazało się niemal niewykonalne. Blake Rayenscroft pojawił się tu chyba wprost z jej snów. Wysoki, ciemnowłosy, onieśmielający, zamyślony.

— Kto by przypuszczał — odezwał się w końcu głębokim barytonem

— że pokonam tysiące kilometrów, by znaleźć na pustyni najpiękniejszą angielską różę?

Sam Bertie Cecil nie mógłby tego zręczniejszym ująć! Chociaż w gruncie rzeczy wyraził dokładnie to samo w czternastym rozdziale romantycznej powieści Pod dwoma sztandarami. Desdemona uśmiechnęła się do Blake'a.

— Przyjemna tu roślinność, prawda? — odezwał się Cal Schmidt, spoglądając nad balustradą na ciągnące się w dole słynne ogrody Ezbekiyya,

— Mówiłem o kwiecie, który rozkwitł tuż koło nas — wyjaśnił Blake.

— Ach. Tak. Naturalnie. — Cal popatrzył promiennie na Martę i Desdemonę. — Nie mogę powiedzieć, żebym lubił różę. Wolę kwitnące kaktusy. Chociaż przyznaję, że odrobinę trudniej je zerwać niż pocziwą różyczkę. — Desdemona zachichotała, ale widząc poważną minę lorda Rayenscrofta, zamaskowała śmiech chrząknięciem.

— Przepraszam, to ość — wymamrotała, starając się zbagatelizować własne rozczarowanie. Cóż, nigdy przecież nie uważała poczucia humoru za nieodzowną cechę swego wymarzonego księcia. Uniosła wzrok i ujrzała Harry'ego. Uśmiechnął się i trudno jej było się powstrzymać, by nie odpowiedzieć mu tym samym. Uśmiech Harry'ego był zaraźliwy, szczególnie, gdy pojawiał się w zupełnie niestosownym momencie.

— Ach. — Harry ze zrozumieniem pokiwał głową. — Ości bywają żłśliwe. Aż strach, jak potrafią człowiekowi utknąć w gardle. Czasem wystarczy połknąć duży kęs chleba, to pomaga. Zjedz całą kromkę, zaraz poczujesz się lepiej. — Podsunął Desdemonie koszyk z pieczywem.

— Nie. Dziękuję. Już mi przeszło.

— W takim razie proszę się napić trochę wina, panno Carlisie. Cieszy się uzasadnioną sławą — odezwał się Blake, spoglądając na nią pięknymi ciemnymi oczami. — Piwniczka Shepharda jest niezrównana. — Przynął nieco bliżej swoje krzesło. Pozostali goście rozprawiali o najnowszych wykopaliskach. Blake zakotłosał kieliszkiem z rubinowym burgundem i podał go Desdemonie. Uśmiechnęła się nieśmiało i powąchała. Cóż za bukiet! Przypuszczała, że wino jest wyśmienite. Osobiście wolała jednak lemoniadę.

— Wykorzystują tu w charakterze piwnic stare lochy — powiedziała.

— Lochy? — zdziwił się Blake. — Jakie lochy?

— Mameluckiego beja — przyłączył się do rozmowy Harry. Desdemona nie wiedziała, że się im przysłuchuje. — Poprzedniego lokatora — ciągnął. — Hotel Shephearda został wzniesiony na miejscu jednego z dawnych pałaców mameluków.

— Ciekawe, że zawsze udaje ci się wszystko dosłyszeć. — Ta uwaga wcale nie rozbawiła Harry’ego. Groźnie błysnęły mu oczy, a na zazwyczaj otwartej, ożywionej twarzy pojawił się trudny do odszyfrowania chłód. Braxton odwrócił się tyłem do kuzyna.

— Jestem pewna, że uzna pan pobyt w Egipcie za fascynujący, lordzie Rayenscroft — Desdemona próbowała zmniejszyć napięcie, jakie powstało między obu mężczyznami.

— Już tak jest. Czuję się... zaintrygowany.

Harry wznosił oczy do góry. Desdemonę ogarnęła złość. To, że sam nie uważał, iż jej kobiece wdzięki zasługują na uwagę, wcale nie oznaczało, że sądzą tak wszyscy mężczyźni.

— Nie wiedziałem, że interesujesz się Egiptem, Blake. — W głosie Harry „ego zabrzmiała złośliwa nutka

— Zważywszy na sukces, jaki tu odniosłeś, zaczynam się nim naprawdę interesować.

Miałem nadzieję, że uda mi się namówić cię, żebyś mnie zabrał na wycieczkę po Kairze i okolicach — odparł spokojnie lord Rayenscroft, po czym zwrócił się do Desdemony: — Chciałbym obejrzeć piramidy. Pomyśleć, że od tysięcy lat są świadkami historii. Ludzie umierają, ich nazwiska ulegają zapomnieniu, ale to, co stworzyli, trwa. Gdybym tylko... — urwał gwałtownie.

Było zupełnie oczywiste, że jest nieszczęśliwy. Ściągnął brwi, zacisnął usta.

Co nie dawało spokoju temu przystojnemu zamyślonemu mężczyźnie? I-larry powiedział, że jego kuzyn przeżył zawód miłosny. Cóż, Des- demona wiedziała coś niecoś o zranionych uczuciach. Odruchowo dotknęła dłoni Blake’a. Każdy ból można złagodzić, okazując współczucie i zrozumienie.

Lord Rayenscroft nachylił się do niej bliżej.

— Gdyby tylko...

— Przykro mi, mój drogi — wtrącił Harry głosem jasnym i zimnym jak księżyc nad pustynią. Desdemona gwałtownie odsunęła się. — Przez kilka najbliższych dni to wykluczone. Jadę do Luksoru spotkać się z kimś w sprawie byczka.

— Byczka? — wykrzyknęli z równym zainteresowaniem sir Robert i Simon Chesterton.

— Tak potwierdził Harry.

— No cóż — powiedział ironicznie lord Rayenscroft — W takim razie będę się musiał wybrać sam.

— Jakiego byczka? — Dziadek Desdemony nie pozwolił zmienić tematu.

— Zwyczajnego. Bardzo... starego. — Harry rozsiadł się wygodniej. Równie dobrze mógłby rzucić na stół petardę. Rozgorzała dyskusja.

— O co chodzi z tym byczkiem? — spytał rozbawiony Cal Schmidt.

— Mówi o Apisie! — domyślił się Simon.

— O Apisie? — ożywił się Georges. — Wiesz, gdzie można kupić posążek Apisa? Muzeum w Kairze miało jeden, ale pozbyliśmy się go. Przydałby się nam nowy.

Desdemona westchnęła zrezygnowana. Od lat była świadkiem takich rozmów. Może minąć pół godziny, nim przejdą do innych spraw.

— Czy te Apisy są rzadkie? — wtrącił się Cal.

— Bardzo rzadkie — odparła lakonicznie Marta.

— Jak wyglądają? — dopytywał się Amerykanin.

— Jak byk.

— Lubię byki. Hodowałem czempiony brahmanów czystej krwi — powiedział Cal. Obecni zignorowali jego słowa, domagając się głośno, by Harry podzielił się z przyjaciółmi tym, co wie. — Ale z całą pewnością nie mam byka o tak długim rodowodzie jak ten wasz Apis.

— Przepraszam, panno Carlisie. — Lord Rayenscroft dotknął jej ramienia. Spojrzała na niego miłe zaskoczona. Przynajmniej on nie interesował się bykami. — Mam nadzieję, że uda mi się tu znaleźć godnego zaufania przewodnika, który mówiłby po angielsku — powiedział cicho.

— Czy mogłaby mi pani kogoś polecić? Desdemona spojrzała na dziadka.

— Harry — denerwował się sir Robert — musisz dać swojej ojczyźnie szansę pierwokupu...

— Słuchaj, Harry, jeśli zostaniesz właścicielem...

— Chyba zdaje pan sobie sprawę, mon ami, że musi pan informować o wszelkich...

— Czy może mi pani pomóc, panno Carlisle? — powtórzył lord Rayenscroft Spojrzał na nią tak, że serce szybciej jej zabiło.

— Naturalnie, lordzie Rayenscroft — powiedziała. — Z największą przyjemnością sama pana oprowadzę po najciekawszych zabytkach.

— Nie powinienem wykorzystywać pani cennego czasu, panno Carlisie, ale nie potrafię sobie odmówić pani czarującego towarzystwa. To będzie dla mnie prawdziwy zaszczyt.

— Kiedy chciałby się pan wybrać? Powinien pan zobaczyć piramidy w Gizie w promieniach wschodzącego słońca.

— W promieniach wschodzącego słońca?—Niemal podskoczyła, słysząc głos dziadka. Nie zdawała sobie sprawy, że od paru chwil przysłuchuje się ich rozmowie. — Dokąd chcesz się wybrać z samego rana?

— Dziadku, zaproponowałam lordowi Rayenscroftowi, że mu pokażę niektóre zabytki. Rozmowa o bykach ucichła.

— Świetny pomysł. Świetny — ucieszył się sir Robert i aż nadał się z zadowolenia. Desdemona bez trudu odgadła jego zamiary i poczuła, że się czerwieni.

Sir Robert promieniał. Marta się uśmiechnęła. Lord Rayenscroft się uśmiechnął.

- Tak, świetny pomysł — powiedział cicho Larry. Jego zazwyczaj gładka twarz stała się jeszcze gładsza, a promienne spojrzenie wyrażało przyzwolenie, jakby był jakimś łaskawym bóstwem.

— Wiecie co? — odezwał się niespodziewanie Cal, zwracając uwagę wszystkich obecnych.

— Chcę mieć takiego Apisa. Podział mi na wyobraźnię. Wyobraźcie sobie tylko, ja, ranczer, właścicielem byka, liczącego sobie trzy tysiące lat.

— Mówisz poważnie? — spytała Marta.

— Tak. A kiedy już raz postanowię coś zdobyć... — Pokręcił głową, uśmiechając się z chłopięcym wdziękiem. — To muszę to mieć i tyle. Powiem wam coś. Temu, kto mi przyniesie dużego... takiego do postawienia na kominku..., na kominku, jakie są w Teksasie... autentycznego Apisa, zapłacę dziesięć tysięcy dolarów. Amerykańskich. W gotówce.

Przy wszystkich stolikach w promieniu dziesięciu metrów nagle zapanowała cisza.

— Powiedział pan: dziesięć tysięcy dolarów?

Desdemonie zaświeciły się oczy. Harry uśmiechał się głupio; nawet Blake wyglądał na skonsternowanego.

— Owszem, proszę pani.

Gdyby miała dziesięć tysięcy dolarów, mogłaby spłacić wszystkie długi dziadka i jeszcze trochę pieniędzy by zostało. Mogłaby wyremontować dom, kupić bilet pierwszej klasy do Anglii, nowy garnitur dla dziadka, a może nawet jedną czy dwie sukienki dla siebie.

— Za posążek Apisa? — spytał ze zdumieniem sir Robert. — Są rzadkie, ale nie aż tak...

Aj! — Rzucił Desdemonie pełne wyrzutu spojrzenie i sięgnął pod stół, by pomasować

goleń. Nagle doznał olśnienia. — Przepraszam, uderzyłem się w nogę. O czym to ja mówiłem? Ach, tak. Dziesięć tysięcy dolarów. No cóż, może uda się panu znaleźć kogoś, kto za taką kwotę rozstanie się ze swoim Apisem.

Desdemona pomyślała, że mogłaby i poszukać Apisa, i wystąpić w roli przewodnika lorda. Nie była jedyną osobą, która uważała, że dla dziesięciu tysięcy warto się trochę potrudzić. Georges zerwał się ze swego miejsca, przewracając krzesło. Pożegnał się pospiesznie, po czym odwrócił się na pięcie i niemal wybiegł. Sir Robert podniósł się statecznie, ale na jego twarzy również malowała się chciwość.

— Ach, Braxton... bądź tak dobry i odwieź Desdemonę do domu. Rozboliła mnie..., głowa. Nie chcę jej psuć wieczoru. Dobranoc.

Simon, uśmiechając się promiennie, też wstał od stołu.

— Ojej, która to już godzina! Późno jak na takiego starego piernika jak ja. Muszę... — Zmarszczył czoło, spoglądając za sir Robertem, który pospiesznie przeciskał się między stolikami. — Muszę... Dobranoc! — Odwrócił się na pięcie i zostawił ich. Cal Schmidt w osłupieniu spoglądał na puste krzesła.

— Czy powiedziałem coś nie tak?

7

Dlaczego tak na mnie patrzysz? — spytał Harry. Zawirował z Desdemoną na parkiecie w takim tempie, że aż zaparło jej dech. Roześmiała się wesoło, ciesząc się, że odnaleźli drogę powrotną na znajomy grunt i Blake Rayenscroft okazał się mężczyzną, który może zastąpić dawnego bohatera jej marzeń.

— No więc? — zachęcał ją Harry, uśmiechając się zagadkowo.

— Zastanawiałam się, czemu nie pobiegłeś, żeby razem z pozostałymi panami zapolować na tego Apisa, kiedy pan Schmidt złożył ofertę — skłamała.

— To proste. Twój dziadek prosił mnie o coś. Mam zadbać, żebyś dobrze się dziś wieczorem bawiła, a potem bezpiecznie wróciła do domu.

Poważnie traktuję swoje obowiązki — powiedział bez zająknięcia, spoglądając w przestrzeń nad głowami gości.

Desdemona skorzystała z okazji, by przyjrzeć się jego profilowi:

zmysłowym ustom, gęstym brwiom, gładko ogolonemu podbródkowi. Czując, że mu się

przygląda, Harry zerknął na nią z miną lekko rozbawioną, niemal czule.

Chrząknęła.

— Wiem dlaczego.

— Co dlaczego? — Przechylił głowę.

— Dlaczego nie krążysz po ulicach Kairu w poszukiwaniu Apisa dla pana Schmidta.

— Dlaczego?

— Ponieważz pewnością już go masz. Prawdopodobnie przekazałeś wiadomość swemu smarkatemu pomocnikowi, Rabiemu, jeszcze podczas obiadu, gdzieś między owocami a serami. Przysięgłabym, że widziałam go, jak kręcił się przed hotelem.

Braxton uśmiechnął się.

— Jeszcze jeden kawaler usychający z miłości do ciebie, Dizzy.

— Ani przez chwilę w to nie uwierzę.

— Wiem o tym i właśnie to jest w tobie takie czarujące. — Wskazał grupkę młodych oficerów spoglądających tęsknie w jej kierunku. — Oto twoi oddani wielbiciele.

Roześmiała się i pokręciła głową.

— Niestety, ograniczają się tylko do spoglądania na mnie. Zaden z nich nigdy się do mnie nie odzywa, prawie nie proszą mnie do tańca. Jedyłą osobą która mnie gdziekolwiek zaprasza, jesteś ty, nie licząc, oczywiście, dziadka.

— Chyba na to nie narzekasz.

— Naturalnie, że nie! — wykrzyknęła z powagą. — Gdyby któryś z nich mnie zaprosił, to pewnie na spacer po ogrodach. Nikomu nawet nie przeszłoby przez myśl zabrać mnie tam, gdzie ty mnie zabierasz. Do naprawdę ciekawych miejsc.

— Zakazanych miejsc — przypomniał jej delikatnie.

— Harry, dobrze wiesz, że gdyby wyraźnie zabroniono mi tam chodzić, posłuchałabym.

— Wiesz co, Diz... — Nachylił się bliżej, tak że jego usta znalazły się tuż przy jej uchu. — Niezłe z ciebie ziółko.

— Też coś. — Bez skutku starała się pozostać obojętną na pełen aprobaty ton, jakim wypowiedział te słowa. Ukryła więc zmieszanie, pociągając nosem. — Taktyka odwracania mojej uwagi na nic ci się nie zda, — Ach! — Gunter figlarnie pogroził jej serdelkowatym palcem. — Wstydzi się pani, że powiedziała Braxtonowi, jak bardzo chciała by pani pójść ze mną na festiwal polki. Ta nieśmiałość sprawia mi ogromną przyjemność.

— Hart-y panu powiedział, że chciałabym z panem iść na festiwal polki? — spytała z

niedowierzaniem.

— Tak. Powiedział, że marzy pani o tym. Pani, pani dziadek... Braxton. — Gunter nachmurzył się na chwilę, kiedy wymawiał nazwisko Harry”ego. — Widzę, że mój podstęp się udał.

— Podstęp?

— Tak. Ja też potrafię udawać „twierdzą nie do zdobycia”.

Desdemona przeszła Harry”ego wzrokiem ostrym jak szabla derwisza. Och! Aż się zatrzęsła, zła, że czuje tak silne rozczarowanie. Harry się nią posłużył. Oczywiście, że się nią posłużył. Przecież jest Harrym.

— Ach, Gunter, przyjacielu, nie traktowałbym tego tak...

— Cicho bądź, Braxton. Tylko dlatego, że przynosisz mi takie dobre wieści, nie rozdepczę cię jak robaka za twoje kręactwa i łajdactwa. Ale jeśli jeszcze raz wejdiesz mi w drogę, zniszczę cię. Tym razem ujdzie ci na sucho, Braxton. Ale w przyszłości nie będę taki wspaniałomyślny.

— Obiecałeś Gunterowi, że pójdę z nim na festiwal polki, żeby się z tobą nie rozprawił, na co niewątpliwie sobie zasłużyłeś? — wyksztusiła z trudem.

Rysy Harry”ego nagle stężały. Dotarło do niego, jak bardzo ją zranił. Spuścił wzrok.

— Diz,ja...

— Co się stało? — spytał Gunter.

Desdemona wzięła głęboki oddech i zadarła głowę, by móc spojrzeć Gunterowi prosto w twarz.

— Panie Konrad — powiedziała dobitnie — z przykrością informuję pana, że nie mówiłam panu Braxtonowi, iż chciałabym razem z panem wziąć udział w festiwalu polki.

Gunter zrobił okrągłe oczy, a potem szybko rozejrzał się po tłumie, który ich otaczał.

Spróbował roześmiać się szorstko, lekceważąco. Zabrzmiało to jak rechot.

— Nieważne. Gunter widzi, jak na niego patrzysz, panienko. Zauważyłem, że zawsze przypadkiem jesteś akurat tam, gdzie ja — powiedział głośno.

Z każdym jego słowem w Desdemonie narastało poczucie krzywdy. Austriak od roku nie dawał jej spokoju, a teraz ogłaszał wszem i wobec, że to ona ugania się za nim.

— I tak pójdziemy na festiwal polki. Razem z pani dziadkiem. I zaproszonym przez niego dyrektorem muzeum. — Mrugnął do niej porozumiewawczo.

— Nie, panie Konrad. Mam wcześniejsze zobowiązania.

— Naprawdę? Cóż, przynajmniej pani dziadek i dyrektor...

— Och! — Miała już dość roli osoby wykorzystywanej. Tłumaczka, nagroda na loterii, szczebel drabiny do czyjejś kariery. — Panie Konrad, mój dziadek też nie będzie mógł pójść. Nie mam najmniejszego pojęcia, jakie plany towarzyskie ma dyrektor. Jeśli chce je pan poznać, proponuję, żeby osobiście go pan spytał. Oświadczam panu, że nie interesuję się panem zawodowo, ani prywatnie. I nigdy się nie interesowałam. Jeśli nadal chce się pan oszukiwać, proszę to robić, byle nie moim kosztem. i Starła się mówić możliwie cicho, ale i tak słyszeli ją inni goście. „m najbliższym aż dech zaparło i Desdemonie poczuła wyrzuty sumienia. Gunter otworzył usta, potem je zamknął, znów otworzył.

— Panno Carlisle, może powinna pani jeszcze raz rozważyć... — zazał, a jego twarz przybrała niepokojąco fioletowy odcień.

Harty stanął między Austriakiem a Desdemoną. Nie był taki potężny Gunter, ale nie należał też do ułomków. Jego szerokie bary teraz :dawały się Desdemonie okazałe..., dające ochronę. Śmieszne. Gunter conrad prędzej najadłby się tłuczonego szkła, niż dał się przyłapać na groźeniu damie, nie mówiąc już o czynnym jej znieważeniu. Przynajmniej pod tym względem pani Konrad odpowiednio wychowała swego nieokrzesanego syna.

— Słyszałeś, co pani powiedziała — odezwał się miłym tonem Harry. Gunter zacisnął dłonie w pięści, patrząc z nieukrywaną nienawiścią na iojętne oblicze Harry”ego, który jakby tego nie widział. Jego nonszalancja ostro kontrastowała z tłumioną furią Konrada. Przez długą chwilę absolutnej ciszy — no, nie tak absolutnej, bo Desemona słyszała głośne sapanie Guntera, jakby miał zapchany nos — sta: li twarząw twarz. A potem ta milcząca konfrontacja skończyła się. Gunr sztywno ię cofnął. Harry się uśmiechnął.

— Przykro mi, przyjacielu. Musiałem myśleć o jakiejś innej Desdemonie.

— Jeszcze mi za to zapłacisz, Braxton! — wycedził Austriak przez zaciśnięte zęby. — Już drugi raz mnie publicznie ośmieszyles. Nie ujdzie ci to na sucho.

— Przyślij mi rachunek — zaproponował Harry, ujmując Desdemonę pod ramię. Nie spiesząc się, poprowadził ją w stronę stolika, przy którym siedzieli pozostali goście. Przez cały czas pilnowała się, żeby na niego nie spojrzeć. Wcześniejsze zadowolenie, jakie czuła tańcząc z Harrym, zastąpił dotkliwy ból.

Kiedy zbliżali się już do stolika, zauważyła lorda Rayenscrofta. Rozglądał się wokół. Na jej widok twarz rozjaśnił mu uśmiech. Desdemona aż pokraśniała. Może nie jest to Bertie Cecil, ale niewątpliwie nigdy nie znajdzie się mężczyzna z krwi i kości, który bliższy byłby jej ideałowi. Z całą pewnością bliższy niż Harry Braxton.

Zadarła brodę i zwróciła się do swego towarzysza.

— Harry, jak śmiałeś powiedzieć Gunterowi, że chcę gdziekolwiek z nim iść?

— Och, na litość boską Diz. To było tylko zaproszenie na festiwal polki. Twój dziadek zamierzał się tam wybrać. Ja zamierzałem się wybrać. Mieliśmy razem zjeść obiad. Nic bardziej nieszkodliwego. Po prostu powiedziałem Gunterowi to, co chciał usłyszeć... w bardzo odpowiedniej chwili. Właśnie miał mnie uderzyć. W ten sposób oszczędziłem sobie podpuchniętego oka. Ale jak tylko się zorientowałem, że naprawdę nie chcesz z nim iść, dałem mu to jasno do zrozumienia, prawda? Nigdy, przenigdy nie pozwoliłbym, by ktokolwiek, cokolwiek... — Urwał.

— Jeśli potrafisz akceptować jedynie czyny zgodne z zasadami, zamiast czasem kierować się zdrowym rozsądkiem, nigdy mnie nie zaakceptujesz. Jestem, jaki jestem, Diz.

Prawie nie słyszała jego wyjaśnień, zbyt rozwścieczona tym, co zrobił.

— Po pierwsze, nie powinieneś był niczego obiecywać!

— Skąd mogłem wiedzieć, że tak ostro zaprotestujesz przeciwko spędzeniu paru krótkich godzin na podskakiwaniu z tym wielkim prostakiem, by oszczędzić swemu najlepszemu przyjacielowi kilku siniaków? Chciał mi zrobić krzywdę.

— Harry, ciągle ktoś chce ci zrobić krzywdę — mruknęła Desdemona. Blake wstał, a Harry odsunął dla niej krzesło.

— To prawda powiedział Harry pod nosem, nachylając się nad nią.

— Ale jak na razie tylko jednemu się to udało.

8

Blake Rayenscroft otworzył drzwi swojego apartamentu i przepuścił kuzyna przodem. Dziś wieczorem potwierdziło się to, co już wcześniej podejrzewał: Harry całkowicie wsiąknął w osobliwe kairskie towarzystwo. Właściwie nie miało to dla Blake'a większego znaczenia. Przyjechał tu tylko z jednego powodu: musiał nakłonić Braxtona do podpisania dokumentów, które mogłyby uchronić Darkmoor Manor przed ruiną.

— Usiądź. Chciałbym z tobą omówić pewną sprawę.

— Nie krępuj się. — Harry nadal spacerował po pokoju. Blake przyjrzał się kuzynowi. Pewność siebie, kiedyś stanowiąca jedynie pozę, teraz sprawiała wrażenie naturalnej. A przecież l-larry był jedynie rabusiem grobów, czego wcale nie ukrywał.

Blake uznał to za wysoce odrażające. Jego kuzyn w końcu znalazł nowy sposób, by rzucić cień na rodzinę. Od chwili przyjscia na świat do skandalu, który wybuchł w związku z wyrzuceniem go z Oksfordu, zawsze przynosił wstyd krewnym. A teraz okradał groby.

Blake zmusił się do rozprostowania zaciśniętych w pięści dłoni. Tylko wyjątkowy wdzięk panny Carlisle sprawił, że ten wieczór nie był prawdziwą męczarnią.

— Co za niezwykła młoda dama. — Zadumał się. — Trudno wyobrazić sobie kogoś, kto zna dwanaście języków.

Harry nawet nie próbował udawać, że nie wie, o kogo chodzi.

— Blake, trzymaj się od Desdemony z daleka. Nie jesteś dla niej odpowiednim partnerem. Zniszczy cię.

— Zniszczy mnie? — powtórzył Rayenscroft, szczerze rozbawiony. — To ciekawe. Panna Carlisle jest młodą kobietą, jeszcze niemal podlotkiem. Na ogół uważa się, że to mężczyźni przywodzą do zguby kobiety.

— Niewtym wypadku.

— Brzmi to podejrzenie, Harry — stwierdził Blake. Nagle coś zaczęło mu świtać. Wprost nie mógł uwierzyć — Harry”emu zależało na Desdemonie. — Czy coś cię łączy z panną Carlisle? — Myśl, że ten ograniczony dureń miałby mieć coś wspólnego z bystrą utalentowaną młodą damą wydawała się przeczyć zdrowemu rozsądkowi. Rayenscroft nawet nie próbował ukryć niesmaku w tonie swego głosu.

— Nie. — Ze sposobu, w jaki Harry to powiedział, Blake wywnioskował, że jego kuzyn musi być z tego powodu niepokieszony. Przynajmniej zdaje sobie sprawę, pomyślał, że Desdemona to dziewczyna nie dla takich jak on.

Zawsze było coś niemal szlachetnego w gotowości Harry”ego do znoszenia cierpienia. Blake z niechęcią wrócił myślami do tamtej przeklętej sceny z ich wspólnej młodości, sceny, która prześladowała go przez lata. Oto Harry stawia czoło wrogom z rezygnacją ale zdecydowanie. Jakby znajdował przyjemność w tym, że może przynajmniej stanąć twarzą w twarz ze swymi prześladowcami... nawet wiedząc, że muszą wygrać, choćby z racji przewagi liczebnej.

Rayenscrofta ogarnęła litość, a po chwili, jak zawsze w obecności młodszego kuzyna, pojawiły się niesmak i poczucie winy. I-larry zastygł z lekko przechyloną głową. On też napewno wspominał tamto wydarzenie. Świadczyła o tym drwiąca mina, z jaką przyglądał się Blake'owi.

Lord Rayenscroft wiedział, że jeśli pragnie pozyskać sobie Harry'ego, musi zacząć od zdobycia jego szacunku. Cel ten mógł osiągnąć jedynie przyznając się otwarcie do błędu, który popełnił w przeszłości.

— Nie powinienem był uciec.

— Uciec? — powtórzył Harty ze zdumioną miną.

— Wtedy w Eton.

— Co? — Harry zmrużył oczy.

Wielki Boże, pomyślał Blake z niedowierzaniem. Harry nie pamięta. Zapomniał o wydarzeniu, którego wspomnienie przez blisko dwadzieścia lat prześladowało Blake'a. Czy ktokolwiek normalny mógłby zapomnieć o tym, co wydarzyło się wtedy za domem dyrektora szkoły?

— Tamtego pierwszego dnia w Eton — wyksztusił wreszcie — kiedy chłopaki najpierw dowiedzieli się o twoim... problemie, o tym, że nie masz prawa tam być, że nie możesz z nimi rywalizować...

— ..jeśli chodzi o naukę — przerwał mu Harry pozornie obojętnym tonem.

— Jeśli chodzi o naukę — przyznał ze zniecierpliwieniem Blake. — Pamiętasz, jak ci dokuczali? Jak pewnego razu przyparli cię do muru?

— Ach. Tamto. Tak — powiedział Harty. W jego jasnych oczach widać było tylko lekkie zainteresowanie, ale nagle Blake nabrał pewności, że Harty o niczym nie zapomniał.

— Powinienem był zostać i walczyć z nimi przy twoim boku. Nie zrobiłem tego. Uciekłem. Zachowałem się jak tchórz.

I-larry wzruszył ramionami i rozsiadł się w fotelu pod oknem.

— Po prostu nie chciałeś, żeby cię stłukli na kwaśne jaNko. Nie mogę zagwarantować, że na twoim miejscu nie zachowałbym się tak samo.

- Nie — powiedział Blake. — Nie uciekłbyś. Wiesz o tym równie dobrze, jak ja. Ja też bym nie uciekł, gdyby nie... — Uniósł wojowniczo podbródek. — Chciałem, żebyś dostał manto. W odpowiedzi Harry tylko lekko westchnął.

Blake zebrał się w sobie i spojrzał mu prosto w oczy.

— Uważałem, że sobie na to zasłużyłeś - dokończył — bo rzuciłeś cień na nasze nazwisko. I właśnie dlatego uciekłem.

Przez kilka sekund Harry wpatrywał się w niego z twarzą bez wyrazu. A potem odrzucił głowę do tyłu i spojrzął w sufit.

— Do jasnej cholery — mruknął w końcu znużonym głosem — byłeś wtedy chłopcem, Blake. Miałeś dziesięć lat.

— A ty osiem. Jestem twoim kuzynem. Powinienem być zostać z tobą. Bez względu na to, co sobie myślałem, powinienem być zostać z tobą. Trzeba to powiedzieć bez ogródek.

— Naprawdę? — Harry spojrzął na kuzyna. — Nigdy nie zastanawiaj się nad przejściem na katolicyzm, Blake. Wytarłbyś w niejednej parze spodni dziury na kolanach, szukając rozgrzeszenia.

Blake wzdrygnął się, bardziej dotknięty zimnym tonem Harry'ego niż jego słowami.

Mam nadzieję, że to drobne wyznanie przyniosło ci ulgę—ciągnął spokojnie Harry. — Nie mogę powiedzieć, żeby mnie sprawiło jakkolwiek różnicę. Przykro mi ci o tym mówić, staruszkule, ale nie jestem księdzem. J mam w nosie twoje wynurzenia.

Z twarzy Blake'a odpłynęła cała krew. Chciał dać Harry'emu szansę poczucia się lepszym — lepszym przynajmniej w sensie moralnym — i przypuszczał, że kuzyn ochoczo skorzysta z takiej okazji. Trudno było zdobyć się na to wyznanie, ale jeszcze trudniej żyć przez te wszystkie lata ze świadomością własnej podłości.

A teraz Harry rzucił mu jego przeprosiny w twarz.

Policzki paliły Blake'a ze wstydu i gniewu.

— Zawsze byłeś taki cholernie nonszalancki. Czy jest coś, na czym ci zależy?

— Nie — odparł Harry, pochylając się do przodu i ściskając poręcz fotela. Przez moment w jego oczach zapaliły się iskierki okrucieństwa, ale zaraz zgasły. Rozsiadł się wygodniej i... ziewnął.

Na dworze zaczęły głośno ujadać psy. Blake podszedł do otwartego okna, myśląc gorączkowo.

Cóż za gorzka ironia, że ten bezczelny zbieg, egoista bez zasad poczucia lojalności wobec rodziny, miał odziedziczyć dom Rayenscrofów. Jak przekonać Harry'ego — Harry'ego, któremu było to obojętne — do podpisania dokumentów, od których zależała przyszłość Darkmoor Manor? A trzeba go do tego nakłonić. Bank wyraził się zupełnie jasno:

1adziela pożyczki tylko prawowitemu spadkobiercy.

Tymczasem Harry nawet nie wiedział, że jest spadkobiercą. Na razie.

Blake zamknął okno i odgłosy psiej serenady stały się ledwo słyszalne.

— Czemu ktoś nie zastrzeli tych biednych zwierząt, nie skróci ich męczarni? — mruknął pod nosem.

— Próbowano — wyjaśnił Harry. — Ale wciąż pojawiają się nowe.

— Jeśli ma to być jakiś...

— Uspokój się, Blake. Nie miałem nic na myśli. Zawsze postępowałeś tak, jakbyś osobiście poczuwał się do odpowiedzialności za wszystkie kaprysy losu. Dlatego byłeś bardzo ponurym towarzyszem dziecięcych zabaw.

— Nie każdy może spędzać młodość, ryzykując wszystkim dla kilku podniecających chwil.

— Cóż... I-larry uśmiechnął się, ale jego oczy pozostały zimne. — Cóż innego mogłem zrobić?

— Przepraszam, Harry.

— Nie musisz przepraszać. — Przechylił fotel do tyłu i zaczął się bujać, prawdziwe uosobienie bez troski i nonszalancji. — Nigdy mnie za nic nie przepraszaj. Jak sam widzisz, świetnie sobie radzę.

— Owszem.

Była to prawda. Harry dorobił się w Egipcie fortuny. Pieniądze pochodziły z podejrzanego źródła, ale nie dawało się zaprzeczyć, że mu ich nie brakło. Jako właściciel Darkmoor Manor zdołałby przeprowadzić prace remontowe, na które Blake'a w żaden sposób nie było stać. Jednak równie dobrze mógł pozwolić na to, żeby dom rozsypał się w gruzy albo zsunął do morza. Chociażby z zemsty, żeby zrobić na złość.

Blake zacisnął zęby, tak go zabolął ten obraz. Bez względu nato, czy ich dziadek znów ustanowi Blake'a swoim spadkobiercą czy eż nie, w tej chwili Darkmoor Manor groziła ruina. I tylko Braxton mógł temu zapobiec.

— A jak miewa się twoja rodzina? — spytał uprzejmie Harry. Sprawiał wrażenie zmęczonego.

Blake, zajęty otwieraniem butelki wina, odpowiedział, ostrożnie dobierając słowa.

— Matka mieszka w Londynie. Wiecznie narzeka na brak środków do życia. Moje siostry sąrazem z nią starają się jak najlepiej brać z niej przykład.

— Co takiego? W Londynie? Dziwię się, że twój dziadek na to pozwolił. Musiałeś pewnie zatrudnić mu nowych służących w roli chłopców do bicia.

— Jest również twoim dziadkiem.

Harry uśmiechnął się.

— Babcia twierdziła co innego. Zawsze przysięgała, że moja matka była owocem gorącej, przelotnej namiętności.

— Mówiła tak tylko dlatego, żeby doprowadzać dziadka do furii.

— I udało jej się, prawda? — Harry zachichotał. — Stary moczygęba nigdy nie mógł się zdobyć na to, by oficjalnie ogłosić moją matkę bękartem. Nie mógł pozwolić, żeby się z niego naśmiewano w towarzystwie.

— Twojej matce musiało być bardzo ciężko. Przykro mi.

— Znów ci przykro, Blake? I znów bez żadnego powodu. Oświadczenie babki, że jej córka jest Owocem nieślubnego związku, było, mam wrażenie, przejawem prawdziwego geniuszu. Dzięki temu obie opuściły Darkmoor Manor.

Blake zmarszczył czoło.

— Przeniosły się do Cambridge, prawda?

— A dokąd by indziej mogła wyjechać taka sufrażystka i do tego zmalym dzieckiem?— roześmiał się Harry. — Rozpieszczali je obie i spełniali ich wszelkie zachcianki. Wszyscy profesorowie i dziekani. Łącznie moim ojcem. Nie, Blake, szkoda twojego współczucia. Tworzyliśmy icprzyzwoicie szczęśliwą rodzinę. Jeśli już chcesz się nad kimś litoć, to uzalaj się nad swoim ojcem i nad sobą. Musiałeś dorastać w tej pod rządami starca podłego i ponurego jak jego nora.

Blake gniewnie się obrócił.

— Darkmoor Manor to nie nora. To gniazdo rodu. Od trzystu lat należy do Rayenscroów

— Według mnie o jakieś dwieście dziewięćdziesiąt za długo.

- Tak bardzo go nienawidzisz?

— Nienawidzę? — Harry wyraźnie się zdziwił. — Nie nienawidzi się mnych murów, Blake. Silniejsze uczucia rezerwuję dla ludzi.

— To mój dom. — Głos Blake'a zabrzmiał ostro. — Nigdy nie pragnę mieć prawdziwego domu, Harry? Nie magazynu wypełnionego toarami, jak to, co nazywasz swoim domem.

Mam na myśli miejsce wśród najbliższych, miejsce, które możesz zapisać w spadku swoim dzieciom. Harry przez chwilę milczał.

Nie zależy mi na tym, żeby być niewolnikiem jakiegoś domu.

— Widzę, że nie. Ale nawet ty musisz rozumieć, jakie znaczenie ma

I dla innych ludzi.

— Nawet ja? — Zdawało się, jakby Harry zastanawiał się nad tym pytaniem. Potem wzruszył ramionami. — Nie. Naprawdę. Czy jest jakiś Dwód, dla którego miałbym to rozumieć? — Na jego twarzy pojawił się odgadniony wyraz.

Powinienem mu teraz powiedzieć, pomyślał Blake. Powinienem mu powiedzieć, że dziadek wykluczył mnie z testamentu. Że jego mianował spadkobiercą Darkmoor Manor i tylko on może podpisać dokumenty hipoteczne, które uratują dom, moje gniazdo rodzinne. Tak, myślał gorączkowo, a potem powinienem mu powiedzieć, że zrobię wszystko, co w mojej mocy, by dziadek zmienił decyzję i znów mnie uczynił spadkobiercą, na powrót czyniąc z niego człowieka bez ojczyzny i domu.

Spoglądał na inteligentną, opaloną twarz Harry'ego. Dostrzegł zwierzęcą przebiegłość w jego jasnych oczach i nie mógł się zdobyć na pierwsze słowa. Potrzebuje czasu. Tak naprawdę niewiele wiedział o Harrym poza tym, że mimo swej pozornej bystrości miał jedno poważne ograniczenie.

Kuzyn zawsze stanowił dla Blake'a zagadkę. Jako dziecko potrafił we wszystkim znaleźć coś zabawnego, gdy on nie widział żadnego powodu do śmiechu. Ta właśnie cecha przyćmiewała niedostatki Harry'ego, zyskując mu w Eton kilku wiernych przyjaciół. Oprócz tego cechował go upór, by osiągać cele, które były poza jego zasięgiem. Blake uważał to za bezczelne i żalosne; innym się podobało.

Ale jeśli Harry stanowił dla Blake'a zagadkę jako dziecko, to w ciągu ostatnich dziesięciu lat stał się jeszcze bardziej nieodgadniony. Trudno było powiedzieć, do czego jest zdolny po tak długim pobycie w tym prymitywnym kraju. Blake potrzebował jeszcze kilku dni, by spróbować odgadnąć, jak Harry postąpi. Kilku dni, nim powie mu, że wszystko, co ceni sobie najbardziej w świecie, Harry może uratować... lub zniszczyć.

— Nie — odparł w końcu, wręczając Harry'emu kieliszek wina. — Nie ma żadnego powodu.

9

Zegar na kominku wybił szóstą kiedy Desdemona uniosła głowę znad rejestru przychodów i wydatków. Liczby w prawej kolumnie powinny się równoważyć z liczbami z lewej kolumny. Z reguły walka była wyrównana, ale w tym miesiącu strona przychodów

przegrała. W jaki sposób ma się udać kiedykolwiek spłacić londyńskie długi dziadka, skoro nie sposób znaleźć głupich czternastu funtów, niezbędnych, by związać koniec z końcem? Trzeba coś z tym zrobić. Ostatecznie nie było to dla Desdemony nic nowego. Właśnie ona znajdowała zawsze jakieś wyjście. Pochyliła się nad kartką papieru i zaczęła pisać.

Najdroższa!

Uważam za stracony każdy dzień, gdy cię nie widzę lub nie słyszę twojego głosu. Jesteś dla mnie gwiazdą przewodnią świecąca na niebie, która mnie prowadzi przez bezkresny świat. Bez ciebie gubię drogę, jestem zdany na łaskę fal, Unoszony przez przypadkowe prądy narażony na kaprysy losu.

Czy są inne kobiety? Moje oczy ich nie widza moje uszy ich nie słyszą. Widzę jedynie twoją zwiewną postać. Słyszę jedynie słodką muzykę twego głosu, gdy szepczesz „kocham cię „.

Całkiem nieźle. Teraz pozostało jedynie wymyślić jakieś czule zakończenie i porucznik Huffy może przyjść po swój kolejny list do zazdrosnej żony w Anglii. Desdemona dopisała pięć szylingów po stronie przychodów, po czym zebrała się w sobie, wzięła głęboki oddech i podeszła do półek, na których stały oprawione w skórę tomy zawierających świata uczonych traktatów i wszelkie możliwe kompendia wiewy spisane po angielsku, francusku, arabsku i łacinie.

Wspięła się na palce i odsunawszy Pliniusza, sięgnęła głębiej. Tak „; szukała, aż wymacała małą książeczkę w miękkiej okładce. Szyb- ją wyciągnęła i spojrzała na tytuł, żeby się upewnić, czy to ta, o którą

Spośród powieści nadsyłanych co miesiąc przez wydawnic) z Nowego Jorku Moje szkarłatne grzechy były zdecydowanie naj)ardziej skandaliczną pozycją.

Z całą pewnością— sprawdziła metryczkę na stronie tytułowej — panoHamm i l-lam nie będą mieli nic przeciwko opublikowaniu zbioru)Skich wierszy miłosnych, nawet jeśli wyszły spod pióra współczesne.. Egipcjanina, a raczej, co było bardziej prawdopodobne współczesne.. Europejczyka. Zanotowała adres wydawnictwa I starannie schowała ażkę z powrotem tam, gdzie ukrywała wszystkie swoje romanse.

Usiadła za biurkiem i przez następne dziesięć minut kaligrafowała rzecz n ale rzeczową propozycję, skierowaną do pana l-lamma. Skofiyła i zadzwoniła na służbę. Prawda, pomyślała, wydawca może chcieć poznać się z próbką tej poezji. Wsunęła rękę pod blat

biurka za szufla, gdzie znajdowała się tajna skrytka i ostrożnie wyciągnęła owinięty brązowy papier pakunek.

Rozprostowała zwój i zaczęła czytać:

Przyjemnie jest nad rzekę przybyć, radośnie mi,
gdy chcesz, bym zeszła w twojej obecności do kąpieli.

Pozwalam, żebyś mnie oglądał w koszuli z płótna...

— Sit! mnie wzywała?

Desdemona upuściła zwój i usiadła prosto. Policzki jej płonęły. Do biblioteki weszła Magi. Dziewczyna pospiesznie podniosła papirus.

— Co mówiłaś, Magi?

— Panienska dzwoniła. Pokornie pytam, jakie jest życzenie Sitt — powiedziała gospodyni cicho i melodyjnie, spuszczając z szacunkiem oczy przypominające kształtem migdały.

Desdemona skrzywiła się. Magi wciąż się na nią gniewała o tamtą wyprawę na bazar.

Przecież minęły już cztery dni, a w ogóle to nie była jej wina. Najwyższa pora, żeby Magi już dała temu spokój.

— Tak. Sitt sobie życzy, żeby zanesiono ten list do portu i niezwłocznie wysłano do Nowego Jorku. — Przy odrobinie szczęścia pan Hamm otrzyma jej propozycję na początku przyszłego tygodnia. Poza tym istniała szansa — niewielka, ale realna — że albański kupiec, Joseph Hassam, będzie wiedział, gdzie mogłaby znaleźć posążek Apisa. Wzięła liścik, który napisała do niego wcześniej. — A to każ zanieść do sklepu pana Hassama.

— Tak jest, Sit!. — Magi ukloniła się i klasnęła w dłonie. Natychmiast pojawił się Duraid, chłopiec na posyłki. Jego widok przypomniał Desdemonie o jeszcze jednym potencjalnym niebezpieczeństwie.

— Duraidzie, czy nie zauważyłeś w pobliżu chudego wyrostka o kilka lat od ciebie starszego?

— Tuarega? Tak, Sit!? To nędzne psy — odpowiedział chłopak tonem pełnym wyższości.

— Panienska sobie życzy, żebym kazał aresztować tego włóczęgę?

— Nie, Duraidzie.

— Mogę kazać go stłuc...

— Nie, Duraidzie. — Desdemona westchnęła. Duraid był okropnym snobem. Nie mogła pojąć, jak to się stało, że wyrósł na takiego fanfaron. Jednak w sprawie Rabiego coś trzeba będzie przedsięwziąć. Nie mógł, jak sugerował Harry, się w niej zadurzyć. Z drugiej strony

jednak, jeśli zamierzał znów ją porwać i sprzedać...

Magi powiedziała do Duraida kilka szorstkich słów po arabsku. Chłopak wziął list i wybiegł, mijając gospodynię, która stała na progu ze złożonymi rękami i skromnie spuszczonego wzrokiem.

— Stało się tak, jak panienka rozkazała.

— Dobrze — powiedziała Desdemona.

— Czegokolwiek Siti zapragnie, to się stanie. Żyję, żeby spełniać jej każde życzenie.

Panienka jest dobra i mądra, a ja jestem tylko biedna, ułupią starą kobietą, która wszystko zawdzięcza wspaniałomyślności panienki.

Magi, starsza od niej zaledwie o dziesięć lat, piękna i bystra, wyraźnie próbowała sprowokować sprzeczkę. Cóż, jeśli tak, Desdemona przy. : się do tej gry.

— Allach doceni twoją pokorę — oświadczyła.

— Allach? — Magi spojrzała na nią czarnymi oczami.

Trafiłam w dziesiątkę, pomyślała Desdemona.

— Tak, widocznie w końcu nauczyłaś się panować nad swą nieporomioną kobiecą gadatliwością i okazujesz pokorę właściwą dla twego wieku.

Nozdrza Magi poruszyły się.

— Tak. Być może moja przemiana powinna stanowić przykład dla takżej upartej kobiety o ostrym języku.

Punkt dla Magi.

— A teraz — dodała — czy czcigodna Siti życzy sobie czegoś jeszcze? Może czcigodna Siti chciałaby znów pożyczyć mój jaszczak?

— Jestem bardzo wzruszona twoją troską Magi. Prawdę mówiąc, arczaf może mi się przydać, kiedy...

— Nie! — Uniżona poza zniknęła, podobnie jak cudzoziemski akcent.

— Ile razy mam ci powtarzać, Desdemono, że nie wypada, aby kobieta twojego stanu przebierała się w arabskie stroje i włóczyła po bazarach?

To prawdziwy cud, że nie zostałaś porwanajuz wcześniej. Chwała Allachowi, że pan Harry zdołał cię uratować. Desdemona wepchnęła zwój pod biurko, rozdrażniona niezmiennym całkowicie nieusprawiedliwionym uwielbieniem, jakim Magi darzyła Harry'ego. We wszystkich innych sprawach odznaczała się taką przenikliwością. Jeśli chodzi o tego człowieka, była ślepa.

— Hm. Harry wystąpił jedynie w charakterze posłańca swoich złodziejskich kompanów. Magi przebiegła przez pokój. Jej pełne gracji ruchy przypominały, że młodość spędziła jako konkubina paszy.

— Pan Harry szalał ze zdenerwowania. Pojechałby za tobą na koniec świata — powiedziała.

— Owszem, przypuszczam, że tak — zgodziła się z nią Desdemona — o ile wiązałoby się to dla niego z jakąś korzyścią. - Wzięła srebrny nożyk do rozcinania kopert i zaczęła odpieczętowywać listy ze stosu leżącego na skraju biurka.

— Pojechałby za tobą, nie zważając na niebezpieczeństwo. Nie zważając na koszty. Dlaczego jesteś dla niego taka niesprawiedliwa?

— Nie jestem. Idealizujesz go. — Desdemona wsunęła czubek noża w kopertę i rozcięła ją bardziej energicznie, niż zamierzała.

— Nie.

— Tak.

— Nie. — Rysy twarzy starszej kobiety złagodniały. — Och, moja droga. Pod tyłoma względami przerastasz umysłem innych ludzi. Ale w sprawach serca jesteś taka... potwornie głupia! To ty, z tym twoim romantyzmem idealizujesz mężczyzn.

— Nic złego być romantyczką — rozgniewała się Desdemona. — Ale dziękuję, że skłoniłaś mnie do ponownego rozważenia moich słów. Twój upór w przypisywaniu Harry'emu cech bohatera nie jest przejawem romantyzmu, tylko oszukiwaniem samej siebie. Harry Braxton to najmniej romantyczny mężczyzna, jakiego znam.

— Inne damy w Kairze są odmiennego zdania — zauważyła chytrze Magi.

Desdemona wzięła ze stosu kolejną kopertę.

— Jest ogromna różnica między romantyzmem a... apetytem powiedziała ostro.

— Desdemono... — Magi przechyliła głowę, jakby doznała nagłego olśnienia. — A może uważasz, że nie jesteś wystarczająco kobieca, by zadowolić mężczyznę o takim doświadczeniu?

- Nie.

— Bo jeśli tak sądzisz, mogę cię nauczyć kilku sztuczek, jak zdobyć i utrzymać zainteresowanie mężczyzny.

— Nie. — Desdemona zaczerwieniła się. To śmieszne. Dawno temu poprosiła Magi o dokładne wytłumaczenie natury zażyłości fizycznej między mężczyznami a kobietami, i

kiedy Magi zadośćuczyniła jej prośbie, przyjęła wszystkie informacje bez zmrużenia oka. Dlaczego teraz ta wiedza, wspomniana w związku z osobą Larry'ego, wywołała u niej rumieniec, stanowiło dla Desdemony zagadkę.

I bardzo dobrze. — Gospodyni wzruszyła ramionami. — Nie sędzę, by Harry chciał, żebyś miała doświadczenie w tych sprawach.

— Mam w nosie, czego chce Harry!

— Fe, cóż za język! — zbesztła ją Magi. Skrzyżowała ręce na piersiach.

— Dlaczego tego nie widzisz? Co się stało, że wzniosłaś mur między wami?

— Mur? — zdziwiła się Desdemona. — Między mną a Harrym nie ma żadnego muru.

Doskonale się nawzajem rozumiemy. Jesteśmy przyjaciółmi.

widzę, jak na

— Przyjaciółmi. — Magi aż się skrzywiła. — To słowo nic nie znaczy.

posługujesz się nim, żeby się bronić.

— Przed czym? — Desdemona była szczerze zaskoczona.

— Sama chciałabym wiedzieć. Nigdy nie rozmawiałyśmy o tym, bo byłam pewna, że w swoim czasie sama dostrzeżesz to, co jest takie oczywiste. Ale w przyszłym tygodniu kończysz dwadzieścia jeden lat. Widuję tu dziesiątki młodych oficerów, którzy nie mogą od ciebie oczu oderwać, a żaden z nich jak dotąd nie wywołał szybszego bicia twego serduszka. Przed czym się bronisz, Desdemono? W głosie gospodyni slychać było szczerą troskę. — Dlaczego starasz się grać rolę śpiącej królowej z tych twoich angielskich baśni? Dlaczego nie próbujesz wzbudzać zainteresowania Harry'ego?

— To akurat nic trudnego. — Desdemona nabrała powietrza w płuca, się na lekki ton. — Udało się to już wszystkim kobietom w Kairze.

— Sama nie wiem. — Magi przechyliła głowę i zmarszczyła brwi, przysię uważnie swojej pupilce. — Nie wydaje mi się, żeby w grę wchodziła zazdrość. Z natury nie jesteś kobietą zaborczą, Desdemono.

To coś innego. Może..., czy Larry zachował się kiedyś wobec ciebie zbyt natarczywie? Zbyt śmiało?

Desdemona zdusiła spazm, nie wiedziała czy śmiechu, czy bólu. Ale Magi w mig ją rozszyfrowała i teraz spoglądała na nią z konsternacją.

— Och, jeśli kiedyś, kiedy był młodszy, śmielszy, bardziej zapalczywy przestraszył cię...

— Dobry Boże, nie! — cicho przerwała zakłopotana i dotknęła do żółtego dziewczyna. —

Wprost przeciwnie.

— Desdemono?

— Jestem Harry”emu absolutnie obojętna, Magi.

— To niemożliwe.

— Owszem, całkiem możliwe. Więcej, tak właśnie jest. — Roześmiasię. — Nie mam ochoty się do tego przyznawać nawet tobie, moja dro„a przyjaciółko, ale dostał mnie po prostu na srebrnej tacy! Widzisz, Sama złożyłam mu propozycję.

— O, rety.

— Tak. Więc teraz rozumiesz, że nie ma potrzeby...

— Jest potrzeba. Musiałaś go źle zrozumieć. Przecież ciebie patrzy. Widzę, jak mu na tobie zależy.

— Magi, absolutnie wykluczone, żebym go źle zrozumiała. Poszłam do niego, ubrana... — twarz jej płonęła rumieńcem — ..niezwykle wyzywająco. Po... pocałowałam go. Kazał mi wracać do domu.

Opowiedziała Magi całą historię: jak zakradła się i zastała Harry”ego w bibliotece. Jak zaczęła go całować, a on wyrwał się z jej objęć. Po chwili jednak przytulił do piersi i trzymał tak mocno, tak żarliwie, że myślała, że zabierze ją do swojej sypialni. Ale nie zrobił tego. Jego mocny uścisk był tylko objawem paniki. Harry niemal biegiem zaniósł Desdemonę do wyjścia i postawił na progu. Nawet nie wezwał powozu. Powiedział, żeby wracała do Anglii szukać swego Galahada i zatrzaskała drzwi.

Unikał jej przez tydzień, dwa. Kiedy już wypłakała wszystkie łzy i pozbyła się wszelkich złudzeń co do l-larry”ego Braxtona, miłości i szczęścia aż do grobowej deski, pojawił się. Wtedy jeden jedyny raz widziała tego zazwyczaj beztróskiego człowieka naprawdę zmieszanego. Z grobową miną zaproponował, by porozmawiali o tym, co zaszło.

Potraktowała go zimno. Najzwyczajniej w świecie nie zniosłaby jego litości, współczucia czy udawanej miłości. Uśmiechnęła się więc promiennie, olśniewająco i powiedziała mu, żeby nie był taki cholernie zarozumiały. Ona, Desdemona, nie chce o tym rozmawiać. Nigdy. To była tylko chwila szaleństwa, która już się nie powtórzy. Harry może być spokojny.

I nie kłamała. Do cholery, nie kłamała.

— Jak więc widzisz, próbowałam — zakończyła swą opowieść lekkim tonem.

Magi zmarszczyła czoło.

— Kiedy to się stało? Wymknęłaś się z domu ubrana jak bintilkha”ta?

— użyła arabskiego określenia nierządniczy. — Nie widziałam cię. Jak ci się to udało?

Desdemona pokręciła głową. Cała Magi! Skupiła się akurat na najmniej istotnym szczególe okropnego wydarzenia, co zresztą rozumiała. Przecież zawsze szczyliła się, że zna każdy krok tych, których powierzono jej pieczy.

— Trzy lata temu. To już wieczność.

— Aha. — Magi uspokoiła się. — W takim razie może Harry się zmienił...

— Nie. — Desdemona pokręciła głową. — l-harry się nie zmienił. Daj spokój, Magi. Dobrze nam tak jak teraz. Harry pokpiwa sobie z mojej jednorazowej słabości i wszystko w porządku. Nigdy... nigdy bym się do tego nie przyznała, szczególnie jemu, ale cenię sobie jego przyjaźń. Jest dla mnie ważna.

— Jednak coś mitu nie pasuje. I teraz jeszcze ten kuzyn Harry”ego.

— Lord Rayenscroft.

— Nie podobami się sposób, w jaki wymawiasz jego nazwisko. Jakbyś była dzieckiem szepczącym z nabożną czcią tytuł ulubionej bajki.

Desdemona zachmurzyła się.

— Ocli, na litość boską, Magi. Najpierw męczysz mnie o Harry”ego, : teraz nie podoba ci się jego kuzyn. Nawet jeszcze nie poznałaś lorda

Rayenscrofta. To wspaniały mężczyzna. Przystojny. I do tego hrabia.

— Nie muszę go poznawać — oświadczyła Magi, krzyżując ręce na piersiach.

— A cóż to ma znaczyć?

— Na pewno jest szeroki w barach, zanadto owłosiony i chodzi z wiecznie naburmuszoną miną.

— Naburmuszoną?

— Nieszczęśliwą, zrzędlivą. Ty pewnie powiesz, że głęboko przeżywa.

— Naprawdę nie wiem, co masz na myśli — rozzłościła się Desdemona.

— Owszem, wiesz. A Harry... jest...

— Przestań, Magi.

— Nie przestanę. Musisz...

Przerwało im lekkie pukanie. Młoda arabska pomocnica wsunęła \$łowę przez uchylone drzwi.

— Przyszedł master Harry — powiedziała z szerokim uśmiechem.

— Wprowadź go — poleciła Magi, nim Desdemona zdążyła otworzyć usta, I z triumfującym uśmiechem ruszyła w kierunku drzwi.

10

Czy mogę liczyć na kawę? — spytał Harry.

Magi zapewniła, że za chwilę przyniesie — świeżo zaparzoną, słodką jak ulepek

— i pospiesznie wyszła, żeby wydać odpowiednie polecenia

w kuchni. Kiedy tylko zniknęła za drzwiami, Harry zwrócił się do Des. demony.

— Gdzie to jest, Diz? — spytał.

— Jakie „to”?

— Wczoraj wieczorem przyszedł do mnie Rabi. Twierdzi, że zabrałaś mu coś cennego.

Mówi, że teraz nie chcesz się z nim spotkać i mu tego oddać.

— Zabrałam? — wykrzyknęła z oburzeniem Desdemona. Sam mi dał.

— Mówi, że to... coś... — Zachęcająco zawiesił głos. Udała, że nie słyszy. — ...jest cenną pamiątką rodzinną.

- Ha! Rzeczywiście!

Harry uśmiechnął się.

— To słowa Rabiego.

— Więc dlatego się tu kręci. Cóż, możesz powiedzieć Rabiemu, że uważam ten... tę rzecz za rekompensatę za cierpienia, jakich doznałam, kiedy zostałam porwana. Prędzej usmaży się w piekle, czy jak tam się nazywa takie miejsce u muzułmanów, niż to z powrotem dostanie. Prawdopodobnie chłopak skradł papirus z podręcznej biblioteczki pornograficznej swego uroczonego tatusia, pomyślała Desdemona. Ani myślała rozstać się ze swoim łupem. Czasem najlepsze bywają te nauczki, które są najbardziej bolesne.

Harry z rezygnacją uniósł ręce.

— Ej, tytko nie zabijaj posłańca. Obiecałem Rabiemu, że z tobą porozmawiam. — Podszedł do okna i wyjrzał na ulicę.

Poranne światło, wciąż przytłumione i delikatne, skąpało twarz Harry'ego w złocie, dodając szlachetności wydatnemu nosowi i zmysłowo zarysowanym ustom. Pierwsze promienie słońca odbiły się w oczach, które wyglądały teraz, jakby płonęły jakimś wewnętrznym

blaskiem.

Desdemona była ciekawa, czy Harry zdawał sobie z tego sprawę i specjalnie tak stanął. Jednak, chociaż bardzo chciałyby go przyłapać na takiej chwili słabości, w gruncie rzeczy nie wierzyła w to. Harry”emu można było wiele zarzucić, ale z całą pewnością nie odznaczał się próżnością — przynajmniej jeśli chodzi o wygląd zewnętrzny.

Zresztą po chwili odwrócił się i podszedł do biurka.

— Rabiemu bardzo zależy na odzyskaniu tej rzeczy. Co to takiego?

Kiedy nie odpowiedziała, pochylił się i oparł na blacie obie dłonie.

— Mogę tu czekać tak długo, aż się zdecydujesz — oświadczył. — Co ci dał Rabi?

Gdyby Harry się dowiedział, że Desdemona jest w posiadaniu zbiorku erotycznej poezji, dopiero miałby używanie. Zaczerwieniła się mocno na myśl, jakby jej bez końca dokuczał.

— Skarabeusza. Dał mi skarabeusza.

Harry delikatnie ujął ją pod brodę i przez długą chwilę przyglądał się badawczo. W jego spojrzeniu malowała się niezwykła czułość.

Nie mówisz prawdy — powiedział, zaskoczony, niemal zasmucony. Jego ręce, jak wszystko w nim, stanowiły dziwne połączenie elegancji i zaniedbania. Chociaż paznokcie miał czyste i spiłowane, palce szpeciły nagniotki, a wierzch dłoni pokrywały wielce wymowne ślady — białe szramy po ranach od grzebania w gruzach i dwie jaśniejsze kropki, pamiątka po spotkaniu z kobrą.

— Dizzy, spójrz na mnie — powiedział.

„ Pokręciła głową. Rozmowa z Magi obudziła bolesne wspomnienia,

„ przypomniała o dawnych błędach. Lepiej, by te smutne myśli pozostały uśpione.

Jeszcze lepiej, żeby umarły.

— Harry, chyba nie chciałbyś poznać wszystkich moich sekretów, prawda? Straciłabym w twoich oczach swoją kobiecą tajemniczość.

— Nigdy.

— A jesteś gotów w zamian też to i owo mi wyznać?

— Naprawdę tego chcesz? — spytał, nagle poważniejąc, czym ją zupełnie zaskoczył.

Wyczuła w jego tonie lekkie wahanie, ale zlekceważyła to, patrząc jak zahipnotyzowana na miedziane iskierki w jasnych oczach z kurzymi łapkami w kącikach, na cienką, czerwoną linię na policzku...

Zmarszczyła czoło.

Zaciął się.

Odruchowo dotknęła ranki na gładkiej, świeżo ogolonej skórze. Harry przełknął głośno ślinę. Zrenice mu się zmniejszyły, rozchylił usta.

Desdemona cofnęła rękę.

— Nic wielkiego. Zaciąłem się brzytwą.

— Może się wdać zakażenie, Lepiej każę Magi przynieść...

— Nie trzeba. — Wyprostował się. — Za kilka dni muszę wyjechać i chcę, żebyś na siebie uważała.

— Jedziesz w sprawie figurki Apisa? Masz już upatrzoną jakąś .w sam raz dla pana Schmidta? — zaczęła się dopytywać. Jej nadzieje rozwiały się niczym mgła. Jeśli Harry już coś wyszukał, jakże ona ze swymi nielicznymi kontaktami w Kairze zdoła go wyprzedzić?

— Wyjeżdżam — oświadczył krótko — i chociaż wątpię, żeby Rabi popełnił jakieś szaleństwo, musisz pamiętać, że jest młody, a synoni1 młodości często bywa głupota. Jeśli mu nie oddasz jego... poda,,unku... przynajmniej obiecaj, że nie będziesz szukała przygód.

— Naturalnie, że nie — powiedziała, czując lekkie wyrzuty sumienia. To, jak zamierzała spędzić popołudnie, nie miało nic wspólnego z szukaniem przygód. Będzie tylko załatwiała interesy.

— Bez względu na to, co sobie myślisz, chciałbym... nic nie może ci się stać. Jesteś... Jesteś zbyt... — urwał.

Słyszała jego oddech. W pokoju zrobiło się dziwnie cicho. W powietrzu unosił się zapach kwitnącego jaśminu, gdzieś z daleka dochodziło szczekanie psa.

Wstała zmieszana. Czyżby ich przyjaźń przerodziła się, w coś innego, w...

Nie. Desdemona spuściła głowę, zacisnęła powieki. To wszystko tylko wyobraźnia. Już kiedyś dała się jej ponieść I bardzo się pomyliła. Zmuszając się do uśmiechu, dziewczyna uniosła głowę. Harry stał bez ruchu, czoło przecinała mu głęboka bruzda.

— Cóż, jeśli zamierzasz włóczyć się po pustyni ze swymi egipskimi znajomkami, z pewnością nie jesteś odpowiednio ubrany.

Spojrzał na swój biały płócienny garnitur, a potem zaintrygowany przeniósł wzrok na Desdemonę.

— Och. Tak. Ubiorę się odpowiednio.

— Proponuję ten strój Księcia Pustyni. Klasyczny. Robi wrażenie. Bardzo szykowny.

— O czym ty mówisz, Dizzy? spytał, wyraźnie rozbawiony.

Jak mogła mu odpowiedzieć? Sama nie rozumiała, co się z nią dzieje. Wiedziała jedynie, że pokój stał się nagle za mały. W powietrzu unosił się ostry zapach mydła, zmieszany z wonią skórzanych okładek. Desdemona wciąż jeszcze czuła ciepło skóry Harryego i dotyk jego palców na twarzy.

— Mówię o twojej wyprawie — powiedziała. — A o czymże innym?

Jeszcze mocniej ściągnął brwi.

— Załuję, że nie mogę cię zabrać ze sobą.

— Naprawdę? — spytała lekko. — Będziesz potrzebował jakiegoś tłumaczenia?

— Nie. Po prostu nie lubię, jak zostajesz sama.

Nagle ogarnęła ją złość: na przyspieszone bicie serca, na wspomnienie dawnego zadurzenia, na ojcowską troskę w głosie Braxtona.

Nie będę sama. Mam dziadka. Poza tym dość dużo czasu spędzę z twoim kuzynem.

— Och tak?

— Tak. Dziś zjemy razem obiad, a później wybierzemy się do Gizy. Więc jak widzisz, będę pod dobrą opieką. Wprawdzie nie przewiduję takiej potrzeby, ale jestem pewna, że lord Rayenscroft potrafi obronić kobietę, gdyby zaszła taka konieczność.

— Tak — mruknął Harry. — Nie wątpię, że ma wszystko, co powinien mieć toporny, młody arystokrata.

— Nie jest toporny! Jest bardzo... — Tylko pojawienie się Magi powstrzymało ją od wszczęcia sprzeczki. Gospodyni wślizgnęła się do pokoju cała w uśmiechach. Postawiła na stole srebrny serwis do kawy, tace z grzankami i pojemnik z dżemem, po czym rzuciła Desdemonie pełne zachęty spojrzenie i wyszła.

Harry rozsiadł się i nalał kawy do dwóch filiżanek, uniósł swoją do ust i pociągnął łyk aromatycznego napoju.

— Widzę, że jego lordowska mość bardzo ci się spodobał — powiedział znudzonym tonem.

— Spodobał?

— Jesteś oczarowana. Straciłaś dla niego głowę.

— Nie mam pojęcia, o czym mówisz. Nie znam wystarczająco dobrze lorda Rayenscrofta. A poza tym nie sądz wszystkich po sobie. To, że sam nie jesteś w stanie przebywać w jednym pokoju z atrakcyjną kobietą, by jej zaraz nie nadskakiwać, nie znaczy, że inni też się tak zachowują.

Harry wybuchnął śmiechem.

— Nadskakiwać?

— Tak!

— Och, Dizzy! Kiedyś będę ci musiał zademonstrować, co to naprawdę znaczy nadskakiwać kobiecie,

— Nie rób sobie zachodu.

— Chociaż wczoraj wieczorem razem z moim poczciwym kuzynem daliście całkiem niezły popis.

— Lord Rayenscroft zachowywał się jak prawdziwy dżentelmen, aja, mam nadzieję, jak dama.

- Więcej tam było trzepotania rzęsami niż pożegnalnego machania chusteczkami na pokładzie któregoś z parowców pana Cooka.

— Wcale nie trzepotałam rzęsami.

— A Blake... — Harry z niesmakiem pokręcił głową. — Cóż za pozy.

— I ty nazywasz kogoś pozerem? — wściekła się Desdemona. — Ty, który zatrudniasz dwie sekretarki, jedną do prowadzenia korespondencji z Arabami, a drugą z Anglikami? Ty, zbyt wyniosły i ważny, żeby samemu się pofatygować i sięgnąć po pióro?

Harryśm iechał się.

— To co innego. Przynajmniej nie popełniam grzechu banalności. Nazwać cię różą! I do tego jeszcze angielską różą. Musisz mu wybaczyć ten wyświechtany komplement. Obawiam się, że Blake'a nie stać na zbytnią oryginalność.

— Uważam, że jest czarujący.

Harry nie wyglądał na przekonanego.

— Naprawdę. Myślisz, że jesteś lepszy od niego?

— No cóż, gdybym miał podjąć wysiłek wychwalania urody kobiety, z całą pewnością zdobyłbym się na coś oryginalniejszego niż mocno wytarte porównanie z różą.

— Jesteś największym egocentrykiem, jakiego znam — powiedziała Desdemona, starając się, by w jej głosie nie słychać było ani cienia podziwu.

— Nie wierzysz mi? — Harry pociągnął łyk kawy i skrzyżował nogi. — Pozwól, że cito zademonstruję... Ale pamiętaj proszę, że improwizuję.

Sięgnął po dzem, przyglądając się swojej rozmówczyni z nieodgadnioną miną. Desdemona poczuła się jak eksponat poddawany szczegółowym oględzinom. Usiadła na krześle i, siłąc się na największą obojętność, zaczęła smarować grzanek masłem.

— Niech pomyślę. Kwiaty absolutnie odpadają. Prawdę mówiąc, uważam, że należy w ogóle zrezygnować z porównań do roślin. Zwierzęta? — zadumał się. — Może gazela? Nie, źle. — Ugryzł grzanekę. — Zbyt potulna. Zbyt niekonsekwentna. Trudno jest, Diz, prawić komplementy kobiecie, uwzględniając tylko jej wygląd. Nie daje to zbyt dużego pola do popisu.

— Tak? — powiedziała cierpko, nie zdradzając, jak ją te słowa zabolaly. I-Iarry nie potrafił zdobyć się nawet na najzwyklejszy komplement.

— Dobrze — odezwał się w końcu. — W takim razie zacznę od tego, jak stoisz.

— Jak stoję? — Zaskoczył ją. Zamrugala powiekami.

— Smukła. Prosta. Z twarzą zwróconą ku pieszczotom słońca — powiedział wolno, w zamyśleniu, jakby do siebie. Przechylił głowę i zaczął przesuwac wzrokiem po jej postaci. Desdemona zrozumiala, co musialy czuc inne kobiety, kiedy Harry tak na nie patrzył. Jakby byla najwazniejsza istota, wokol ktorej kręci się cały świat. Jakby ją ko...

— Spójrz tylko — powiedział przyciszonym głosem, nie kryjąc zdumienia i zachwytu. — Nawet sam Renie może ci się oprzeć. Tylko spójrz, jak pięści twoje policzki i czoło swymi gorącymi promieniami... — Wyciągnął rękę i musnął palcami jej opaloną twarz. — ...znacząc cię swym złotym pocałunkiem.

Ten opis był zbyt plastyczny, zbyt obrazowy. Desdemona wyraźnie czuła palce Harry'ego przesuwające się po jej skórze. Nigdy przedtem tak do niej nie mówił. Serce zabiło jej szybciej. Przeszedł ją dreszcz. Harry uśmiechnął się i cofnął rękę..

— Jak zwykły śmiertelnik może mieć nadzieję, jeśli nawet bogowie są tak rozkochani? — szepnął. — jak można cię opisać, porównując do jednego zjawiska? Jesteś krainą, krainą niezbadanych uczuć i kaprysów spowitą światłem jutrzeńki. Długa, smukła linia twojej szyi spływa aż do piersi. — Jeśli usłyszał, jak głośno zaczerpnęła powietrza, nie dał tego po sobie poznać. — Ciemnoblękitne cienie kładą się na krągłościach twego płaskiego brzucha. Powinna mu przerwać. Posunął się za daleko, ale jego głos ją hipnotyzował niczym słodkie jak miód wino, ciepłe, oszalamiające.

— Twoje usta... — Urwał, a ona nagle poczuła łaskotanie, wywołane jego spojrzeniem. — Twoje usta są studnią słodocy zamkniętą przede mną. Nie pozwalasz mi zaspokoić pragnienia, odmawiasz rozkoszowania się twym pocałunkiem. Twoja skóra jest jak gorący piasek pustyni. Twoje palce są minaretami, delikatnymi i smukłymi. A twoje ciało... to sam Nil — wygięcie twoich pleców tak płynnie przechodzi w wiotką kibić i krągłe biodra do

żyznej delty w dolinie.

Urwał. Słyszała jego szybki oddech.

— Jesteś moją krainą, Desdemono. — Jakaś siła, której nie potrafiła się oprzeć, sprawiła, że nachyliła się ku niemu. — Jesteś moim Egiptem. Moją rozpaloną, niedającą spokoju pustynią i moim chłodnym, zielonym Nilem. Nieskończenie piękna, niezgłębiona, dająca siłę.

Milczała, nie mogąc wykrztusić słowa.

Harry spuścił wzrok. Na jego ustach igrał dziwny, lekko ironiczny uśmiech.

— Pocziwy Blake nigdy nie powie ci niczego takiego.

Desdemona głośno przełknęła ślinę. To, co przed chwilą usłyszała, oszołomiło ją, podrażniło jej zmysły. Serce waliło jak oszalałe z... nadzieją? Trwogą?

— Przypomnij sobie moje słowa, kiedy następnym razem nazwie cię angielską różą.

11

Cholerny, cholerny, cholerny Hary Braxton, myślała Desdemona. Odkąd się rozstali tamtego ranka, słowa Harry'ego wciąż brzmiały jej w uszach niczym uparty refren piosenki; w kółko powracały i nie było przed nimi ucieczki.

...wygięcie twoich pleców tak płynnie przechodzi w wiotką kibić i krągłe biodra do..."

Powachlowała się dłonią.

— Panno Carlisie? — Głos Blake'a Rayenscrofa wyrwał ją z zamyślenia. Niemal się wzdrygnęła.

— Strasznie gorąco — oświadczyła. — Nietypowy upał. Zazwyczaj zimą jest tu znacznie chłodniej.

— Bujała pani w obłokach, moja droga — pobłażliwie powiedział Blake.

Scisnął jej dłoń spoczywającą w zagięciu jego ramienia. Spacerowali jedną z bardziej uczęszczanych żwirowych alejek ogrodów Ezbekiyya. Desdemona obejrzała się za siebie i rozgoryczona szybko odwróciła głowę. Na tarasie hotelu Shepharda stał sir Robert i spoglądał na nich rozpromienionym wzrokiem.

Dziadek bardzo ucieszył się, kiedy lord Rayenscroft zaprosił ich na obiad. Podobnie zresztą jak i ona, przypomniawszy sobie. Dlaczego więc ciągle słyszała cichy, tęskny głos Harry'ego? „Jesteś moim Egiptem...”

— Pytałem, jak to się stało, że znalazła się pani w Egipcie, panno Carlisie — przywołał ją do rzeczywistości Blake.

— Moi rodzice zginęli w katastrofie kolejowej, kiedy miałam piętnaście lat. Ponieważ dziadek jest moim jedynym żyjącym krewnym, przyjechałam do niego.

Bardzo mi przykro. — Blake przystanął przy ławce z kutego żelaza stojącej pod starą akacją i dał znak Desdemonie, żeby spoczęła. Sam z rozmysłem usiadł tak, by osłonić ją przed innymi spacerowiczami. Był barczysty. Dawał dobrą ochronę.

— Z pewnością tęskni pani za Anglią, panno Carlisie. To straszne stracić oboje rodziców i rodzinny dom. — Ujął jej rękę i uściśnął ją ze współczuciem. — Nie wyobrażam sobie, jaka musiała być pani osamotniona. Pięknie świadczy o pani odwadze, że nie tylko jakoś udaje się pani żyć w tym odrażającym kraju, ale wprost pani kwitnie.

— Nie było aż tak źle — powiedziała zakłopotana.

— Nie? — zdziwił się lord Rayenscroft, unosząc brew.

— Naturalnie brakowało mi rodziców, ale miałam dziadka.

— To prawda — przyznał uprzejmie. — Jednak mimo wszystko dla młodej dziewczyny, chowanej pod kloszem, zostać tak wyrwaną z korzeniami... — Zawiesił głos, zachęcając ją do zwierzeń.

Wyrwaną z korzeniami? Czy kiedykolwiek zapuściła gdzieś korzenie?

— Odebrałam staranne wychowanie, ale w dzieciństwie bardzo dużo z rodzicami podróżowałam — próbowała wyjaśnić. — Wśród znajomych dziadka czuję się jak u siebie. Egypciologów entuzjastów spotyka się wszędzie. Zaliczali się do nich również moi rodzice. Nie, żebym poszła w ich ślady — dodała pospiesznie.

Ależ z pewnością Egipt musiał się pani wydać dzikim krajem — upierał się przy swoim Blake.

— Raczej tajemniczym — poprawiła go, rozglądając się z zachwytem.

— Tyle tu bogactw. Potrafi poruszyć człowieka do głębi.

— Bogactw? Przecież to jałowa pustynia, jeśli nie liczyć brzegów .. Nilu.

— Och, nie! Musi pan zrozumieć... — Nagle urwała, uświadomiwszy sobie, jak zabrzmiałaby w jego uszach ta obrona przybranej ojczyzny. Przecież ubóstwia Anglię. Będzie ubóstwiała Anglię. Jej dziadek — i naturalnie ona — być może niebawem tam zamieszkają. — Najbardziej brakuje mi angielskiej szmaragdowej zieleni, małych wiejskich chat, smaganych wiatrami wrzosowisk.

— Ach! — Blake ze zrozumieniem pokiwał głową. — A więc wychowywała się pani w Szkocji.

— Ależ nie, skądże znowu. W Londynie. Głównie w Londynie.

Zakłopotany zamrugął powiekami.

— Proszę mi wybaczyć. Kiedy wspomniała pani wrzosowiska i wiejskie chaty, pomyślałem...

— Właściwie nigdy nie byłam w Szkocji, ale dużo o niej czytałam.) smaganych wiatrami wrzosowiskach, Heathcliffie i...

— Heathcliffie?

— T-to tylko imię — wyjąkała zmieszana. — Tak czy inaczej wyraźnie pamiętam cudownie zielony Hyde Park.

Uśmiechnął się, ukazując równe, białe zęby. Harry miał jeden ząb przodu trochę skrzywiony.

— A co się pani podoba tutaj?

W Egipcie? Wszystko — odpowiedziała, zataczając ręką koło. — Zaśniowe minarety, spalona słońcem pustynia, zapach Nilu. Kocham rwy tego kraju: bielone wyżyny, brunatno prążkowane wadis, zielono-złote brzegi rzeki. Kocham nawet tutejsze dźwięki: muzykę przesypujących się piasków pustyni, bębenków tańczących derwiszów, nawoływań ulicznych sprzedawców.

— Ładna mi muzyka — powiedział kpiąco lord Rayencroft. Położył rękę na oparciu ławki i musnął palcami kark Desdemony. — Zgiełk, który słyszałem wczoraj, chodząc po bazarze, trudno nazwać muzyką.

— Ależ myli się pan. Proszę tylko posłuchać. — Przechyliła głowę. Zawodzące nawoływania sprzedawców daktyli i wozowodów mieszały się ze stukotem kopyt osłów, skrzypieniem kół drewnianych wozów i piskliwymi głosikami niezliczonych uliczników.

— Może jeśli rozumie się... słowa — powiedział z powątpiewaniem lord Rayencroft.

— Wcale nie odparła. — Nie rozumiem słów, ale itak podoba mi się ich brzmienie.

— Odniosłem wrażenie, że jest pani kimś w rodzaju geniusza lingwistycznego.

Roześmiała się.

— Owszem. Swego rodzaju. Potrafię czytać w dwunastu językach. Ale nie umiem w nich mówić.

— Nie rozumiem.

— Nie wszyscy są tacy jak Harry — wyjaśniała cierpliwie. — Tłumaczyć teksty pisane to zupełnie co innego, niż rozumieć język mówiony. Dochodzi akcent, różnice artykulacji i zawrotna prędkość, z jaką mówią niektórzy ludzie. Nigdy nie opanowałam tej sztuki. Natomiast Harry odznacza się wrodzonym talentem do języków.

— Raczej do kuglarstwa — stwierdził stanowczo lord Rayenscroft. — Na szczęście ma coś, co może wykorzystać z pożytkiem.

Teraz ona z kolei musiała zaprzeczyć.

— Nie nazwałabym zdolności Harry’ego kuglarstwem. Posługuje się przynajmniej sześcioma tutejszymi dialektami równie biegle, jak tubyicy. Nawiasem mówiąc — smutno pokiwała głową — plemię Tuaregów uczyniło go swym honorowym członkiem. Harry jest z tego szczególnie dumny.

Twarz Blake’a pozostała niewzruszona, ale spod maski obojętności przeziierało rozdrażnienie.

— Cóż, cieszę się, że znalazł tu coś dla siebie. Obawiam się, że biednemu Harry’emu nigdy się specjalnie nie wiodło. Wyobrażam sobie, jak musiało mu być ciężko, kiedy jako dziecko pragnął rzeczy, których nie mógł dostać, a które ja miałem. To wpłynęło na stosunki między nami.

— Nigdy nie uważałam Harry’ego za... zawistnika. — Jest do pewnego stopnia wyrachowany. Z pewnością ambitny. Ale nie zawistny.

— Może nie zna pani mojego kuzyna tak dobrze, jak się pani wydaje

— powiedział Rayenscroft chłodno.

.twoje usta są studnią słodocy zamkniętą przede mną. Nie pozwalasz mi zaspokoić pragnienia, odmawiasz rozkoszowania się twym pocałunkiem”. Znała Harry’ego.

Wyprostowała się. Zbyt dużo czasu traci, myśląc i rozmawiając o nim. O wiele lepiej będzie, jeśli spróbuje dowiedzieć się czegoś o tym zagadkowym mężczyźnie, który okazywał jej swoje zainteresowanie. Przyjrzała mu się badawczo.

Klasyczne oblicze angielskiego lorda znowu skryła maska rezeny. Lśniące, kruczoczarne włosy opadały na perłowoblade czoło. Orli nos wraz z mocno zarysowaną szczęką nadawały twarzy wyraz zawziętości. Wyglądał cudownie. Nawet jego koszula była cudowna. Niewielu mężczyzn w tym kraju nosiło tak olśniewająco białe koszule.

— Proszę mi opowiedzieć o swoim domu w Anglii, lordzie Rayenscroft.

— Mój dom. — Blake uniósł głowę. — Darkmoor Manor jest najwspanialszym miejscem

na ziemi — zaczął z pasją. — To okazały dwór z szarego kamienia wznoszący się na wzgórzu wśród surowych krajobrazów Kornwalii, krainy smaganej przez porywiste wichry i zasnutej mgłami. Ziemia stawia tam człowiekowi wyzwanie.

Bardziej zabrzmiało to jak wyrok niż wyzwanie, ale Desdemona powstrzymała się od komentarza. Lord Rayenscrof zamilkł, najwyraźniej czekając na reakcję.

— Założę się, że trudno ogrzać taki dom.

Przez chwilę wpatrywał się w nią zdumiony, a potem zaśmiał się ostro, krótko.

Uświadomiła sobie, że pierwszy raz słyszy jego śmiech. Był chrypliwy, jakby rzadko wydobywał mu się z gardła. Ktoś powinien nauczyć tego przystojnego mężczyznę śmiać się często i otwarcie.

Tak jak śmieje się Harry.

— To prawda. — Rozbawienie Rayenscrofta nagle ustąpiło miejsca nabożnej czci. —

Chłodny majestat, surowa powaga. Ktoś mógłby powiedzieć, że Darkmoor Manor jest ponury, odpychający. I miałby rację. Ale to moje dziedzictwo, mam do niego niezbywalne prawo. Nie tracę nadziei, że pewnego dnia będę w stanie przywrócić swemu domowi dawną świetność.

— A cóż stoi temu na przeszkodzie? — spytała Desdemona, wyraźnie zbита z tropu. Czyż nie powiedział przed chwilą, że to jego dziedzictwo?

— Tak zrobię. — Powiedział to, jakby składał przysięgę. — Jeśli jest na świecie sprawiedliwość, Darkmoor Manor będzie należał do mnie.

Desdemona nie mieszkała nigdy w okazałej rezydencji, a nawet choćby w najmniejszym, ale własnym domu — jej rodzice zawsze wynajmowali pokoje. Nigdy też nie miała na własność niczego wartościowego, co nie byłoby przeznaczone dla muzeum, niezupełnie potrafiła więc zrozumieć pasję Blake’a. Nerwowo poprawiła się na ławce.

— No cóż, nawet jeśli nie uda się go panu odbudować, jest pan młody, zdrowy i...

— Darkmoor Manor to jedyna rzecz na świecie, którą kocham.

— Jakie to smutne — wyrwało jej się, nim zdołała się ugryźć w język. Tak pani uważa? — spytał z goryczą. — Cóż, jakoś nie mam szczęścia do ludzi. Moja własna... — Urwał. —

Dość powiedzieć, że moja matka spędziła życie na ulotnych przyjemnościach. Sądziłem, że wszystkie kobiety są takie. Ale pani wydaje się być inna.

Inna. Jakże nie cierpiała tego słowa. Zresztą to nieprawda. Była zwyczajną dziewczyną.

Chciała zajmować się błahostkami, grać w tenisa i mieć wielbiciela patrzącego w nią jak w obrazek. Wszystko to, o czym czytała, a czego nigdy nie było jej dane poznać.

— Nie chcę pani zanudzać— ciągnął Blake. — Powiem tylko, że stwierdziłem, iż większe zadowolenie przynosi mi ulokowanie uczuć w czymś trwałym. Jak Darkmoor Manor.

Myślę, że spodobałoby się tam pani. Każdy, kto potrafił pokochać ten dziki kraj, bez trudu nauczy się kochać mój dom.

Desdemona uśmiechnęła się słabo. Cóż, naturalnie, że potrafiłaby. Przecież zawsze pragnęła wrócić do Anglii. Poza tym, jakie to romantyczne, taki kamienny dom na pustkowiu.

Spojrzała na drugą stronę ulicy, gdzie tłum kolorowo odzianych kobiet i mężczyzn przeciskał się między straganami z piętrzącymi się stosami jedwabiu o krzykliwych deseniach, wonnymi, dojrzałymi owocami i błyszczącymi wyrobami z mosiądzu. Feeria barw oślepiła w jasnych promieniach egipskiego słońca.

Desdemona tęsknie wpatrywała się w tę pełną życia scenę. Kochała słońce i upał, i przejrzyste jak mgiełka suknie, i mrożoną lemoniadę, i chodzenie boso po gorących płytach terrakoty w pachnącym herbatą ogrodzie. Z pewnością w Anglii też są jakieś ciepłe zakątki.

— Bardzo pragnę pokazać pani Darkmoor Manor — powiedział Blake.

— Zobaczyc na pani niewinnej twarzyczce, jakie wywiera wrażenie.

Na szczęście Desdemona nie była wcale taka niewinna, jak to sobie wyobrażał. Udowodniła to teraz.

— Cudownie — wykrzyknęła z fałszywym zachwytem. I nie chcąc przedłużyć niezręcznej sytuacji, poszukała nowego tematu rozmowy. — A jak podoba się panu u Harry’ego, lordzie Rayenscroft?,

— Nie mieszkam u Harry’ego. Twierdzi, że jego dom nie nadaje się do przyjmowania gości. Zatrzymałem się w hotelu Shepharda.

— Harry ma rację — odparła Desdemona. — Zajmuje rozsypujący się, stary pałac mamelucki. Pełno tam skrzyń, rzeźb i książek.

— Książek? — Rayenscrof zmarszczył czoło. — A po co mu książki?

— Jak to O Co?

— Przecież chyba nie korzysta z nich w celach badawczo-naukowych, prawda? — powiedział z goryczą a zarazem dziwnym współczuciem.

— O czym pan mówi?

Na twarzy Blake’a malowało się niekłamane zdumienie.

— Więc o niczym pani nie wie? A co powinnam wiedzieć?

Poklepał ją po dłoni, spoglądając poważnie.

— Myślałem, że pani i Harry jesteście przyjaciółmi.

— Jesteśmy — Desdemona była coraz bardziej zmieszana. — O co panu chodzi, lordzie Rayenscroft?

— Przykro mi, moja droga. Nie do mnie należy informowanie pani o tej sprawie. Ale przy najbliższej okazji proszę spytać Harry'ego, dlaczego wyrzucono go z Oksfordu.

12

Wąskie, kręte uliczki Kairu od niepamiętnych czasów nie zmieniały swego biegu. Prowadziły w cieniu licznych balkonów uczepioj-ych ścian niczym jaskółcze gniazda, przeciskały się przez zatłoczone pasáže. Czasem kończyły się ślepyimi zaułkami, a czasem znów się pojawiały, na tyle szerokie, że pozwalały podziwiać bajkową panoramę — błyszczące w słońcu kopuły meczetów i strzeliste minarety rysujące się wyraźnie na tle jasnego nieba.

Desdemona kroczyła gwarnymi uliczkami z udawaną pewnością siebie. Gdyby Duraid się zorientował, że zablądziła — a właściwie nie tyle zablądziła, ile nie całkiem była pewna, gdzie się znajduje — swoim zrzędzeniem tylko dodatkowo pogłębiłby jej rozterkę. Duraid, chociaż liczył sobie dopiero dwariaście lat, miał naturę kwoki wodzącej jedno pisklę.

Cóż, postanowiła Desdemona, nie wróca do domu, póki nie spotka się z ksepem Hassamem. Po obiedzie czekał na nią liścik. Dobrze jej znany handlarz antykami informował, że ma coś ciekawego, co może ją zainteresować. Oczekuje jej o drugiej.

Była za kwadrans druga.

Może Joseph akurat miał na sprzedaż posążek Apisa, o który go pytała. Trzeba przyznać, że było to mało prawdopodobne. Takie zbiegi okoliczności rzadko się trafiają w świecie handlarzy starożytnościami. Jednak mogła się o tym przekonać tylko W jeden sposób: odnajdując sklep Hassama.

— Sitt nie wie, gdzie jesteśmy, prawda? — spytał żałośnie Duraid, idący kilka kroków za nią.

— Nie, Sitt wie, gdzie jesteśmy — odpowiedziała Desdemona, nie odwracając głowy. — Sitt zwyczajnie chce się nacieszyć spacerem. Czyż nie jest tu wspaniale?

Duraid coś odburknął. Udała, że nie słyszy. By udowodnić, że nie kłamie, przystanąła, chłonąc widok wszystkimi zmysłami, jak koneser sączy wyjątkowy i mocny trunk. Aromat kawy z dodatkiem kardamonu, słodka woń cynamonu i goździków oraz kwaskowa pomarańczy i cytryn łączyły się z cięższym zapachem zakurzonych osiołków, rozgrzanych ludzkich ciał i rozpalonych upałem kamieni. A nad tą bogatą mieszanką, niczym ostateczna nuta perfum, dominował zielony, owocowy zapach Nilu.

Szkoda, że lord Rayenscroft nie nauczył się jeszcze doceniać przyjemności, jakie zmysłom oferował Kair, pomyślała. Niewątpliwie niedługo chwyci bakcyła. Każdy człowiek o poetyckiej duszy musi zakochać się w tym mieście. Nawet Harry, najbardziej praktyczny ze znanych jej ludzi, rozkoszował się bogactwem darów Egiptu.

Na myśl o Harrym zwolniła kroku. Nie była zbyt zaskoczona aluzjami Blake'a. Znając swego przyjaciela, podejrzewała, że prawdopodobnie wyrzucono go za handel odpowiedziami na pytania egzaminacyjne.

— Sitt, czy możemy już wrócić do domu? — zajączał Duraid.

— Nie. Jesteśmy prawie na miejscu. — Celowo skierowała się w stronę rzeki i w skrytości ducha wydała westchnienie ulgi na widok małego znajomego szyldu.

— Widzisz? — Wskazała niskie wejście, pograżone w cieniu. — Nie mówiłam ci? Zabłądziłam? Dobrze sobie. Jesteśmy na miejscu.

— Tak. Widzę. Sitt ma szczęście afryta.

— Nie życzę sobie, żeby mnie porównywano do złośliwych demonów, Duraidzie.

— To nie porównanie — odparł Duraid.

Spojrzała na niego podejrzliwie. Stał z niewinną miną.

— Zostaniesz przed sklepem — powiedziała kategorycznym tonem. — Przyszłam tu na negocjacje.

Nie powinna Sitt wchodzić do środka sama. Nie wypada. Duraid przywiązywał ogromną wagę do form.

— Tak, tak. Cóż... — Jeśli da mu okazję, będzie się z nią tu spierał godzinami, jak to się już wcześniej zdarzało. — Cóż... wybacz.

Nim zdołał odpowiedzieć, zniknęła w środku. Zmrużyła oczy, by wzrok przywyknął do mrocznego wnętrza. Sklep był długi i wąski. W głębi stał niski, okrągły stół, a wokół niego leżały poduszki. Na stole znajdowały się mosiężne kielichy, ozdobna huka i dzbanek, a także kilka płaskich kamieni o nieregularnym kształcie. Ostraki.

Nie był to posążek Apisa, jak miała cichą nadzieję, ale prawdę mówiąc zbytnio na to nie liczyła. A ostraki zawsze dobrze się sprzedawały turystom oczarowanym mikroskopijnymi obrazkami wyrytymi w łupku lub na gipsowych tabliczkach, starożytnych odpowiednikach podręcznych zapisków.

— Halo! — krzyknęła Desdemona, przechodząc obok zagraconego biurka w stylu Ludwika XIV. Jej wzrok padł na porzrzucone na blacie dokumenty. Dostrzegła nazwisko Harry’ego. Wykręcając szyję, przebiegła wzrokiem leżącą na wierzchu kartkę. Nachmurzyła się i zmrużyła oczy.

Był to rachunek — jego kwota sprawiła, że aż jej odjęło mowę — wystawiony dla pana Hatfielda za „autentyczny papirus z okresu Średniego Państwa z tłumaczeniem na angielski”. Wymieniał Harry’ego Braxtona jako pierwszego właściciela, to ułatwiało załatwienie formalności celnych.

„Tłumaczenie” to oględne określenie opasłego tomiku dołączonego do papirusu. Wiedziała, bo sama dokonała przekładu. I obiecano jej dziesięć procent od ceny sprzedaży.

Nie otrzymała tyle! Nie dostała nawet pięciu procent zdumiewająco wysokiej kwoty, która kłuła ją teraz w oczy.

Harry był jej winien pieniądze.

— Ach, witam! — Drobnym mężczyzną w średnim wieku, w marynarce o europejskim kroju i białym turbanie na głowie, wyłonił się zza bogato zdobionej kotary. — Panna Carlisle! Tak się cieszę, że pani przyszała.

Uśmiechnęła się cierpko, wskazując leżący na biurku rachunek.

— Jak to dobrze, że mnie pan zaprosił, Sid Hassam. Przypadkiem przeczytałam, że sprzedał pan papirus niejakiemu panu Hatfieldowi. Zdaje się, że nie odebrał kwitu.

— Ach, tak. Pan Hatfield. — Joseph wymówił to nazwisko z taką czułością że Desdemona domyśliła się, iż pan Hatfield nie targował się po usłyszeniu ceny wywoławczej. —

Wyjechał z Kairu. Przesłałbym mu rachunek, ale... — Wzruszył ramionami. — Nie wiem, dokąd się udał.

— Może ja mogłabym pomóc — zaproponowała uprzejmie. — W drodze powrotnej do domu zaniosę rachunek do brytyjskiego konsulatu. Co pan na to?

— Ach, to niezwykle łaskawie z pani strony, Sitt Carlisle. Byłbym pani ogromnie zobowiązany.

Bez dalszych ceregieli Desdemona sięgnęła po papier i wsunęła go do wewnętrznej

kieszeni. Miała dowód! Już się nie mogła doczekać, kiedy zamacha nim Harry”emu przed nosem i zażąda zaległych pieniędzy.

Joseph dał znak, by podeszła do stołu.

— Przekona się pani, że proponuję tylko wyjątkowy towar.

— Zobaczymy — powiedziała, starając się naśladować zachowanie Harry”ego podczas negocjacji, których miała okazję kilka razy być świadkiem. — Nawet jeśli nie ma pan niczego, co mi przypadnie do gustu, odbyłam dzięki panu wspaniały spacer. Nic mnie nie rozczaruje po tak przyjemnej przechadzce. Nic. Nawet falsyfikaty, których —jestem pewna — nie będzie mi pan próbował sprzedać.

Uśmiechnęła się miło. W ciemnych oczach Josepha pojawił się błysk szacunku.

— Oto kobieta, która potrafi cieszyć się nie tylko celem, ale i drogą która do niego prowadzi. To zachwycające. Proszę usiąść.

Desdemona z wdziękiem opadła na jedną z poduszek, starannie zasłoniła stopy spódnicą i złożyła ręce na kolanach. Podczas negocjacji Harry zawsze sprawiał wrażenie, że ma kilka wolnych godzin i nie przywiązuje najmniejszej wagi do tego, czy ubije interes.

— Lemoniady? — Joseph podał jej kielich.

Wymamrotała podziękowanie i pociągnęła łyk napoju. Pilnowała się, żeby nie patrzeć na ostraki rozłożone kusząco tuż przed jej nosem.

— Mam pytanie... — zaczęła.

— Czy wszystko w porządku, Sitt? — rozległ się nagle od strony drzwi piskliwy głosik Duraida.

Desdemoria znów się uśmiechnęła.

— Mój opiekun — wyjaśniła.

— Ach. — Joseph skinął głową.

— Jest bardzo oddany.

— Rozumiem — powiedział Joseph.

— Siu?

— Czego? — krzyknęła w kierunku wyjścia, wywołując tym konsternację u swego gospodarza. — Nic minie jest! Idź kup trochę fig. Zdrzemnij się. Bądź cicho!

— Tak, Sur. Jak sobie Sitt życzy. Ale wpierw chciałbym Sm zobaczyć — powiedział z uporem Duraid.

— Ocli, na litość boską — jęknęła Desdemona. Uniosła rękę i pomachała. — Proszę.

Widzisz?

- Nie.

— Durajdzje..

— Czy mam wejść, Sm? — spytał Duraid. — Powinienem wejść.

— Nie. — Mamrocząc przekleństwa Desdemona wstała i wyciągnęła rękę. — Teraz widzisz? Wszystko w porządku. W porządku!

Mała główka, ciemniejąca w otworze drzwi na tle nieba, skinęła potakująco.

— Widzę. Nic Siu nie jest. Bardzo się cieszę.

— A teraz idź sobie.

— Dobrze, Siti.

Nagle uświadomiła sobie, jak ta scena musiała wyglądać w oczach Flassama.

— Nie przestałby marudzić, póki nie przekonałby się na własne oczy, że nic mi nie jest — wyjaśniła Desdemona.

— Jest pani bardzo kochana przez służbę — mruknął Joseph.

Westchnęła głośno.

— To przekleństwo.

Kupiec zrobił okrągłe oczy. Niewielu ludzi rozumiało obciążenia wynikające z poczucia lojalności.

— Duraid nie będzie nam już przeszkadzał. A więc wracając do mojego pytania...

— Są absolutnie autentyczne, Siti.

— Nie o to chciałam zapytać.

— Ach, proszę o wybaczenie. A o co...?

— Dlaczego postanowił pan zaoferować ostraki właśnie mnie? Kto panu powiedział, że mogę być nimi zainteresowana?

— Jak to kto? Pan Harry — odparł ze zdumieniem Joseph. Powinna się była tego domyślić.

Jednak i tak nie mogła ukryć rozczarowania.

— Chce, żebym przetłumaczyła napisy, zanim je kupi?

— Ależ nie, skądże znowu. Po prostu powiedział mi, że jeśli będę miał kilka sztuk, to... — urwał gwałtownie i głośno przełknął ślinę.

— ...nie chce, żeby go pan fatygował — dokończyła za niego. — Powiedział panu, że ja mogę dać się nabrać nato, co on sam uzna za nieciekawe?

Joseph gwałtownie pokręcił głową i zrobił urażoną minę.

• — Nie, panno Carlisle. To wcale nie tak. Handluję tylko najwartościowszymi okazami sztuki starożytnej. Po prostu pan Harry nie zajmuje się detalem. Uznał, że może panią te drobiazgi zainteresują.

Desdemona opadła na poduszki, próbując uporać się ze swoimi emocjami. Jak trzciny porastają gęsto brzegi Nilu, tak Harry był obecny w każdym aspekcie jej życia.

— Rozumiem. A pan, SidHassam, czemu postanowił skorzystać z jego rady?

Kopt uniósł ręce.

— Kaprys. Przygotowywałem się do transakcji z pewnym bardzo bogatym cudzoziemcem. I przypadkiem natknąłem się na te zapomniane skarby. Wtedy przypomniałem sobie, jak pan Harry mówił, że interesuje się pani takimi drobiazgami.

Bogaty cudzoziemiec, pomyślała Desdemona. Czyżby chodziło o Amerykanina, Cala Schmidta, i posążek Apisa?

— Poza tym jest jeszcze sprawa tej indyckiej fermy.

Zaskoczona uniosła wzrok. Joseph uśmiechał się do niej.

— Pani działalność na rzecz bezdomnych dzieci w Kairze, nie przechodzi niezauważona, panno Carlisie. Wysoko ją cenimy.

— Nic takiego nie zrobiłam. Kupiłam tylko kilka indyków...

— ...i wydzierżawiła pani kawałek ziemi, gdzie można je hodować. I nauczyła pani dzieci, jak produkować skarabeusze, a także podpowiedziała pani, w których rejonach miasta najłatwiej te wyroby sprzedać.

Desdemona poczuła, że się czerwieni. Bezwzględni ludzie interesów nie czerwienią się. Z całą pewnością nigdy nie widziała, żeby Harry zalewał się rumieńcem.

— To nie jest działalność charytatywna. Pobieram procent.

— Ależ to się rozumie samo przez się! Tylko święty lub głupiec postąpiłby inaczej. Święci, chociaż godni największego podziwu, są bardzo niewygodnymi partnerami w interesach. Z głupcami niebezpiecznie wchodzić w układy. Ale pani... pani jest piękna i mądra. Rzadkie połączenie — powiedział z podziwem Joseph. — Pani jest inna.

Inna. Pierzchnęło gdzieś miłe uczucie zadowolenia. Desdemona nie w ten sposób wyobrażała sobie negocjacje. Jak tak dalej pójdzie, Joseph jeszcze podaruje jej te rzeczy. Nie chciała mieć długów wdzięczności wobec nikogo. Wystarczyło, że co i rusz pojawiały się jakieś zobowiązania wobec Harry'ego.

— Hm — mruknęła, odwracając wzrok. Wstrzymała oddech.

Na stole leżały trzy ostraki. Każdy, chociaż liczył tysiące lat, mienił się barwami, wzruszał i urzekał pogodą. Na jednym siedzący za stołem lampart podawał kwiat lotosu malutkiej małpce. Na drugim mysz drzemała pod liściem palmy. A trzeci..., trzeci był po prostu przepiękny.

Widniał na nim niedokończony portret kobiety. Berło i udrapowanie szaty wskazywały, że należała do królewskiego rodu. Stała z wdzięcznie uniesioną ręką, a spomiędzy jej palców sypały się na Ziemię ziarna, unoszone przez poryw delikatnego wiatorku.

— Sliczne, prawda? — spytał obojętnie Joseph.

— Są cudowne — powiedziała. Zasłoniła usta dłonią. Za późno; usłyszał. Uśmiechnął się dobrodusznie.

— Tak — stwierdził. — Zawsze chciałem zostawić je sobie.

Kłamca.

— Wcale nie miałem zamiaru ich sprzedawać. Podjąłem taką decyzję dopiero, kiedy pani przysłała. Ale będąc tylko człowiekiem o słabej woli, uległem czarowi pani urody i straciłem głowę, zniewolony pani wdziękiem. Dla pani, tylko dla pani, jestem gotów rozstać się z nimi za śmiesznie małą kwotę dwudziestu funtów.

Desdemona pozwoliła sobie ostatni raz spojrzeć na prześliczny portrecik sypiącej ziarno.

— Dwadzieścia funtów? — Uniosła brwi. No, cóż. Czy mogłabym prosić o jeszcze trochę lemoniady, nim się pożegnamy?

— Ależ, panno Carlisle... — zaprotestował Hassam.

Uśmiechnęła się. On również. Zaczęli się targować.

*

Duraid się obudził, kiedy mucha usiadła mu na ustach. Ze złością pacnął ją ręką, przeciągnął się i wstał. Rozejrzał się wkoło. Niedobrze, spał dłużej, niż zamierzał. Szybko wsunął głowę w otwarte drzwi sklepiku.

SiU Carlisle siedziała na stosie poduszek. Radośnie szczebiotała. Duraid odetchnął z ulgą. Magi żywcem obdarłaby go ze skóry, gdyby Sili przytrafiło się coś złego.

Spojrzał przez ramię. Fioletowe cienie spowijały zakurzoną ulicę. Nie chciał, żeby zmrok zastał ich na bazarze. Nie chciał, żeby Sitt szła przez suk po zachodzie słońca.

Może powinien przypomnieć Sitt, która godzina. Jeszcze raz wetknął głowę do ciemnego wnętrza.

— ...nie wiem, jak to się stało, że pozwoliłem pani pozbawić mnie takiego skarbu — mówił

Kopt. Był wyraźnie rozradowany.

— Nie wiem, dlaczego zapłaciłam tak dużo.

— To z mojej strony czysta dobroczynność.

— A z mojej przejaw współczucia.

Obydwoje zaczęli chichotać. Duraid zmarszczył czoło.

— Moje dzieci będą głodować, jeśli nadal będę pozwalał, żeby głupia, sentymentalna natura brała górę nad zdrowym rozsądkiem.

— Pańskie dzieci prawdopodobnie uczęszczają do szkół w Paryżu — odparła Sit!.

— Głodować można równie dobrze w Paryżu, jak w Kairze.

Znów obydwójce wybuchnęli śmiechem. Sitt przechyliła się na stosie poduszek. Nie próbowała usiąść prosto.

— Czy ma pan rachatlukum? — dobiegł Duraida jej niewyraźny głos.

— Nie — odpowiedział Kopt.

— Nic... do pochrupania?

— Do pochrupania? Obawiam się, że nie.

— Szkoda.

Coś było nie tak. Sit! wciąż siedziała dziwnie przechylona.

— Ale... — I-lassam ożywił się, jakby wpadł na genialny pomysł. — ..zawsze możemy jeszcze pociągnąć dymu z huki. Żeby uczcić naszą transakcję.

Jeszcze pociągnąć dymu? Skoczył na równe nogi. Na jego twarzy malowało się przerażenie.

— Jeszcze? — spytała niezdecydowanym tonem Sit!.

— Tak każe zwyczaj.

— Och! Cóż, nie chcę sprzeciwiać się zwyczajowi.

Znów wybuchnęli śmiechem.

Allach jedynie wie, jak może wpłynąć na Sit! haszysz. I bez tego potrafiła być nieprzewidywalna. Jeśli coś sobie wbije w głowę... Nie tracąc czasu na dalsze rozważania, Duraid ruszył biegiem przez kręte uliczki. Musiał odszukać pana Braxtona.

Tęskniłam za tobą. — A więc wreszcie wypowiedziała te słowa. Od dawna nie czuła się tak niepewnie. Uniosła wzrok i zobaczyła, że Harry przygiąda się jej. Z jego oczu niczego nie

można było wyczytać. Wyciągnął rękę nad małym stolikiem i dotknął pieszczotliwie dłoni Marty.

— Jesteś za dobra.

Nie udawał, że nie rozumie, iż zajej słowami kryje się przyzwolenie. To jeszcze jedna z cech, która tak ją w nim pociągała.

— Naprawdę? — spytała lekko. Nie chciała naciskać w obawie, że jeśli zmusi go do podjęcia jakiejś decyzji, być może nie będzie to ta, o którą chodziło. — Nigdy wcześniej mi tego nie zarzucano.

— Dobra i śliczna — powiedział. — Napijesz się sherry?

— Z przyjemnością — odparła.

Wstał i podszedł do szafki, po czym niespiesznie zaczął nalewać do kieliszków trunku.

Ciekawe, czy Harry korzysta z okazji, by ułożyć jakąś zgrabną odpowiedź, pomyślała.

Serce zaczęło jej szybciej bić, ogarnęła ją dziwna niepewność. Nie powinna tu przychodzić.

Nie powinna pojawiać się na progu jego domu niezapowiedziana i niezaproszona. Nie tak szybko po wieczorze, który spędził, wpatrując się z takim bolesnym napięciem w Desdemonę Carlisle.

Jednak Marta naprawdę stęskniła się za Harrym. Był namiętym kochankiem. Starał się raczej dawać przyjemność, niż brać. Ale jeszcze bardziej niż rozkoszy fizycznej brakowało jej atmosfery bliskości, jaka powstawała później.

Coś mówiło Marcie, że przez długie lata Harry”emu odmawiano tego, czego pragnął. Mimo to wcale nie stał się człowiekiem zgorzkniałym,

ajedynie okazywał teraz prawdziwe oddanie tym, którzy dopuszczali go

do siebie. Zawsze sprawiał wrażenie zaskoczonego, że Marta się nim interesuje i wyrażał swoją wdzięczność w sposób najlepszy z możliwych.

Uderzało jej to do głowy.

— Twoje sherry.

Stał nad nią, podając jej wino. Zauważyła, że zaciął się przy goleniu. Wzięła kieliszek i postawiła na pobliskim stoliku, po czym impulsywnie ujęła Harry”ego za rękę i pociągnęła ku sobie,

— Proszę, usiądź obok mnie.

Usłuchał. Uścisnął jej palce w swych wielkich, ciepłych dłoniach.

— Niezła z nas para, prawda? — zażartowała. Kiedy nie odpowiedział, ciągnęła:

— Od jak dawna bawimy w Egipcie, Harry? Ja jestem tu od dziesięciu lat. Ty przyjechałeś wkrótce po śmierci Neda. Czyli ile to już lat? Osiem?

— Aż trudno uwierzyć.

— Pomyśl o tym wszystkim, co wspólnie przeżyliśmy. O tym, jak łamaliśmy wszelkie nakazy i konwenanse. Jesteśmy zdemoralizowani.

— Spróbowała się roześmiać.

Uśmiechnął się.

— Rzeczywiście.

Jej starania były daremne. Widziała to w jego obojętnym spojrzeniu. Cokolwiek myślał, nie uważał ich dwojga za parę. Nigdy nie brał tego nawet pod uwagę.

Pozostawał jeszcze jeden sposób.

Marta oparła się o Harry'ego tak, by przycisnąć pierś do jego ramienia. Poczula, jak napiął mięśnie. Jeśli uda jej się skłonić do uległości to ciało, potem może powiedzie się też z sercem.

— I-larry — szepnęła, oswobadzając rękę i kładąc mu ją na piersiach. Czula równe bicie jego serca. — Harry, było nam razem dobrze.

— Tak. — Powiedział to z dziwną melancholią. — Było.

Nie spodobało jej się, że położył lekki nacisk na czas przeszły. Pochyliła głowę i dotknęła ustami jego szyi.

— Znów możemy być razem. — Przyglądała mu się uważnie, czekając na pierwsze oznaki podniecenia.

— Nie wątpię — zaczął. — Gdyby tylko...

— Master Harry!

Harry uniósł głowę na dźwięk zdyszanego głosu. Marta zmarszczyła czoło, ale nie odsunęła się. W drzwiach stał chudy arabski wyrostek, oddychając ciężko.

— O co chodzi, Duraidzie? — spytał Harry z niepokojem. A przecież powinien być poirytowany.

— Sitt,

— Co? — Harry zerwał się na równe nogi, zapominając o Marcie.

— Sitt jest na bazarze.

— I?

Chyba... Może pana potrzebować. Jest...

— Opowiesz mi, kiedy mnie będziesz do niej prowadził. W mgnieniu oka zniknął za drzwiami, nie rzuciwszy swemu gościowi ani jednego słowa, całkowicie pochłonięty Desdemoną Carlisie. Nie widział świata poza nią.

Marta wzięła kieliszek z sherry, uniosła go i patrzyła, jak popołudniowe światło przenika przez bursztynowy płyn. Harry Braxton pospieszył na ratunek. Dlaczego, u diabła, ten cholerny dzieciak nie mógł pobiec po lorda Rayenscrofa?

Ze złością cisnęła kieliszkiem o ścianę.

— Niemądra kobieta poszła sama, bez opieki. — Joseph załamał ręce tłumaczył się gęsto, przyparty przez Harry'ego do muru.

— Powiedziała, że już paliła hukę, Harry. — Niemal płakał.

— Wypełnioną tytoniem, ty ośle. Tytoniem!

— To był tytoń! Fajka była używana do palenia haszyszu kilka dni temu. Nie zdawałem sobie sprawy, że Siti będzie tak wrażliwa na osad.

Skąd miałem o tym wiedzieć? Początkowo zachowywała się zupełnie normalnie. Nie okazywała najmniejszego niepokoju.

— Nie zna, co to strach. Przynajmniej, jeśli chodzi o te rzeczy. A szczególnie..

— Urwał. Chociaż wiedział, że to nie jego wina, itak miał ochoudusić Josepha, który stał przed nim z nieszczęśliwą miną. — W którą stronę poszła?

— Nie wiem. — Kopt z rozpaczą uniósł ręce. — Myślałem, że jest z nią opiekun. Nie zwracałem uwagi.

Opiekun. Harry odwrócił się. Duraid aż się wzdrygnął.

— Zna pan Sitt, master Harry — jęknął. — Wiedziałem, że nie uda mi nakłonić Sitt do niczego, na co nie miałaby ochoty. I pomyślałem, że dyby postanowiła ściągnąć sobie na głowę jakieś kłopoty... no cóż, sam pan wie, jaka jest Sitt!

— Tak, wiem. — Harry odpędził obrazy niebezpieczeństw, które mogły grozić jej w stanie, w jakim się obecnie znajdowała. Zazwyczaj zdrowy zśadek Desdemony wygrywał z porywcznością. Ale pod wpływem haszyszu mogła pozbyć się wszelkich hamulców. Na tę myśl aż zrobiło mu się zimno.

— Duraidzie, biegnij nad rzekę. Ja pójdę na wschód, na wypadek, gdyby przyszło jej do głowy wybrać się samotnie w ten rejon miasta.

nie powinna być taka lekkomyślna — mruknął na zakończenie siebie.

— Nie można tego wykluczyć — powiedział z nieszczęśliwą miną Joseph.

— Czuła się bardzo pewnie. A jeśli martwiła się o chłopaka...

— Niech to wszyscy diabli!

Harry wybiegł ze sklepu i zagłębił się w kręte zaułki między ciasno zatłoczonymi domami.

Gdyby znalazł się na miejscu Dizzy... Zaklął. Wszelakie

próby myślenia w taki sposób były daremne. Miał to szczęście, to o że pokochał taką niezależną, nieprzewidywalną i odważaromantyczkę. Bo kochał ją. Całym sercem i duszą kochał Desdemonę A ona właśnie gdzieś zniknęła.

Krażył pustoszejącymi ulicami, wypytywał ludzi, ale nikt mu nic nie potrafił powiedzieć.

Nikt nie chciał się przyznać, że widział młodą samotną Angielkę. Z każdą minutą w Harrym narastał niepokój. Chociaż Kair był bezpieczniejszy od wielu dużych europejskich miast, a narodowość chroniła Dizzy przed większością niebezpieczeństw, zawsze mogło znaleźć się kilku mężczyzn na tyle zdesperowanych, na tyle zdemoralizowanych czy na tyle głupich, by nie oprzeć się pokusie łatwej zdobyczy.

Przyspieszył kroku, próbując walczyć z narastającą paniką. Może Duraid znalazł

Desdemonę. Może w tej chwili ona już leży w łóżku w swoim domu, walcząc z sennością, która ogarnia po haszyszu. Może boli ją głowa. Miał nadzieję, że dokucza jej jedynie ból głowy.

U wylotu wąskiej alejki zobaczył chłopca bawiącego się samotnie na zakurzonej chodniku.

Przystanął. Dzieciak sprawiał wrażenie, jakby tkwił tu od wielu godzin.

— Kobieta — Harry zwrócił się do małego po arabsku. — Angliżki, drobna, ładna, z jasnymi włosami. Widziałeś ją?

Nie przerywając zabawy, chłopiec skinął głową.

— Gdzie? — Serce zabiło Harry'emu mocniej. Wyciągnął piastra.

— Tak, tak! — Chłopak z zapalem pokiwał głową, wpatrując się w monetę.

— Kobieta o złotych włosach. Płakała.

— Jezu... Gdzie?

Chłopak wskazał palcem w głąb alejki.

— Piętnaście minut temu.

Harry rzucił mu monetę i odwrócił się.

— Sledzili ją Sid.

Siedzili? Harry popędził brudnym zaułkiem, który piał się łagodnie pod górę. Panowała

złowroga cisza, tylko obcasy uderzały głucho obruk. Nagle usłyszał za sobą trzask pospiesznie zamykanych drzwi. Dobiegł go jakiś szept.

Minął kolejny róg i...

Ujrzał przed sobą sześciu mężczyzn. Przypominali szakale czyhające w gęstniejącym mroku na skraju obozowiska. Czekali cierpliwie, wpatrując się w drobną postać skuloną pod murem, gdzie zaułek niespodziewanie się kończył.

Dizzy.

Harry przepchnął się między nimi, nie zważając na niezadowolone pomruki i pochylił się nad nieruchomą dziewczyną. Wziął ją ramiona. W skroniach pulsowało mu ze strachu i gniewu.

— Dizzy, nic ci nie jest? — spytał nagłoco. Czekał. Wreszcie poczuł, że skinęła głową.

Dopiero wtedy odwrócił się.

Mężczyźni obstąpili go. Nie patrzył na nich. Nie miał odwagi. Ze wszystkich sił starał się zapanować nad mięśniami twarzy. Uniósł Dizzy z Ziemi. Jak dziecko objęła go za szyję i wtuliła twarz w jego ramiona. Na gołej skórze czuł słoną wilgoć jej łez.

Wkroczył pomiędzy mężczyzn. Grymas złości wykrzywił mu usta, kiedy patrzył prosto przed siebie, bojąc się, że jeśli dostrzeże choćby : jeden ruch zagrażający Desdemonie, nie zapanuje nad gniewem, czym jeszcze bardziej narazi ją na niebezpieczeństwo. Wiedział, że nieznajomi obstępują go. Czuł narastającą wręcz namacalną wrogość. Ich milczenie pełne było agresji. Walczył z chęcią odwrócenia się i stawienia im czoła.

Jak oni śmieją? Ta myśl zmaciła Harry'emu umysł, wypierając chłodne rozumowanie i zastępując je wrącą wściekłością. Jak śmieją myśleć o skrzywdzeniu jej?

I nagle niebezpieczeństwo minęło tak szybko, jak się pojawiło. Jakby na jakiś niewidoczny znak mężczyźni skapitulowali przed milczącym, ponurym, czujnym obcym.

Z Desdemoną w ramionach Harry opuścił zaułek, minął bawiącego

się chłopczyka i ruszył przed siebie. Wiedział, że mógłby ją tak nieść bez

końca. Dopiero kiedy znaleźli się w pobliżu domu sir Roberta, skręcił w pustą boczną uliczkę. Choć Desdemona by go wyśmiała, nie chciał, żeby dziadek zobaczył ją w takim stanie.

Zatrzymał się pod pretekstem, że musi dać jej czas, by się uspokoiła, ale tak naprawdę nie mógł się jeszcze zdobyć na wypuszczenie Dizzy z objęć. Jeszcze nie. Pragnął ją czuć: jej lekkie, silne ciało, materiał zmiętej :kienki, ciepło skóry. Pragnął wdychać zapach

wilgotnych rzęs i włosów, i oddechu, w którym wyczuwał lekką woń tytoniu. Wszystko w tej dziewczynie było dla niego bezcenne, a miał tak niewiele okazji, by ją przytulić, chociaż jak złodziej zawsze szukał pretekstu, korzystał z każdej szansy. Nie mógł teraz z tego zrezygnować, jeszcze nie.”

— Dizzy, nic ci nie jest? — Własny głos zabrzmiał chropowato i obco w jego uszach. Desdemona uniosła głowę. Oczy jej dziwnie błyszczały w półmroku.

— Dlaczego tak długo nie przychodziłeś? spytała płacząco.

— Bałam się!

Uśmiechnął się.

— Nie śmiej się. Naprawdę się bałam. Zabłądziłam.

— Nie powinnaś wychodzić ze sklepu.

— Wiem — przyznała. Zawsze była uczciwa, nawet wobec samej siebie. Wydawało mu się to zarówno niespotykane, jak pociągające.

— Ale Duraid gdzieś poszedł. Martwiłam się o niego i pomyślałam... pomyślałam... Och, Harry!

— Ciii... — szepnął, przesuwając ustami po jej jedwabistych włosach, aż poczuł słaby zapach haszyszu. Nachmurzył się, nagle przypomniał sobie, co się stanie. — Cóż ty, u diabła, sobie wyobrażasz, żeby palić haszysz?

— Haszysz? — zdziwiła się. Jej śliczne, ciemne oczy jeszcze bardziej pociemniały. Po raz pierwszy dotarło do niego, że wciąż była pod wpływem narkotyku.

— Nie paliłam żadnego haszyszu.

— A co według ciebie paliliście z Josephem?

— Tytoń. Powiedział, że to tytoń.

— Bzdury.

— No dobrze. Przyznaję, że po jakimś czasie pomyślałam, że to niezwykajny tytoń, ale nigdy... No dobrze, raz... No, kilka razy... paliłam tytoń, więc skąd mogłam wiedzieć?

— Nie podpowiedział ci zdrowy rozsądek? — spytał Harry kpiąco.

Poruszyła się, jakby chciała się uwolnić z jego uścisku. Nie miała żadnych szans. Jeszcze nie był gotów, by ją puścić. A właściwie wiedział, że nigdy nie będzie na to gotów.

— Nie musisz być taki nierycerski — powiedziała zrzędlawie urażonym tonem, rezygnując z próby oswobodzenia się z jego ramion, którą podjęła tylko dla zachowania pozorów.

— Jestem nierycerski — powiedział obojętnie. Znów to samo, znów ten mur, który ich

rozdzielał, jej uparta wiara w księcia z bajki. I to nie w byle jakiego. Dizzy marzyła o angielskim księciu i angielskim szczęśliwym żyćiu. Tej roli Harry nigdy nie zagra ani do tej scenerii nigdy nie wróci.

— Poza tym jestem pozbawiony skrupułów, źle wychowany i niegodny zaufania.

— Nie musisz mi o tym mówić.

— Odwróciła się i spojrzała oskarżycielsko, najwyraźniej przypomniawszy sobie o jakimś ukrytym żalu.

— Jesteś mi winien pieniądze.

— Czyżby?

— Tak. Powinieneś mi zapłacić.

Podrzucił ją ramionach i uśmiechnął się kąpiąco, znów wracając do form, jakie zazwyczaj charakteryzowały ich stosunki. Na ogół kiedy kobieta domaga się zapłaty, zazwyczaj dotyczy to jakiejś przysługi lub przyjemności. Czasem chodzi o jedno i drugie. Nie przypominam sobie, bym był twoim dłużnikiem w tym względzie, ale jeśli chcesz naprawić ten błąd...

— Ha! — wykrzyknęła, nie zwracając uwagi na niedwuznaczną aluzję. Musiała być silniej odurzona, niż myślał.

— Zrobiłam ci przysługę.

— Naprawdę? Dziwne, że nie pamiętam.

Wyglądało nato, że wcale nie dociera do niej, jak mocno ją obejmuje. Zupełnie jakby zależało od tego jego życie. Harry był jej zato wdzięczny. Musiał tylko dalej odwracać jej uwagę, aby skrać jeszcze choć kilka minut tej bliskości.

— Tak — ciągnęła uparcie Desdemona.

— Jesteś mi winien pieniądze za tłumaczenia, transkrypcje i świadectwa autentyczności, za wszystko, co dla ciebie zrobiłam przez te lata.

— Przecież już ci zapłaciłem.

— Owszem, ale za mało.

— Skąd taki wniosek? — spytał, rozbawiony.

— Płaciłem ci tyle, ile żądałaś.

— Wykorzystywałeś mnie. Nie wiedziałam, ile żądać.

Z trudem koncentrował się na rozmowie, pochłonięty raczej tym, w jaki sposób Dizzy bawi się kołnierzykiem jego koszuli. Palce, którymi bezwiednie muskała mu skórę, łaskotały jak

skrzydła motyla.

— Musisz mnie oświecić. Jestem wyjątkowo tępy.

— Nagle znudziło mu się odgrywanie roli łobuza, za jakiego go uważała. Pragnął czegoś więcej.

Z niedowierzania aż otworzyła usta. Była szczupła i gibka jak świątynna kotka. Miał ochotę ją pogłaskać, ale wiedział, że mu nie wolno. Mógł jedynie wstrzymywać oddech za każdym razem, kiedy jej pierś ocierała się o jego tors, za każdym razem, gdy czuł na swych ustach jej oddech.

Tymczasem Desdemona zaczęła się wiercić, starając się wsunąć rękę do kieszeni, gdzie schowała rachunek. Harry czuł, że jej dło niebezpiecznie przesuwa się w stronę miejsca, które szybko stawało się nadmiernie wrażliwe. W duchu odetchnął z ulgą, kiedy znalazła wreszcie to, czego szukała.

Jezu. Nie miała pojęcia, jak na niego działa. Nigdy nie zdawała sobie z tego sprawy.

— Proszę! — zakrzyknęła triumfująco, wymachując pomietą kartką.

— Co to takiego?

Wygładziła papier i podetknęła mu go pod sam nos.

— Przeczytaj to, szubrawcze.

W milczeniu wpatrywał się w kartkę. Z radością dałby sobie uciąć rękę, żeby móc wykonać jej polecenie. Ale nie mógł.

Nie umiał czytać.

14

A więc? — Wyjął jej z ręki przeklęty kwit.

— Ile według ciebie jestem ci winny?

— Z pewnością słyszała, jak wali mu serce.

Powiedziałeś, że mi zapłacisz dziesięć procent od ceny sprzedaży. Za ten papirus z okresu Średniego Państwa dostałeś sto sześć funtów.

— Rozumiem. — Harry odprężył się. Teraz przynajmniej wiedział, jak to rozegrać. —

Dizzy, Joseph mógł nakłonić jakiegoś głupca do rozstania się ze stu sześcioma funtami, ale mnie zapłacił tylko czterdzieści, a wyraźnie pamiętam, jak ci wręczałem banknot pięciofuntowy.

Jego słowa sprawiły, że Desdemonie przeszło oburzenie. Zmarszczyła nos i spojrzała na Harry'ego zmieszana.

— Och. — Nastąpiła długa pauza.

— Przepraszam. Nie powinnam była cię oskarżać.

— Przytuliła się do niego. Wybaczam ci.

— Delikatnie przesunął brodą po czubku jej spuszczonej głowy, po miękkich jak najprzedniejszy jedwab włosach. Jego tajemnica nadal pozostawała tajemnicą.

Dysleksja. Siepota na słowo pisane.

Pamiętał, jak pierwszy raz zetknął się z tym określeniem. Pamiętał lekarza, który to powiedział. Nie, żeby sprawiło to jakąś różnicę. Bez względu na nazwę, fakt, że nie mógł nauczyć się czytać, wpłynął nie tylko na to, jak inni postrzegali Harry'ego, ale również na to, jak on widział samego siebie. Ta niemożność kształtowała go, niszczyła mu życie.

Póki nie przyjechał do Egiptu.

Tutaj okazało się, że jego wiedza i ambicje nie zależały od słowa pisanego, które czasem miało sens, a czasem przemieniało się w niezrozumiały gąszcz znaków. Tutaj ludzie widzieli go takim, jak on chciał, żeby go zobaczyli.

Jego metody postępowania nie zawsze były zupełnie uczciwe. Wykorzystywał swoją wrodzoną pomysłowość, ponieważ człowiek, który nie umie czytać, nie dysponuje inną bronią. Doprowadzał do konfrontacji z rywalami, a potem wykorzystywał moment ich nieuwagi. Był przebiegły, a kiedy trzeba posługiwał się pięściami, by zdobyć to, czego pragnął. I udało mu się.

Wywalczył sobie szacunek miejscowej społeczności naukowców, co kiedyś wydawało się czymś nieosiągalnym. W końcu znalazł sposób na spożytkowanie całej swej wiedzy i wszystkich pomysłów, które rodziły się w jego głowie, a które dawniej wydawały się tylko szyderstwem, bo nie umiał ich przelać na papier.

Wcześniej i w sposób dość bolesny przekonał się, że niektóre rzeczy są nie dla niego. Że bez względu na to, jak gorąco ich pragnie, ile jest gotów poświęcić, by osiągnąć cel, nie może ich mieć. Próbował pokonać swoje niedostatki siłą woli. Przysięgał sobie, że bez względu na to, ile trudu go to kosztowało, jakoś nauczy się czytać.

Pocił się złorzeczył, zanosił prośby do nieba i paktował z diabłem, ale nic się nie zmieniło.

Wciąż nie umiał czytać po angielsku. I nigdy nie opanuje tej sztuki. Otrzymał nauczkę: jedyną nagrodą za kurczowe trzymanie się próżnych marzeń jest cierpienie.

Toteż wyciągnął wnioski i stosował je we wszystkim, co robił. Zrezygnował z Dizzy bez ujawnienia jej swojej tajemnicy.

Cóż dobrego by mu z tego przyszło? Dizzy pragnęła wrócić do Anglii. A jego noga nigdy tam nie postanie. Nie mógł pozwolić, by znów traktowano go jak nierozgarniętego krewnego Rayenscroftów, by był przedmiotem szczerzej troski rodziców i własnej równie szczerzej pogardy. A tylko to go czekało jako syna naukowców, studenta o najwyższych notach z egzaminów ustnych w dziejach Oksfordu... człowieka, który nie umiał czytać. Nie, nie mógł wrócić do Anglii. Ale Dizzy może tam pojechać. Marzyła o tym i nic nie stało na przeszkodzie, by marzenie się spełniło. Niewątpliwie jakiś rosły młodzieniec w tweedach zawróci jej w głowie. Albo ktoś w rodzaju Blake'a. Harry wykrzywił usta i mocniej ją objął, przeklinając się za to, że jest kłamcą i głupcem.

Bez względu na to, jak sam siebie ostrzegał, czym sobie groził, jak próbował sobie to uczucie wyperswadować, wcale nie zrezygnował z Dizzy.

Wciąż jeszcze nosił w sercu nadzieję, chociaż dotkliwie odczuł na własnej skórze niebezpieczne skutki samooszukiwania się. Jego miłość nie chciała umrzeć bez względu na to, co mówiły rozum i doświadczenie. Desdemona pragnęła wrócić do domu. A niech ją dom to nie wspa ani nie wiejska chatka. To nie miejsce. Dom to ona. A ona chciała wyjechać. Boże, czy może jej na to pozwolić? Czy wolno mu prosić ją, by została? Co by zrobiła, zadreślał się, gdyby jej wszystko wyznał, gdyby dowiedziała się o jego... ułomności? Wyobrażenia podsuwała mu tysiące rozwiązań. Wszystkie nie do przyjęcia.

Gdyby uznała jego kalectwo za coś romantycznego... Gdyby poczuła litość... Gdyby szlachetnie zaproponowała siebie jako nagrodę za jego...

Boże. Zamknął oczy. Jak by to przeżył?

— Jadłam dziś obiad z twoim kuzynem — oświadczyła nagle Desdemona. Wyciągnęła rękę i zaczęła gładzić kołnierzyk jego koszuli.

— Słucham? — Harry z trudem oderwał się od posępnych rozważań.

— Lord Rayenscroft i ja zjedliśmy dziś razem obiad. Był też dziadek. Odbyliśmy bardzo ciekawą rozmowę.

Nadal przejawiała intensywne zainteresowanie jego kołnierzykiem.

— Blake potrafi być studnią wiedzy. — Wziął głęboki oddech. Musi się dowiedzieć, co Blake jej powiedział. — Dizzy, czy...

— Naprawdę uważam, że zachowałeś się okropnie.

Zastanawiał się, czy Desdemona czuje, jak drżą mu ręce.

— Czyżby?

— Przyjechał tutaj przekonany, że ledwie wążesz koniec z końcem. Dlaczego pozwoliłeś swoim bliskim myśleć, że udaje ci się jedynie zapewniać sobie niezbędne do życia minimum? Dlaczego nie dzieliś się majątkiem z rodziną?

— Z rodziną? Mogę cię zapewnić, że tacie, mamie i wszystkim małym Braxtonom niczego nie brakuje.

Mam na myśli Rayenscroftów. Jak możesz, Harry? — Powiedziała to takim tonem, jakby bardzo się na nim zawiodła. — Jak możesz pozwolić, żeby Rayenscroftowie borykali się z przeciwnościami losu, gdy ty sam cieszysz się życiem?

— Borykają się? No, no, Blake nie tracił czasu — mruknął Harry pod nosem. Podrzucił ją lekko w ramionach. — Słuchaj, Dizzy. Chociaż zdaję sobie sprawę, że z uwagi na stan, w jakim się teraz znajdujesz, mało prawdopodobne jest, byś zapamiętała, co ci powiem, spróbuj się skupić.

Desdemona zamrugła powiekami.

— Rodzina Blake’a jest właścicielem rozsypującego się dworu...

— Darkmoor Manor — wtrąciła jak student dający prawidłową odpowiedź na egzaminie.

— Tak, Darkmoor Manor. To wielkie domiszcze wzniesione w najbardziej zapomnianym przez Boga zakątku Anglii. Z jakiegoś powodu — podejrzewam, że to wynik niezrównoważenia umysłowego — kolejni potomkowie Rayenscroftów trzymają się go kurczowo, jakby im zapisano w spadku samego Świętego Graala.

Skinęła głową ze skwapliwością osoby odurzonej alkoholem.

— Blake, jego ojciec i jego... nasz dziadek włożyli wszystkie pieniądze, jakie mieli, w najniedorzeczniejsze projekty. Projekty, które miały przynieść dość środków na odbudowę Darkmoor. I niezbyt się to udało.

Prawdę mówiąc, Rayenscroftom ledwo starcza pieniędzy, by nie dopuścić do całkowitego zawalenia się Darkmoor.

— Zgoda. Darkmoor Manor to kłopotliwa posiadłość. Do czego zmierzasz? — spytała.

Uśmiechnął się. Jak ktoś o tak do mdłości ekliwych wyobrazeniach na temat Anglii mógł być równie praktyczny pod każdym innym względem?

— Chodzi mi o prostą sprawę - odparł. — Dlaczego miałbym płacić rachunki za remont, który nigdy się nie kończy?

— Taka postawa świadczy o wyjątkowym skąpstwie, Harry.

— Nieprawda. Przyznaj, że na moim miejscu postąpiłabyś tak samo. Dlaczego miałbym wyklądać pieniądze nato, żeby w Darkmoor powstał nowy cisowy labirynt?

Skrzywiła się na te słowa, ale jej wzrok nadal błędził po koszuli Harry’ego. Złapała za guzik.

— Cóż, być może.

Znów ta jej szczerość, ta niezaprzeczalna jasność myślenia i praktyczność, której istnieniu próbowała tak gorąco zaprzeczać, a która była o tyle bardziej pociągająca i o tyle rzadziej spotykana od przesadnego sentymentalizmu.

— Mimo wszystko nie powinienesz być dopuścić do tego, żeby lord Rayenscrof miał o tobie takie złe mniemanie. Ciągłe patrzycie na siebie wilkiem. Podejrzewam, że ma to związek nie tylko z pieniędzmi.

— Naprawdę nie dbam o to, co Blake sobie o mnie myśli. Zamierzała spróbować go nakłonić do zmiany stanowiska. Desdemona naprawiaczka świata. Odczytywał jej determinację ze sposobu, w jaki zacisnęła zęby, z malującego się na twarzy przejęcia. I cały czas bezwiednie wodziła dłońmi po jego ciele.

Wolno docierało to do Harry’ego. Pieszczoty te były tak niespodziewane, tak zaskakujące, że do tej pory nie zdawał sobie z nich sprawy. Czuł na skórze lekkie muśnięcia niby promieni słońca. Co dziwniejsze, założyłby się, że Desdemona nie uświadamia sobie, co robi.

Przesunęła delikatnie palcem wzdłuż ranki, którą zostawiła na jego twarzy brzytwa, jakby w ten sposób skaleczenie mogło zniknąć.

— Lord Rayenscrof uważa cię za łajdaka — powiedziała z roztargnieniem. Jej pieszczoty sprawiały, że Harry wstrzymywał oddech.

— I-lm. — Tylko na tyle potrafił się zdobyć.

Odgarnęła mu włosy ze skroni.

— To nie ulega wątpliwości. Ale przecież naprawdę nie jesteś taki.

-Hm.

— Mógłbyś spróbować się z nim pogodzić.

Uświadomił sobie, że zatraciła poczucie granic między nimi. Jakby nie wiedziała, gdzie kończy się ona, a zaczyna on. Głaskała go tak pieszczotliwie, jakby dotykała własnego ciała.

Zaczął szybciej oddychać i rozchylił wargi, próbując nie poddawać się emocjom, jakie wywoływał w nim jej dotyk. Tymczasem Desdemona zaczęła palcami przesuwając po jego głowie i gładzić krótkie włosy na karku. Znieruchomiał, nie chcąc najmniejszym ruchem przypomnieć jej, że są dwojgiem ludzi, że nie wolno jej tak się zachowywać. Wiedział, że to tylko skutki haszyszu, pragnął jednak, by ta chwila trwała wiecznie.

— Powinieneś się ostrzec.

- Tak.

— Lord Rayenscrof ma strasznie długie włosy, prawda? — Westchnęła i lekko odeła usta.

— Ma piękne włosy.

— Wspaniale.

— Bardzo ciemne. Jak... — Nie mogła znaleźć odpowiedniego słowa.

— Niech zgadnę. Skrzydło kruka? — podsunął skwapliwie. Nie wyglądała na zbyt zachwyconą, ale widocznie sama nie potrafiła wymyślić lepszego porównania.

— Tak. Twoje są... Nigdy nie umiałam określić ich odcienia. — Była poważna. Niemożność określenia koloru jego włosów naprawdę nie dawała jej spokoju. — Może barwy tytoniu albo palonych migdałów? Albo cienia na pustyni. Bardziej przypominają brąz niż złoto, ale nie ma w nich nic twardego, metalicznego. Sajak ciepły piasek o zmierzchu. — Jej mina zdradzała, że Desdemona nie jest w pełni z siebie zadowolona.

— Znasz ten kolor?

— Znam.

Skinęła głową i znów leciutko westchnęła.

— Jest bardziej barczysty od ciebie.

Przeklęty troglodyta Blake, pomyślał Harry. Przesunęła palcami po jego torsie. Każdy jej dotyk parzył.

— Czyżby? — Ledwo słyszał swój głos.

— Znacznie bardziej barczysty. Ale nie taki wysoki. — Urwała i zmarszczyła czoło.

Położyła dłoń na jego piersi. — Ciekawa jestem, czy ma takie twarde mięśnie jak ty.

Poczuł, jak rośnie napięcie w jego łydźwiach i miał tylko cichą nadzieję, że Desdemona tego nie zauważy.

— Nic na ciebie nie działa. Nic a nic. — W jej głosie słychać było tęsknotę.

— Przykromi.

— Mnie też — szepnęła. — Dlaczego musisz być taki bezlitosny? Zbyt bezlitosny.

Nawet nie próbował dociekać, co Desdemona ma na myśli. Zawsze była dla niego zagadką. Trzy lata temu przyszła do niego, zdecydowana go uwieść. W pierwszej chwili był oszołomiony, potem poczuł podniecenie, a w końcu gniew, kiedy dotarło do niego, że pragnęła oddać się jakiemuś bohaterowi, którego sobie wymarzyła, bohaterowi, który posadzi ją na srebrnego rumaka i powiezie prosto do Anglii. Z sir Robertem w tym samym siodle.

Nie rozegrał dobrze sytuacji. Instykt podpowiadał mu, żeby wykorzystać jej zauroczenie i się z nią kochać. Cóż, był młody. Ale gratulował sobie, że nie postąpił impulsywnie, chociaż nie przyszło mu to łatwo.

Wielka szkoda, że nie potrafił wymyślić żadnego taktownego sposobu pozbycia się jej ze swego domu bez naruszenia panińskiej czci. Zamiast tego dał się ponieść wielkiemu podnieceniu i napięciu: wybuchnął śmiechem.

Nie zdawał sobie wtedy sprawy, że tym śmiechem przekreślił się w oczach Desdemony. Stwierdzenie, że spadł z piedestału byłoby wysoce oględne. Runął. Co mu wcale nie przeszkadzało. Chciał, żeby Dizzy zobaczyła go takim, jakim jest naprawdę.

Aż do tej pory.

Aż do pojawienia się Blake’a.

Dotąd Harry nie uświadamiał sobie, że uważała go za łajdaka, znacznie gorszego, niż był w rzeczywistości. Zabawne, że starając się wyprowadzić dziewczynę z błędu, zastąpił jedynie jedno fałszywe wyobrażenie innym.

Ale jakoś nie potrafił się śmiać z absurdalności tej sytuacji. Nie teraz, nie tutaj, kiedy nagle znalazła się tak blisko. Z każdą minutą było mu coraz trudniej pamiętać o postanowieniu, by nie wykorzystać sytuacji i...

— Lord Rayenscrofl ma ładne usta.

...szczególnie, gdy chciał zamknąć jej usta pocałunkiem i nie słyszeć więcej, jak wypowiada przekłete nazwisko Blake’a. Nigdy już nie słyszeć. .

— Ale nie takie ładne jak ty. Masz najcudowniejsze usta na świecie — powiedziała I westchnęła.

— Wyglądają, jakby potrafiły rozróżnić kształt ziarenek piasku.

— Dotknęła palcem jego warg, a on zamknął oczy.

Które z nich było bardziej odurzony? Nie potrafił już stwierdzić. Miał napięte wszystkie mięśnie, czuł jak wnętrze wypełnia mu płynna lawa.

Jej palec łaskotał go.

— To chyba przez to, że twoja górna warga tak wygina się pośrodku — ciągnęła w zamyśleniu. — A może... — Znowu przesunęła opuszkami wzdłuż linii jego ust. — ...może dlatego, że dolna jest twarda i wydatna.

Delikatnie zaczęła wodzić palcem po ich wewnętrznej wilgotnej stronie. Zadrżał.

Desdemona nabrała powietrza. Jej źrenice zlewały się z ciemnymi tęczęwkami.

— Czasem — powiedziała — kiedy patrzę na twoje usta, czuję łaskotanie w piersiach, od środka, gdzie nie można się podrapać. To prawie boli. Myślę o twoich wargach i ciekawa jestem, czy mogłyby...

— Jezu! Przestań, Dizzy. — Mało brakowało, by poznała odpowiedź. Harry odruchowo zacisnął ręce. Słaby, ale nieomylny rozkoszny zapach kobiecego podniecenia zawładnął jego zmysłami. Pragnął znaleźć jego źródło.

Desdemona opuściła rękę. Ściągnęła brwi.

— Ty mówiłeś o moich piersiach — przypomniała oskarżycielskim tonem. — Dlaczego mnie nie wolno?

— Nie mówi... — Urwał. Mówił. Ale robiąc to, nie pieścił jej, nie muskał jej warg, chociaż w myślach dotykał każdego skrawka atlasowej skóry dłonią ustami i językiem.

— Aha! Mówiłeś. Jeśli tobie wolno, to mnie też.

Musiał cały czas przypominać sobie o tym, że znajdowała się pod wpływem narkotyku, nie odpowiadała za swoje czyny.

Z wyraźnym wysiłkiem rozluźnił uścisk i postawił Desdemonę na ziemi. Zarzuciła mu rękę na szyję. Poczul dotyk delikatnych piersi. Oczy jej... błyszcząły? Były zasnutę mgiełką? Cholera, nie potrafił powiedzieć.

— Zastanawiałeś się kiedyś, jakby to było, gdybyśmy się kochali? — Zapytała zupełnie obojętnie, jakby wiedziona czystąckawością. Przez materiał koszuli czuł jej brodawki, twarde niczym perły.

Nie mógł wydobyć z siebie głosu, ledwo był w stanie oddychać.

— A więc? — Przechyliła głowę. — Dlaczego nie odpowiadasz?

— Oczekujesz odpowiedzi „tak — nie” czy czynów?

Zlekceważyła jego słowa i spojrzała mu prosto w oczy.

— Na wszystkie kobiety patrzysz tak jak na mnie, prawda? — spytała smutno. — To silniejsze od ciebie.

— Jezu. — Naprawdę nie mógł tego dłużej znieść. Nie potrafił oderwać wzroku od jej błyszczących oczu, a kiedy uśmiechnęła się — ufnie, niczego nie rozumiejąc, uczynił ostatnią próbę, by przerwać jej to nieświadome uwodzenie. Potrząsnąć nią, zmusić do opamiętania.

— Dizzy, jeśli chcesz się przekonać, jak dalece możesz drażnić się ze mn proponuję, żebyśmy weszli do środka. I to natychmiast. Z największą przyjemnością ci pokażę. — Jego spięty głos zabrzmiał ostrzej, niż było intencją Harry’ego.

Słowa te podziałały na Desdemone jak kubeł zimnej wody. Jej błędzące spojrzenie nabrało ostrości, zacisnęła miękkie wargi.

— Drażnić się z tobą? — powtórzyła jak echo.

— Tak. Drażnisz się ze mn podniecasz mnie, nie dając możliwości zaspokojenia.

Położyła ręce płasko na jego piersi i lekko go pchnęła. Ja drażnię się z tobą? To ty nabiłeś mi głowę tymi wszystkimi

bzdurami. Ze jestem pustynią rzeką i twojąkrainą! Ciekawe jak nazywasz inne kobiety? Swoim kontynentem? Swoją półkulą?

Roześmiał się. Nie mógł się powstrzymać. A więc nie była tak obojętna na jego słowa, jak udawała. Miała wszystko, czego pragnął u kobiety: inteligencję i poczucie humoru, przebiegłość i hojność...

Uderzyła go pięścią w pierś.

— Na całym świecie nie ma bardziej nieokrzesanego, podejrzanego, nieromantycznego indywiduum — krzyknęła. — Dlaczego nie możesz być taki jak...

Przestał się śmiać.

— Jak kto?

— Jak... jak...

— Jak Blake? — dokończył cicho. Napiął mięśnie. Do diaska, nie zrezygnuje z niej dla tego nadętego durnia. Ani dla nikogo.

— No właśnie, jak lord Rayenscroft. — Ochoczo skorzystała z podpowiedzi. — On zawsze zachowuje się jak prawdziwy dżentelmen. Nigdy nie powiedziałby damie takich niemiłych rzeczy.

Boże, nienawidził sposobu, w jaki wymawiała nazwisko Blake’a. Jakby ogłaszała wstąpienie na tron nowego króla.

— Nie — przyznał. — Powiedziałby ci, że grozi mu, iż da się urzec twojej urodzie —

urodzie róży — a potem udałby się do jakiegoś burdelu, żeby zrobić to, co chciałby robić z tobą. Cóż, ja nigdzie nie pójdę, Dizzy.

Wiedział, że przyczyną jego gniewu była bezsilność. Bezsilność i zazdrość. Płonęły jasnym płomieniem, przemieniając w popiół niezłomne postanowienie, że nigdy nie będzie pragnął nieosialnego. Pozostawała jednak podstawowa prawda: kochał tę dziewczynę.

Desdemona zacisnęła zęby i zamierzyła się na niego z takim impetem, że niemal się przewróciła. Wykluczone, by o własnych siłach dotarła do domu.

Harry objął ją i przerzucił sobie przez ramię.

— Puść mnie! — zażądała. — Nie znoszę, jak się mnie tak nosi!

— Trudno.

Walila go pięściami w plecy. Nie zwracał na to uwagi, krocząc pustą ulicą w stronę domu sir Roberta. Wreszcie bez słowa postawił dziewczynę na progu i zastukał do drzwi.

Bezwładnie oparła się o ścianę. Kolana się pod nią ugięły. Ujął ją pod ramiona, a ona osunęła się na niego, wpatrując się wciąż w jego twarz.

— Czego ode mnie chcesz, Harry? — szepnęła. Jej oczy były całkowicie niewinne.

— Dizzy... — To wszystko, co powiedział. Pocałował ją namiętnie. Zaskoczona rozchyliła usta, a on skorzystał z tego, nie mogąc się powstrzymać, nie umiając przestać. Dobiegało go ciche westchnienie rozkoszy. Był to najśłodszy odgłos, jaki kiedykolwiek słyszał.

Przysunął się bliżej, ujął twarz Desdemony w obie dłonie i przechylił ją tak, żeby móc...

Nagle ulicę wypełnił turkot powozu. Harry uniósł głowę, oddychając ciężko. Powoli odzyskiwał panowanie nad sobą. Do diaska, całował się z Dizzy na ulicy, na oczach całego Kairu, jakby był jakimś wygłodzonym żołnierzem, a ona kobietą lekkich obyczajów.

A do tego wszystkiego odurzona haszyszem Desdemona nie za bardzo wiedziała, co się z nią dzieje.

Oparł ją o ścianę.

Oczy jej pociemniały, usta miała lekko nabrzmiałe. Pragnął znów skosztować ich smaku.

— Proszę — szepnęła. — Całuj mnie dalej.

— Niech Allah, Pan Bóg i wszyscy święci mają mnie w opiece.

— Drżącą ręką przesunął po jej włosach.

— Proszę.

Nachylił się nad nią. Powstrzymał go szcęk odsuwanej zasuwki.

— Nie mogę.

Pokręciła głową.

— Jasne. Nie zrobisz tego. Znów mnie odtrąciłeś. Jak wtedy.

15

Czy Sit! się obudziła?

Słyszając melodyjny głos Magi, Desdemona przekreśliła się na brzuch i ukryła twarz w poduszce. Nie chciała z nikim rozmawiać. Czowała się okropnie: była osłabiona, wstydziła się, wszystko wydawało jej się spowite mgłą.

— Widzę, że jaśnie panienka już nie śpi.

— Spię.

— A właśnie, że nie. -_ Magi była zuchwała jak nigdy. — Sitt się obudziła. Łatwo to poznać po tym, jak jęczy. Zupełnie inaczej niż przez sen. Chociaż „sen” to niezbyt ściśle określenie. Powinnam raczej powiedzieć „kiedy była nieprzytomna”.

Desdemona odwróciła głowę. Reszta ciała nie posłuchała jej.

— Nie czuję się najlepiej

— Och? Naprawdę? — Zagruchała Magi. — Okropnie mnie to martwi. Nie mam cienia wątpliwości, że twoje zakłopotanie znacznie przewyższa to, co czuli poniekąd, kiedy usłyszeli od Duraida, że wyslizgnęłaś się na suk i paliłaś haszysz.

Desdemona jęknęła.

— Albo kiedy się okazało, że zostałam porwana przez handlarzy niewolnikami.

Desdemona zamknęła oczy.

— Albo, że się upiłam sfermentowanym kozim mlekiem.

— Miałam ciężki tydzień.

— Jak mogłaś, Desdemono? — spytała Magi, porzucając słodki ton.

Tym razem Desdemonie udało się przekreślić na wznak. Magi stała nad nią, podparwszy się pod boki. Jej ciemne oczy rzucały gniewnie błyski. Chociaż leżąc na plecach, Desdemona znajdowała się w wyraźnie niekorzystnej pozycji, nie miała sił, żeby się podnieść.

— Nawet nie wiedziałam, że to haszysz.

— Powiedzmy. Nie jesteś głupia, Desdemono. Musiałaś podejrzewać, że nie zaciągasz się niewinnym sheesha.

Sheesha. Tytoń. Harry powiedział to samo... Ale przecież Joseph zapewniał ją, że...

Na wspomnienie Josepha usiadła prosto. Gwałtowny ruch wywołał silne łupanie w skroniach. Krzywiąc się z bólu, Desdemona chwyciła się za głowę.

— Gdzie są ostraki?

Magi lekko ją pchnęła z powrotem na poduszki, cmokając z niezadowoleniem.

— Nic im się nie stało. Harry oddał je sir Robertowi. Twój dziadek jest zachwycony.

Do diaska! Nie mogła prosić dziadka, żeby teraz je oddał. Musiała się pożegnać ze swoim pięciofuntowym zarobkiem. Wielkie dzięki, Harry. Czasami odnosiła wrażenie, że Braxton specjalnie stara się utrudnić jej powrot do Anglii. Pokręciła głową.

Cały poprzedni dzień stanowił plątaninę obrazów, dźwięków i wrażeń — a wszystkie w najwyższym stopniu wywoływały zażenowanie. Najbardziej niepokojące sceny związane były z Harrym. Pamiętała pocałunek. A może było to wspomnienie sprzed trzech lat? Czy haszysz mógł sprawić, by tak wyraźnie przypomniała sobie dotyk, zapachy oraz smaki? Tak, musiała ponownie przeżywać tamten dawny pocałunek. Czowała przecież dobrze znane rozczarowanie, bezsilność i osamotnienie. I skończyło się tak samo, jak wtedy — odtrącił ją. Boże, wszystko jej się miesza!

— Nie mogę beczynnie stać z boku i patrzeć, jak narażasz się na niebezpieczeństwo — zrzędziła Magi.

— Przepraszam. To się nigdy więcej nie powtórzy.

— Dobrze by było. Haszysz jest dla głupców — wykrzyknęła z pasją.

— W seraju wiele kobiet paliło haszysz i opium. Żeby uciec przed nudnym życiem i udawać się w snach tam, gdzie nie wolno im było iść na jawie. Żałosne istoty, z fantazji czyniły rzeczywistość.

— Nie martw się, Magi. — Desdemona była przekonana, że jeśli kiedykolwiek spojrzy jeszcze na hukę, nie nastąpi to prędko. Nie pamiętała, kiedy czuła się równie ociężała, otepiała... i potwornie upokorzona. A jeśli wydarzyło się naprawdę to, co niejasno sobie przypominała, z całą pewnością zasługiwała na miano idiotki.

— Musisz mi obiecać...

— Na litość boską Magi, obiecuję. Tobie i Harry'emu. We dwójkę powinniście otworzyć szkołę dręczenia. Nic dziwnego, że Harry jest taki dobry w swoim fachu. Terroryzuje klientów, żeby przystali na jego warunki.

— Cieszę się, że pan Harry palnął ci kazanie. — Prychnęła gospodyni. — Nie chcę ci

dokuczać, Desdemono. Chcę jedynie, żebyś była bezpieczna.

Widząc smutną minę Magi, Desdemona nagle uświadomiła sobie własną niewdzięczność.

Złapała kobietę za rękę i uściśniła ją. Magi naprawdę się o nią martwiła, jej miłość nie była udawana. Traktowała Desdemonę jak własną córkę.

— Wiem, Magi. Ale błagam, nie zamartwiaj się. Nie zamierzam już nigdy w życiu palić haszyszu.

— Dobrze. — Usłyszawszy to, co chciała usłyszeć, gospodyni natychmiast się rozchmurzyła. Uwolniła rękę i zaczęła się krzątać po sypialni.

— Desdemono? — rozległ się od progu głos sir Roberta.

Desdemona spojrzała na Magi. Jeśli dziadek dowiedział się...

— O niczym nie wie — szepnęła Magi.

Dziewczyna odetchnęła z ulgą. Gdyby sir Robert usłyszał o wczorajszej przygodzie, nie tylko przeczesałby Anglię w poszukiwaniu dawno zapomnianych krewnych, by uszczęśliwić ich jej osobą, ale złamałoby mu to serce.

— Dzień dobry, dziadku. Wejdz, proszę powiedziała, siadając na łóżku.

— Desdemono... — zaczął sir Robert i przystanął obok łóżka, spoglądając na nią z troską.

— Czy dobrze się czujesz, moja droga? Nie wyglądasz najlepiej.

— To tylko ból głowy — zapewniła go. — Zdaje się, że coś mi chciałeś powiedzieć?

— Tak, tak! Desdemono, stał się prawdziwy cud. Chyba znalazłem posążek Apisa. W Al Minja.

— Naprawdę? — Podciągnęła się wyżej, nie zwracając uwagi na nieznośne łupanie w głowie.

— Nikt w Kairze jeszcze o nim nie słyszał. Muszę się tam udać możliwie najszybciej. Zanim dowie się ten okropny Chesterton.

— Ależ naturalnie.

Sir Robert spojrzał na nią rozpromieniony, ale po chwili zmarkotniał.

— Zdajesz sobie sprawę z tego, że nie będę ci mógł towarzyszyć podczas piątkowego obiadu u tego Turka?

— Jest sekretarzem kedywa, dziadku. Kedywa — powtórzyła, widząc, że przyjął tę informację najzupełniej obojętnie. — Władcy tego kraju.

— Nieważne — odparł sir Robert. — Tak czy inaczej, chociaż miałem nadzieję, że będę towarzyszył tobie i młodemu lordowi Rayenscroftowi, zwyczajnie nie mogę nie skorzystać

z takiej okazji. Ach, jak pragnę urządzić cię odpowiednio w Londynie...

— Mnie urządzić? — Desdemona uniosła brwi. — Gdyby udało nam się sprzedać panu Schmidtowi posążek Apisa, spłacilibyśmy wszystkie długi i zorganizowalibyśmy wystawę objazdową twoich zbiorów...

— Och, pewnie. Ale jeszcze milej byłoby cię oglądać w ogrodzie, w otoczeniu spanieli i gromadki pyzaty, rumianych dzieci...

— Tak. — Kochany staruszek, zawsze bardziej martwił się jej przyszłością niż własną. — Miło. Ale nie aż tak, jak ujrzeć cię stojącego przed członkami Krajowego Towarzystwa Geograficznego...

Sir Robert zaczerwienił się.

— Tak, to by było cudowne. Ale myśl o twoich okrągłutkich szkrabach sprawia, że wszystkie marzenia o sławie wydają się nieważne...

— Tak. Cóż, dzieci to z pewnością wielka radość, ale jeśli ktoś może się podzielić wiedzą gromadzoną przez całe życie...

— Och, przestańcie obydwój! — przerwała im Magi. — Zawsze próbujecie przekonywać się nawzajem, jakie wspaniałe byłoby życie w Anglii. Można oszaleć! A dziś najważniejsze jest to, że Desdemona nie ma przyzwoitki.

— O, Boże — jęknęła Desdemona. — Nie martw się, moja droga. Niepotrzebna mi przyzwoitka. Doskonale sobie poradzę.

— Pewnie, że sobie poradzisz — przyznał jej rację sir Robert, wymownie wznosząc oczy.

— Ale tu nie o to chodzi. To kwestia zachowania pozorów. Należy przestrzegać pewnych zasad dobrego wychowania. Jako wicehrabia, lord Rayenscroft z pewnością przywiązuje dużą wagę do tych spraw. Nie chcielibyśmy mu sprawić zawodu, prawda?

— Jestem pewna, że lordowi Rayenscroftowi nie zależy aż tak na konwenansach.

— Być może, ale itak musimy zadać sobie pytanie, czy to stosowne? Mam na myśli, czy w Anglii byłoby to na miejscu? Nie chcemy, żeby lord Rayenscroft pomyślał, że tylko dlatego, iż mieszkamy w Egipcie, zapomnieliśmy, co wypada, a co nie, prawda? — Zmarszczył czoło. — Jest też jeszcze jeden problem, kto będzie wam towarzyszył jutro podczas wycieczki do Gizy?

— Z przyjemnością wystąpię w roli opiekunki — zgłosiła się Magi na ochotnika. Sabotaż był wypisany jasno na jej twarzy.

— Nie dziękuję, Magi — szybko zareagowała Desdemona.

— Obawiam się, że to niemożliwe — niespodziewanie poparł wnuczkę sir Robert. — Ale dziękuję ci. Jutro spodziewam się przesyłki z Anglii. Ktoś musi być w domu, żeby wszystkiego dopilnować. — W zamyśleniu potarł czoło. — Chyba mógłbym poprosić Harry’ego,...

— Za nic w świecie! — gwałtownie wykrzyknęła Desdemona.

Dziadek ze zdumieniem zamrugał powiekami.

— Chciałam powiedzieć: nie, dziadku. — Niezbyt dobrze przypominała sobie wczorajsze przeżycia, ale to, co pamiętała, wystarczyło, by pomyśleć, żeby Harry wystąpił w roli strażnika jej cnoty, wydał się nie tylko absurdalny, ale i upokarzający. O ile niczego nie myliła, poprosiła go, żeby się z nią kochał. Nie, Harry był ostatnim kandydatem na jej przyzwoitkę. Prawdę mówiąc, w ogóle nie nadawał się do takiej roli.

— Uważam, że to świetny pomysł, proszę pana — wtrąciła Magi.

Desdemona rzuciła jej groźne spojrzenie.

— Nieprawda.

— Dlaczego nie? — spytał sir Robert.

— Dziadku, przez pięć lat pozwalałeś mi cieszyć się pełną swobodą i kierować się własnym rozsądkiem. — Nie zwróciła uwagi na znaczące prychnięcie Magi. — Nie mogę nagle zacząć żyć według norm, do których nigdy się nie stosowałam i nie zamierzam się stosować. Nawet za cenę dobrego samopoczucia naszego gościa. — Uświadomiła sobie, że słowa, początkowo stanowiące jedynie wymówkę, były najszczerzą prawdą.

— Chyba masz rację, Dedemono. Dałem ci zbyt dużo swobody. — Robert Carlisle przesunął ręką po włosach. — Nie spisałem się najlepiej w roli opiekuna dorastającej panienki.

— Bzdury. Jesteś wspaniałym opiekunem.

— Nie — powiedział, kręcąc głową. — To nieprawda. Sciągnąłem cię do Egiptu. Przeze mnie narażona jesteś na towarzystwo takich szaleńców jak Chesterton i takich przestępców jak Paget. Dałem ci zbyt dużo swobody w jednych sprawach, a za mało w innych. W Kairze nie ma najlepszych warunków do wychowywania młodej damy. Ale jestem pewien, że kiedy wrócisz do Anglii, szybko nabierzesz odpowiednich manier. A jeśli chodzi o jutrzejszy dzień... — Westchnął ciężko. — Starąłem się najlepiej, jak mogłem. Nie będę próbował cię teraz ograniczać.

— Nojasne.

— Znow się spotykałaś z tymi Amerykanami, prawda? — Westchnął, właściwie nie spodziewając się odpowiedzi. — W takim razie bardzo dobrze. Masz moją zgodę, żeby bez niczyjej opieki udać się na wycieczkę z lordem Rayenscroftem. — Spojrzał na Desdemonę spod oka. Był przebiegły, ale mało subtelny.

— Dziadku, nie lepiej, żebyś zajął się swoim wyjazdem? — spytała. Opadła na poduszki i przymknęła powieki.

— Och, tak. Ruszam dziś wieczorem, jeśli udami się wszystko zała

— Nadal uważam, że Desdemona nie powinna pokazywać się sama z tym Rayenscroftem. Właściwie co my o nim wiemy? — Magi jeszcze nie dawała za wygraną.

Sir Robert przystanął z ręką na kłamce. Desdemona dosłyszała szczere zdumienie w jego głosie, kiedy odparł:

— Cóż za pytanie, Magi. Jest wicehrabią.

Harry zatrzymał się przed frontowymi drzwiami domu Carlisle'ów i wytarł dłonie o spodnie. Serce biło mu szybko, zasychało w gardle. Bał się.

Nie wiedział, ile z wydarzeń wczorajszego dnia pamięta Dizzy, ani do jakiego stopnia będzie go winiła za to, co się stało. Nie mógł zapomnieć wyrazu jej oczu, kiedy zarzuciła mu, że ją odtrącił. Znowu.

Ogarnęła go fala odrazy do samego siebie. Trzymał Desdemonę w ramionach i zachowywał się jak jakiś cholerny, zarozumiały błędny rycerz. Cóż z niego za skończony osioł. Ona była chętna, on bardziej niż chętny, a jednak się powstrzymał, kierując się kodeksem dżentelmena.

Stawał się dziwakiem. Dawał sobą powodować jakimś fantazjom równie osobliwym, jak fantazje Dizzy.

Zdecydowanie zapukał do drzwi i czekał. Po chwili Magi wpuściła go do środka. Z roztargnieniem rozejrzał się po ciemnym wnętrzu. Rzucił okiem na wytarty chodnik, ukruszona, gipsową sztukaterię w rogu sufitu. Sir Robert przeznaczał wszystkie fundusze na egipskie zabytki, których był zagorzałym kolekcjonerem. Niewiele pozostawało na zaspokojenie podstawowych potrzeb, nie mówiąc już o luksusach.

— Czy czegoś im potrzeba? — spytał Magi. — Czy potrzebują pieniędzy?

— Zawsze brak im pieniędzy. Ale... — Wzruszyła ramionami. — Nie wiem, czy domowy budżet jest bardziej zagrożony niż zwykle. Desdemona nie pozwala mi już zaglądać do

rachunków. Nie chce, żebym się denerwowała.

To go zaniepokoiło.

— Przyszedłem się z nią zobaczyć.

— Jeszcze nie wstała. — Związła odpowiedź dobitnie świadczyła o złym humorze Magi.

— W takim razie zobaczę się z sir Robertem.

— Wyszedł. — Gospodyni wyraźnie miała do niego o coś pretensję. Zazwyczaj była jedną z najbardziej rozmownych kobiet, jakie znał.

— Dobrze. W takim razie rzucę tylko okiem, jak Diz się czu...

Magi zablokowała mu drogę.

— Słuchaj, Magi. Nie zaciągnąłem jej do sklepu I-lassama i nie wepchnąłem jej siłą fajki wodnej do ust.

— Powinien pan lepiej pilnować Desdemony.

Uniósł ręce.

— Jak? Czego ode mnie wymagasz?

— Zeby ją pan poślubił.

Pokręcił głową.

— Ona mnie nie chce. Marzy o jakimś angielskim ideale cnót, cholernym rycerzu w lśniącej zbroi. I do diaska — mruknął — jej marzenia powinny się spełnić. Jeśli jest ktoś, kto na to sobie zasłużył, to z pewnością właśnie Diz. Sir Robert... — Z przejęcia na moment aż odjęło mu mowę. — Sir Robert opowiedział mi, jak wyglądało jej dzieciństwo.

Dizy czasem mówiła o swoim dzieciństwie, ale jej opowieści nie przygotowały Harry'ego na rewelacje, jakich dowiedział się od sir Roberta. Dopiero wysłuchawszy starszego pana, uświadomił sobie, że Dizy wymyśliła dzieciństwo, którego w rzeczywistości nigdy nie miała. Opowiadała o towarzyszach zabaw, którzy — o czym teraz wiedział — istnieli tylko w jej wyobraźni, o dziecięcych balach, które sobie zmyśliła.

W rzeczywistości zmuszana była do siedzenia bez ruchu przez całe godziny, do recytowania i uczenia się na pamięć...

Flarry przypomniał sobie inną scenę: skórzane pasy, którymi przywiązano go do twardego krzesła w pustej klasie; kropelki potu na twarzy, swędzenie wywołane przez szorstki wełniany sweter; wrzeszczący prosto do ucha głos: Czytaj, ty uparty osle! Czytaj!

Aż trudno sobie wyobrazić, że cudowne dziecko, absolutne przeciwieństwo tego, kim był on sam, cierpiało równe męki samotności i izolacji. Ale Dizy właśnie tego zaznała. Harry'ego

ogarnęły gniew i żal. Jego radosna, kochająca życie Dizzy...

— Chryste.

Spojrzał nad ramieniem Magi na dziedziniec, skąpany w promieniach słońca. Oczami duszy ujrzał małą dziewczynkę. Siedzi z podwiniętymi nogami i potajemnie czyta zakazane książki, które miały bawić, a nie uczyć, próbującą zdobyć trochę wiadomości o świecie i życiu, którego jej zabroniono, bo jest genialnym dzieckiem. Słońce świeciło zbyt ostro. Oczy Harry'ego zasły łzami.

— Uważam, że popełnia pan błąd, pozwalając jej jechać do Anglii. Uważam, że obaj, i pan, i sir Robert, popełniacie błąd. — Magi dotknęła jego ramienia. — Tutaj, w Egipcie, Desdemona żyje pełnią życia. Nie jest tylko widzem. Jest kimś ważnym. Jej talent się nie marnuje. Nikt nie ma jej za dziw natury. Gromadzi obowiązki, jak inne dziewczyny kolekcjonują wstążki do włosów: prowadzenie domu, uczenie Duraida, pomoc dzieciom ulicy. Sir Robert nie dostrzega zadowolenia, jakie z tego czerpie Desdemona, tylko sam wysiłek. — Pokręciła głową. — Wie jedynie, że została wychowana nietypowo i przysięgł sobie, że jej to wynagrodzi. Tak jak. pan. Obaj się mylicie.

Chociaż Harry bardzo tego pragnął, nie znalazł pocieszenia w tych zapewnieniach. Magi kochała Dizzy jak córkę. Zrozumiała, że nie chciała, by dziewczyna wyjechała. On też tego nie chciał. Ale nie mógł zapomnieć tamtej rozmowy z sir Robertem. Poza tym Egipt nie był tak bezpieczny jak Anglia, o czym mogli się aż nadto dobitnie przekonać w ostatnim tygodniu.

— Przepraszam, Magi. — Przemknął obok gospodyni. Podążając w głąb korytarza, usłyszał za sobą jej gniewne westchnienie.

16

Zaczerpnął głęboko powietrza i otworzył drzwi do sypialni Dizzy.

— Nic nie pamiętam — dobiegło go od strony łóżka, nim zdążył powiedzieć słowo. — Nic a nic. Co za obrzydliwe świństwo. Całkowicie pozbawiło mnie pamięci. Nie przypominam sobie w ogóle wczorajszego popołudnia. Kompletnie.

Harry miał ochotę się roześmiać w głos — z ulgi? z zachwyty? — ale tylko grzecznie chrząknął i czekał.

Po długiej chwili prześcieradło zsunęło się na tyle, by ukazały się spod niego zmierzwi

złociste włosy i dwoje spoglądających podejrzliwie przekrwionych oczu.

Nie byłoby chyba ładnie zmyślać jakieś okropne rzeczy, a potem mi wmawiać, że wydarzyły się naprawdę, nie sądzisz?

— Byłoby to wielce naganne.

— Do tego akurat jesteś zdolny. Więc z góry cię uprzedzam, że nie uwierzę w nic, co mi powiesz. W ani jedno słowo. Możesz sobie oszczędzić trudu.

— Widzę, że jesteś absolutnie nieugięta.

— Nie jestem w nastroju, żeby ze mnie żartowano.

— Jakże bym śmiał. — Podeszedł do łóżka i spojrział na Desdemonę. Ręce splótł za sobą, żeby nie porwać jej w ramiona. Jakoś udało mu się zachować obojętną minę.

— Nieprawda — oświadczyła oskarżycielskim tonem, trochę bardziej wysuwając spod koca bladą twarz o niezdrowym, żółtawym odcieniu. I dobrze, pomyślał Harry. Znalazła się amatorka mocnych wrażeń.

— Przysięgam. — Jeśli nie chciała pamiętać wydarzeń ostatniego wieczoru, on też uda, że o wszystkim zapomniał. Na razie.

Uniósł brew i spojrział na nią z góry z całą obojętnością, na jaką potrafił się zdobyć.

— Wiesz, odnoszę nieodparte wrażenie, że już kiedyś coś takiego przeżyłem.

Całkiem wysunęła głowę spod koca. Włosy opadały jej w nieładzie na ramiona, ciemne oczy błyszczały w bladej twarzy. Były podkrążone.

Jest śliczna, pomyślał ni z tego, ni z owego Harry, chociaż dostrzegł jej bojowy nastrój.

— Nie wiem, co chcesz przez to powiedzieć.

Znów powróciły między nimi dawne stosunki.

— Cierpiąca romantyczna heroina... — Zawiesił głos, jakby ten pomysł przyszedł mu do głowy dopiero co i nappełnił go niesmakiem. — Cierpiąca — powtórzył i pokiwał głową. — Niezbyt stosowne określenie, prawda? Wiesz, Diz, przeczytałem Wichrowe Wzgórze i nie przypominam sobie, by Catherine kiedykolwiek miała kaca... — zaakcentował ostatnie słowo, nie zważając na jej pebią oburzenia minę — ...a ty już drugi raz jesteś... ululana, że się tak wyrażę.

— Wypraszam sobie!

— Diz, chyba nie zamierzasz regularnie oddawać się takim przyjemnościom? Bo chociaż bardzo chciałbym być do twoich usług, mam zbyt wypełniony kalendarz, by tak często znajdować czas na nieprzewidziane akcje ratunkowe. Wiesz, jestem człowiekiem interesów.

Desdemona podparła się na wyprostowanych sztywno rękach. Włosy opadły jej na czoło. Spoglądała na niego groźnie ciemnymi oczami.

— Zadufany w sobie — jej głos przypominał warczenie — narcystyczny, egocentryczny... Nie zwracał uwagi na jej słowa.

— A więc o czym to mówiłem? Aha. Błada, drżąca heroina omdlewała w łożu, czekając na przybycie swego wybawcy. Spróbuj być bardziej omdlała, Diz. Wyglądasz na zbyt spiętą.

— Domyślam się, że to ty jesteś moim wybawcą?

— Cóż... — przyglądał włosy, uśmiechając się skromnie. — W ciągu jednego tygodnia dwa razy pospieszyłem ci na pomoc. Czyż nie zasługuję na miano bohatera?

Prychnęła lekceważąco i z impetem opadła na poduszki. Miliony drobinek kurzu uniosły się w powietrze i przez chwilę wirowały w smugach światła wpadającego przez otwarte drzwi balkonowe.

Wyglądała na wściekłą, ajednocześnie była zachwycająca, kiedy tak leżała w spranej pościeli w tym nędznym, dawno nieodnawianym pokoiku.

Nagle stwierdził, że stoi tuż przy łóżku, chociaż nie przypominał sobie, by zrobił choć jeden krok. Oczy Dizy były ciemne, tajemnicze i rozbijająco niewinne. Głośno przełknął ślinę.

— Jako dżentelmen nie domagałem się dotąd tego, co się należy bohaterowi — dobiegł go jego własny cichy głos. Jej oczy były coraz bliżej. Harry czuł, że traci poczucie czasu i miejsca — ale tym razem naprawdę nalegam, żebyś mnie stosownie wynagrodziła.

Słyszał jej oddech. Na wspomnienie miękkich jak aksamit, gorących warg ogarnęło go pożądanie. Pochylił się jeszcze niżej. Ujrzał, że jej oczy robią się wielkie, na szyi pojawia się leciutki rumieniec, a na twarzy wyraz zaskoczenia. Bliżej...

— Masz rację. — Desdemona odsunęła się gwałtownie. Harry wyprostował się i przybrał obojętną minę.

— Magi, wypoleruj tę głowę Anubisa — krzyknęła głośno. — Flarry domaga się nagrody za swe czyny.

Wybuchnął śmiechem.

— Naprawdę jesteś nieznośna.

Uśmiechnęła się, a on wyciągnął rękę i odgarnął jej włosy z czoła.

- Ran-y?

Jak atlas lub jedwab... Dlaczego nie ma lepszego określenia na coś tak zdrowego i pięknego, coś, co pełne jest życia, ajednocześnie posiada...

- Harry?

-Hm?

— Nie... nie powiesz nikomu o mojej wczorajszej... małej przygodzie, prawda?

Pozwolił, by pasmo jej włosów wysunęło mu się spomiędzy palców.

— Komuś takiemu, jak Blake?

Energicznie skinęła głową.

— Byłoby mi przykro, gdyby twój kuzyn poczuł do mnie niechęć. To, co się wydarzyło wczoraj, nie należy przecież do moich zwyczajów.

Nie chciałabym, żeby przez taki głupi epizod wyrobił sobie o mnie błędne mniemanie.

Blake. Który mógł dać Dizzy wszystko. Nazwisko z tradycjami. Dwór i dziedzictwo.

Szacunek ludzi.

Harry zasalutował żartobliwie.

— Droga Diz, Blake nie usłyszy ode mnie jednego słówka O twojej eskapadzie. Niech Bóg broni, by ujrzał w tobie coś innego niż różę, ideał kobiecości.

— Dziękuję. — Jeśli uświadamiała sobie, że z niej pokpiwa, nie dała tego po sobie poznać.

— Przysięgam sobie, że nie tknę już alkoholu pod żadną postacią — oświadczyła uroczyście. — Możesz się nie obawiać, że będziesz musiał znów odrywać się od interesów, by spieszyc mi na ratu

— Byłbym wdzięczny.

— Chociaż nie potrafię zrozumieć, jak można nazywać interesami trwające pięć sekund spotkanie w ciemnej alejce, kiedy towar i pieniądze w takim tempie zmieniają właściciela

— mruknęła cierpko.

— Interesy można robić wszędzie. A ostatnio na ulicy trafiają się wyjątkowe okazje.

Przez jej twarz przemknął cień. Harry zaniepokoił się.

— O co chodzi, Dizzy? Porucznik Huffy już ci nie zleca pisania listów do swojej boskiej Tani?

— Nie — powiedziała z roztargnieniem. — Nadal z regularnością zegarka zapewniam Tanię, że według porucznika Huffy'ego cały świat kręci się wokół niej. — Uśmiechnęła się z wysiłkiem. — Przypuszczam, że niebawem wyjedziesz do Luksoru po figurkę Apisa. I zainkasujesz dziesięć tysięcy dolarów.

— Ten posążek jest z kamienia, a Cala interesuje figurka z metalu. Coś mi się wydaje, że chodzi mu o złoto — wyjaśnił, przyglądając się jej badawczo. Rozpromieniła się. — Czy

właśnie w tym celu odwiedziłaś Josepha? Szukałaś Apisa?

Jej milczenie stanowiło wystarczającą odpowiedź.

— Tak bardzo ci na nim zależy?

— Niektórzy uważają że w życiu ważne jest jedzenie — odparła z irytacją. — Obawiam się, że należę do tej grupy ludzi.

— Za dziesięć tysięcy dolarów można kupić całą masę crme bruiće, Diz — powiedział z powagą.

— Crine bruiće? — Desdemona roześmiała się, szczerze rozbawiona. — Dziesięć tysięcy to tony owoców i warzyw, i chleba, i... Mając taką sumę można zapłacić rachunki, uregulować długi, zostać właścicielem domu z dachem, który nie przecieka, i oknami, które się domykają. Za dziesięć tysięcy dolarów mogłabym kupić fermę indyków, sukienkę, sfinansować serię odczytów dziadka. — Zamknęła oczy i uśmiechnęła się rozmarzona, rozkoszując się obrazami stworzonymi przez wyobraźnię.

Harry patrzył na nią, taką zadowoloną w tym odrapanym pokoiku, marzącą o rzeczach, których nigdy nie powinno jej brakować. Wyciągnął rękę i lekko musnął złociste włosy.

— Do zobaczenia później, Diz — szepnął i wyszedł.

Kiedy słońce minęło już w swej dziennej wędrówce najwyższy punkt na niebie, Harry udał się do dzielnic Kairu nieodwiedzanych przez Europejczyków, dzielnic, o których istnieniu nie mieli nawet pojęcia. Wypytywał pewnego księgarza i dwóch drobnych przemytników o posązek Apisa.

Nikt nie naprowadził go na trop. Nie zraziło go to jednak. Był człowiekiem cierpliwym, upartym. Musiał takim być. W przeciwnym razie nie zaszedłby tak wysoko z wykształceniem, jakie miał.

Nikt nie wiedział, jak zawzięcie walczył, by zrozumieć słowo pisane. Ani jak — gdy wszystkie próby okazały się daremne — znalazł inne sposoby uczenia się. Wiercił dziurę w brzuchu swoim siostrom i przekupywał je, by na głos czytały mu podręczniki, rymował nazwy, studiował ilustracje, wymyślał zgrabne hasła, by wspomagać pamięć.

Aż nagle cztery lata temu niespodziewanie odkrył, że istnieje język, który w formie pisanej jest dla niego dostępny.

Wpadł mu w ręce staroegipski rysik. Zaoferował go Simonowi Cliesteronowi. Simon z lubością gładził przedmiot, nalegając, żeby Harry też dotknął delikatnych, wypukłych wzorów, i mamrotał imię wypisane w kartuszu, kiedy Harry wodził palcem po hieroglifie.

Powtarzając to imię, Braxton zaczął przesuwać palcami po płaskorzeźbie. Kiedy przestał, nadal czuł w opuszkach jej kształt i zapamiętał znaczenie.

Jego dłoniom udało się to, co nie udało się oczom.

Pospiesznie opuścił dom Simona, oszołomiony dokonany właśnie odkryciem, pełen obaw i nadziei. W przeszłości też zdarzały się chwile, ulotne, nieprzewidywalne, kiedy słowa miały sens, kiedy fragmenty zdradzieckiej układanki tworzyły zdanie. Ale nazajutrz wszystko było po staremu. Może tym razem będzie tak samo. Jednak następnego dnia i jeszcze następnego potrafił przywołać w pamięci kształt kartusza i narysować go na piasku. Umiał dopasować słowo do obrazka, aż w końcu nie potrzebował już dotykać kartusza, by wiedzieć, co sobą przedstawia. Zdumiewające. Niesamowite. Potrafił odczytywać hieroglify, patrząc na nie.

I tak powoli, uparcie zaczął wzbogacać swój słownik o kolejne hieroglify. Pracowicie odwzorowywał rylcem piktogramy na cienkich arkuszach cyny, a potem wielokrotnie przesuwał palcami po wypukłym wzorze, aż pismo stało się dla niego czymś fizycznie namacalnym.

Metoda zdała egzamin. Potrafił czytać hieroglify. Nie tak dobrze, jak Desdemona — daleko mu było do jej biegłości — ale umiał je odcyfrować.

— Harry! Psst! Harry!

Rabi Hakim wyłonił się z cienia w pobliżu kawiarni o mało zachęcającym wyglądzie.

— Co ty tu robisz, Rabi? — zdziwił się Harry.

— Idę za panem. Chciałem spytać, czy przedstawił pan moją prośbę Sitt. Czy zwróci mi to, co jej pożyczyłem? Rozmawiał pan z nią?

— Owszem.

— No i? — spytał z nadzieją w głosie chłopak.

— Zapomnij o tym, Rabi. Masz mniej więcej taką szansę na odzyskanie tego, co jej dałeś, jak krokodyl na przebycie pustyni.

Chłopak skrzywił się i splunął na Ziemię.

— Cóż za uparta kobieta. Niczego jej nie dawałem.

— Nieważne. Ona to ma, a ty nie i nie widzę możliwości, by w najbliższym czasie to się zmieniło. Przestań ją niepokoić, Rabi.

Jacyś mężczyźni pojawili się na ulicy, najwyraźniej zmierzali do kahwi. Ale zamiast wejść do środka, zatrzymali się i zaczęli przyglądać się Harry'emu, szepcząc coś między sobą.

Cudzoziemcy nieczęsto zapuszczali się w te rejony.

— Uparta! — Rabi znów splunął.

— Dlaczego to takie dla ciebie ważne, Rabi? Większość z tego, czym handluje twój ojciec, to falsyfikaty albo rzeczy często spotykane, dobre, żeby je wciskać turystom, ale niewarte większego zachodu.

— To sprawa natury osobistej — powiedział krótko Rabi, spoglądając w kierunku mężczyzn stających przed niskim wejściem do kawiarni.

Harry nie dał się nabrać. Spróbował innej taktyki.

— Gdzie byłeś w zeszłym miesiącu? W Luksorze? W Guma? Czy twoim krewnym udało się jak rodzinie Rassula odkryć królewską kryptę w Dolinie Królów?

— Nie. — Rabi zacisnął usta.

Harry poddał się. Chłopak nic mu nie powie.

— No cóż, Rabi, póki twój ojciec nie będzie miał złotego posążka Apisa, nie niepokoiłbym ponownie Sitt Carlisie. Może kazać cię aresztować.

Rabi spojrział na niego spode łba i zasłonił dolną część twarzy skrajem kaff\$eh.

— Ta kobieta jest bardzo nierozsądna.

Nim Harry zdął mu przyznać rację, Rabi zniknął. Słysząc było tylko tupot jego kroków na bruku. Harry z uśmiechem wsłuchiwał się w ten odgłos, kiedy jego uwagę zwrócił jakiś ruch w pobliżu kawiarni.

Odwrócił głowę i zobaczył, że mężczyźni rozdzielili się na dwie grupki. Już nie wyglądali na takich obojętnych. Ich zamiary zdradzały ukradkowe spojrzenia, które między sobą wymieniaли. Z długiego doświadczenia Harry wiedział, jakie to zamiary.

Dwóch nieznajomych zbliżało się już do niego, podczas gdy pozostali zachodzili go od strony kawiarni. Najwyraźniej zamierzali zablokować mu drogę ucieczki.

Harry doszedł do wniosku, że nie są zbyt groźnymi przeciwnikami. Jeśli wystarczyła obecność chudego piętnastoletniego wyrostka, by ich zniechęcić, rozprawa z nimi nie powinna nastęrczać zbyt dużych trudności. Zgodnie z jego przypuszczeniami dwaj krzepcy mężczyźni tylko popatrzyli zmieszani, kiedy ich grzecznie przeprosił, prześlizgnął się obok i ruszył w górę ulicy.

Po chwili usłyszał za sobą głośny tupot nóg. Nieznajomi rzucili się za nim w pościg. Może według nich czterech na jednego to uczciwa walka, ale Harry był odmiennego zdania.

Przyspieszył kroku i z łatwością zwiększył dzielący go od pogoni dystans. Znalazł się na

główniej ulicy, przeklinając panujące tu wczesnym popołudniem pustki.

Nie było tłumu, w który można by się wmieszać, ani otwartych sklepów, do których można wejść. Niezbyt się tym przejmował, chociaż w pustych zaułkach wciąż rozbrzmiewały nawoływania tych, którzy go ścigali. Stawały się jednak coraz cichsze. Harry szedł szybkim krokiem, pewny, że niebawem zostawi nieznajomych daleko w tyle. Myślał gorączkowo, kto mógł ich na niego nasłać? Lista nie była wcale taka długa. Znajdował się na niej pewien Syryjczyk, który się obraził, że został przelicytowany. Szwajcarski diakon, który...

— Harry! — usłyszał głos Blake'a z drugiej strony ulicy.

Zaklął pod nosem. Blake był ostatnią osobą jaką chciałby teraz spotkać.

Przebiegł przez jezdnię, chwycił kuzyna za ramię i pociągnął za sobą.

— Uciekaj! Szybko!

— Na litość boską, człowieku! — warknął Blake. Twarz zrobiła mu się purpurowa ze złości. Wyrwał się Harry'emu. — Co ty robisz, do diabła?

— Blake, nie mamy na to czasu. Jacyś mężczyźni mnie gonią. Musimy uciekać.

— Co takiego przeskrobałeś?

Nie odpowiedział. Odgłosy pościgu stały się wyraźniejsze. Przed chwilą wydawało się, że jest aż nadto czasu, by umknąć, ale teraz Harry pojął, że to nieprawda. Napastnicy pojawiają się tu za kilka sekund.

— Cholera! — mruknął, rozglądając się wkoło.

Znajdowali się na małym dziedzińcu, od którego odchodziły dwa zaułki. Jeden, o czym Harry wiedział, zwężał się, a potem znów rozszerzał i prowadził aż do ulicy, biegnącej na tyłach jego domu. Drugi kończył się wysokim murem kilkaset metrów dalej.

— Tam. — Wskazał kuzynowi pierwszą alejkę. — Biegnij tamtędy. Trafisz prosto do mojego domu.

Blake nie poruszył się.

— Coż to bą?

— Potrzebujesz pomocy. Nie mam zamiaru znowu uciec — oświadczył Blake, z uporem zaciskając usta.

— Skąd cito przyszło do głowy? — Harry'emu kłamstwo nie sprawiało żadnej trudności.

— Ja pobiegnę w drugą stronę. W ten sposób ich zmylimy.

Blake zmarszczył czoło. Na twarzy malowały mu się dezaprobata pogarda.

— Uciekniesz tamtym zaułkiem?

— Tak, tak.

Czterech mężczyzn wpadło na dziedziniec. Zatrzymali się, dysząc i mamrocząc coś między sobą.

— Teraz! — Harry pchnął Blake'a w stronę alejki. Kuzyn nie do końca przekonany, rzucił mu ostatnie złe spojrzenie i pobiegł. Harry odskoczył do tyłu i zniknął Blake'owi z oczu. Nie było innego wyjścia. Blake, potężnie zbudowany, potrzebował trochę czasu, by przecisnąć się przez zwięźnięcie zaułka. Harry musiał maksymalnie długo zająć uwagę opryszków. Nie mógł dopuścić do tego, żeby Rayenscroft zaczął z nimi walczyć na pięści. Przestrzegając zasad fair play, nie wytrzymałby jednej minuty takiego starcia. W Kairze nie obowiązywał kodeks rycerski.

Harry natomiast nie miał takich skrupułów, co dawało mu pewne szanse.

Jeden z mężczyzn zbliżył się do niego. Wyszczrzył zęby w nieprzyjemnym uśmiechu.

— Przysłano nas z pewną wiadomością — powiedział.

17

esdemonu uśmiechnęła się rozmarzona na wspomnienie wydarzeń ubiegłego poranka.

Musiała wprowadzić jedynie niewielkie poprawki w opisie romantycznej scenerii i to też tylko przez wzgląd na swą mużę.

Wielkie piramidy przekłuwały" chmury unoszące się z głębin białej otchłani mgły ipnące się na niebieskie wyżyny. Wtym nierealnym świecie podróżowało dwoje śmiertelników — barczysty młody mężczyzna i dziewczyna u progu kobiecości. W milczeniu zbliżali się do arcydzieła zaginionej cywilizacji, zachwyceni jego widokiem.

Mężczyzna był niezwykle przystojny. Miał „yrazisty jastrzębi projil i bujne, kręcone włosy koloru..., kruczoczarnego. Czujnym, sokolim wzrokiem lustrował okolice, wypatrując niebezpieczeństw mogących zagrozić jego towarzysze. Co pewien czas wykrzykiwał rozkazy poganiaczom osłów które cierpliwie dreptały przez spalom" słońcem kraj. Starał się jak mógł, uchronić jadącą u jego boku kobietę przed jaskrawymi promieniami drażniącymi jej kremową skórę.

Westchnęła i wsparła brodę na dłoni. Nie tylko wczorajszy ranek był cudowny. Dalszy ciąg zapowiadał się równie interesująco. Wkrótce razem z lordem Rayenscrofem udadzą się na obiad do domu sekretarza kedywa, Abd al Jabbara.

Z roztargnieniem pomyślała o Harrym. Czy też tam będzie? Pewnie nie. Prawdopodobnie już wyruszył do Luksoru i nie zobaczy go przez kilka dni. To dobrze, będzie czas, żeby

lepiej poznać Blake'a. I żeby Blake stał się skutecznym antidotum na Harry'ego.

Harry. Wydawało jej się, że zna go równie dobrze, jak samą siebie. A nawet lepiej. Blake powiedział jej, że to pragnienie, by zdobyć pozycję i zyskać akceptację, tęsknota za tym, co posiadali Rayenscroftowie, a wreszcie nieudana próba osiągnięcia w Anglii sukcesu ostatecznie skłoniły jego kuzyna do wyjazdu do Egiptu.

Jeszcze tydzień temu uznałaby taką opowieść za bzdury. Ale w ciągu kilku ostatnich dni dostrzegła w oczach Harry'ego coś, czego istnienia wcześniej nawet nie podejrzewała.

Dosłyszała w jego głosie obce tony, widziała na jego twarzy wyraz niezaspokojenia. A może wszystko to jest jedynie wytworem jej bujnej wyobraźni? Niepokoilo ją, że Larry Braxton znów tak często zaprzęta jej myśli.

Zmarszczyła czoło i spojrzała na zegarek wiszący na jej szyi na złotym łańcuszku. Do przybycia Blake'a pozostało nieco ponad pół godziny. Musiała szybko znaleźć odpowiedni strój na dzisiejszy obiad. Najlepiej, gdyby suknia obszyta była metrami koronki.

Otworzyła olbrzymi zniszczoną szafę i ze zrezygnowaną miną obrzuciła spojrzeniem jej zaiartość. Kilka sukienek, smętnie wiszących w przestronnym wnętrzu, wyglądało skromnie i niemodne. Najprawdopodobniej dlatego, że były skromne i niemodne. I żadnej z nich nie zdobiły metry koronki. W domu Carlisle'ów stroje nie zajmowały pierwszych miejsc na długiej liście najpotrzebniejszych wydatków.

Desdemona zamknęła oczy, sięgnęła do szafy i na chybił trafił wyciągnęła pierwszą rzecz, która jej wpadła w ręce. Była to muślinowa suknia słomkowego koloru z uroczo udrapowaną górą i wykończonymi falbanką rękawami do łokci,

Przynajmniej nie będzie tym za gorąco, pomyślała, rozbierając się. Lord Rayenscroft zdawał się mieć szczególne upodobanie do świeżego wyglądu. Podczas ich wczorajszej wycieczki kilka razy zauważył, jak Desdemona świeżo wygiąda. Jemu samemu, biedakowi, przychodziło to z nieco większym trudem.

Zresztą nic dziwnego, jeśli się ma na sobie marynarkę, kamizelkę, koszulę, krawat i długie spodnie. Dizzy podziwiała taką niezłomność w przestrzeganiu zasad elegancji, chociaż zarazem budziła ona jej zdumienie.

Harry, gdy tylko znalazł się poza miastem, natychmiast zdejmował marynarkę. Chodził w samej koszuli, spodniach i kapturze, nakryciu głowy nonadów. Spod zawiniętych rękawów widać było opalone przedramiona. Luźny koniec turbanu opadał na kark. Harry lubił wygodę. I Swobodę. A jednocześnie zawsze wyglądał wyjątkowo męsko.

Cóż, wygoda to nie wszystko.

Lekkie pukanie obwieściło przybycie Magi akurat, kiedy Desdemona kończyła zapinać górę sukni.

— Ach, Magi, dobrze, że jesteś. Przyszedł w sarną porę, żeby mi pomóc.

— Jakież kłopoty?

— Ta suknia nie chce się dopiąć. I jest strasznie pognieciona. Wcale nie wygląda jak należy.

— Jak należy? — powtórzyła beznamiętnie Magi.

— Tak. Nie wygłąda, jak strój prawdziwej damy. Powinna być gładka, dopasowana.

— Obcisła.

— Tak.

— Odwróć się. Zawiązę cię.

Desdemona posłusznie odwróciła się do niej plecami. Magi ujęła dwa końce spłowiałej jedwabnej szarfy i mocno je szarpnęła.

-Aj!

Gospodyni zlekceważyła ten okrzyk i jeszcze raz pociągnęła, posapując z wysiłku.

— Dlaczego nie nosisz gorsetu? Wszystkie prawdziwe angielskie damy noszą gorset. Nigdy nie staniesz się obiektem westchnień prawdziwego angielskiego dżentelmena, jeśli nie będziesz ubierała się jak należy. Ach, tak. Zapomniałam. Nie cierpisz gorsetów. Może jednak nie jesteś prawdziwą angielską damą... skoro tak nienawidzisz gorsetów.

Desdemona odpowiedziałaby na tę impertynencję, ale nie mogła oddychać. Magi zawiązała wielką kokardę.

— Już przyszedł.

— Lord Rayenscroft? — z trudem wydusiła Desdemona, wsuwając palec pod szarfę, żeby ją trochę poluznić.

- Tak.

— No cóż, zaprowadź go do salonu — poleciła Desdemona. — I przynieś mu lemoniady.

Powiedz, że zaraz przyjdę. Damy nigdy się nie spieszą na spotkanie z dżentelmenami składającymi im wizytę... prawda? Czy zostało jeszcze trochę wody jaśminowej? Pamiętasz, gdzie ją postawiłam? Czy włosy mam dobrze uczesane? I czyste zęby? — Rozchyliła usta, żeby Magi mogła sprawdzić. — I nie patrz tak na mnie.

— Desdemono — powiedziała Magi — zasługujesz na to, żeby nosić gorset.

— Proszę się obudzić, master Harry.

Głos był znajomy, ale Harry nie mógł sobie przypomnieć, do kogo należy. Było mu gorąco, w głowie czuł łupanie, w boku rwący ból, a ramiona paliły go jakby...

Uniósł jedną powiekę i spojrzął w górę. Znow zamknął oczy. A niech to wszyscy diabli. Powiesili go za ręce niczym półtuszę wołowaw rzeźni pełnej owadów. Bzyczenie, które słyszał, nie było wytworem jego wyobraźni. Setki much krążyły mu wokół głowy.

Harry”emu nie tylko nie udało się zmylić napastników, ale dał się zdzielić w potylicę jak najbardziej naiwny turysta.

Z trudem przełknął ślinę. W gardle mu zaschło. Nie miał pojęcia, jak długo tu się znajdował. Słabe światło, pełzające po brudnym murze, świadczyło, że jest późne popołudnie. Musiał być nieprzytomny przynajmniej jedną dobę. Może, skoro nie pojawił się w domu, Blake się domyśli, że coś się stało i zorganizuje pomoc. Płonne nadzieje.

— No dalej, master Harry. Czekam.

Udało mu się przypomnieć, do kogo należy ten głos. Do Maurice”a Franklina Shappeisa, kierownika wykopalisk zatrudnianego przez muzeum w Kairze, póki Harry nie wbił sobie do głowy, że nie dopuści, by jeszcze jedno dziecko umarło w wyniku zarządzeń tego łajdaka. Nagle zrozumiał, skąd te muchy. Maurice raczej nie przestrzegał zasad higieny.

— Czy nie powinienes być martwy, Maurice? — spytał. — Myślałem, że twoi ludzie w końcu mieli ciebie dosyć i rozdarli cię...

Nie dokończył, bo Maurice zdzielił go pięścią w plecy, nisko, tuż nad nerkami. Harry poczuł przeszywający ból. Stracił oddech i zawisł bezwładnie. Ciężar ciała sprawił, że kości ramieniowe mało mu nie wyskoczyły z panewek.

— Czego chcesz, Maurice? — wysapał.

— Zebyś cierpiał. — Na twarzy o kobiecych rysach pojawił się słodki uśmiech. Chociaż Maurice posługiwał się francuskim imieniem, trudno było się domyślić, kim byli jego przodkowie: Słowianami, Francuzami, Włochami, Turkami... Różnie o tym mówił w zależności od okoliczności.

— No cóż, osiągnąłeś swój cel. Czy mogę już iść do domu?

Kolejny cios, tym razem wyżej, w żebra. Harry odnosił wrażenie, jakby miał plecy skopane przez muły. Jednak tym razem przygotował się na uderzenie. Nie stawiał oporu, starając się rozluźnić mięśnie. Jednak itak poczuł ątraszliwy ból. Kiedy był nieprzytomny, ten drań musiał mu coś zrobić.

— Daj spokój, Maurice — wystękał z trudem. — Rozumiem, że marzyłeś, żeby się na mnie

odegrać, ale nie wierzę byś to zrobił, nie mając na względzie jakichś dodatkowych korzyści. Jesteś zbyt doświadczonym człowiekiem interesów. Nie pozwoliłbyś sobie na podjęcie takiego ryzyka tylko dla zaspokojenia żądz zemsty.

— Jakiego ryzyka? — spytał Maurice.

— Nadal jestem obywatelem Wielkiej Brytanii, a ty...? Czy w ogóle jesteś obywatelem jakiegoś kraju?

Pytanie, pozornie retoryczne, wyraźnie zdenerwowało Maurice'a. Uderzył więźnia w twarz. Harry'emu aż odskoczyła głowa, zęby rozcięły wargę. Jęknął głośno, by Maurice wiedział, że jego ciosy są skuteczne. Nie ma sensu zachęcać go do specjalnych starań.

— Kto cię wynajął? — wychrypiał.

Shappeis wzruszył ramionami.

— Masz rację. Pracuję dla kogoś. Zarabiam o niebo więcej niż wtedy, kiedy dostawałem te nędzne grosze u Pageta. Właściwie powinienem ci podziękować, Harry.

W kąci oka pojawił mu się nerwowy tik. Maurice nie wyglądał na szczególnie wdzięcznego.

— Kto? — powtórzył Harry, rozglądając się po izbie. Była brudna i skąpo umeblowana. Znajdowały się tu jedynie stołek, krzesło i przykryty zatłuszczonym papierem stół. Na nim stał gliniany dzbanek, a obok leżała pękata atlasowa sakiewka.

— Mój zleceniodawca woli zachować anonimowość. A jeśli chodzi o zapłatę... — Maurice wskazał sakiewkę. — Mam się postarać maksymalnie uprzykrzyć ci życie.

— Dlaczego?

— Łatwo robisz sobie z ludzi wrogów, Harry. Nikt nie lubi wychodzić na głupca. Nadal wykorzystujesz kobiety? — spytał po chwili, przyglądając się więźniowi badawczo. — Na przykład piękną panią Douglass?

— Nie wiem, o co ci chodzi.

Maurice roześmiał się.

— Och, wiele się o tobie dowiedziałem od naszego ostatniego spotkania, Harry. Potraktowałem to jako swój obowiązek. Sprawa, wiesz wrażenie, jakby na niczym ci nie zależało. Ale ja wiem, że to nieprawda. Dobrze maskujesz swoje uczucia. Kto by na przykład pomyślał, że tak bardzo się przejdziesz śmiercią jednego małego arabskiego bękarta? — Chociaż mówił łagodnym tonem twarz wykrzywił mu złośliwy grymas.

— Więc na kim, na czym ci zależy? Bo nie ita! tej angielskiej wdówce, która się za tobą

ugania.

Harry przesunął językiem porózcniętej wdze.

— Na swojej kolekcji? — ciągnął Maurice, nie odrywając wzroku od twarzy Harry'ego.

— Tak.

— Na sir Robercie, na panie Carli... — W oczach Maurice'a pojawił się niepokojący błysk. — Ach! Panna Carlisie! Poznają to po twoim spojrzeniu, po tym, jak napiąłeś mięśnie na dźwięk jej nazwiska. — Odrzucił głowę do tyłu i zaśmiał się głośno. — Panna Carlisie! Kto by pomyślał! Chociaż z drugiej strony jakie to smutne. Ta dziewczyna traktuje cię jak powietrze.

Harry zaniemówił, mógł tylko patrzeć. Czuł, jak krew ścina mu się w żyłach. Wściekłość mało go nie zadusiła. Szarpnął się gwałtownie, niepomny na sznur, którym był związany.

— No, no, Harry... — Maurice cmoknął, cofając się o krok.

— Zostaw ją w spokoju. Nie waż się nawet na nią spojrzeć,

Ach, już się jej przyjrzałem. Bardzo smakowity kąsek. Ale zapłacono mi, żebym tobie sprawił ból, a nie ślicznej małej Desdemonie. Więc... — Wzruszył ramionami. — Zastosuję się do tego. Jednak kiedy skończę z tobą... może pewnego dnia z własnej inicjatywy złożę wizytę panie Carlisle.

Rozwścieczony Harry skoczył do przodu. Powróż mocniej werznął się w przeguby rąk. Nie zwracając uwagi na ból, więzień szarpał się nadal. Krew pulsowała mu w skroniach.

Maurice roześmiał się złośliwie. A potem posypały się kolejne razy.

*

Desdemonie udało się nakłonić lorda Rayenscrofta, by udali się pieszo do znajdującego się w pobliżu pałacu Jabbara. Skręciwszy za róg bulwaru, ujrzeni przed sobą Nil toczący gładkie wody koloru herbaty. W oddali lśniła w słońcu piramida, malutki stożek polyskujący wśród rozgrzanego, drgającego powietrza.

— Jestem zaskoczony, że widać ją aż tutaj — powiedział lord Rayenscroft, prowadząc Desdemonę nadrzeczną promenadą.

— Tak. Wspaniale, prawda? Podobno ostatni mamelucki bej, ten pokonany przez Napoleona, dawał ze szczytu piramidy Cheopsa znaki swojej żonie Fatimie, kiedy zapłacił za nią cesarzowi okup.

— Ileż wiedzy mieści się w tej ślicznej główce. — Lord Rayenscroft ujął dłoń Desdemony i

uniósł do swych ust. — Nie miałem jeszcze okazji, panno Carlisie, podziękować pani za piękną wycieczkę.

Ucałował jej dłoń, nie odrywając wzroku od twarzy dziewczyny. Miał duże, białe ręce, bez szram i nagniotków, ręce arystokraty.

— Ależ nie ma za co, milordzie — powiedziała grzecznie Desdemona, obserwując, jak słońce rozświetla jego czarne, lśniące włosy. — Kiedy się rozstawaliśmy, odniosłam wrażenie, że się pan dokądś spieszył. Mam nadzieję, że nie chodziło o żadne przykre obowiązki?

— Och, nie. Skądże znowu. To wszystko wywarło na mnie takie wrażenie, że... Czułem, że potrzeba mi odrobiny samotności, by ochłonać.

— Rozumiem. Na mnie piramidy też robią takie wrażenie — Skinęła głowa, zadowolona, że reagują tak samo. — Mam nadzieję, że nie zanudziłam pana zbyt dużą ilością szczegółowych informacji? — dodała zaniepokojona. Raz czy dwa podczas wycieczki przemknęło jej przez myśl, że być może lorda Rayenscrofa nie fascynują ątak bardzo jak ją zwyczaje mieszkańców starożytnego Egiptu.

— Skądże znowu — zaoponował. Puścił jej dłoń i oparł się o barierkę. Lekki wietrzyk rozwiewał mu długie, czarne loki. — Jest pani wspaniałym przewodnikiem. Prawdziwa skarbnica wiedzy. Pani wykład o metodzie balsamowania zwłok był fascynujący. A ileż pani wie o preparowaniu wnętrzości!

Desdemona roześmiała się skrzepowana.

— Obawiam się, że czasami daję się ponieść. Mieszkam tu od tylu lat, że zapominam, jak należy prowadzić grzeczną rozmowę. Proszę mi wybaczyć.

— Ależ nie ma mnie pani za co przepraszać. Wszystko było bardzo ciekawe. To, co mówiła pani o tych urnach, koptach...

— Kanopach — poprawiła go. — Koptowie to lud.

— Mniejsza z tym. — Powiódł wzrokiem po jej twarzy, jej ramionach, jej...

— A podobał się panu wschód słońca?

— Bardzo — wymamrotał. Cofnęła się o krok. W jego spojrzeniu dostrzegła coś zmysłowego, do czego nie była przyzwyczajona. Krępowo ją to. Zawsze, kiedy mówiła, przesuwał oczyma po całej jej postaci, nie ograniczał się do patrzenia na twarz. Niemal rozbierał ją wzrokiem, uświadamiał, że jest kobietą. Jedną z wielu. Odpędziła tę niemiłą myśl.

— Pierwsze promienie słońca, padające na piramidy to najbardziej niezwykły widok, jaki można obejrzeć w Egipcie — usiłowała podtrzymać rozmowę.

— Ale było jeszcze coś, bliżej mnie, co bardziej przykuwało moją uwagę — powiedział Blake. — Jest pani prześliczna— szepnął jej do ucha.

— Och, nie. — Uniosła rękę do szyi.

Sprawił, że zapomniała o cerowanych sukienkach, wydatkach i przychodach, które nie chciały się bilansować, bezdomnych sierotach, długach dziadka. Pojawił się prosto z kart jej ulubionych romansów i uznał ją, właśnie ją, za zachwycającą. A jednak nie mogła odpędzić nieprzyjemnej myśli, że godna jest podziwu nie tylko z uwagi na swą urodę. Potrafiła tłumaczyć...

— Widzę, że jestem zbyt śmiały. — Jego cudowne oczy nagle się zachmurzyły. — Ale nigdy nie spotkałem takiej kobiety jak pani. Jest pani wyjątkowa. Jeśli zachowuję się nadmiernie bezpośrednio, proszę mi wybaczyć. Nie chciałbym pani obrazić. Niektórzy mogliby powiedzieć, że życie obeszło się ze mną brutalnie. Może to wpłynęło na moje maniery.

Zatrzymała się i odwróciła. Jej skrępowanie zniknęło, zastąpiło je współczucie.

— Panna DuChamp? — Wymknęło jej się, nim zdołała się powstrzymać. Wstrząśnięta własną zuchwałością, zasłoniła usta dłonią i popatrzyła skonsternowana na swego towarzysza. — Przepraszam, lordzie Rayenscroft.

— Nie ma za co. — Rysy jego twarzy stały się napięte. Z trudem zmusił się do uśmiechu.

— I proszę mówić mi po imieniu. A ja chciałbym móc nazywać panią Desdemoną.

— Cóż, zgoda. Jestem pewna, że nikt nie uzna tego za niestosowne. Tworzymy tu małą, zamkniętą społeczność.

— Domyślam się. A w jak bliskich stosunkach jest pani, Desdemono... — Oczy mu błysnęły. — ...zmoim kuzynem?

— Z Harrym? — Zamrugła powiekami. — Harry jest... Harry i ja nie... nie uważa mnie za... nigdy nie... — Urwała, czując, jak na wspomnienie namiętnego pocałunku sprzed kilku dni pieką ją policzki. — Jesteśmy przyjaciółmi — dokończyła nieprzekonująco. Mówiła prawdę, a jednak słowo to nie wydawało się odpowiednie.

— To dobrze — odparł z mocą Blake. — Podczas pobytu w Egipcie u Harry'ego jeszcze silniej uwydatniły się złe strony jego charakteru. Byłoby mi przykro, gdyby się okazało, że pozostajecie w zanadto zażyłych stosunkach. Mimo wszystkich swych braków mój kuzyn

posiada nieodparty urok osobisty.

Chrząknęła zmieszana.

— Chyba można tak powiedzieć. Co ma pan na myśli, Blake, mówiąc złe strony charakteru?

Spojrzał na nią z poważną miną.

— Wczoraj po południu wdał się w uliczną bójkę z jakimś prostakami. Niewątpliwie oszukał ich. Kazał mi i kiekać, nie pozwalając się zmierzyć z przeciwnikiem. Niezbyt mi to odpowiadało, ale jeszcze mniejszą ochotę miałem na skrzywdzenie ludzi, którzy nie wiem, czy sobie na to zasłużyli. I rzeczywiście moje najgorsze podejrzenia się potwierdziły. Harry, zamiast mnie później odnaleźć i wyjaśnić, co zaszło, zniknął. Przypuszczam, że wstydził się spojrzeć mi w twarz. Trudno byłoby mu się przede nią przyznać do winy.

Desdemona zmarszczyła czoło.

— To niepodobne do Harry’ego. Nie myli się pan?

— A cóż pani wie o Harrym, Desdemono? — spytał Blake i uderzyło ją, że zrobił to w tym samym momencie, kiedy właśnie sama zadała sobie to pytanie. — Zapewniam pani że nie jest takim człowiekiem, za jakiego go pani uważa. Nie jest taki, jak to sobie pani wyobraża.

- Ale...

— Nie powiem ani słowa więcej. — Ujął ją pod łokieć i poprowadził w stronę bramy pałacowego ogrodu.

Podbiegł do nich mały, obdarty arabski chłopiec.

— Sld! Sld! — pociągnął Blake’a za skraj marynarki. — Pan kupi skarabeusza. Ładna ant/ka. Bardzo stara. Należęć do faraon.

Desdemona przystanąła. Poznała Salika. Chociaż miał trzynaście lat, wyglądał zaledwie na osiem. Umorusany był jak nieboskie stworzenie.

Pochyliła się i spojrzała na brudną rączkę, na której leżała grudka gliny. Została pomalowana na jaskrawy niebieski kolor, ale farba łuszczyła się, a nacięcia były niechlujnie wykonane.

— Chłopak prosi o bakszysz? — spytał Blake, szukając w portmonetce monety.

— Nie. — Salik rzucił spojrzenie spode łba. — Nie jestem żebrakiem. Sprzedaję arnika, zabytkowe przedmioty. Dobre. Stare.

— Cóż, ten z całą pewnością do nich nie należy, Saliku — powiedziała surowo Desdemona, kładąc małego żuczka z powrotem na otwartej dłoni chłopca. — Proszę, niech pan schowa

pieniądze, Blake.

Chłopak próbował oponować.

— Już ci mówiłam, Salik. Powinieneś się mnie słuchać. Odszukaj Matma. On cię nauczy, jak robić skarabeusze.

Chłopiec nachmurzył umorusaną twarz.

— Dam sobie radę bez Matma. Sprzedaję dużo, dużo skarabeuszy.

— Sprzedawałbyś znacznie więcej, gdybyś pozbył się tej głupiej dumy i uczył się od mistrza — odparła.

— Akurat! — mruknął Salik, odwrócił się tyłem do Desdemony i wyciągnął chudą kościstą rączkę do Blake'a. — Dobry pan kupić antyka? Zabrać do domu, zrobić paniom niespodziankę — powiedział, przysuwając się bliżej.

— Na Boga, Desdemono — wykrzyknął Blake — zna pani tego uliczika?

— Tak — powiedziała Desdemona, patrząc ponuro na Salika.

— No cóż — stwierdził Blake. Dał chłopakowi monetę, którą wyciągnął z portmonetki. — Musimy nagrodzić takiego przedsiębiorczego młodzieńca.

Salik porwał pieniądze i szybko uciekł,

Blake odwrócił się do swojej towarzyszki z szerokim uśmiechem na twarzy.

— Pomysłowy mały diabełek.

— Owszem.

— Nie wygiąda pani na zbyt zadowolony Desdemono. Czy powinienem dać mu więcej?

— Nie. — Westchnęła. Od wielu miesięcy próbuję nakłonić Salika, by przyłączył się do Matma. Chłopak mógłby nauczyć się czegoś pożytecznego i zarabiać na życie, zamiast zadowalać się miedziakami za te śmieci, które próbuje wciskać jako skarabeusze.

— Do Matma?

— Tak, to prawdziwy geniusz, jeśli chodzi o podrabianie... wytwarzanie kopii skarabeuszy.

Większość ludzi nie potrafi ich odróżnić od oryginałów.

— Widzę, że styka się pani w Egipcie z wielce interesującymi ludźmi.

— Prawdę mówiąc, kupiłam od Matma kilka skarabeuszy, nim się zorientowałam, że to nie oryginały.

Pani? — spytał ze zdumieniem Blake. — Przecież zna się pani na tym, Desdemono.

— Znam się na językach — poprawiła go. Nie jestem egiptologiem. Wiem co nieco, mam dość dobre oko, ale z całą pewnością nie mogę się uważać za takiego eksperta jak mój

dziadek albo Harry.

Na dźwięk tego imienia Blake znów spowaźniał. Desdemona zrezygnowała z prób zrozumienia natury rywalizacji między kuzynami. Bo rywalizacja niewątpliwie istniała. Cóż mogło powodować aż taką wzajemną niechęć? Westchnęła.

— Tak czy inaczej, Matm ma teraz własny warsztat.

Warsztat?

— Prawdę mówiąc, to mała ferma indyków. Chłopcy robią skarabeusze, a potem karmią nimi... — Urwała. W żaden sposób nie mogła powiedzieć Blake'owi, że soki trawienne indyków nadają skarabeuszom odpowiednią patynę. I że potem postarzone w ten sposób skarabeusze trzeba wygrzebywać z ptasich odchodów. I że pomogła Martinowi znaleźć kupców na jego towar — za małą prowizję. Młoda angielska dama nie powinna się zajmować czymś takim.

Blake czekał. Na jego poważnej, przystojnej twarzy malowało się zaciekawienie.

— Właściwie to nic ciekawego — powiedziała. Słowa te zabrzmiały zupełnie nieprzekonująco.

18

ani Douglass, proszę skosztować. Bardzo słodkie. Bardzo ładne — powiedział Jabbar, sekretarz kedywa, przerywając Simonowi Chestertonowi w pół zdania.

Marta spojrzała na piramidę owoców na srebrnej paterze, którą podsunął jej jeden z licznych milczących służących.

Na śniadej twarzy Jabbara malowała się coraz większa desperacja. Wieczór zbliżał się ku końcowi, czego nie można było powiedzieć o tyradzie Simona na temat niesprawiedliwych praw co do prowadzenia wykopalisk przez archeologów francuskich i angielskich.

— A może coś z serów?

Piękna wdowa wzięła z patery plasterki melona i podsunęła go pod nos Calowi Schmidтови.

— Chcesz trochę?

Cal zmrużył oczy, aż w ich kącikach pojawiły się kurze łapki. Zamiast wziąć dojrzały, soczysty owoc z palców Marty, ujął jej dłoń i nakierował ją tak, by smakołyk trafił prosto do jego ust.

— Z największą ochotą miła pani.

Pod wieloma względami — i to z pewnością tymi najważniejszymi — wysoki Amerykanin

był równie dorosły, jak ona. Przez ostatnich kilka dni nie odstępował jej na krok, wcale nie kryjąc swych zamiarów. Początkowo ją tym bawił, a w końcu oczarował. Jego bezpośredniość i materializm, którego wcale się nie wstydził, stanowiły przyjemny kontrast z angielskim pozerstwem. I nawet jeśli Calowi brakowało subtelności, nadrabiał to wrodzonym sprytem.

Cal puścił jej rękę i zrobił do niej perskie oko.

Naturalnie, pomyślała Marta, mimo licznych zalet daleko mu do l-larry „ego, z jego inteligencją przyprawioną ostrą ironią z wyrafinowaktóremu towarzyszyła pewna szorstkość. Harry wiele przeszedł. Trudno powiedzieć, w jaki sposób życie go doświadczyło, ale że tak było nie ulegało wątpliwości. Pozostawiło to na jego osobowości delikatne i... prowokujące blizny.

— Proszę, pułkowniku Chesterton. Niech pan się poczęstuje! — nalegał Jabbar, przerywając rozmyślenia Marty.

Paget, reprezentujący na przyjęciu Franę, nie zwracał uwagi na potok słów Simona.

Wszystko to już słyszał. Zresztą zbyt był zajęty jedzeniem.

— Gdyby wasz sułtan pozwolił Anglii zamiast Francji kierować Muzeum Kairskim...

— Proszę, pułkowniku Chesterton, koniecznie musi pan spróbować figę. — Jabbar wsunął pomarszczony, brązowy owoc prosto w otwarte usta Simona. Chociaż był to gest zażyłości dopuszczany przez turecką etykietę, Marta nie miała wątpliwości, że tym razem miał podwójny cel. Figa była wyjątkowo duża.

Jabbar z wyraźną satysfakcją opadł na krzesło, wykładane hebanem i malachitem. Klasnął w dłonie. Pojawił się oddział służących. Ze stołu zabrano śnieżnobiały lniany obrus i przed gośćmi pojawiły się kryształowe misy z ciepłą perfumowaną wodą. W każdym naczyniu pływał hiacynt. Wcześniej jedli na szczyrolotych talerzach.

Tyrania też ma uroki.

— Słyszałem o pani niesłychanych uzdolnieniach lingwistycznych, panno Carlisle — powiedział gospodarz. Zanurzył palce w wodzie i czekał, aż służący je osuszy. — Czy to prawda?

Pozostali goście grzecznie zwrócili spojrzenia na Desdemonę siedzącą obok Blake'a, który patrzył na nią z miną posiadacza.

— Musi pani być z tego bardzo dumna — mówił Jabbar.

Desdemona wykrzywiła usta. Kobieta w obecności mężczyzn powinna pilnować wyrazu

twarzy, pomyślała Marta. Wielka szkoda, że pani Carlisle nie żyła wystarczająco długo, by przekazać córce takie podstawowe wiadomości.

— Ponieważ przychodziło mi to z łatwością — odparła wolno Desdemona — chyba nie mam prawa się tym specjalnie szczycić.

— Jest pani zbyt skromna.

— Nie — upierała się. — Nie jestem. Czytanie w różnych językach nie sprawiało mi najmniejszych trudności.

— To bardzo ciekawe — powiedział Jabbar. Kiwnął dłonią i pękate kieliszki do wina zostały zastąpione smukłymi kieliszkami do szampana. Jak na sługę wschodniego despoty, Jabbar miał niezwykle europejskie upodobania.

Desdemona wygładziła muślinową suknię. Kiedyś — przynajmniej trzy sezony temu — można było uznać, że kreacja ma kolor słomkowy. Jednak teraz była zwyczajnie „nie biała”. Marta wzdrygnęła się z niesmakiem. Bez względu na sytuację finansową, kobietę musi zawsze być stać na nowy strój. I naprawdę Desdemona powinna odsłaniać więcej ciała, jeśli chce utrzymać zainteresowanie lorda Rayenscrofta. Marta zamierzała już o to zadbać.

— To niezwykle fascynujące, panno Desdemono — zauważył Cal. — Potrafi pani czytać w dwunastu językach? Każde słowo? Nawet zaimki?

Zaczerwieniła się. Bardzo dobrze. Mężczyźni w rodzaju Blake’a Rayenscrofta lubią, kiedy dziewczęta się czerwienią.

Tak — powiedziała onieśmielona.

— Nawet po łacinie? — dopytywał się Cal.

— Tak. I po grecku, hebrajsku, szwedzku...

— Jakie to osobliwe! — wykrzyknęła Marta. Blake rzucił jej gniewne spojrzenie. — I naturalnie czarujące. Nigdy nie słyszałam o czymś takim.

— Rzeczywiście to potrafi. — Simon energicznie pokiwał głową. — To wszystko zasługa anglosaskiej krwi. O wiele lepiej przystosowanej do wysiłku umysłowego niż gorąca krew...

— Rzucił złośliwe spojrzenie Pagetowi. — ...innych nacji.

— Wolnego, proszę pana — zaprotestował ze śmiechem Amerykanin.

— Chyba pan nie wierzy w to, co mówi.

— Naturalnie, że wierzę! Według pana, ile francuskich smarkul zna pięć języków. nim skończy osiem lat? Jak inaczej można to wytłumaczyć?

— Wrodzoną inteligencją? — rzucił cierpko Blake.

Marta uśmiechnęła się. Wszystko szło po jej myśli. Rozsiadła się wygodniej, zamierzając całą uwagę poświęcić Calowi, kiedy dostrzegła minę Georges'a. Widocznie wyczerpała się jego cierpliwość. Dopił wino i głośno odstawił kieliszek.

— Inteligencja nie jest wyłącznym przywilejem Anglików...

— Ale tu chodzi o inteligencję w połączeniu z brytyjskim opanowaniem — przerwał mu bezceremonialnie Simon. — Kiedyw powinien wiedzieć, że te cechy bardziej predysponują Angli...

Jabbar wetknął drugą figę prosto w usta pułkownika.

— Jestem niezwykle zaintrygowany, panno Carlisle — powiedział Cal.

— Jak można mówić językiem, którym nie posługiwano się od tysiący lat? Czy może nam to pani zademonstrować? — Pochylił się do przodu i splótł palce w pozie oczekiwania.

— Och, nie. Nie mogę. Widzi pan, nie potrafię mówić tymi językami, umiem je tylko tłumaczyć. — Desdemona poprawiła się na krześle.

Głupia dziewczyna. Powinna wykorzystywać każdą okazję, by pobudzać zainteresowanie lorda Rayenscrofta. Szczególnie tutaj, teraz, pod nieobecność l-larry'ego, pomyślała Marta. No cóż, trzeba wkroczyć.

— Moja droga — zwróciła się do młodej kobiety. — Zaprezentowanie pani umiejętności byłoby uroczym przer'wnikiem tej... rozmowy. Jestem pewna, że wszyscy chętnie poznamy sposób myślenia Egipcjan.

— Aleja nie znam żadtych prawdziwych egip...

— Z chęcią wysłucham' czegokolwiek — oświadczyła cierpko Marta, rzucając wymowne spojrzenie na Simona, który prawie już skończył przełykać figę.

— Och! — Desdemona, chociaż zupełnie ślepa, jeśli chodzi o Harry'ego, nie była przecież głupia. Wyświadczy tę przysługę gospodarzowi, by pomóc mu wybrnąć z niezręcznej sytuacji. Naturalnie. Niech się zastanowie. — Zamilkła najwyraźniej szukając czegoś odpowiedniego. — Ach, tak. Ostatnio przeczytałam ten uroczy wiersz miłosny. Z okresu Nowego Państwa. — Uśmiechnęła się figlarnie. — Tak sędę. — Odchrząknęła i zaczęła deklamować

Nim odeszłam od brata,
powiedziałam do niego."

Gdy przestałeś mnie kochać, serce we mnie umarło „,

Patrzę na słodki placek, jak się patrzy na sól, słodki sok moim ustom tak smakuje jak żółć. Tylko tchnienie ust twoich życie sercu przywróci. Jesteś mój, niech mi Aton odda ciebie na wieki.

— Powiedziała pani Aton? — spytał Simon.

Georges znieruchomiał z widelcem uniesionym do ust.

— Gdzie pani przeczytała ten nadzwyczajny tekst? — szepnął.

— To papirus, rzekomo napisany na osobiste żądanie samej Nefretete. — Desdemona szczególnie zaakcentowała słowo „rzekomo”.

— Nefretete? — spytał Cal.

— Gdzie, u iiaska... — Simon złapał gospodarza za rękę, gdy ten chciał wetknąć mu kolejną figę. — Niech pan przestanie, Jabbar. Gdzie, u diaska, natrafiła pani na ten papirus, panno Desdemono?

— Nabyłam ten zwój, kiedy w zeszłym tygodniu odwiedziłam obóz Tuaregów.

— Gdzie jest ten obóz? — Simon nachylił się nad stołem, podpierając się ciężko na grubych rękach. Koniec brody zanurzył mu się w misie z wodą.

Zainteresowanie Marty wyraźnie wzrosło. Czyżby dziewczyna naprawdę natknęła się na coś oryginalnego? Strąciła z kolana rękę Cala, czujnie obserwując reakcję Simona i Georges'a.

— Och, pułkowniku Chesterton! — Desdemona roześmiała się. — Przepraszam, że sobie z pana zażartowałam, Mogę zapewnić, że papirus nie jest autentyczny.

— Ach. No tak, oczywiście. — Simon i Georges opadu na krzesła, nie umiając ukryć rozczarowania. — Smiesznie pomyśleć, że mogłoby być inaczej — powiedział Simon. — Czemu handlarze mieliby pozwolić młodej dziew... — Urwał. Jego twarz przybrała jaskrawoczerwony kolor. — Gdyby był autentyczny, pani dziadek siedziałby dumnie za tym stołem, a nie myszkował w Al Minja.

Ta Nefretete to żona tego Echnatona, prawda? — spytał Cal, wyciągając pod stołem długie nogi i trącając znacząco Martę. Uśmiechnął się leniwie.

Georges smętnie wpatrywał się w swój pusty talerz.

— Tak. Była wielką małżonką królową wielkiego władcy heretyka.

Simon skinął głową.

— Gdyby ktoś coś znalazł... — Spojrzał na Desdemonę i aż się skrzywił. — Nie powinna pani przyprowadzić starszego człowieka o palpitanie.

— Przepraszam — odparła ze skruchą. — Wiersze są dość dobrymi podróbkami. Autor

zdecydowanie wyczuwa styl okresu Nowego Państwa. Świadczą o tym i dobór słów, i kadencja, i metafory. Ale teksty zajmują się zbyt przyziemnymi sprawami, by powstały na zlecenie faraona lub królowej. Jeśli mam być szczerą, niektóre są jawnie rozpustne.

— Naprawdę? — Georges wyraźnie się ożywił. Prawdę mówiąc, zauważyła Marta, wszyscy panowie, od Jabbara do Cala, sprawiali wrażenie zainteresowanych. Mężczyźni nic a nic nie zmienili się przez ostatnie cztery czy pięć tysiącleci.

- Tak.

— Wie pani, z chęcią rzuciłbym na nie okiem — powiedział Simon. — Oczywiście, moje zainteresowanie ma charakter czysto naukowy.

— Ja też — dodał Georges.

— Chciałabym panom coś zakomunikować — oświadczyła Desdemona. —

Zaproponowałam ich opublikowanie pewnemu nowojorskiemu wydawnictwu. Reakcja panów daje mi nadzieję, że wiersze mogą wywołać pewne zainteresowanie. Oczywiście, czysto naukowe. — Uśmiechnęła się.

Przekłeta dziewczyna. Nawet nie zauważyła dezaprobaty w spojrzeniu Rayenscrofta, pomyślała Marta. Smarkuła spędziła zbyt wiele lat, przysłuchując się nieodpowiednim rozmowom. Jest wtajemniczona w zbyt wiele spraw i nieobce jej są różne strony życia.

— Holender! — zaklął CaL

— Cóż za pech — mruknął Simon.

— Jestem pewna, że nie zechcą panowie tracić na nie więcej czasu — nie przestawała im dokuczać.

— Naturalnie, że nie — wtrącił się niespodziewanie Blake. — Któż mógł przewidzieć, że jakieś rozwiązałe bazgroły mogą zainteresować tak... uczonych mężów?

Uczeni mężowie opadli na swoje miejsca ze skruszonymi minami.

— Ależ się pan okazał rycerski, ruszając z pomocą pannie Carlisle, lordzie Rayenscroft mruknęła Marta. Chociaż po dziewczynie nie można było poznać, by pełna galanterii interwencja Rayenscrofta wywarła na niej wrażenie, jakaż panienka ze skłonnościami do romantycznych porywów mogła się oprzeć takiej rycerskości? Marta uśmiechnęła się.

Zadna.

Podziękowała gospodarzowi i razem z Calem Schmidtem i Martą zeszła po szerokich kamiennych stopniach do ogrodów. Za nimi opuścił pałac Georges, a po chwili Simon. Czekaając na Blake'a, Desdemona z przyjemnością rozglądała się wkoło.

Mleczny księżyc zniknął za chmurami barwy indygo. W chłodnym powietrzu unosił się zapach kwiatów rozkwitających po zachodzie słońca. Od czasu do czasu rozlegało się skrzeczenie przemykającej nad ich głowami czarnoskrzydłej kani.

Cal przystanął u podnóża schodów i wyciągnął zegarek. Liczne klejnoty, którymi czasomierz był wysadzany, rzucały różnobarwne skry. Marta od razu zauważyła błyszczące cacko. Uśmiechnęła się jak drapieżnik na widok ofiary.

— Trzeba przyznać, że ma pani dobrze poukładane w głowie, panno Carlisle — powiedział Cal, wyraźnie pozostając pod wrażeniem Desdemony. — Taka kruszyna. — Potrząsnął głową i cmoknął. — Kto by pomyślał, że pod tymi złotymi lokami kryje się diabełek? Desdemona roześmiała się. Nie mogła się powstrzymać, wesołość Amerykanina była zaraźliwa. Marta najwyraźniej nie widziała w tym nic zabawnego. Była odprężona, ale wyniosła. Uśmiechała się obojętnie.

— Proszę posłuchać, panno Carlisle. Im więcej myślę o tym Apisie, tym bardziej pragnę go mieć. Powiedziała pani, że kilka dni temu była w obozie handlarzy. Czy widziała tam pani taki posążek?

— Przykro mi, panie Schmidt, ale nie. i bardzo tego żałuję. — Nawet nie domyślał się jak bardzo.

— Cóż, nieważne. Wiem, że pan Paget robi, co może. Podobnie pan Braxton. Mam nadzieję, że dzięki jednemu z tych dżentelmenów zostanę właścicielem Apisa. — Spojrzał na Blake'a. — Lordzie Rayenscroft, może powinniśmy wspólnie wynająć dorożkę?

— Och, panie Schmidt — zagruchała Marta, wspierając się na ramieniu Cala. — Wolałabym się przejść. Taki śliczny wieczór. Jest pan wielkim, silnym mężczyzną. W pana obecności czuję się całkowicie bezpieczna.

— Przecież pani dom znajduje się ponad pięć kilometrów stąd — zauważył Amerykanin.

— Naprawdę? Ale o ile dobrze pamiętam, pański hotel jest całkiem blisko.

Amerykanin wybuchnął śmiechem, a Desdemonie krew napłynęła do policzków. Cóż za bezwstydną kobieta! Jak Harry mógł kiedykolwiek...

— Chodźmy, panno Carlisle — powiedział Blake, ujmując ją pod ramię i prowadząc alejką wiodącą do bramy. Na ulicy przystanął i rozejrzał się za dorożką, znów, jak przez cały wieczór, mając na względzie wyłącznie dobro swej towarzyszkii. Otaczał Desdemonę opieką i chronił jej kobiecą wrażliwość. Jak wszyscy bohaterowie romansów. Wyraźnie też był nią coraz bardziej oczarowany.

To było cudowne.

Prawda?

— Być może trzeba będzie trochę poczekać, Desdemono. — Stał bardzo blisko. Czowała zapach jego płynu do włosów, widziałacien ciemniejącego na policzkach zarostu. Blake przysunął się jeszcze bliżej. Ujął jej rękę i Liściskał.

— Też możemy się przejść — zaproponowała.

— Tak — powiedział niskim barytonem. Pochylił ciemnowłosą głowę. Desdemona wstrzymała oddech.

Jej uwagę zwrócił jakiś cichy szelest. Z dziwną ulgą odsunęła się od Blake'a i rozejrzała wokoło, szukając źródła tajemniczych odgłosów.

— Do pioruna — zaklął Blake.

Jakaś postać wyłoniła się z mroku. Przez chwilę odcinała się niewyraźnie w blasku ulicznych lamp, nim chwiejnym krokiem ruszyła w ich stronę.

Chociaż w ciemności nie widać było rysów twarzy, Desdemona zauważyła, że zbliżający się mężczyzna ma podartą koszulę, rozpiętą z przodu. Postrzępiona kalfjeh okręcała mu się wokół szyi niczym wąż zaklinacza. Z każdą chwilą jego kroki stawały się bardziej niepewne. Coś zawołał niskim, zachrypniętym głosem, lecz słowa zlały się ze sobą i nie zrozumiała ich. Chciała podejść do nieznajomego, ale Blake złapał ją za ramię i powstrzymał.

— Na litość boską! — krzyknął. — Można by się spodziewać, że Jabbar dopilnuje, by na terenie ogrodów pałacowych nie włóczyli się żebracy!

Księżyc na chwilę wyłonił się zza chmur, oświetlając twarz mężczyzny, spuchniętą, zakrwawioną i dziwnie...

— O, mój Boże! — krzyknęła Desdemona. — Harry!

Zatrzymał się przed nią i osunął na kolana.

— Diz — wymamrotał. — Dzięki Bogu jesteś cała i zdrowa.

— Dobry Boże, Harry! Co ci się stało?

Uśmiechnął się krzywo. Blask księżyca padł na ciemną smugę krwi w kącie ust.

— Cóż, Diz... — Zabrakło mu tchu. — Zawsze mówiłaś... że kiedyś mnie zobaczysz... na kolanach. — Zachwiał się.

Złapała go, nim upadł na Ziemię.

Otwórz, Magi! — zawołała Desdemona.

— No! Najwyższa pora, żeby pojawić się w domu! — usłyszała głos gospodyni jednocześnie z chrzęstem odsuwanej zasuwki. — Jesteście bardzo późno. Prawdziwy dżentelmen powinien wiedzieć, że...

Drzwi frontowe otworzyły się na całą szerokość. Światło z sieni padło na schodki, oświetlając stojącego na dole Blake'a z Harrym przerzuconym bezwładnie przez ramię.

— Niech Allach ma nas w swej opiece — wykrzyknęła Magi.

Desdemona precyzyjnie się obok niej i zwróciła się do Rayenscrofta:

— Proszę wnieść go do środka.

Blake z trudem wszedł po schodach. Przy każdym kroku głowa Harry'ego podskakiwała. Znów był nieprzytomny, jak przez większą część drogi do domu.

— Do jednej z sypialni? — spytała Magi.

— Nie — powiedziała Desdemona. — Przynajmniej nie na tę noc. Potrzebne mi będzie dobre światło. Wykorzystamy bibliotekę dziadka. Proszę za mną — poleciła Blake'owi.

Ruszyła wąskim, zagraconym korytarzem i otworzyła drzwi na jego końcu. — Duraidzie — powiedziała, dostrzegłszy zerkającego zza węgła chłopaka — przynieś czyste ręczniki, jodynę, mydło i gorącą wodę.

Blake ledwo mógł się utrzymać na nogach, dźwigając bezwładne ciało.

— Szybko, zanim pan Braxton odzyska przytomność, Duraidzie — poprosiła Desdemona i chłopak pognął do kuchni.

— Ale gdzie go położymy? — spytała Magi.

Desdemona szybko rozejrzała się papokoju. Biblioteka była właściwie pomieszczeniem oddzielającym główną część małego domku od niewielkiego, ogrodzonego dziedzińca na jego tyłach. Wszędzie tłoczyły się zabytkowe przedmioty przygotowane do wysyłki do Londynu. Książki, rękopisy, dokumenty i teczki zajmowały każdy centymetr wolnej przestrzeni. Wzdłuż ścian stały skrzynie, niektóre puste, inne pełne. Biurko i stół kreślarski były zagracone kartonami, drobiazgami i ceramiką.

Pomyślała o podłodze, ale zrezygnowała z tego pomysłu. Nawet pomijając to, że posadzka była brudna i zimna, nie dałoby się rozciągnąć nad nią siatki, by nie pozwolić owadom siadać na otwartych ranach Harry'ego. Desdemona zagryzła usta, szukając jakiegoś

lepszego miejsca. Blake chrząknął. Już niemal śłaniał się w progę.

— Tutaj — powiedziała w końcu, wskazując ręką. — Jest wystarczająco wysoko, żebym widziała, co robisz i na tyle wąsko, że nie będzie się mógł wiercić.

— Ależ panno Desdemono... — zaprotestował Blake.

— Póki nie znajdziemy jakiegoś łóżka.

Pełen wątpliwości, Blake położył Harry'ego na kocach, pospiesznie rozciągniętych przez Magi. Desdemona maksymalnie rozkręciła gazowe lampy i odwróciła się. Aż jej dech zapało.

W jasnym świetle z całą ostrością rysowały się sińce i rany o wiele poważniejsze, niż przypuszczała.

Takie obrażenia. Tyle krwi. Tyle brudu...

— Panno Desdemono! — Blake przytrzymał ją i próbował posadzić na krześle za biurkiem, ale wyrwała się z jego objęć, zła na własną słabość.

— Nic mi nie jest — powiedziała z mocą, pochylając się nad Harrym. Uważnie obejrzała jego twarz. Lewe oko miał podpuchnięte i sine, wargę rozdętą, głęboka rana biegła przez policzek. Biedaczysko. Westchnęła.

— Przyniosłem wszystko, Sili — zameldował Duraid.

Nie podnosząc wzroku, sięgnęła po mały ronderek z parującą wodą i gruby zwój płóciennych bandaży, które podał jej chłopiec.

— Magi — powiedziała, delikatnie macając rozciętą skórę na policzku Harry'ego kiedy będzie czyściła ranę, polej ją jodyną. Jeden Allah wie, co tu zaschło.

— Dobrze — wymamrotała Magi, wykonując polecenie. Harry drgnął. Otworzył oczy i spojrzał na nią dzikim, nieprzytomnym wzrokiem.

— W porządku, Harry. Próbuję...

— Magi! — wyrwało się z jego ust.

— Magi też tu jest. — Czy myślał, że nie zaopiekuje się nim tak dobrze, z takim poświęceniem jak Magi? Czy myślał, że jest jej zupełnie obojętny? — Obiecuję ci, że zrobię...

— Gdzie jest Magi? — spytał zachrypniętym głosem.

— Jestem tutaj, Harry. — Gospodyni położyła mu dłoń na czole. Złapał ją za rękę. —

Musisz... musisz... — Zazgrzytał zębami w paroksyzmie bólu i zacisnął powieki. Po jakimś czasie jego ręka opadła bezwładnie. Znow zemdlał.

— Na litość boską! — wykrzyknął Blake.

— Tak jest lepiej — zapewniła go Desdemona. — Lepiej, że jest nieprzytomny. Muszę się spieszyć.

Rozchyliła brzegi rany i oczyściła ją z piasku. Następnie przemyła czystą wodą. Uniosła wzrok. Magi wsunęła w jej drżącą dłoń igłę z nitką.

— Przytrzymaj mu głowę, Duraidzie.

Chłopak pochylił się i ujął bladą twarz Harry'ego w drobne dłonie. Desdemona zagryzła usta. Scisnęła brzegi rany i wbiła igłę w ciało. Harry skrzywił się, jęknął.

— Powiedziałam, żebyś go trzymał! — Szybko zamrugała powiekami. Z wysiłku oczy zaszczyły jej łzami.

— Niedobrze mi, Sitt.

Nie miała czasu na folgowanie słabości.

— Może ja mógłbym pomóc, panno Desdemono — cicho odezwał się Blake.

Obejrzała się zaskoczona. Zupełnie zapomniała o jego obecności.

— Czy może go pan przytrzymać, żeby nie ruszał głową?

— Tak. Twarz Blake'a była biała jak płótno. Malował się na niej niepokój, ale w oczach widać było determinację, niemal gniew. Duraid odsunął się i Blake zajął miejsce chłopca. Chociaż Harry się szarpał, jego głowa przytrzymywana silnymi rękami Blake'a ani drgnęła, póki Desdemona nie skończyła zszywać rany i nie związała końców nitki. Wreszcie wyprostowała się i wierzchem dłoni otarła pot z czoła.

— Co jeszcze mogę zrobić? — spytał lord Rayenscroft.

Co jeszcze? Dobry Boże, Blake ma rację. Dopiero zaczęli, a jej się wydawało, że pracują całą wieczność. Harry leżał zupełnie bez życia; nawet przestał się rzucać. Był taki cichy. Taki spokojny. Znów do oczu napłynęły jej łzy.

— Ach. — Chrząknęła, by zapanować nad drżącym głosem. — W tamtej szafce na dole jest trochę brandy. Przyda się, jeśli biedak zbyt wcześnie się ocknie.

Nim Blake wrócił, skończyła opatrywać twarz Flarry'ego. Wzięła butelkę i kieliszek i postawiła je z boku. Flarry na razie się nie obudzi.

— Lordzie Rayenscroft, czy mógłby go pan unieść? Możemy już zacząć ściągać mu koszulę.

— Koszulę? Jak to?

Popatrzyła zdumiona.

— Normalnie.

— Chyba nie chce pani powiedzieć, że opatrzy pani również inne rany Harry”ego?

— Naturalnie, że tak — powiedziała. — Co za pytanie!

— Panno Desdemono—odparł sztywno Blake, —Jest pani młodą szlachetnie urodzoną Angielką. Angielskie damy nie opatrują półnagich mężczyzn. Nawet nie oglądają półnagich mężczyzn..

Zamrugła powiekami, zupełnie ni rozumiejąc, o co mu chodzi. Ciągłe widywała nagich mężczyzn. No, prawie nagich. Wystarczyło, by poszła na suk albo odwiedziła wykopaliska, albo przespacerowała się nad rzekę, by widzieć, jak pracują, kąpią się albo bawią. Młodzi, starzy, w średnim wieku. Nadzy lub prawie nadzy mężczyźni.

— Harry zostanie w koszuli. póki nie znajdziemy lekarza, który się nim zajmie.

Wreszcie zrozumiała, o co mu chodzi. Blake przypuszczał, że jego kuzynem zajmie się lekarz. Nic dziwnego, Je tak sobie pomyślał. Opierał się na swym dotychczasowym doświadczeniu. Poczula odrobinę współczucia. Wszystko tutaj musi mu się wydawać takie obce, takie barbarzyńskie.

— Skąd go najlepiej sprowadzić?

Magi spojrzała na Blakca ironicznie.

— Sami się tu leczymy, lordzie Rayenscroft — powiedziała.

— Och, nie miałem na myśli któregoś z miejscowych medyków. Chodzi mi o angielskiego lekarz

— Nie ma tu takiego — wyjaśniła Desdemona.

— Nie wierzę. Na pokładzie parowca Cooka musi być jakiś konował zajmujący się słabowitymi pasażerami.

Nie mieli na to czasu.

— Bóg wie, ile zajęłyby. wyprawa do portu, odszukanie lekarza — zakładając, że taki istnieje — i nakłonienie go do przyjazdu tutaj — tłumaczyła cierpliwie. — W Kairze człowiek może nie przeżyć nocy z otwartymi, nieopatrzonymi ranami, lordzie Rayenscroft.

— Rozumiem. — Nie podobało mu się to. Wyglądał na głęboko urażonego.

Współczucie Desdemony gdzieś zniknęło.

— Magi, pomożesz mi? — spytała.

Blake ubiegł gospodynię, stając przy głowie I-larry”ego.

— Widzę, że nie mam innego wyjścia, tylko robić to, o co mnie pani prosi.

Desdemona rzuciła mu promienny uśmiech. Dzięki Bogu nie był tak skostniały w swych poglądach, by ryzykować życie człowieka dla zaspokojenia angielskiego poczucia przyzwoitości. Naturalnie, że nie!

— Ale nie spodnie — powiedział stanowczo.

Ledwo go usłyszała. Jej uwagę przykuł nagły, mimowolny grymas bólu na twarzy chorego. Harry jęknął.

Nigdy go takim nie widziała.

Był zupełnie bezbronny.

Dla niej zawsze uosabiał upór, wytrwałość, nieustępliwość. Owszem, czasem trochę mu się oberwało, ale żeby aż tak? Był niepokonany. Teraz opalona skóra błyszczała od potu, oddech rwał się, puls stawał się ledwo wyczuwalny. W tym stanie Harry zupełnie nie przypominał Księcia Szakali.

— Proszę się pospieszyć — powiedziała cicho.

Blake uniósł kuzyna, a ona ściągnęła rannemu koszulę, odsłaniając brudny, wymazany krwią tors. Wyżymała raz za razem ręcznik, który płukała w ciepłej wodzie. Duraid uwijał się, by nadażyć ją zmieniać. Wreszcie usunęła brud z ramion i piersi Harry'ego i położyła dłoń na karku, by rozmasować zeszywniałe mięśnie.

— Dobrze się czujesz, Desdemono? — spytała Magi.

— Tak. To tylko zmęczenie. Myślę, że nic mu nie będzie. — Była to prawda; jak do tej pory nie stwierdziła u Harry'ego obrażeń, których nie uleczyłyby czas i odrobina maści.

Miał paskudnego siniaka na klatce piersiowej i kilka czerwonych pręg na ramionach. Skóra na nadgarstkach była otarta, chyba od sznura. Ta brzuchu widniało kilka zadrapań, jakby ciało ciągnięto po ziemi. Desdemona nie wyczuła jednak żadnych złamań kości i...

Pochyliła się i przytknęła ucho do klatki piersiowej. Wstrzymała oddech, nasłuchując, nim z ulgą zamknęła oczy. W płucach nie słyhać było żadnego bulgotania, serce biło miarowo.

Delikatnie zbadała palcami wszystkie miejsca, gdzie mogły nastąpić urazy wewnętrzne.

Wszystkie, przynajmniej od pasa w górę.

Kiedy wyprostowała się, zauważyła, że Blake bacznie ją obserwuje. Musi się go stąd jakoś pozbyć. Nigdy nie zrozumiałby, nie zaakceptowałby, nie pozwoliłby, by zbadała rannemu dolne partie ciała.

— Tak — powtórzyła, sięgając po ręcznik i wycierając do sucha dłoń. — Myślę, że się wylize.

— Jest pani prawdziwą bohaterką, panno Desdemono — oświadczył Blake. Przechylił głowę. — Istną Florence Nightingale. Chciałbym, żeby Harry bardziej zasługiwał na takie starania.

— Słucham? — odezwała się Magi.

— Widocznie jego podejrzanе interesy doprowadziły go do takiego stanu. Kiedy się igra z ogniem...

— Pan Harry wiele razy igrał z ogniem — zauważyła ostro Magi — i nigdy wcześniej się nie sparzył. — Po chwili, spostrzegłszy kwaśnąminę Desdemony, poprawiła się: — Nigdy wcześniej tak poważnie się nie sparzył. Raz czy dwa osmalił końce włosów. Czasem się skaleczył. Czasem miał podbite oko. Szramę tu i tam. Ale nic więcej.

— I nie musiało być nic więcej! — Desdemona, nagle rozgniewana, rzuciła ręcznik na podłogę.

Blake miał rację. Bez względu na to, w co wplątał się Harry, niewątpliwie sam na siebie ściągnął kłopoty. Bez względu na to, czego pojechał szukać, nie było to warte jego krwi! Myślała, że Harry ma dość oleju w głowie, by dla zysku nie narażać życia. Bo właśnie tak — naraził swoje życie. Cóż, nie pozwoli mu umrzeć, nim nie wygłosi mu kazania o jego bezdennej głupocie. Ale żeby mieć absolutną pewność, że Harry nie umrze, musiała zbadać go również poniżej.

— Harry jest najbardziej przezor...

Desdemona przerwała Magi w pół słowa.

— Ojej, nagle zakręciło mi się w głowie. — Spojrzała na nią wymowGospodyni szeroko otworzyła oczy. Od razu zrozumiała, do czego zmierza jej pani.

— Rzeczywiście wygiąda panienka na bardzo zmęczoną. — Ujęła rękę Desdemony i poklepała pocieszająco. — Allah nie pozwoli, by zapadła panienka na zdrowiu w wyniku takiego wielkiego poświęcenia.

Musi nauczyć Magi, by nie plątała obu religii.

— Z całą pewnością jest panienka aniołem, aniołem w ludzkiej postaci. Musi panienka dbać o słabe ciało, w którym mieszka panienki niezłomny duch.

— Rzeczywiście jestem trochę... zmęczona—słabo przyznała Desdemona, zasłaniając oczy dłonią.

— Ależ to zupełnie rozumiałe, moja droga. — Blake wyrwał jej rękę z uścisku Magi i sam

wziął się do pocieszania. — Czy mogę zaproponować, by udała się pani na zasłużony spoczynek?

— Chyba posłucham pańskiej rady, lordzie Rayenscroft. — Oswobodziła palce z jego uścisku i skierowała się ku drzwiom biblioteki. Zatrzymała się na progu. Blake nie podążył za nią. — Lordzie Rayenscroft..?

— Proszę się mną nie przejmować. — Zdjął karton z krzesła i usiadł. — Zostanę z Harrym.

— Wykluczone! — zaprotestowała Magi. — Doprawdy, lordzie Rayenscroft, jestem zdumiona, że zaproponował pan coś takiego. Panna Desdemona jest młodą kobietą, jeszcze prawie dziewczynką, a jej dziadek wyjechał.

— Nie ma powodów do obaw — powiedział kpiąco Blake. — Przysięgam, że nie kierują mną żadne niskie pobudki i naturalnie wszystko zachowam w największej tajemnicy.

— Nie żywię co do tego najmniejszych wątpliwości, lordzie Rayenscroft — odparła Desdemona. — Ale nie chciałabym... — Zaczęła rozpaczliwie szukać w myślach, czego mogłaby nie chcieć. — Nie chciałabym, żebyśmy się znaleźli w niezręcznej sytuacji z powodu pańskiej szlachetności.

— Naprawdę? — Blake wskazał na Harry'ego. — A on?

— Och, Harry... Nikt nic złego sobie o tym nie pomyśli. Wszyscy znają Harry'ego. I mnie. Poza tym nie może... nic zrobić.

Teraz ona się zaczerwieniła. Do diaska.

— Ja przypilnuję, by wszystko było jak należy — powiedziała Magi. — Każę Duraidowi spać pod drzwiami panny Desdemony.

— Co? — piskliwie zajączał Duraid. — Nie chcę spać na podłodze. Nigdy wcześniej nie spałem na podłodze, kiedy pan Harry... — Protest Duraida został gwałtownie stłumiony.

Magi groźnie spojrzała na chłopca. — D-d-dobrze, Sitt — wyjąkał. — Naturalnie, Sitt. Jak zawsze, Sitt.

— Tak będzie najlepiej, lordzie Rayenscroft. Naprawdę — powiedziała Desdemona.

Lekko rozdrażniony, skapitulował.

— Chyba ma pani rację. Musimy pamiętać o zasadach. Ale jeśli tylko będę pani potrzebny, proszę przysłać po mnie chłopaka.

— Och, z całą pewnością — obiecała. Odprowadziła Blake'a do drzwi wyjściowych i zaczęła, aż zejdzie ze schodów. — Dziękuję panu. — Usłyszała zduszony jęk z głębi domu. Do zakażenia mogło dojść w ciągu kilku godzin, a Bóg jeden wie, od jak dawna

Harry błakał się po ulicach Kairu, podczas gdy ona się objadała curry i daktylami.

— Jestem na pani rozkazy — oświadczył z namaszczeniem lord Rayenscroft, opierając się o poręcz schodów, Desdemona nie miała czasu na wysłuchiwanie deklaracji... chociaż chętnie by ich posłuchała.

— To bardzo ładnie z pana strony. Naprawdę.

— Doceniam to. — Kolejny jęk, tym razem głośniejszy.

— Chciałbym, żeby pani wiedziała...

— Wiem. Dobranoc panu, Blake. — Nim zdążył odpowiedzieć, cofnęła się w głąb sieni, zatrzasnęła drzwi i pobiegła do biblioteki. — Słyszałam, jak jęczał.

— Nic mu nie jest, budzi się — oświadczyła Magi. — Ale lepiej się pospieszmy i rozbierzmy go, zanim będziemy musiały przełamywać wstydlivy opór kolejnego mężczyzny.

Desdemona pochyliła się nad Harrym i zaczęła mu odpinać pasek. Magi przyjrzała jej się z uwagą.

— Jesteś wyraźnie zde gustowana.

— Tyle zachodu, żeby ściągnąć mężczyźnie spodnie — mruknęła Desdemona, wywlekając pasek ze szlufek.

— Zazwyczaj nie jest to takie trudne — zapewniła ją pogodnie Magi.

20

idzę, że się obudziłeś.

Na dźwięk tego głosu Harry odwrócił głowę i uderzył w coś nosem. Otworzył oczy i ujrzał tuż przed sobą chropowate, obrobione dłutem drewno.

Wpakowała go do skrzyni.

Przekreślił się na wznak i spojrział w sufit.

— Mam nadzieję, że było to tego warte.

Dizzy. Skrzywił się. Ośre światło poraziło mu oczy, ale odetchnął z ulgą. Nieodparta siła, która ciągnęła go do Desdemony, obolałego i ledwo przytomnego, zniknęła, kiedy odnalazł ją wczoraj wieczorem. Jednak był to tylko chwilowy spokój. Nadal pozostawała kwestia Maurice'a Shappeisa. On, Harry, nie spocznie, póki raz na zawsze nie rozprawi się z tym szubrawcem, który zagrażał Desdemonie.

— No więc jak? — spytała Dizzy. — Warte było tego?

— Co było czego warte? — wymamrotał, obmacując twarz. Jedno oko miał tak spuchnięte,

że prawie nic na nie nie widział. Ostrożnie przesunął palcem wzdłuż zębów, sprawdzając, czy wszystkie są na miejscu, czy żaden się nie chwieje. Odetchnął z ulgą, kiedy okazało się, że nie stracił ani jednego. Był dumny ze swoich zębów.

— Nie mogę uwierzyć, że byłeś taki nieostrożny. Taki głupi. Taki niefrasobliwy.

— O czym ty mówisz, do diaska? — jęknął.

Ujrzał jak przez mgłę jej twarz. Desdemona oparła się dłońmi o krawędź skrzyni i pochyliła, wpatrzona w niego z napięciem. Światło słoneczne padające z tyłu sprawiło, że włosy utworzyły złotą aureolę wokół jej głowy. Zwisła luźno, lekko łaskocząc go w nagietors. Harry czuł lawendę, którą pachniały powłoczki poduszki.

Nie wiedzieć czemu, zapach ten sprawił, że ogarnęła go tliwość. Nic nigdy nie może się przydarzyć Dizzy. Nie wolno mu ściągać na nią niebezpieczeństwa. Uczyni wszystko, co w jego mocy, by ją ochronić.

— Mam nadzieję, że dostałeś nauczkę, Harry — odezwała się znowu.

— Nawet grobowiec samego Echnatona nie jest wart takiego lania.

— Możesz to powtórzyć.

— Mogłeś umrzeć. — Na jej twarzy malowała się wściekłość.

- Wiem.

— Coś ty takiego zrobił? Oszukałeś któregoś z tych swoich przyjaciół z pustyni?

Połączyłeś się na zbyt duży zysk?

Jej rozgoryczenie zabolalo go. Cóż za ironia losu. Dizz uważała, że jego obrażenia to skutek jakichś oszukańczych transakcji. I może miała rację. Sam ją nauczył, czego powinna się po nim spodziewać.

Nic nie mógł teraz zrobić. Rozczarowała się nim, straciła złudzenia.

— Wpakowałaś mnie do skrzyni — powiedział tylko.

— Nie — odparła. — Do sarkofagu. Pierwotny właściciel już z niego nie korzysta.

Harry gapił się na nią, skonsternowany.

— Nie mogłaś znaleźć jakiegoś łóżka?

W końcu jej pełne, miękkie usta rozciągnęły się w uśmiechu. Chociaż był to uśmiech ironiczny.

— Przewidywanie i planowanie — powiedziała. — Czy zawsze tego nie zalecasz?

Zwyczajnie skorzystałam z twojej rady.

— Jak to?

— Gdybyś nie przeżył, nie mielibyśmy kłopotu z wyekspediowaniem twoich szczątków do Anglii.

Wybuchnął głośnym śmiechem.

— Cóż za zmysł praktyczny, Diz. Jestem z ciebie dumny. — Rozkasłał się. Natychmiast pochyliła się nad nim niżej.

— Desdemono — poprawiła z roztargnieniem, przesuwając delikatnie palcami po jego ustach, policzkach i spuchniętym oku. — Powinnam ci zrobić okład z lodu.

— Jak się tu znalazłem?

— Przyniósł cię twój kuzyn.

Przekląty Blake. Nie zadowolili się roztaczaniem swego zniewalającego czaru, teraz gra również rolę błędnego rycerza.

— Miło mi słyszeć, że jego krzepa na coś się wreszcie przydała.

— Nie mogę uwierzyć, że możesz być aż tak niewdzięczny. Blake...

— Blake? — Aż podskoczył słysząc, że mówi o jego kuzynie po imieniu.

się, Ten widok obudził w jego sercu wściekłość. Harry zapragnął porwać Dizzy w ramiona i zmasać te wymowne rumieńce, zastąpić je wspomnieniem czegoś, co byłoby ich bardziej warte.

— Dobrze, lord Rayenscrof. — Nie patrzyła mu W oczy. — Niósł cię całą drogę z pałacu Jabbara. No, niezupełnie całą. Ale wsadził cię do dorożki, a potem cię z niej wyciągnął. Taszczył cię dobre dwadzieścia metrów.

— Przypomnij, żebym mu dał napiwek, kiedy następnym razem go zobaczę — warknął, próbując się podeprzeć na łokciach. Poczul ostry ból w boku. — Chryste — wymamrotał. Czy kazali temu przekłętemu mułowi dodatkowo skopać mnie po drodze?

— Och! — Jej rozczarowanie zaskoczyło go. Desdemona wyprostowała się gwałtownie. W jej oczach zamigotały gniewne błyski. Spojrzał na nią zmieszany i zrozpaczony.

Przepraszam, Di7zy — powiedział. — Jestem wdzięczny Blake”owi. Nie zapomnę mu podziękować przy pierwszej nadarzającej się okazji.

Odwróciła od niego twarz, jakby budził w niej wstręt. Harry stwierdził z niedowierzaniem, że nie może tego znieść.

— Proszę, Diz — powiedział cicho.

Ujął jej dłoń i przyciągnąwszy do ust złożył na niej lekki pocałunek. Czuł, jak Dizzy drżą palce.

— Proszę, Diz — powtórzył. — Nie rób takiej miny. Napiszę sonet na cześć Blake’a, bylebyś tylko się na mnie nie boczyła. Nigdy przedtem nie patrzyłaś na mnie z taką drażną. Podejrzliwie, z rozczarowaniem, bezsilnością... ale nie tak. — Uśmiechnął się smutno. — Nie podoba mi się to.

Wyrwała mu się.

— Ty głupcze! — Uniosła dłoń do oczu.

Boże, Dizy płakała. Usiadł, nie zważając na przeszywający ból w boku i wyciągnął do niej rękę.

- Diz...

— Głupiec! — powtórzyła z mocą cofając się. — Możesz napisać do Blake’a nawet sto listów z podziękowaniami, obojętne mi to. Ale nigdy więcej nie waz się ryzykować życia dla jakiegoś bezużytecznego rupiecia! Mogłeś dostać zakażenia i umrzeć, ty cholerny głupcze!

Harry otworzył usta ze zdumienia.

— Zdarzało się, że opatrywałam ci rany i skaleczenia, a od czasu do czasu nawet zszywałam twoją nędzną skórę. Ale jeszcze nigdy nie widziałam cię w takim stanie. I nigdy więcej nie chcę czegoś takiego oglądać. Rozumiesz? — Jej głos podniósł się do krzyku. — Ro-zu-miesz?

— Niech mi Bóg dopomoże, chyba rozumiem.

— Smiertelnie mnie wystraszyłeś! - dodała żałośnie. Podeszła do krzesła i osunąwszy się na nie, ukryła twarz w dłoniach.

— Dizy, nie chodziło o żadne oszustwo. Naprawdę. — Przerzucił nogę przez krawędź skrzyni i wtedy zobaczył, że nie ma na sobie spodni. Zdumiony, przyjrzał się sobie uważniej. Nie licząc przepasującego prześcieradła, był zupełnie nagi. — Kto mnie rozebrał? Nie raczyła odpowiedzieć na jego pytanie.

— Pokątny handel, nielegalne interesy, kradzież... co za różnica.

— Niczego nie ukradłem. Nikogo nie oszukałem.

— I mam w to uwierzyć? Czy mogę wierzyć w cokolwiek, co mówisz? Wydaje mi się, że wcale cię nie znam! — powiedziała. — Ta dziwna wrogość między tobą a twoim kuzynem... Twoje rzekomo zwyczajne angielskie dzieciństwo pełne jest tajemnic. Z aluzji Blake’a domyślałam się, że dopuściłeś się czegoś podłego, a teraz jeszcze to! — Głośno pociągnęła nosem.

— A więc pozwolił sobie na aluzje pod moim adresem? — Larry urwał bezradnie, nie mogąc odeprzeć pierwszego oskarżenia i nie chcąc odpierać drugiego. — Nie byłem wplątany w żadne brudne interesy, Diz. — Przynajmniej to mógł wyjaśnić. — Pamiętasz tego brutala, Maurice'a, który pracował jako kierownik robót u Georges'a Pageta? — Chodzi ci o potężnego mężczyznę o kobiecej urodzie? — spytała znacznie mniej wojowniczym tonem.

— Tak. No więc podczas ostatniego sezonu wykopaliskowego doszło między nami do zatargu.

— Coś sobie przypominam — powiedziała z namysłem. — Podobno sprawiłeś mi niezłe manto. Wydeła usta. — Nikt nigdy mi nie powiedział, o co wam poszło, więc nie przywiązywałam do tego specjalnej wagi. — Spojrzała na niego. — A może powinnam była?

— Walczyliśmy — powiedział Harry. — I on przegrał.

— Więc cię pobił, żeby się odegrać? — Uniosła brwi z wyraźnym niedowierzaniem. — Daj spokój, Harty. Podobno zemsta jest najsiodsza, kiedy dokonuje się jej na zimno, ale od tamtego wydarzenia upłynął rok. Do tej pory byłaby już lodowata.

Harry uśmiechnął się. Jakaż ta Dizzy jest urocza. Nawet teraz, taka podejrzliwa i chłodna.

— To nie była wyłącznie zemsta. Jednak tamta historia sprawiła, że Maurice z większym entuzjazmem podjął się zlecenia. Ktoś mu zapłacił, żeby mnie pobił.

W jej ciemnych oczach hurysy pojawił się błysk.

— Dlaczego?

— Nie wiem. Ale mam pewne podejrzenia.

— Co? Tylko mi nie mów, że podejrzewasz Blake'a. - Jej głos stał się twardy i wrogi. — Gołym okiem widać, że z nim rywalizujesz, że chcesz go zdyskredytować. Czy istnieje lepszy sposób, niż oskarżyć go o taką podłość?

— Nie sądzę, żeby Blake miał z tym coś wspólnego — powiedział Harry. Nie podobąca mu się przepaść, która się pomiędzy nimi znowu otwierała. Rozpaczliwie pragnął znaleźć jakiś sposób na zasypanie jej. — Maurice nie zdradził mi, kto to taki. Zbyt wiele frajdy sprawiało mu torturowanie mnie, by miał odpowiadać na moje pytania. — Wzruszył ramionami. — Na szczęście jestem mało wytrzymały na ból i szybko zemdlałem.

- Och, Harry. Chciałabym wiedzieć, co o tym myśleć. — Przez króciutką chwilę w jej surowym spojrzeniu dostrzegł współczucie. — O, nie; Nie dam się nabrać na tę. minę

niewiniątka. Zbyt wiele godzin spędziłam, zamartwiając się o ciebie. Wystarczy. Jak udało ci się uciec?

— Przekupiłem kogo trzeba.

Pytająco uniosła brwi.

— Słowo honoru.

— Nie boisz się gromów z jasnego nieba, kiedy tak łzesz?

Uśmiechnął się szeroko.

— Naprawdę. Ludzie pokroju Maurice'a nie mają fanatycznie oddanych pomocników.

Wystarczyło obiecać jednemu z jego ludzi dwadzieścia funtów, bym znalazł się na przedmieściach Kairu.

Nie musiała wiedzieć, że przemierzał całe kilometry, ledwo trzymając się na nogach. Nie musiała wiedzieć, jak długo Maurice jedynie wykonywał rozkazy, by uprzykrzyć mu życie, nim oddalił się na obiad.

— Dwadzieścia funtów? I ten człowiek ci uwierzył? — spytała z niedowierzaniem.

— Dizzy, bez względu na to, co o mnie myślisz, cieszę się opinią osoby, która dotrzymuje słowa.

Podeszła do biurka i w zamyśleniu zaczęła obracać w palcach ceramiczne skorupy.

Harry śledził każdy jej ruch, notował każdy subtelny odcień kolorów pustyni składający się na jej postać: ciemnoszary szlafrok, złociste pasemka we włosach, oczy koloru tom, śniadą, gładką cerę. Przywodziła mu na myśl wyczelowany w bursztynie posążek jakiejś bogini ze starożytnego grobowca. Z jednym zastrzeżeniem: posążek mógł przetrwać więcej przeciwności losu.

Była drobna. Często zapominał jak bardzo. Ale widząc ją teraz za wielkim biurkiem, z całą wyrazistością dostrzegał jej kruchość. Maurice mógłby ją skrzywdzić, nawet specjalnie się nie wysilając.

— Dizzy, chcę, żebyś była ostrożna.

Przestała się bawić naczyniem.

— Słucham?

— Chcę, żebyś bardzo na siebie uważała. Nie chodź nigdzie sama. Trzymaj się blisko ludzi.

— Trzymaj się mnie. Machinalnie otworzył dłoń i po chwili ją zacisnął.

— O czym ty mówisz, Harry?

— Maurice wie, że... — Nie wiedział, jak jej to wytłumaczyć. Nie uwierzyłaby, gdyby

powiedział prawdę: że grozi jej niebezpieczeństwo, ponieważ on, Harry, ją kocha.

Pogniewałyby się i poczuła dotknięta. Myślałaby, że sobie z niej żartuje. — Maurice może tu przyjść po mnie.

Podeszła do niego i poklepała go po dłoni.

— Nic mi nie będzie, Harry. — Powiedziała to takim tonem, jakby uspokajała rozhisteryzowaną ciotkę starą pannę. — Sam zawsze powtarzasz, że żadnemu Egipcjaninowi przy zdrowych zmysłach nie przyszłoby do głowy skrzywdzić Angielkę. — Nikt nigdy nie twierdził, że Maurice jest przy zdrowych zmysłach. Poza tym nie jest Egipcjaninem.

— Nie martw się o mnie. — Powiedziała to najwyraźniej dla świętego spokoju. Nie należy denerwować chorych. Nie miała zamiaru brać sobie jego przestrogi do serca.

— Dobrze. — Skinął głową, w najmniejszym stopniu nieuspokojony, i opadł na posłanie, rozmyślając gorączkowo nad sposobami zapewnienia Dizzy bezpieczeństwa. Musiał działać szybko, zanim Maurice zniknie w mrokach przestępczego półświatka.

— Harry... — Nie dowiedział się, co Dizzy zamierzała powiedzieć, bo przerwało jej dyskretne pukanie do drzwi. — Proszę — powiedziała.

Weszła Magi, a tuż za nią Blake. Na widok Desdemony rozpromienił się. Harry z bólem serca stwierdził, że oddała mu powitalny uśmiech.

— Lordzie Rayenscroft, jak ładnie z pana strony, że pan przyszedł.

— Desdemono... — Blake przeszedł przez pokój i ujął jej dłonie. — Wygiąda pani tak ślicznie i świeżo, jakby dopiero co obudziła się pani z jakiegoś zachwycającego snu, a nie spędziła wiele godzin, opatrując rany mojego niepoprawnego kuzyna. Ufam, że pacjent nie... — Spojrzał na Harry'ego. — Kto mu zdjął spodnie?

— O, Blake. — Harry usiadł, pozwalając, by bawełniane prześcieradło zsunęło mu się z nagiego torsu na biodra. Ziewnął i przeciągnął się leniwie z uśmiechem przyklejonym do twarzy, chociaż potłuczony bok mocno protestował. — Właśnie się dowiedziałem od Diz, że jestem ci winien podziękowanie. Dzięki.

— Idź przynieś mu koszulę — warknął Blake do Magi. Spiorunowała go wzrokiem, słysząc ten władczy ton, ale wyszła. — Niezbyt zważasz na wrażliwość panny Desdemony, co, Harry?

Dizzy spojrzała na Harry'ego. Dostrzegł wyrzut w jej ciemnych oczach. Przekląty Blake, zdobył punkt.

— Nic się nie stało — powiedziała, unosząc wyżej głowę. — Ostatecznie to tylko Harry. Bolały go wszystkie mięśnie twarzy, kiedy starał się zachować swój nonszalancki uśmiech. Blake rzucił mu spojrzenie pełne triumfu.

— Ach! Tylko Harry. No cóż, w takim razie... — Rozbawionym wzrokiem powiódł beczelnie po sarkofagu i nagle Harry poczuł się głupio.

— Zdumiewające, ale wcale tak źle nie wyglądasz. Przypuszczam, że dziś będziesz mógł wrócić 40 siebie.

— Obawiam się, że...

Nie. — Pojawiła się Magi, niosąc jedną z czystych, białych koszul sir Roberta. — Wciąż istnieje poważne niebezpieczeństwo zakażenia — oświadczyła kategorycznie.

— Magi ma rację — poparła ją Dizzy. — Harry powinien zostać tutaj. Nie ma nikogo, kto mógłby się nim zaopiekować.

— Z pewnością ma służącego albo jakiegoś chłopaka na posługi?

Dizzy pokręciła głową.

— Nie. Nikogo. Polega wyłącznie na sobie. Jego sekretarze mieszkają osobno. Nawet gospodyni przychodzi tylko trzy razy w tygodniu.

— Tak — oświadczyła Magi. — Pan Harry zdecydowanie powinien zostać tutaj. Proszę spojrzeć, jak wygląda jego rana. — Pochyliła się nad chorym i lekko potarła ranę na jego policzku. Wysokie boki drewnianego sarkofagu sprawiły, że nikt tego nie zauważył.

-Aj!

Harry jęczał głośno, wsuwając ręce w rękawy koszuli przytrzymywanej przez Magi.

— Rzeczywiście nieładnie to wygląda. — Dizzy dotknęła dłonią jego czoła.

— I jest rozpalony. Magi, przynieś mu wody.

— Jestem pewien, że to tylko naturalna reakcja obronna organizmu — upierał się Blake.

— Poza tym proszę pamiętać, że pani dziadek wyjechał. Pod nieobecność sir Roberta nie może pani trzymać Harry'ego pod swoim dachem nie wiadomo jak długo.

— Sir Robert wyjechał? — zaniepokoił się Harry. W tych okolicznościach za nic nie zostawi jej samej w domu, tylko z Magi i Duraidem. — Blake, doceniam twoją wiarę w mój męski wigor, ale zapewniam cię, że ostatnia rzecz, która mi teraz w głowie to bałamucenie Dizzy — powiedział słabo, starając się przybrać szczególnie zboląłą minę, co wcale nie sprawiło mu większego trudu.

Jego słowa bynajmniej nie przekonały Blake'a.

— A więc jesteśmy wyjątkowo jednomyślni — powiedziała Dizzy. — Bez względu na to, jak bardzo nie mam ochoty, ciąży na mnie obowiązek. Chrześcijański obowiązek. Nie mogę narazić na ryzyko zdrowia Harry”ego.

Odwróciła się do Blake”a, ale palcami wciąż delikatnie przesuwiała po policzku i po podpuchniętym oku I-larry”ego. Harry miał wrażenie, że zaraz zacznie mruczeć jak kot.

— Racja. — Skinął głową. — Masz chrześcijański obowiązek. Plecy też mnie bołą.

— Nie dziwota. — Zostawiła jego twarz w spokoju i lekko przesunęła dłońmi po teraz skromnie osłoniętych ramionach. Równie dobrze mogłyby być gołe, tak wyraźnie czuł jej dotyk.— Są spuchnięte. Mamy maść, którą mogę... którą Magi może ci wetrzeć.

Lord Rayenscroft, straciwszy nadzieję, że uda mu się sprawić, by Harry opuścił dom Carlisle”ów, przysunął krzesło do sarkofagu i usiadł.

— W co ty się wplątałeś?

Z bliskiej odległości, kiedy słońce świeciło Blake”owi prosto wtwarz, Harry wyraźnie widział, że kuzyn jest wściekły. Chociaż zadał pytanie lekkim tonem, w czarnych oczach pojawiły się gniewne błyski, nozdrza klasycznego nosa rozdeły się. Blake był rozjuszony do żywego. Co go tak poruszyło? Dlaczego tak się stara ukrywać swoje prawdziwe emocje?

Harry nie pojmował w czym rzecz. Przypominało to obserwowanie owsianki, która za chwilę może wykipieć. Lord Rayenscroft w każdej chwili mógł wybuchnąć.

— No więc? — zażądał Blake. — Jak udało ci się doprowadzić kogoś do takiej furii, Harry?

— Mam talent.

— Przypominają mi się czasy szkolne. Co i rusz pojawiałeś się z jakąś nową szramą.

Musisz przyznać, że koledzy nieźle ci zależli za skórę. Spędziłeś więcej czasu, kurując się niż ucząc, prawda? Nie, żeby sprawiło to komukolwiek większą różnicę.

A niech go!

— Jak to? — zdziwiła się Dizzy. — Myślałam, że pan studiował w Christ”s College, a Harry w Oksfordzie.

— Byliśmy razem w Eton — wyjaśnił Blake. — Obawiam się, że Harry stanowił tam dla kolegów główny obiekt prześladowań.

— Dokuczali mu? — spytała Dizzy, wyraźnie zaszokowana.

— Owszem — potwierdził Blake i złość w jego spojrzeniu zastąpiły inne uczucia — wyrzuty sumienia, żal, satysfakcja. — Harry szczęściarz — ciągnął z wysiłkiem. — Znalazł tutaj dla siebie miejsce. Desdemona jest pod wrażeniem. Zdobyłeś sobie nazwisko jako

swego rodzaju egiptolog.

— Obawiam się, że Desdemonna uległa złudzeniu — spokojnie oświadczył Harry.

— Nie oszukasz mnie. Widziałem, jak mieszkasz. Rozmawiałem z różnymi ludźmi. Jesteś ti całkiem wysoko ceniony. Nie wyobrażam sobie twojego powrotu do Anglii. W Egipcie odniosłeś sukces. Tam... — Wzruszył ramionami. — Nie wyobrażam sobie twojego powrotu do Anglii bez względu na to, co by ci obiecywano.

— Naprawdę? — Harry nadal zachowywał obojętną, opanowaną twarz. Wcześniej nauczył się nie dawać satysfakcji otoczeniu, ujawniając swoje cierpienia.

W nagrodę mógł być świadkiem, jak współczucie kuzyna przemienia się w złość. Biedny Blake, pomyślał, nie ma żadnych szans. Nad Harrym znęcali się mistrzowie. W porównaniu z nimi lord Rayenscroft był amatorem.

— Nie znalazłbyś tam dla siebie miejsca — ciągnął Blake z wysiłkiem. — Wszystko by ci przypominało o tym, czego w żaden sposób... nie mogłeś mieć.

— A czegoż to on nie mógł mieć? — spytała Dizzy, marszcząc czoło.

— Darkmoor Manor? — ironicznie podpowiedział Harry. Nie, nigdy nie wróci do Anglii. Ale nie zamierza mówić o tym kuzynowi. Blake patrzył na niego z wściekłością, na twarzy Dizzy malowało się skupienie.

— Pani... — Lord Rayenscroft odwrócił głowę w kierunku Dizzy — pani pokochałaby Londyn. A Londyn pokochałby pani Desdemono. Wyobrażam sobie panią podczas konnej przejażdżki w Flyde Parku albo jak odwiedza pani galerie sztuki, albo w łoży w Ascot albo w operze.

Uśmiechnęła się zachwycona nakreślonym przez niego obrazem.

Blake znów spojrzał na Harry'ego. Jeszcze z nim nie skończył.

— O ile dobrze sobie przypominam, miałeś kiedyś dość wygórowane ambicje. Chciałeś być uczonym, prawda? — W głosie Blake'a słychać było mściwe zadowolenie i Harry pomyślał, że zrozumiał w końcu pełną pasji reakcję kuzyna.

Blake, urodzony dżentelmen, był przewrażliwiony na punkcie honoru. Uważał za swój obowiązek przestrzec Dizzy przed Harrym. Jednocześnie sądził, że takie ostrzeżenie oznaczałoby brak lojalności wobec własnej rodziny. Dlatego szarpał się pomiędzy złością do kuzyna i niechęcią wobec własnego postępowania.

— Chciałeś się poświęcić nauce, Harry? — spytała Dizzy.

— Coś w tym rodzaju.

— Dlaczego zrezygnowałaś? Byłbyś wspaniałym egiptologiem. Już teraz wiesz więcej niż dziewięć dziesiątych specjalistów, którzy tu przyjeżdżają. Masz ogromną wiedzę. Mógłbyś się nią podzielić...

— Zrozumiałem, jak śmieszne jest to pragnienie — przerwał jej w pół słowa. — Nie daje pieniędzy. Cóż po sławie, kiedy człowieka nie stać na naprawę ciekącego kranu. Nie mówiąc już o kupnie butelki szampana, by wznieść toast za własny sukces? — Chciał zdrwić z Blake'a, ale widząc minę Desdemony, zrozumiał swój nietakt. Nie zamierzał przypominać o niedostatku panującym w domu Carlisle'ów. — Przepraszam, Dizzy.

— Nie ma za co. — Na jej policzkach widać było silne rumieńce.

— Naprawdę, nie chciałem...

Do pokoju wszedł Duraid.

— Siu...

— Tak, Duraidzie?

— Przyszedł jakiś pan Paget zobaczyć się z panienką. Mówi, że w sprawach służbowych.

— Tak? Zaprowadź go do salonu, Duraidzie — powiedziała Dizzy i wstała. — Panowie mi wybaczają.

Blake też wstał.

— Ależ naturalnie. Jeśli wolno, dotrzymam choremu towarzystwa.

— To bardzo miło z pana strony.

Harry nie był tego taki pewien.

21

Desdemona szła do salonu pogrążona w myślach. Zawsze wyobrażała sobie, że Harry był złotym chłopcem, rozpieszczanym przez rodziców i siostry. Jego pewność siebie dawała podstawy, by tak sądzić.

Ale skąd podobna pewność siebie u mężczyzny, który miał za sobą nieszczęśliwe dzieciństwo i jeśli wierzyć Blake'owi był tyranizowany przez szkolnych kolegów?

Dlaczego akurat jego wybrali sobie na ofiarę? Harry, o ile tylko chciał, potrafił oczarować każdego. To wszystko nie miało sensu.

I jeszcze to jego marzenie o karierze naukowej! Uważała, że Harry zawsze osiąga to, czego pragnie, że nic nie jest poza jego zasięgiem.

Zmarszczyła czoło. Harry był prawdziwym ekspertem. Potrafił oszacować wiek przedmiotu już po pobieżnym badaniu, znaleźć jedyny prawdziwy skarb w stercie gruzów, patrząc na fragment starożytnej wazy snuć fascynującą opowieść... A jednak wyrzucono go z Oksfordu, uciekł z Anglii i zrezygnował ze swych ambitnych planów. Choć oświadczył, że postąpił tak wyłącznie dla pieniędzy, nie wierzyła mu. Kryło się za tym coś więcej. Bezsilność, wyrzeczenie, płonne marzenia... klęska.

Niedoskonały Harry wydawał się bardziej ludzki. Może więc ta postawa bon vivant i zuchwalca była tylko maską, za którą ukrywał... wrażliwość? Desdemona uśmiechnęła się na tę nedorzeczną myśl. Znowu idealizowała Harry'ego. Skoro w Eton dostawał manto od kolegów, prawdopodobnie sobie na to zasłużył. Jednak ponieważ sama pozbawiona była w dzieciństwie towarzyszy zabaw, nie potrafiła w pełni go zrozumieć. Ani jego, ani kogokolwiek.

Buntowniczo uniosła głowę. Nie, to nieprawda. Musiało się za tym kryć coś więcej.

— . . .fermy indyków.

Zamrugła powiekami. Duraid stał obok niej z zafrasowaną min wymachując jakąś kartką.

— Co powiedziałeś, Duraidzie?

— Ostatniej nocy sfera psów dostała się do kojców na fermie indyków. Jedna czwarta ptaków nie żyje, połowa uciekła.

Desdemona mimowolnie się uśmiechnęła, wyobraziwszy sobie indyki zostawiające po całym Kairze odchody, w których kryją się skarabeusze.

— Mój przyjaciel mówi, że już wielu chłopaków wróciło na ulicę. Uważają, że teraz warsztat zostanie z pewnością zamknięty.

— Bzdury. — Ale wiej głosie można było dosłyszeć niepokój.

— Matm mówi, że na naprawę kojców i kupno nowych indyków potrzeba pięćdziesiąt funtów.

— Nie mam pięćdziesięciu funtów, Duraidzie. — Nie miała nawet dziesięciu funtów.

— Rozumiem, Sit!. — Duraid skinął głową, ale spojrzał na nią błagalnie. — Sit! coś wymyśli, prawda?

Sitt zawsze musiała coś wymyślać, znajdować jakieś genialne rozwiązania, wpadać na sprytne pomysły. Jednak teraz zupełnie nie wiedziała, co począć w obliczu nowej katastrofy finansowej. Tym dzieciom potrzebna była ferma indyków.

— Czy Sit! coś wymyśli? — dopytywał się Duraid. Kiedyś zebrał na ulicach Kairu. Kilku

jego przyjaciół z tych czasów zarabiał na życie przy wytwarzaniu skarabeuszy.

Spuściła głowę.

— Naturalnie, że coś wymyślę. — Jakoś udało jej się to powiedzieć z pełnym przekonaniem. — Teraz idź do kuchni i poproś Magi, żeby zaparzyła herbatę dla pana Pageta. — Otworzyła drzwi i weszła do salonu.

wia.

Georges zerwał się z kanapy, na której przysiadł.

— Ach, panna Desdemona! Słyszałem, że ma pani gościa.

— Owszem. Ostatniej nocy Harry miał kłopoty i wraca tutaj do zdro

Mały Francuz pokiwał głową.

— Mówi pani kłopoty. Ach, ten Harry. Jak zwykle niepoprawny. Mam nadzieję, że to nic poważnego?

— Wylize się. — Dała gościowi znak, by usiadł, a sama zajęła miejsce naprzeciwko niego.

— Duraid mi powiedział, że sprowadzają tu pana sprawy służbowe?

— Tak. Wczoraj wieczorem wspomniała pani, że nabyła pewien papirus.

— Papirus? Ach, ma pan na myśli te wiersze. Ale, monsieur Paget, wyjaśniłam przecież, że to falsyfikat — przypomniała mu. — Z pewnością nie zainteresuje Muzeum Kairskiego.

— Nie przyszedłem tutaj jako dyrektor muzeum, panno Desdemono

— odparł żartobliwym tonem.

— Ach tak?

— Czasem, nie narażając na szwank interesów placówki, którą reprezentuję, pośredniczę w handlu starożytnościami. Potrafię znaleźć kupca na takie rzeczy.

Chociaż wiedziała o tym od lat, Georges nigdy wcześniej nie przyznał się otwarcie do swoich nieoficjalnych źródeł dochodu.

— Chętnie zajmę się tym falsyfikatem. Oczywiście, godziwie pani za niego zapłacę. Dla kolekcjonera... — Uniósł brew. — ...może się on okazać bezcenny. Czy mógłbym go obejrzeć?

Potrzebowała pieniędzy. Chociaż miała nadzieję, że uda jej się sprzedać papirus wydawcy z Nowego Jorku, jeśli Georges Paget zaproponuje jej odpowiednią sumkę, wiersze będą jego. Już chciała skinąć głową, kiedy przypomniała sobie, że schowała papirus w bibliotece. A w bibliotece leżał teraz Harry. Nie miała zamiaru zdradzać swej tajnej skrytki. Georges będzie musiał zaczekać.

- Obawiam się, że w tej chwili jest to niemożliwe — powiedziała. — Może jutro? Albo pojutrze?

— Och. — Nie krył rozczarowania.

— Przykro mi, panie Paget.

— Mnie również — odparł Paget z niepocieszoną miną. — Mnie rów-

— Jak cię dopadł — spytał Blake, obserwując Harry'ego, który nie bez trudności wygramolił się z tej... z tej trumny... i kuśtykał przez pokój.

Harry zatrzymał się przed biurkiem sir Roberta i zaczął grzebać wśród zagranych przedmiotów.

— Jak mnie dopadli? — powtórzył z roztargnieniem, mocniej obwiązując się w pasie prześcieradłem i krzywiąc się przy tym boleśnie. Widocznie znalazł to, czego szukał. Wziął do ręki mały posążek. — Duraidzie! — zawołał.

— Powiedz mi, jakim cudem cię dopadli? — zażądał Blake. — Zawsze byłeś cholernie szybki. Jak to się stało, że cię dorwali?

Harry rzucił mu gniewne spojrzenie.

— Doprawdy, mój drogi, skąd mam wiedzieć? Złapali mnie już. Nie mierzyłem im czasu.

— Mówił tonem, jakim dorośli zwracają się do naprzykrzającego się dziecka. Blake poczuł jeszcze większą złość.

Jak Harry śmie traktować go tak protekcyjnie? Jak śmie zgrywać się na bohatera, jemu narzucając rolę tchórza?

— Wcale nie uciekałeś!

Harry podniósł posążek i oglądał go w skupieniu. Zupełnie nie zwracał uwagi na Blake'a.

— Do diabła! Powiedziałem, że wcale nie uciekałeś!

Zaskoczony podniesionym głosem kuzyna, podniósł wreszcie oczy. Przez chwilę przyglądał mu się, a potem znów zaczął badać posążek.

— Masz rację — mruknął. — Nie miałem dokąd uciekać. Uliczka kończyła się ślepo.

— Wiedziałeś o tym, kiedy kazałeś mi iść drugim zaułkiem, prawda?

— Tak. Pozwolisz? — Harry z trudem przeszedł przez pokój, starając się nie nadwierać bolącego boku. Wysunął głowę przez drzwi. — Magi!

— Nie mam wobec ciebie długu wdzięczności — pinił się Blake. — Może myślisz, że coś udowodniłeś, zmuszając mnie, żebym cię zostawił. Wiedząc... po tym, jak ci powiedziałem,

jak okropnie się czułem, wtedy w Eton... — Urwał, starając się uspokoić. — Nie udowodniłeś niczego, ani mnie, ani Desdemonie. To było żalosne. I w najmniejszym stopniu nie świadczy, że jesteś lepszy ode mnie.

— Magi! — Głos Harry’ego jeszcze raz donośnie rozległ się w korytarzu. Po chwili Braxton odwrócił głowę. Nie ukrywał już niechęci.

— Nie mam czasu na roztrząsanie twoich żalów, Blake — powiedział.

— A mówiąc szczerze, nawet gdybym miał czas, nie mam na to ochoty. Nie interesują mnie.

Blake widząc spojrzenie, jakim go Harry obrzucił, wiedział, że kuzyn nie kłamie.

Rozwścieczyło go to jeszcze bardziej. Przez tego nędznika zagrożone było jego dziedzictwo. Przez niego stracił ukochaną kobietę. Harry zagrażał wszystkiemu, co cenili sobie Rayenscroftowie. Był ofiarą, która bezprawnie pozowała na zwycięzcę.

Złość i bezsilność nie pozwalały Blake’owi jasno myśleć. Przewyciężył jednak pragnienie, żeby ostro odciąć się Harry’emu. Nie mógł sobie pozwolić na brak opanowania. Nie chciał kierować się niskimi pobudkami.

Był potomkiem starego rodu. Musiał zadbać o swoje dziedzictwo. Na Boga, postąpi jak należy. Przecież jest dżentelmenem.

Tylko to mu pozostało.

— Harry? — W drzwiach pojawiła się Magi. — Wołał mnie pan?

Nie zaszczyciwszy Blake’a nawet jednym spojrzeniem, Flarry wyszedł z gospodynią na korytarz. Blake został w bibliotece. Nie odejdzie, póki nie załatwi tego, co sprowadziło go do Kairu. Powie kuzynowi o nowym testamencie. Tego wymagał honor.

Czekał, obserwując Harry’ego pochylonego nad drobną ciemną kobietą. Słyszał melodyjną mowę arabską płynącą z ust kuzyna. Egipcjanka odpowiadała monosylabami. W końcu Harry wcisnął kobiecie posążek do ręki. Skinęła głową, odwróciła się i zniknęła w głębi korytarza.

Harry wrócił do pokoju i westchnął ciężko na widok wyrazu twarzy kuzyna.

— Blake, proszę, zostaw mnie samego.

— Przyjechałem do Kairu, żeby się z tobą spotkać.

— Naprawdę? Moja matka podała inny powód.

— Jaki?

— Podobno dochodzisz do siebie po zawodzie miłosnym. Całym swym zachowaniem Harry manifestował, że nic a nic W to nie wierzy. A niech go.

Po zerwanych zaręczynach.

— Ach!

Beztroski ton Harry'ego doprowadzał Blake'a do furii, osłabiając jego mocne postanowienie, by zachowywać się, jak przystało na dżentelmena i przekreślając wszelkie szlachetniejsze odruchy.

— Wiesz, dlaczego Lenora DuChamp zerwała zaręczyny? — spytał szybko, gwałtownie, zaskakując samego siebie.

— A czy pytam cię o to? — spytał kpiąco Harry, wciąż obojętny.

— Przez ciebie, kuzynie.,

Harry roześmiał się.

— Och, Blake, daj spokój — powiedział z wyraźnym rozbawieniem. Blake zacisnął dłoń w pięść. — Oskarżano mnie o różne rzeczy i w większości przypadków byłem skłonny wziąć winę na siebie, ale nigdy nawet nie widziałem panny DuChamp.

— Nie musiałeś. Wystarczyło, by usłyszała o tobie, o twojej ułomności, żeby zerwać nasze zaręczyny.

Teraz w końcu Blake miał tę satysfakcję, że zobaczył, jak kuzyn pobladł i zacisnął powieki, jakby ktoś mu wymierzył silny cios.

— Nic a nic nie przesadzam, Harry. — Blake próbował rozciągnąć usta w uśmiechu. — Sam jej o tobie powiedziałem. Musiałem postąpić uczciwie. Rozstała się ze mną. Podczas ostatniego spotkania wyjaśniła mi bez ogródek, że nie może pogodzić się z myślą że mogłaby urodzić nienormalne dziecko. A uwzględniając twoją ułomność, nie można wykluczyć takiej ewentualności.

— Jezu.

Do tej pory zachował prawdziwy powód rozstania z Lenorą w najgłębszej tajemnicy. Nie wspomniał o tym nikomu, nawet dziadkowi, chociaż staruszek na wieść o zerwanych zaręczynach wydziedziczył go.

Harry czuł się tak, jakby ktoś zdzielił go obuchem w głowę. Blake był świadkiem wewnętrznej walki kuzyna. Cierpienie zawsze Harry'ego uszlachetniało, podczas gdy on sam przez te wszystkie miesiące, kiedy rozpaczał w ukryciu, nie stał się szlachetniejszy. Zrobił się zgorzkniały. I wiedział o tym.

Jeszcze raz stwierdził, że nie dorównuje Harry'emu. Wściekłość przemieniła pogardę do samego siebie w mocne postanowienie.

Nigdy więcej. Nigdy więcej nie dopuścić do żadnych porównań z tym niedorozwiniętym umysłowo nieszczęśnikiem. Uderzył pięścią w stojące między nimi biurko i wycedził przez zęby:

— To nie ma znaczenia.

— Nie wygłupiaj się. Naturalnie, że ma.

— Nie. Już nie.

— Czy panna DuChamp wie, że może nawet nie mamy wspólnego dziadka?

— Nie! Poza tym istnieje lepsza kandydatka na panią Darkmoor Mafor. — Nie zamierzał tego powiedzieć, ale kiedy te słowa padły, poczuł się dziwnie zadowolony. To uczucie przesłoniło mu pogardę dla samego siebie. I nie mówił wcale prawdy. Do tej pory po prostu nie zdawał sobie sprawy, jak świetnie Desdemona nadawałaby się do roli wicehrabiny. Nie wymyślił tego, by zrobić Harry’emu na złość. Skądże znowu!

Harry wyglądał, jakby za chwilę miał dostać ataku serca. Zachwiał się lekko.

- Nie.

— Nawet się nie waż wchodzić mi w drogę — ostrzegł go Blake. — Przyszłość moja i jakiegokolwiek kobiety, z którą zdecyduję się związać, to nie twoja sprawa. Nie śmieję się wtrącać!

— Zniszczysz ją! Jest pozbawiona wyrachowania, uczciwa i skromna. Nigdy jej nie darujesz, że jest od ciebie lepsza, szlachetniejsza. Będiesz ją gnębił, aż ją zniszczysz, aż...

— Zamknij się! — Blake zacisnął powieki.

Nie będzie słuchał wywodów Harry’ego o Desdemonie. Na myśl o ich zażyłości robiło mu się ciemno przed oczami. Nie mógł znieść tego, jak go dotykała, jak on wodził za nią spojrzeniem...

— Zamknij się! — znów krzyknął, by odpędzić te obrazy. — Masz wszystko! Wszystko.

— Wszystko? — powtórzył za nim głucho Harry.

— Tak wszystko! Dziadek ustanowił cię wyłącznym spadkobiercą. — Blake wyprostował się i otworzył oczy, by stwierdzić, że Harry patrzy na niego z niedowierzaniem.

— To ze względu na Lenorę — ciągnął, pragnąc mieć to już za sobą. — Dziadek uwielbiał ją, więc kiedy się rozstaliśmy, był na mnie wściekły. Ukarał mnie, wyznaczając cię na spadkobiercę. Wie, jak bardzo kocham Darkmoor Manor. Wie, jak wiele ten dom dla mnie znaczy, a jak mało dla ciebie.

Harty zmarszczył czoło, wciąż nie przekonany.

— I dlatego przyjechałeś do Kairu? By osobiście mnie poinformować o moim... szczęściu?

— Ty bękarcie!

— Jestem rozczarowany. — Obojętny ton Harry'ego kontrastował z napiętym wyrazem twarzy. — Zawsze się pilnujesz, żeby twoje epitety były zgodne z prawdą. Idiota, głupiec, półgłówek. Dobrze wiesz, że pochodzę z prawego łóża.

— Nie rozumiesz? Będziesz właścicielem Darkmoor Manor!

— Rozumiem bardzo dobrze — powiedział l-larry, mrużąc oczy. — Zostałem mianowany spadkobiercą posiadłości dziadka, który w ten sposób zemścił się na tobie za to, że utraciłeś zaakceptowaną przez niego narzeczoną. Lenora DuChamp musi być dorodną panną.

Dziadek zawsze miał słabość do dorodnych kobiet. To rozumiem. Nie pojmuję natomiast,

dlaczego przyjechałeś taki szmat drogi, żeby mi o tym powiedzieć. Na twoim miejscu —

cia, gnął Harty — przeczesywałbym teraz Anglię w poszukiwaniu innej odpowiednio hojnie obdarzonej przez naturę panny, by ponownie wkręcić się w łaski staruszka, nim ten umrze.

Jezu. Blake'owi nie przyszło do głowy, że dziadek może umrzeć pod jego nieobecność...

Uniósł wzrok. Harty uśmiechał się porozumiewawczo.

— Niech cię diabli wezmą.

— Zostałeś wydziedziczony.

— Zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby odzyskać to, co mi się słusznie należy —

powiedział Blake. — Ale przede wszystkim odpowiadam za Darkmoor. Muszę otoczyć mój dom właściwą opieką. Dlatego tu przyjechałem.

— Tak? — Tym razem Harry zainteresował się.

— Popada w ruinę. Jeśli szybko się czegoś nie zrobi, fundamenty nie wytrzymają i runie do morza. — Rayenscroft patrzył w napięciu, próbując ocenić reakcję kuzyna. — Potrzebuję pieniędzy na niezbędne naprawy. Dużo pieniędzy.

— Chcesz, żebym ci dał...

— Nie — przerwał mu Blake, dotknięty do żywego. — Nie. Zwróciłem się do banku o pożyczkę, ale odmówili mi. Pożyczą taką kwotę tylko komuś, kto ma odpowiednie zabezpieczenie. Innymi słowy, spadkobiercy Darkmoor. Czyli tobie. Dlatego tu przyjechałem. Chcę, żebyś podpisał niezbędne dokumenty. — Sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki i wyciągnął cienką kopertę: formularz pożyczki bankowej i kopię testamentu mianującego Harty'ego spadkobiercą Darkmoor.

Harry wziął papiery, uśmiechając się ponuro.

— Chcesz, żebym podpisał dokument, na mocy którego zobowiązę się do spłaty pożyczki wykorzystanej na remont dziedziczonego przeze mnie domu. A ty później uczynisz wszystko, żeby mnie tego spadku pozbawić?

Blake skinął głową.

— Wygiąda na to, że uczciwie zdobyłem Darkmoor Manor. Może jednak jesteśmy spokrewnieni. — Harry rzucił papiery na biurko.

— Gdyby było inne wyjście, skorzystałbym z niego. Ale nie mam czasu. Potrzebuję tych pieniędzy. I to teraz.

— Skąd mogę wiedzieć, że to prawda? Niewątpliwie pamiętasz, że nie potrafię czytać. Możesz mnie prosić, żebym podpisał przyznanie się do jakiejś odrażającej zbrodni, której dopuściłeś się w Anglii. Nie jesteś aby Kubą Rozpruwaczem, Blake?

Blake spojrział na niego z wściekłością.

— Daję ci słowo dżentelmena, że to wszystko prawda. Jeśli masz wątpliwości, wynajmij kogoś, żeby cito przeczytał. Jestem pewien, że dość często musisz korzystać z podobnych usług.

— To prawda i, oczywiście, tak zrobię. Ale nawet jeśli nie próbujesz mnie oszukać, wciąż nie widzę, jaką odniosłbym z tego korzyść. Chodzi mi oto, że ja ryzykuję, zaciągam kredyt, a tobie pozostaje cała przyjemność nakłonienia mojego rzekomego dziadka, żeby zwrócił się przeciwko mnie. Dość podła rola. Moim skromnym zdaniem pasuję do niej o wiele lepiej niż ty.

Blake zeszywniał.

— Naturalnie przyjmę na siebie całą odpowiedzialność za spłatę pożyczki.

— Naturalnie. — Harry trzymał wszystkie karty w ręku i wiedział o tym.

— Darkmoor nic dla ciebie nie znaczy.

— To prawda. Ale jestem człowiekiem interesów, Blake. Nie trzeba umieć czytać, żeby prowadzić interesy. Wystarczy rozumieć prostą zasadę zysków i strat. I zadaję sobie pytanie: jaki będę miał z tego zysk?

— Czego chcesz?

— Wyjedź z Kairu — powiedział ostro Harry.

— Ty łobuzie!

Tym razem Harry bez uśmiechu wytrzymał gniewne spojrzenie Blake'a.

— Tego chcę.

— Nie wierzę, żebyś miał jakieś poważne zamiary względem Desdemony Carlisle. Nie możesz pragnąć, by ta cudowna istota mieszkała tutaj razem z tobą jak jakiś arabski włóczęga. Jest wyjątkowo uzdolniona. Musisz czuć do niej choć odrobinę sympatii. Chcieć tego, co dla niej najlepsze.

— Właśnie o tym mówię — powtórzył Harry, dysząc ciężko. — Podpiszę te papiery, kiedy wejdiesz na pokład statku.

Blake porwał kapelusz z biurka.

— Nie pozwolę się szantażować.

22

Niespokojnie krążył po zagraconej bibliotece. W pewnej chwili jego wzrok padł na plik dokumentów, które zostawił Blake. Harty rozłożył je. Litery migotały na papierze, tworząc niezrozumiałe wzory, jakby go prowokowały. Rzucił kartki na biurko.

Dwa dni temu zaproponował, że podpisze te przeklęte papierzyska, jeśli Blake opuści Egipt.

Dwa dni temu zaproponował swemu kuzynowi Darkmoor Manor w zamian za Dizzy.

Od tamtej pory Blake unikał go. Nie unikał natomiast Dizzy. Spędzał więcej czasu w domu sir Roberta niż w hotelu. A Dizzy na to pozwalała. Przyjmowała go zawsze, kiedy pojawiał się z wizytą.

Po raz setny Harry przeklął samego siebie, że tak pochopnie postąpił. Wystarczyło, by podpisał te cholerne dokumenty, a Blake byłby już w drodze do kraju, planując naprawy, jakich dokona w siedzibie rodu. Teraz zostanie tu do sądnego dnia, dowodząc, jaki jest szlachetny i szczery.

Do diabła z nim.

Harry uderzył ramieniem we framugę drzwi prowadzących do otoczonego murem ogrodu za domem. Skrzywił usta na widok maków, które leciutko kołysały się na wietrze w promieniach wczesnowiosennego słońca.

Jeśli Dizzy się dowie, że próbował szantażem zmusić Blake'a do wyjazdu z Kairu, ukreśli mu głowę. Ale kiedy kuzyn dał mu szansę pozbycia się go, Harry nie mógł z niej nie skorzystać. Powinien jednak wiedzieć, jak Blake na to zareaguje. Łatwo można było przewidzieć jego słuszne oburzenie. Ten człowiek to chodzący komunał.

Na szczęście równie łatwo można było przewidzieć całkowitą dyskrecję ze strony Blake'a.

Nie powie Dizzy, że Harry próbował go zaszantażować. Nigdy mu na to nie pozwoli jego poczucie honoru. Harry miał w nosie honor. Chciał tylko, żeby lord Rayenscroft zniknął z Kairu.

I zostawił mu Dizzy.

Jego ukochaną.

Nawet teraz dobiegały go z salonu głosy ich obojga. Chociaż wyteżał słuch, nie rozróżniał poszczególnych słów, ajedynie wyczuwał zażyły ton rozmowy. Doprowadzało go to do szału.

Odgarnął włosy z czoła i wrócił do biblioteki, do książki, którą studiował. Ostrożnie przekręcał kartki z oślimi uszami, jakby to był bezcenny pergamin, a nie papier gazetowy, na jakim zazwyczaj drukowano tanie romanse. Spędził cały ranek, przeglądając ilustracje w tej i innych powieściach, które znalazł schowane na najwyższej półce biblioteczeki.

Wszystkie rysunki były uderzająco do siebie podobne. Przedstawiały mdłe dziewczyny o rozchylonych ustach i mężczyzn o kwadratowych szczękach i minach, jakby cierpieli na zaparcie. Na ostatniej stronie nieodmiennie znajdował się wizerunek młodej pary, idącej w kierunku omszałego starego dworu na wzgórzu.

Harry zamknął książkę.

Darkmoor nie był zamkiem z bajki, ale był właśnie dworem.

A on mógł zostać jego właścicielem. Razem z Darkmoor Manor zyskałby szacunek, a przynajmniej akceptację związaną z prawem własności do tej rudery. Mógł wrócić do Anglii, mądrze zainwestować zarobione w Egipcie pieniądze i zostać człowiekiem majątnym. Mógł zmusić ludzi, by uznali jego sukces, nawet jeśli nie jego osiągnięcia.

Nigdy nie zdobędzie sławy wybitnego egiptologa. Nie miał co liczyć na uznanie w dziedzinie, której poświęcił ostatnie dziesięć lat życia. Ale mógł zyskać szacunek, czego zawsze pragnął. Albo przynajmniej wydawało mu się, że tego pragnie.

Bo usłyszawszy, co Blake miał mu do zakomunikowania, nie poczuł ani odrobiny triumfu. Nie obudziły się w nim dawne nadzieje. Dlaczego? Ponieważ spadek nie miał dla niego żadnego znaczenia, pomijając to, że jako właściciel Darkmoor Manor mógłby sprawić, by urzeczywistniła się przynajmniej część marzeń Dizzy.

Mógłby.

Jednak nawet gdyby zamieszkał w Darkmoor, nie uchroniłoby to Dizzy przed ukradkowymi spojrzeniami pełnymi litości, przed wysłuchiwaniami wyrazów ubolewania, ani przed

taksującymi spojrzeniami mężczyzn zastanawiających się w duchu: „Dlaczego taka kobieta poślubiła człowieka upośledzonego?”

Harry wsunął książkę z powrotem na miejsce.

— Master Harry? — Głos Duraida przerwał mu ponure rozmyślenia.

— Wejź.

Duraid wślizgnął się do pokoju. Dostrzegł talerz z prawie nietkniętym jedzeniem i skrzywił się.

— Magi będzie się gniewała że nic pan nie je — ostrzegł i zaczął sprzątać ze stołu.

— Czy lord Rayenscroft już wyszedł?

— Sprawdzę.

Chłopiec zniknął w korytarzu.

Harry musiał znaleźć jakiś sposób, by zostać w domu sir Roberta, póki się nie upewni, że Maurice nie stanowi już zagrożenia. Na nieszczęście rany szybko się goiły. Chociaż mógł liczyć na miękkie serce Dizzy, nie miał wątpliwości, że z chwilą powrotu jej dziadka zostanie natychmiast wyrzucony jakiiiepotrzebny śmieć.

— Akurat wychodzi. — uraid zamknął za sobą drzwi, czym natychmiast wzbudził podejrzliwość Harry’ego. Najwyraźniej chłopcu powiedziano, żeby to zrobił. Kto więc wydał takie polecenie? Dizzy? Dlaczego?

— Otwórz te cholerne drzwi, Duraidzie — wysapał Harry, a widząc przestraszoną minę służącego, dodał: — Musi tu być jakiś przewiew.

— Są na korytarzu — szepnął Duraid.

— No to co?

— Byli na korytarzu, kiedy piętnaście minut temu przyszedłem, żeby zabrać z salonu talerze po obiedzie. Zawsze długo trwa, nim w końcu sobie pójdzie. Chociaż przez cały czas rozmawiają, widocznie jeszcze mają sobie dużo do powiedzenia, bo kiedy zbiera się do wyjścia, zawsze stoi i gada. — W ciemnych oczach chłopca malowała się ciekawość. Był wyraźnie zaintrygowany.

— A o czym rozmawiają? — Jeśli Harry odczuwał jakieś zmieszanie, że tak się dopytuje, zniknęło ono, gdy usłyszał odpowiedź Duraida.

— O Anglii.

— Cholera!

Chłopak wzruszył ramionami.

— Sitt go O to prosi.

Nagle irytacja, która nie pozwalała dojść do głosu przygnębieniu, zniknęła. Dizzy o to prosi?

Musi być jakiś sposób, by jej pokazać, jak dużo dla niego znaczy. By przestała marzyć o Anglii, o angielskich arystokratkach i zamkach z bajki...

— Duraidzie, chcę, żebyś poszedł do mojego domu i coś mi przyniósł. — Skinął na chłopaka, by się zbliżył i dał mu szczegółowe instrukcje. Kiedy skończył, akurat weszła Magi. Duraid minął ją i wybiegł z pokoju.

— Załatwione — powiedziała bez żadnego wstępu.

— Kiedy?

— Dziś wczesnym rankiem podrzucono shabiis do domu Maurice'a. Jak tylko ten drań wróci, człowiek, który to zrobił, poinformuje władze tureckie. Maurice zostanie natychmiast aresztowany. Przy tak niepodważalnych dowodach kradzieży cennego przedmiotu z domu sir Roberta, długo nie wyjdzie na wolność.

— Dobrze. — Harry skinął głową.

— Prowadzisz niebezpieczną grę, Rany.

— Nie mam innego wyjścia. Nie mogę czekać, aż Maurice postanowi osiągnąć mnie poprzez Dizzy. A któregoś dnia zrobiłby to. — Dobiegł go radosny śmiech Desdemony. Mimo woli twarz mu się rozjaśniła, chociaż serce ścisnęło się boleśnie.

— Jesteś głupcem — powiedziała cicho Magi.

— Zdaje się, że wszyscy się co do tego zgadzają.

— Mówię poważnie, l-larry Braxtonie. Nie myślałam, że kiedykolwiek powiem to człowiekowi, któremu nigdy nie brakowało pomysłów, ale nie mogę dłużej milczeć. Jesteś głupcem.

— Do trzech razy sztuka.

— Głupiec.

— Wiesz, w Anglii powszechnie się uważa, że kobiety Wschodu są potulne i milczące...

— Nie pora teraz na żarty. Chcesz, żeby Desdemona poślubiła lorda Rayenscrofta?

Nie. — Słowo to zabrzmiało czysto i wyraźnie, jakby pochodziło z głębi jego serca, z głębi duszy. — Ona nie poślubi Blake'a.

— Zrobi to — oświadczyła ponuro Magi — ponieważ on się niczego nie boi. W przeciwieństwie do ciebie.

— Nie boję się...

— . . .niczego z wyjątkiem jednego: że Desdemona poczuje dla ciebie litość, a nie miłość. Odwrócił wzrok. Nie potrafił na to odpowiedzieć. Magi dotknęła jego ramienia, zmuszając go, by na nią spojrział.

— Od lat obserwuję, jak ukrywacie to, co czujecie. Ją ciągnie do ciebie, o czym wiesz i czego pragniesz, ale bronisz się rękami i nogami. Nie pozwalasz jej zakochać się w tobie, bo nie chcesz, żeby poznała prawdę o twojej ułomności, ale nie dajesz też odejść. — Magi zawiesiła głos. — I trwa to od miesięcy, od lat... Rozkochujesz ją w sobie i nie dopuszczasz, by ci zaufała... Sam też z każdym dniem coraz bardziej ją kochasz. Mówisz, żeby odeszła, a jednocześnie skłaniasz ją do pozostania. Boisz się tego, co zrobi, co powie, kiedy pozna prawdziwego Harry'ego Braxtona. Nie romantycznego bohatera, nie tego Księcia Szakali, jak lubi cię nazywać, ale człowieka, który nie umie czytać.

Słyszał bicie własnego serca. Czuł kurz porozstawiane wszędzie zabytki, stęchliznę starej skóry, woń rozkładu.

— Skąd o tym wiesz? — spytał nawet specjalnie niezdziwiony.

— Cały Kair o tym wie, Harry — powiedziała łagodnie.

Skinął głową. Jakie to miało znaczenie?.Znali jego tajemnicę, a on itak osiągnął sukces i bogactwo, i cieszył się szacunkiem. Zdobył wszystko. . z wyjątkiem serca Dizzy.

Magi rozłożyła ręce i spytała ze złością.

— Nie rozumiem, dlaczego jej o tym nie powiesz?

— Dizzy chce wyjechać — wyjaśnił. — Codziennie układa plany, obmyśla strategię, wyobraża sobie, jak opuszcza Egipt. Po co mam jej mówić, jaki jestem? Czemu by to miało służyć poza wywołaniem jej współczucia?

Gospodyni pokręciła głową.

— Powinna zostać tutaj.

Powinna? Harry potarł oczy. Nie wiedział, jak pogodzić swoje pragnienia — by tu została i by była szczęśliwa. Nie wiedział nawet, od czego zacząć.

— Ona zasługuje na coś więcej niż rozsypujący się pałac mameluków i sfera wygłodniałych psów ujadających pod jej oknem każdego wieczoru na dobranoc. Diz pragnie powrotu do Anglii.

— Do Anglii. Bah! — złościła się Magi. — Tęskni za tym, co sobie wymyśliła, bo nikt nie zaproponował jej czegoś lepszego. Pamiętam, jak do nas przyjechała. Chociaż opłakiwała

rodziców, z tym nowym krajem wiązała wszystkie marzenia. I były one całkiem realne. Znalazła sobie nawet bohatera... który ją wyśmiał.

— Gdyby jej nie wyśmiał, nie opanowałby pożądaną. — Wytrzymał pełne potępienia spojrzenie Magi. Przynajmniej jeśli o to chodzi, był pewny, że postąpił słusznie. — Była taka niewinna. Taka młoda. A on... za bardzo się bał.

— No, tak. Znow strach. Czy można się dziwić, że Desdemona tak się zachwyca nieustraszonym, cierpiącym wicehrabią? Nawet jego ból jęz nim pociąga. Jak lepiej podbić czułe serce Desdemony, niż dając jej do zrozumienia, że jest potrzebna? Ty, Harry, nigdy nikogo nie potrzebowałeś. Ani niczego.

Boże, jaki fałszywy obraz stworzył.

— Jutro są jej urodziny — ciągnęła Magi. — Lord Rayenscroft obsypie ją różnymi ślicznościami, bezużytecznymi, mającymi wyłącznie cieszyć. Jest wyjątkiem wśród jej znajomych. Oto w końcu mężczyzna, który nie dba o to, że Desdemona potrafi czytać w kilkunastu językach, odszyfrowywać hieroglify, bilansować dochody i wydatki. — Wyciągnęła w jego stronę palec. — Obojętne mu, co ona robi. Nie widzi w niej naukowca, tylko śliczną, uroczą, młodą dziewczynę, która nie ma dużych wymagań. Idealną żonę zubożalego arystokraty. Chce...

Pragnę ją mieć — przerwał jej cierpko Harry. Nigdy nie żywiłem co do tego wątpliwości. — To powiedz jej prawdę.

Magi nie wiedziała, o co prosi. Już nie był chłopcem, który ciskał w kąt książki ze łzami bezsilności w oczach, ani młodzieńcem, który przybył do Egiptu pewien, że na jego życie zawsze będzie padał cień ułomności. Nie chciał pamiętać tamtych męczarni. Pragnął zapomnieć o nich raz na zawsze.

— Nazywasz ją romantyczką i kpisz sobie z marzeń, które snuje, ale sam nie karmisz jej niczym innym. — Magi podkreślała każde słowo gestem ręki. — Ujawniasz, co ci odpowiada. Ukrywasz, co chcesz. To nieuczciwe. To tchórzostwo. Liczy się tylko prawda. Desdemona potrzebuje mężczyzny, a nie chimery, nieważne przez kogo stworzonej, przez ciebie czy przez nią.

Przez cały dzień nie widziała się z Harrym. Wczoraj po wyjściu Blake'a, kiedy chciała odwiedzić chorego, na korytarzu natknęła się na Magi. Gospodyni miała minę jak chmura gradowa. Złapała Desdemonę za rękę i zawróciła od drzwi, radząc żeby „zostawiła tego głupca w spokoju”. Desdemona posłuchała jej bez szemrania.

Ale teraz ciekawa była, jaką minę zrobi Harry, kiedy zamiast zaniedbanej dziewczyny zobaczy elegancką damę. Dzięki zręcznym palcom Magi stara suknia słomkowego koloru zmieniła się nie do poznania. Egipcjanka przyszyła do halki nowe warstwy cielistej tafty. Spod delikatnego muślinu, rozdzielonego z przodu i udrapowanego z tyłu, widać było drobniutkie szczypanki. Magi wykorzystała nadmiar materiału na tren mieniący się bursztynowymi koralikami.

Przerobiła też górę zgodnie z najnowszą modą, obszywając malutkimi paciorkami głęboko wycięty dekolt. Tyle obnażonego ciała, pomyślała Desdemona, patrząc na siebie. Odwagi. Zaczerpnęła głęboko powietrza i otworzyła drzwi.

— Turecka policja właśnie wyszła — zakomunikowała.

— Ach tak? — Harry, rozarty leniwie na krześle, nawet nie uniósł wzroku znad obieranej pomarańczy. Na parapecie stały butelka i kieliszek. Widocznie wysłał Duaida do swego domu po brandy. W domowym budżecie sir Roberta nie uwzględniano takich pozycji. Desdemona weszła do pokoju, poprawiając fałdy spódnicy.

— Powiedzieli, że znaleźli jedną z shabtis dziadka u tego Shappeisa. Może dlatego cię porwał, żeby mieć czas na włamanie do nas. Musi być zdumiewająco przebiegły. Jestem pewna, że dziadek nawet nie zauważył, że coś zginęło.

— Coś takiego! — Harry ugryzł cząstkę pomarańczy i zliżał sok z warg. Boże, pomyślała ni stąd, ni zowąd, miał najbardziej zmysłowe usta na świecie.

— Policja dostała informację o jego przestępczej działalności. Najwyraźniej był podejrzany o różne przestępstwa, ale nigdy wcześniej nie znaleziono u niego żadnych kradzionych przedmiotów. — Kiedy Harry na nią spojrzy? Póki nie poświęci jej — I jej wyglądowni — całej uwagi, Desdemona nie zdradzi mu najciekawszej części całej historii: że złodziej zbiegł, kiedy odprowadzano go do aresztu.

— Nie mogę powiedzieć, żeby mnie to zdziwiło. Maurice jest... — Uniósł wzrok i słowa, które miały z nich paść, zamarły mu na ustach. Zmierzył ją od stóp do głów. — Wychodzisz gdzieś?

— Zgadłeś. — Okręciła się, strosząc falbanki i koronki, jak egzotyczny ptak stroszy piórka.

— Blake zabiera mnie na koncert, a potem na obiad.

Harry ostrożnie odłożył pomarańczę na podłogę obok krzesła i wstał. Umył głowę.

Wilgotne włosy połyskiwały w promieniach przedwieczor nego słońca. Podeszedł bliżej z miłym wyrazem twarzy. Zadnego podziwu. Zwykle przyjacielskie zainteresowanie. A niech go!

— Rozumiem — powiedział. — Dla uczczenia twoich urodzin, prawda?

Z tak bliskiej odległości czuła ostry wawrzynowy zapach jego mydła.

— Lord Rayenscrofl jest bardzo miły.

— Wielkie mi poświęcenie spędzić wieczór z piękną kobietą — zauważył delikatnie.

Uśmiechnęła się szeroko, słysząc, jak się z nią przekomarza. A więc spodobał mu się jej strój.

— To robota Magi.

— Co? — spytał.

— Suknia. Jeśli mam być szczerą, przerobiła moją starą sukienkę. Czyż nie jest śliczna? — Obróciła się w koło.

— Przewspaniała. — Nie podeszedł ani o krok bliżej, ale na dźwięk tego jednego słowa poczuła się, jakby ją objął. Serce zabiło jej szybciej, rozchyliła usta. Pochylił się niżej, a potem cofnął głowę i odchrząknął.

— Cóż — mruknął, ani na chwilę nie odrywając wzroku od jej twarzy.

— Równie dobrze mogę ci dać swój prezent teraz.

— Prezent?

— Prezent urodzinowy. — Przeszedł przez pokój i wziął ze stolika paczuszkę owiniętą w zwykły, szary papier i przewiązaną sznurkiem. Podał ją Desdemonie dziwnie skrepowany.

— Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin.

Pospiesznie odpakowała. Ujrzała lusterko, które — jeśli miała choć blade pojęcie o zabytkach, a nauki jej dziadka nie poszły na marne — liczyło sobie trzy tysiące lat. Było kwadratowe, z zaokrąglonymi rogami, wysadzone malutkimi, kolorowymi kamykami.

Powierzchnia, chociaż chropawa i nierówna, błyszczała, dopiero co natarta oliwą.

Kiedyś w tym lusterku przeglądała się jakaś kobieta, egipska dama. Może był to dar od małżonka lub kochanka...

Zachwycona, Desdemona spojrzała na połyskujące zwierciadło. Jej odbicie było niewyraźne.

— Widzisz coś? — spytał Harry.

— Niezupełnie. — Uniosła wzrok i uśmiechnęła się. — Harry, ono jest prześliczne.

— Chodź — powiedział. — Musisz się przejrzeć. — Położył dłonie na jej ramionach.

Ciepłe i silne. Odwrócił ją tak, żeby światło słoneczne padło na powierzchnię lusterka. Z głębi wypolerowanego metalu wyłoniło się odbicie Dizzy, jakby za sprawą jakiegoś tajemniczego zaklęcia. Za plecami czuła ciepło bijące od Harry'ego, jego jedyny w swoim rodzaju zapach.

Odruchowo odchyliła się do tyłu i oparła o szeroki tors. Ta spontaniczna reakcja zaniepokoiła ją. Desdemona zmieszała się i spuściła głowę, udając, że uważniej przygląda się zwierciadłu. Obrócił ją w rękach. Z tyłu widniał motyw lotosu. Malutkie nacięcia między stylizowanymi kwiatami pokrywały nieskazitelną poza tym powierzchnię. Dizzy zmrużyła oczy, nachyliła lusterko tak, by padło na nie światło słoneczne. Tak, nie myliła się. Drobne nacięcia nie były wcale rysami, tylko znakami pisma hieratycznego, uproszczonymi hieroglifami. Przysunęła lustro bliżej, próbując odczytać słowa.

Kwiaty które skłaniacie kielichy...

Moje serce się skłania ku tobie,

Wszystkim Iwoim pragnieniom ulegam,

Kiedy w twych objęciach spoczywam...

Był to wiersz miłosny; Zarumieniła się. Ich spojrzenia się spotkały. Na twarzy Harry'ego dostrzegła ironiczny uśmiech.

— Har... — W porę się powstrzymała, by nie zrobić z siebie idiotki. Znów pochyliła głowę. Mikroskopijne nacięcia rysowały się tak niewyraźnie, że umknęłyby mniej uważnemu obserwatorowi. Było to zwyczajne lusterko. — Dziękuję.

— Zobaczyłem je w zeszłym roku na bazarze w Luksorze i od razu pomyślałem o tobie. Jak tylko je ujrzałem, wiedziałem, że musi należeć do ciebie. Myślałem... — Urwał i lekko potrząsnął głową, jakby odpędzając jakąś myśl. — Nie ma za co.

Poczuła jego dłonie na ramionach, na karku. Delikatnym ruchem Harry zmusił ją do pochylenia głowy.

— Wysunęły ci się włosy — szepnął jej prosto do ucha. — Pozwól.

Nie dopuścił, by się sprzeciwiła, zresztą wcale nie chciała. Leciutko przesuwając palcami po jej szyi, zgarniając niesforne kosmyki. Z własnej woli pochyliła niżej głowę, rozkoszując się jego dotykiem. Z grubego węzła, upiętego przez Magi, Harry wyciągnął szylkretową szpilkę

i na policzek opadło złociste pasmo włosów. Sięgnął po nie, muskając przy tym dekolt Dizzy, aż wstrzymała oddech. Ale było to tylko przypadkowe muśnięcie; zaraz cofnął smukłe palce.

— Gotowe. — Miał taki głos, jakby też nie mógł złapać tchu.

— Dziękuję.

Odsunął się. Gdy zabrakło jego ciepłej bliskości, poczuła na skórze chłodne powietrze. Aż się wzdrygnęła. Przesunęła dłońmi po gołych ramionach.

— Więc idziesz na obiad z moim dostojnym kuzynem — odezwał się Harry dziwnie nieswoim głosem.

— Tak. Już powinien tu być, ale przeszkodziła mu jakaś wiadomość z domu. Mam nadzieję, że nie stało się nic złego.

Harry uśmiechnął się krzywo.

— Może mewy zatkały jeden z kominów w Darkmoor — zażartował. Nie powinien z takim przekąsem komentować troski Blake'a o siedzibę rodu.

— Twój kuzyn bardzo kocha swój dom.

— Zgadzam się. Wszyscy mężczyźni w jego rodzinie traktują Darkmoor Manor jak świętość— oświadczył bez cienia zwykłej ironii. — Diz, co byś dała za prawdziwy angielski dwór? — spytał niespodziewanie.

— Och, wszystko. Czyż jest kobieta, która nie pragnęłaby mieć domu, gdzie mogłaby grać rolę wielkiej pani? — odpowiedziała. Zastanawiała się, dlaczego Harry zrobił się nagle taki spięty.

— A gdyby Blake mógł ci go dać...? — Stał zupełnie nieruchomo, z poważną miną. — Albo nie mógłby...?

— Nie ma dworu, nie ma Desdemony wygłosiła nonszalancko, próbując go rozśmieszyć. Nie udało jej się to.

— Dlaczego między tobą a lordem Rayenscroftem panują takie złe stosunki? — spytała. — Przecież jesteście kuzynami. Co spowodowało tę rywalizację między wami? Czy to...

— zawahała się, nie wiedząc jak rozmawiać z tym mężczyzną, który nagle wydał jej się kimś zupełnie obcym.

— Z powodu tego, co wydarzyło się w Eton? Albo... albo skandalu w Oksfordzie, kiedy cię wyrzucono z uczelni? Czy Blake odegrał w tym jakąś rolę?

Nie odpowiedział od razu, ale odniosła wrażenie, że podczas tej krótkiej chwili wahania

rozważył wiele Spraw.

— Nie powiedział w końcu. — Nawet gdyby nie było żadnych rozdzźwięków między nami w szkole, Blake i ja i tak byśmy się nie lubili, Desdemono. A z tym, co się stało w Oksfordzie, nie miał nic wspólnego. Nawet go tam nie było. To wyłącznie moja zasługa. Desdemono? Już drugi raz Harry zwrócił się do niej, używając pełnego imienia. Nigdy jej tak nie nazywał z własnej woli. Nie była pewna, co o tym myśleć.

Nie mam żadnego prawa...

— Masz wszelkie prawo. Chciałbym, żebyś wszystkiego się dowiedziała — uśmiechnął się krzywo — ale nie mam pewności, czy starczy mi odwagi, by cito powiedzieć.

— Nie rozumiem.

— Pobył W Oksfordzie był... był dla mnie wyjątkowo trudnym okresem życia, Desdemono.

— Wpatrywała się w niego zdumiona. — Zostałem... zostałem relegowany za oszustwo. — Ostatnie słowa wyrzucił z siebie jednym tchem.

— Za oszustwo? — Bardzo dobrze wiedziała, że Oszustwo to jeden z najpoważniejszych grzechów, jakich może się dopuścić dżentelmen. Ale Harry z całą pewnością nigdy nie uzurpował sobie prawa do tego, by uważano go za dżentelmena.

Nie, stwierdziła, w najmniejszym stopniu nie zaskoczyło jej wyznanie Harry'ego.

Coją jednak zdziwiło, to fakt, że nie potępia tego wykroczenia... ani osoby, która się go dopuściła.

Prawdę mówiąc, była o wiele bardziej zdumiona tym, że Harry w ogóle musiał oszukiwać, niż tym że oszukiwał. Był przecież taki inteligentny. Niektórzy powiedzielibynawet, że błyskotliwy.

Ale jeszcze bardziej niż. brak reakcji oburzenia u niej samej, zaniepokoiło ją to, że Harry, który statecznie dorobił się na oszustwach albo czymś bardzo do tego zbliżonym, był tak wyraźnie zawstydzony tym występkiem sprzed wielu lat

Wydawało jej się, że do tej pory powinien już się pogodzić ze swoją przeszłością.

Wyglądało to na uzalanie się nad sobą co zupełnie nie pasowało do Harry'ego, jakiego znała. W ciągu ostatniego tygodnia co i rusz stwierdzała, że wcale nie zna l-larry'ego Braxtona. Nic a nic. Nie wiedziała, czego chce, jakimi motywami się kieruje, jakie są jego pragnienia i cele. To ją denerwowało, czuła się w pewien sposób zdradzona.

Tak, pomyślała, przyglądając mu się z rozpaczą. To nie był dawny Harry. Miał urywany oddech, śmiertelnie bladą twarz. Wyznanie drogo go kosztowało. Nachmurzyła się.

— Jak powiedziałem — ciągnął — nie było mi lekko w Oksfordzie...

— Wiesz co, Harry — przerwała mu szorstko, nie chcąc dalej słuchać jego wyrzekań, nie chcąc rezygnować ze swoich wyobrażeń o nim, tak długo pielęgnowanych: że jest nonszalancki, nie zna, co to skrucha, ptlega tylko na sobie. — Blake”owi też nie było łatwo. Wasze kłopoty, chociaż odmiennej natury, powinny stać się dla was źródłem wzajemnego zrozumienia, przybliżać, a nie oddalać.

— Blake i trudności? Czyżby stado owiec zdeptało łąki w Darkmoor? — przerwał jej Harry z goryczą.

— Nie bądź taki okropny. Mógłbyś spróbować dostrzec, że inni mają zmartwienia równie dla nich ważne, jak twoje są ważne dla ciebie. — Spojrzał na nią jakby go uderzyła. Z miejsca ogarnęły ją wyrzuty sumienia.

Przecież to Harry, jej przyjaciel, jeśli nie ktoś więcej. Przez długi czas sądziła, że żył szczęśliwie, nie miał poważniejszych zgryzot. Czy uważała je za ważne czy też nie, nie miało znaczenia.

— Wybacz mi moją małoduszność i pobłażliwość dla samego siebie

— powiedział sztywno. — Proszę, powiedz mi, z jakiegóż powodu cierpi Blake?

Cała ta rozmowa przebiegała nie tak, jak należy. Harry podczas ich wieloletniej znajomości tyle przed Dizz ukrywał: Eton, Oksford, rodzinę, rywalizację z kuzynem. Zagryzła wargę, zastanawiając się, jak mu odpowiedzieć.

Czyż nie warto dopuścić się drobnej niedyskrecji, żeby doprowadzić do zgody między obu drogimi jej mężczyznami?

— Matka Blake”a... nie jest... nie jest zbyt dobrą kobietą.

— Matka Blake”a jest zwykłą latawicą — powiedział obojętnie. — I co z tego?

Była oszołomiona jego brakiem delikatności.

— Harry! Jak możesz być taki bezduszny? Wyobraź sobie, co to znaczyło dla małego chłopca... wstyd, rozczarowanie! — Podeszła do niego, ujęła jego dłoń i błagalnie ją ścisnęła.

— A do tego jedyna kobieta, którą kochał, panna Lenora DuChamp, też..., podejrzewam, że nie była mu wierna.

— Nie była mu wierna? — Harry przyciągnął Desdemonę do siebie, by spojrzeć jej w twarz, jakby perfidia Lenory DuChamp miała dla niego ogromne znaczenie.

Nie opierała mu się, aż znalazła się tuż obok niego. Zadarła głowę, by spojrzeć w jego jasne

oczy, położyła rękę na jego piersi. Zupełnie, jakby oparła ją na kamieniu rozgrzanym promieniami słońca.

- Tak.

— Czy to słowa Blake’a czy twoje? — spytał.

— Moje. Powiedział, że zastał ją w niedwuznacznej sytuacji... z innym mężczyzną. Szeroki uśmiech pojawił się na szczupłej twarzy Harry’ego. Po raz pierwszy, odkąd Desdemona weszła do pokoju, odprężył się i miał rozbawioną minę. Znow był panem sytuacji i sobą. Harrym. Harrym, jakiego znała.

Albo uważała, że zna.

— A więc Blake nie powiedział mi wszystkiego — mruknął.

— Nie wiem, co cię tak rozbawiło.

— Przyłapał ją w łóżku z innym, tak? — W jego oczach błyskały wesołe iskierki.

— To rzeczywiście może człowieka wytrącić z równowagi.

— Nie! — zaprzeczyła. — To znaczy... o niczym takim nie wiem i z całą pewnością się nie dopytywałam.

— Wielka szkoda.

— Harry... — powiedziała błagalnie, wygładzając koszulę na jego piersiach. Spojrzał na opalone palce, kontrastujące z nieskazitelniebiałą skórą. — Harry, bądź miły.

— Staram się. Bóg mi świadkiem, że się staram.

Była zupełnie zdezorientowana, widząc jego nagle poważne spojrzenie, bladą twarz, świeżaszramę. To wszystko jedynie maska. Nie znała mniej wrażliwego na przeciwności losu człowieka. Machinalnie przesunął palcem po jej nadgarstku. W tym łagodnym dotyku była tak hipnotyzująca siła, że Desdemonę przebiegł dreszcz. Zbyt dużo tych dreszczy. Wyrwała mu się.

— Harry — spróbowała jeszcze raz. — Nie rozumiesz, jakie to było dla niego przykre?

— Co? Dla kogo? — spytał z roztargnieniem, wodząc po niej wzrokiem.

— Dla Blake’a. Wszystkie kobiety, z którymi był blisko związany, rozczarowały go, zawiodły. Matka doprowadza jego posiadłość do ruiny, szarga nazwisko...

Harry potrząsnął głową, jakby chciał czemuś zaprzeczyć.

— Och, nie jest aż tak źle. Raczej plamka tu czy tam niż zaraz szarganie.

— Jak możesz być taki nieczuły? Blake’owi zależy na Darkmoor Manor. Kochał Lenorę DuChamp. Chciał kochać swoją matkę. Jak możesz drwić z jego cierpienia? Jak możesz nie

okazywać mu współczucia?

— Jego cierpienia — powiedział z przekąsem.

— Tak!

Odwrócił się gwałtownie. Ta gwałtowność dziwnie kontrastowała z mizernym wyglądem, z ranami i sińcami, które — o czym Desdemona dobrze wiedziała — kryły się pod czystą białą koszulą.

- Harry?

Na jego twarzy pojawił się nieprzyjemny uśmiech. Uśmiech diabła albo człowieka, który sam siebie zadrecza.

— Jego cierpienia? Moja droga Diz, pozwól, że ci powiem trzy rzeczy o starym Blake”Nie miał idealnych rodziców, nie odziedziczył wolnego od długów majątku, a co najważniejsze, ani na chwilę o tym nie zapomina.

— Wrażliwe dziecko...

— Tysiące, miliony dzieci miały trudniejsze życie od Blake”a. On jest zdrowy, ma pozycję, pieniądze, szacunek. Są dzieci, które nie mają rodziców, nie mają co jeść, nie mają domu.

Wyjrzyj na ulicę. Dizy. — Wskazał palcem na okno. — Myślisz, że nie znajdzie się tam jakiś mały włóczęga, który z pocałowaniem ręki zamieniłby swój los na „smutną” dolę Blake”a?

Uniósł ręce, a potem nagle się rozmyślił i gest ten przerodził się w pogardliwe, lekceważące wzruszenie ramion. Desdemona mimo woli skrzywiła się.

— Rzeczywiście — ciągnął I-larry —jego matka nie zdobędzie nagrody za przykładne macierzyństwo, jego ukochana Lenora jest tylko człowiekiem i w jego domu

panująprzeciagi. I co z tego? — Mówił gorączkowo, zaperzył się do tego stopnia, że Desdemona ostatecznie się upewniła, iż konflikt między kuzynami jest sprawą bardzo poważną, a co więcej, nie zaczął się od wydarzeń w Eton czy Oksfordzie, a jedynie się tam ujawnił.

— Od najwcześniejszego dzieciństwa Blake zachowywał się tak, jakby świat winien mu był wyjaśnienie, dlaczego jego życie nie jest idealne. — Harry oparł się ręką o ścianę i wyjrzał przez okno na dwór, gdzie szybko zapadał zmrok.

— Cóż, jeśli komuś należy się wyjaśnienie, to nie Blake”owi. Więc skoro on zamierza spędzić życie, czekając w kolejce na odpowiedź, to równie dobrze mogę zająć miejsce przed nim. — Odwrócił głowę, ale zdążyła dostrzec ból i konsternację na jego twarzy.

— Ja też chcę odpowiedzi. Są sprawy, które powinienem... — Urwał, ale tylko na chwilę, jakby jego gniew był zbyt wielki do zniesienia.

— Dlaczego matka Blake’a nie jest cnotliwa? Dlaczego u diabła nie umiem...?

- Urwał.

Desdemona wpatrywała się w niego oczami okrągłymi ze zdumienia. Dostrzegła inne oblicze Harry’ego ukrywane pod maską bon vivant. Dostrzegła cierpienie. Ból. Bardziej dotkliwy, niż cokolwiek, co do tej pory widziała. Myliła się. To nie było uzalanie się nad sobą, tylko bezdenna rozpacz.

— Harry, o co chodzi? — Schwyciła go za ramię. Cały drżał.

— Desdemono? — rozległ się na korytarzu głos Blake’a.

Jakby go nie usłyszała.

— Co zamierzałeś mi powiedzieć?

Potrząsnął głowę pełen pogardy dla siebie. Na jego twarzy malowały się cierpienie i durna. Desdemona nigdy wcześniej takim Harry’ego nie widziała.

— Bądź tak dobra — poprosił cicho — i nie wpuszczaj tu Blake’a.

Nim zdążyła cokolwiek odpowiedzieć, wyszedł do ogrodu, zamykając za sobą drzwi.

24

Moje serce się skłania k tbie, wszystkim twoim pragnieniom ulegam, kiedy w twoich objęciach .poczywam. Bo twa prośba — to szminka dla oka, widok twój — to jest blask moich oczu. Lgnę do ciebie, gdy widzę iwą miłość, boś ty serca mojego włodarzem.

Harry studiował delikatne napisy na zwierciadle, aż nadto prawdziwie wyrażające to, co czuło jego serce. Odłożył lusterko na biurko i przechylił głowę, nasłuchując czy nie wracają Desdemona i Blake.

Przez ostatnie trzy godzinykrążył po bibliotece, przemierzał w tę i z powrotem korytarz i wyglądał przez okno na pustą ulicę. Warknął na biednego Duraida, kiedy ten przyniósł mu kolację, itak nakrzyczał na Magi, że wybiegła, do głębi oburzona.

Po raz setny zadawał sobie pytanie, jak mógł być takim uzalającym się nad sobą durniem. Jego egocentryzm najwyraźniej wydał się Desdemonie odpychający. Napelniło ją niesmakiem to, co Harry powiedział.

Magi radziła mu, żeby szczerze wszystko wyznał. Cóż, wystarczyło, że ujawnił drobną część prawdy o sobie, a Dizzy już się zraziła. Chciał jej tyle spraw wytłumaczyć, a tymczasem zrobił z siebie mazgaja, który skamle, że jego cierpienia są godne większego

współczucia niż kłopoty innych — w tym wypadku Blake’a.

Do diabła, przecież nie mogła zakochać się w jego kuzynie. Bez względu na to, jak bardzo starała się tego nie widzieć, musi przecież dostrzegać, co kryje się za romantyczną pozą Blake’a.

Nie chodzi o to, że Blake jest złym człowiekiem. Harry wcale nie miał pewności, czy tak właśnie nie byłoby lepiej. Ale nie, Blake to dżentelmen pod każdym względem. Dizzy umrze, jeśli go poślubi. Załamie się w obliczu jego niezłomnej moralności, jego poprawności, jego poczucia wyższości.

Zza ściany dobiegł jakiś hałas. Harry szybko wyjrzał na korytarz. W otwartych drzwiach frontowych stała jak posąg Magi. U podnóża schodów zobaczył kilku mężczyzn. Od pasa w górę zasłaniały ich olbrzymie bukiety czerwonych róż, które trzymali przed sobą. Wyglądali komicznie, chwiejąc się pod naręczem kwiatów na chudych, pałkowatych nogach. Trudno było na ten widok powstrzymać uśmiech.

Magi rozdziawiła usta ze zdumienia.

— Cóż to takiego, u diaska? — Harry nagle oprzytomniał. Rozbawienie zniknęło, a jego miejsce zajęły podejrzenia.

Zza kwiatów wyłonił się nędzny turban i stara, pomarszczona twarz o smętnych oczach.

— Czy to dom Sitt Carlisle?

— Tak — odpowiedziała Magi.

— To dla niej. Od lorda Rayenscrofta.

Naturalnie.

Oswobodziwszy jedną rękę od swego brzemienia, starzec skinął na towarzyszy.

— Powiedz nam, gdzie je położyć — zwrócił się do Magi, z dezaprobatą patrząc na jej odsłoniętą twarz.

Magi rozejrzała się po zagraconym korytarzu.

— Ful! Ilhak’ni min karib — poleciała i wpuściła ich do małego holu. Mężczyźni z trudem wspięli się po stopniach i podążyli za gospodynią. Po chwili cała grupa zniknęła w bibliotece. Harry zawrócił na czas, by zdążyć usłyszeć, jak Magi mówi:

— Zanieście je do ogrodu. Tam nie będą zawadzały. A teraz zmykajcie.

Mężczyźni w turbanach spojrzeli na nią kwaśno. Nawet miedziaki, które wcisnęła w dłoń najstarszemu z nich, nie zdołały zmniejszyć dezaprobaty dla jej europejskich manier i stroju.

— ignoranci. Dziękuję Bogu, że jestem oświeconą kobietą i żyję w oświeconych czasach — westchnęła rozdrażniona Magi, gdy tylko ruszyli. Rozejrzała się, kiwając głową.

— Chyba ze dwieście róż. Cóż za rozrzutność!

Harry milczał. Mógł tylko gapić się bezradnie na obfitość wonnych, purpurowych kwiatów, które teraz miały mu dotrzymywać towarzystwa podczas godzin czuwania.

Czy w ogóle mógł marzyć o rywalizacji z takim uosobieniem banału?

Marta wysiadła z wynajętego powozu przed domem Carlisle'ów, gdzie Larry powracał do zdrowia. Z roztargnieniem grzebała w torebce, szukając pieniędzy.

— Proszę mi pozwolić, madame. — Uniosła wzrok i ze zdumieniem ujrzała Cała Schmidta wsuwającego kilka monet w otwartą dłoń woźnicy.

Zmieszana zmarszczyła czoło, ale po chwili jej oblicze wygładziło się. Od takich grymasów można się nabawić zmarszczek.

— Pan Schmidt. Jak miło.

Wcale nie była zadowolona z tego spotkania. Wszystko tak dobrze sobie obmyśliła, ale jej plan nie przewidywał obecności Cała. Upewniła się, że Desdemona cały wieczór spędzi w towarzystwie lorda Rayenscrofta. Wyglądało, że to idealna okazja, by zakończyć...

rozmowę, którą rozpoczęła kilka dni temu. Zanim Larry znów zacznie się uganiać za Desdemoną.

Nie mogła go jednak uwodzić na oczach Amerykanina. Westchnęła w duchu. Musi się jakoś swego zagorzałego wielbiciela pozbyć. Jeśli to możliwe, nie raniąc jego uczuć. Był bardzo miły i dobrze wychowany.

Ruszyła w dół zaułka. Cał bez słowa podążył za nią.

Dziwne. Do tej pory dobrze wychowani mężczyźni specjalnie jej nie pociągali.

— Składa pani wizytę swemu przyjacielowi, panu Braxtonowi? — spytał.

— Słucham? Tak. Chcę odwiedzić Harry'ego.

— Podobno kilka dni temu spotkała go niemiła przygoda. Mam nadzieję, że już czuje się lepiej?

— Harry? Och, Harry jest niezniszczalny.

— Czyżby? — Cał ujął jej rękę i wsunął sobie w zagięcie ramienia. — Jednak założę się, że biedaczysko śpi. Zeby wyzdrowieć, trzeba dużo wypoczywać. Trochę późno, by budzić kogoś, kto tak niedawno został poturbowany. Pan Braxton potrzebuje teraz spokoju. Pewnie nawet trudno mu siedzieć prosto.

— Być może. — Nie pomyślała o tym. Rzeczywiście bardzo możliwe, że Harry śpi. A nawet jeśli nie, czy można uwieść mężczyznę... mocno poturbowanego? Poza tym, jeśli Harry jej nie przyjmie, będzie narażona na znoszenie pełnych potępienia spojrzeń gospodyni Carlisle'ów. Niezbyt pociągająca perspektywa.

— Założę się o sto dolarów.

— Och! — wykrzyknęła i uśmiechnęła się do swego towarzysza. — Jest pan hazardzistą, panie Schmidt?

— Panie Schmidt? — Jego szare oczy zrobiły się okrągłe. Zbyt późno uświadomiła sobie, że taka oficjalna forma w odniesieniu do mężczyzny, któremu pozwo"iło się na dużą poufałość, brzmi idiotycznie. Ale na twarzy Amerykanina nie widać było ani odrobiny cynizmu, a jedynie szczere rozbawienie.

— Cóż, tak, pani Douglass. A pani?

— Och, znana jestem z tego, że czasem się zakładam.

Przystanął, zmuszając ją do zatrzymania się.

— Mam pomysł.

Pomysł. Wciąż się uśmiechała, chociaż w środku poczuła lekkie ukłucie rozczarowania.

Pora, by Cal zaproponował wspólny powrót do hotelu.

Tymczasem on ujął obie jej dłonie w swoje wielkie ręce.

— Słyszałem o nowym lokalu, który dopiero co otwarto nad rzeką. To kasyno. Bardzo przyzwoite — zapewnił spiesznie, gdy zobaczył na twarzy Marty wyraz zaskoczenia. Naprawdę zależało mu na jej dobrym imieniu.

— Tak?

— Madame, będę zaszczycony, jeśli uda się tam pani ze mną. Tak dobrze mówi pani po francusku, a przekonałem się, że w tych kasynach jest więcej Francuzów niż Brytyjczyków, nie mówiąc już o Amerykanach. Czuję się przez nich zdominowany.

— Och, jestem pewna, że da pan sobie radę i beze mnie.

— Być może. — Uśmiechnął się szeroko. — Ale wcale nie mam na to ochoty. Proszę mi towarzyszyć.

Spojrzała na ciemne okna domu Carlisle'ów.

— Dobrze się zabawimy — zachęcał ją Cal.

— Pod warunkiem, że wygramy.

— Jeśli pójdziesz ze mną, Marto — powiedział cicho — to ja już wygrałem.

Mpże nie był to najbardziej subtelny komplement, jaki kiedykolwiek w życiu usłyszała, ale bardzo jej się spodobał. Uśmiechnęła się i przyjęła zaproszenie.

— Jesteś równie śliczna, jak słodka — powiedział Blake, kiedy znaleźli się przed drzwiami jej domu.

— Słucham? — Desdemona zmusiła się do skupienia uwagi na swoim towarzyszu. Przez cały wieczór myślami była przy jego kuzynie. Nie dawały jej spokoju tajemnice Harry’ego, jego wybuch złości i rozpacz. Musi poznać źródło cierpienia, bólu który tak wyraźnie ujrzała na twarzy tego zawsze opanowanego mężczyzny: dowiedzieć się, dokąd zaprowadziła Harry’ego zazdrość — jeśli była to zazdrość. Ale jak inaczej należałoby tłumaczyć jego wcześniejszy gniew i słowa pełne goryczy?

Blake przysunął się bliżej. Położył lekko dłoń na jej ramieniu. Jego oddech zaczął laskotać ją ucho, przywołując wspomnienie innego ciepłego oddechu...

Usta Harry’ego, jego wargi tuż przy jej policzku...

— O czym tak dumasz, moja droga? — spytał cicho.

Moje serce się skiania ku tobie...

— O niczym. — Bez względu na to, co czuła, teraz musi skupić się na Blake’u.

Uśmiechnął się i zapukał nad jej ramieniem do drzwi.

— O Anglii? Mnie też zawsze, gdy słyszę muzykę Haydna, ogarnia tęsknota za domem. A może marzyłaś o czymś lub o kimś innym...

Drzwi otworzyły się. Magi zmrużyła oczy, patrząc na nich z góry. Ścisłej owinęła się szlafrokiem.

— A, to wy. Dość późno.

Blake uśmiechnął się póbłaźliwie.

— Ach, nieoceniona Mag! Dobry wieczór. Czy mogę zapytać, czy przyniesiono moje wotum?

— Wotum? Niech pan idzie do kościoła, jeśli chce pan składać wota. Magi była wyraźnie nie w humorze. Nie lubiła, jak się ją budziło z pierwszego snu.

Blake roześmiał się dobrodusznie.

— Cóż, w takim razie czy przyniesiono mój dar dla panny Desdemony?

— Tak.

Odwrócił się do dziewczyny.

— Moja droga, czy nie będziesz miała nic przeciwko temu, że wejdę na chwilę? Możesz to nazwać próżnością ale chciałbym zobaczyć twoją minę na widok prezentu, który ci przysłałem.

— Nie może pan wejść — oświadczyła twardo Magi. — Nie wypada. Jest bardzo późno. Składanie wizyt o tej porze nie należy do dobrego tonu.

Blake wyciągnął szyję i zajrzał do środka, nie zwracając uwagi na słowa Magi.

— Gdzie kazałaś je umieścić?

— Je? — zdziwiła się Desdemona.

— W ogrodzie. Jeszcze jeden powód, dla którego nie może Pan wejść. Pan Harry biedny, drogi, cierpiący pan Harry — powinien dużo wypoczywać. Pamięta panienka jeszcze pana Harry'ego? — Spojrzała gniewnie na Desdemonę.

Jakby mogła o nim zapomnieć. Myśli o Harrym wywoływały zamęt w jej głowie. W zeszłym tygodniu powiedziałaaby, że zna Harry'ego Braxtona jak samą siebie. Ale to było w zaszłym tygodniu. W ciągu ostatnich siedmiu dni stosunki między nimi uległy zmianie. To odkrycie nappełniło ją lękiem. Jeśli dawna przyjaźń przestała istnieć, czym zostanie zastąpiona, jeśli w ogóle czymkolwiek?

Desdemona wzdrygnęła się. Nie chciała być sama. Miała dosyć samotności. Spojrzała na Blake'a.

— Nie może mu pan zakłócać spokoju, przechodząc przez bibliotekę

— upierała się przy swoim Magi. — A tylko tamtędy można się dostać do ogrodu.

— Możemy wejść furtką od ulicy — zaproponowała Desdemona, nie chcąc pozostać sama ze swymi myślami.

Ależ naturalnie. — Blake rzucił gospodyni lekko triumfujący uśmiech.

— Pozwolisz, Magi?

Magi wykrzywiła usta.

— Proszę bardzo. O ile nie zszarga pan opinii mojej Desdemonie, wchodząc o tej porze do domu. Zostanie pan w ogrodzie. A ja idę do łóżka. — Z tymi słowami zatrzasnęła im drzwi przed nosem.

— Magi jest bardzo opiekuńcza — powiedziała Desdemona, kiedy Blake ujął ją pod ramię i pomógł zejść ze schodów. Ruszyli zaułkiem wiodącym na tyły domu.

— Pochwalam jej czujność. Chroni bezcenny skarb. — Czekał cierpliwie obok wysokiego kamiennego muru, aż Desdemona otworzy drewnianą furtkę. Potem odsunął się, żeby

przepuścić swojätowarzystkę przodem.

Gdy tylko znaleźli się w ogrodzie, owionął ją zapach róż, mdły, słodki i ciężki. Zmrużyła oczy. Wzrok wolno przyzwyczajał się do światła, rzucanego przez pojedynczą lampę, którą Duraid zostawiał zapaloną na noc. Desdemona spojrzała na drzwi biblioteki. Nikły promyk nadziei zgasł, kiedy zobaczyła, że chociaż są uchylone, w pokoju panuje ciemność.

Widocznie Harry usnął.

Zresztą i tak nie powinna teraz myśleć o Harrym. Powinna skupić całą uwagę na Blake”

Rozejrzała się wkoło. Wszędzie róże. W słabym świetle nie mogła rozpoznać, jakiego są koloru. Przypuszczała, że czerwone. Stały na stoliku z kutego żelaza i w wazonach na kamiennych płytach, na kamiennej ławce i dwóch krzesłach, wzdłuż ogrodzenia.

— Ojej. — Nigdy wcześniej nie widziała tylu róż stłoczonych na tak małej przestrzeni.

— Mam nadzieję, że ci się podobają.

— Są niezwykle. Naprawdę. — Chociaż ich widok jest przygnębiający, pomyślała.

Niedługo umrą. Już niektóre kwiaty zwiesiły główki, a na jasnych kamiennych płytach leżały pierwsze płatki, przywołując na myśl ciemne krople krwi.

— Ale w najmniejszym stopniu nie mogą konkurować z pięknem tej, która stoi obok mnie.

To ona jest idealną różą: słodką, śliczną, czystą.

...moją rozpaloną, niedającą spokoju pustynią moim chłodnym, zielonym Nilem, nieskończenie piękna, niezgłębiona i dająca siłę.

Starła się wygnać te słowa z pamięci.

— Lordzie RayenscrofL.

— Blake.

— Blake, nie jestem bez wad.

— Myślę, że ja, mając pewne doświadczenie z kobietami, jestem w tym względzie lepszym sędzią od ciebie. Zresztą to czyni cię jeszcze bardziej zachwycającą. Nawet nie zdajesz sobie sprawy z własnej wartości. To urocze. — Przynął się bliżej, otoczył ją ramionami, pochylił głowę. — To prowokujące.

Zamknęła oczy. Właśnie o tym zawsze marzyła. Za chwilę sama miała doznać tych wszystkich cudownych, romantycznych, podniecających uczuć opisywanych w jej ukochanych książkach. Ciemnowłosa, szlachetny arystokrata nie mógł się powstrzymać, by jej nie pocałować. W przeciwieństwie do Harry”ego, który złatwością opierał się jej urokowi. Zachęcająco odchyliła głowę do tyłu.

— O, mój Boże — szepnął.

Wicehrabia zmiądzzył ją w silnym uścisku, a potem złożył żarliwy pocałunek na jej delikatnych ustach. Nie mogła oddychać. Objął ją mocniej i unióśł, przycisnąwszy do potężnej piersi. Trąciła coś stopą i usłyszała odgłos przewracającego się wazonu i chrzęst szkła.

Zmarszczyła czoło. Coś się nie zgadzało. Powinna tylko słyszeć przyspieszone bicie własnego serca. Mocniej objęła Blake'a za szyję.

Dużymi, kształtnymi dłońmi ujął jej twarz, by móc napawać się pocałunkiem. Nagle oderwał usta od jej ust. Cofnęła się, trącając kolejne wazony i wpadła na...

Do diabła z tymi przeklętymi kwiatami! Wszystko psuły. Wyciągnęła ręce do Blake'a, by zacząć wszystko od nowa, ale on się odsunął.

Drżał na całym ciele, oczy mu pociemniały

- Sprawiałaś, że się zapomniałem.

— Przepraszam.

Stał w milczeniu, starając się odzyskać panowanie nad sobą. Dziewczyna złożyła ręce i spiotła długie, delikatne palce, niepewna, co zrobić, co powiedzieć.

— Na Boga, nie mogę dłużej zostać — wymamrotał.

Wymamrotał?

— Rozumiem.

— czyżby? — spytał. Wątpię. !yhiszę już iść. Teraz. Póki nad sobą panuję. — Minał ją, trzymając iysoko głowę, rękami zaciśniętymi w pięści.

I po drodze wpadł na jeszcze przynajmniej trzy wazony.

Zamrugła oszołomiona, patrząc na różsypane na ziemi róże, na potłuczone szkło i kałuże wody połyskujące w migotliwym świetle lampy. Oczami duszy ujrziała zamgloną, ciemną alejkę, poczuła tytoń i płyn do włosów, smak ust Harry'ego...

Potrząsnęła głową. Właśnie przeżyła najbardziej romantyczny ze swych snów. Całował ją kruczowłosa, czarnooki Blake, a ona myślała o zwyczajnym Harrym, ze zwyczajnymi brązowymi włosami. O Harrym, którego, jak się okazało, wcale nie znała.

Zacisnęła usta. Jeśli będzie o tym pocałunku myślała wystarczająco długo, może się on stać wszystkim, o czym marzyła. Może ramiona Blake'a powinny ją raczej „otoczyć”, a nie „zmiądzzyć”. I gdyby jego wargi raczej „musnęły” jej usta, a nie „rozgniotły”... Przesunęła językiem po wardze, niepewna, czy nie czuje krwi.

— Ojej — rozległ się cichy męski głos. — Naprawdę wyglądało, jakby cię zabolalo.

25

Nic dziwnego, że piękna Lenora poszukała sobie innego kochanka — powiedział dnyiaćo Harry. — Widocznie biedaczka nie potrafiła stawić czoła całej tej męskiej żywiołowości. Ich spojrzenia spotkały się. Nie mogła oderwać wzroku od jego ciemnych oczu, w których malował się niepokój. Słyszała, jak Harry przełknął ślinę. Poczwała, jak drża jego ręce. Wolno pochylił głowę. Rozchylił usta — te śliczne, zachwycające usta — i twarz Desdemony owionął jego ciepły oddech.

Pocałował ją.

Pocałunek ten był niespodziewanie słodki, przejmująco czuły. Mój Boże, pomyślała oszołomiona, jego wargi są tak delikatne, na jakie wyglądają. A potem zapomniała o całym świecie i oddała się bez reszty zmysłowej rozkoszy.

Harry muskał jej usta. Wymazywał z pamięci Desdemony gwałtowność pocałunku Blake’a kojącym dotykiem, który wcale nie uspokajał ani nie koił, ale rozpałał pożądanie uspiione przez tyle lat.

Blake nigdy nie obudziłby jej zmysłów w ten sposób po prostu dlatego, że nie zawładnął jej sercem. W przeciwieństwie do Harry’ego. Zawsze go kochała. Ta świadomość przejęła Desdemonę dojmującym smutkiem i lękiem, że Harry znów ją odtrąci. Zaczęła całować go namiętnie, a on odpowiedział na jej pragnienie taldm opanowaniem, że niemal mylnie wzięła je za nonszalancję, za cierpliwość znawcy, okazywaną nowicjuszcze.

Niemal.

Bo drżał na całym ciele, słyszała jego urywany oddech. W jego spojrzeniu ani w wyrazie twarzy nie było już śladu dawnej obojętności.

Pragnął właśnie jej, Desdemony. I pierwszy raz się z tym nie krył.

Spiotła mu ręce na szyi i przytuliła się do niego. Objął ją, nachylił się, jego usta odpowiedziały na jej niemą prośbę. Przyłgnęła do nagiej, szerokiej piersi i aż zadrżała, taką sprawiło jej to przyjemność. Jego skóra była ciepła, gładka, czysta.

Harry nie wahał się już dłużej. Wziął Desdemonę na ręce i wniósł do pokoju. Wolno opuścił ją na posłanie, całując jej twarz, delikatnie przesuwając językiem po skaleczonych ustach. A

ona, nawet gdy już znalazła się na jego łóżku, nadal nie wypuszczała go z objęć, pełna obaw, że może ją teraz zostawić, tutaj, w takim stanie, kiedy wszystkie jej zmysły czekały na spełnienie.

Ale Harry wcale nie miał zamiaru jej zostawiać.

Namawiano go do wyznania prawdy. To była prawda.

Kochał Desdemonę.

Przez moment myślał, by wyjawic jej swoj tajemnicę, ale nie byo to teraz ważne. Dotd zawsze kocha się z kobietami z poczuciem wdzięcznoci. W przewiadczeniu, że jest odbiorc hojnego daru, pragn udowodni, jak wysoko go sobie ceni.

Ale tym razem to nie by dar. To bya nagroda. Nie oddawa Desdemonie swego ciaa dla jej przyjemnoci, ale by sprawiajc jej rozkosz, samemu czerpa z tego zadowolenie. A co więcej. by zdoby jej serce. Jej mioc.

W caym swoim Źyciu, obfitujcym w niewysuchane proby, nigdy niczego bardziej nie pragn. Podniecenie, ktore odczuwa, sprawio, że sta się niezdarny. Ona obejmowaa go z takim wdziękiem, ajego ramiona byy sztywne od emocji, jego ruchy wymuszone i niezgrabne.

Dowiadczony w kwestiach mioci, myla, że będzie nauczycielem Dizzy. Ale to, co czu w tej chwili, nie przypominao żadnego znanego mu przeżycia. Kompletnie go to zaskoczyo. Rożnica między tym, co dziao się z nim przy innych kobietach, a obecnymi doznaniem, bya tak rażca, że wszystkie jego dotychczasowe dowiadczenia przestay miec jakiegokolwiek znaczenie.

Od dawna o tym wiedzia. Od tamtego pierwszego pocaunku wiedzia, czym się to musi skończy. Mowi sobie, że nie cofnie się przed niczym, zrobi wszystko, by zwiaza Dizzy ze sob. Ostatecznie skoniy go do tego kroku zazdroc i lęk, że j straci.

Desdemona wsunęa mu ręce pod koszulę. Odwinęa pócienny bandaż, ktory nie pozwala jej rozkoszowa się w peni t chwil, przesunęa donmi po muskularnych ramionach.

Harry zamkn oczy, upajajc się jej dotykiem.

— Chcę cię dotykac.

— Dotykaj mnie — poprosi, pożądanie pozbawio go rozsdku, bezwiednie powtarza jej sowa.

Scign koszulę i rzuci j na podogę. W ciemnym pokoju, ktorego mrok rozpraszao jedynie swiato lampy gazowej na tarasie, oczy Desdemony zdaway się zupelnie czarne.

Hurysa — szepnął, ujmując jej ciepł miękką dłoń i składając na niej pocałunek. Była taka drobna, taka śliczna. Połaskotał językiem wrażliwą skórę nadgarstka. — Ciemnooka służebnica rozkoszy, drzewo sandałowe i ambra. Zawsze miłość.

Desdemonę przeszedł dreszcz. Uwolniła rękę z lekkiego uścisku i zaczęła nią wodzić wzdłuż szyi i torsu Harry’ego.

— Jesteś taki piękny — powiedziała.

— Słodki Allachu. — Zamarł w bezruchu owładnięty potrzebą pieszczenia jej i bycia pieszczonym.

— Prześliczny — Musnęła jego wargi, zmusiła, by je rozwarł, przesunęła lekko palcami po dziąsłach. Rozchyliła usta, westchnęła. — Chcę...

Jęknął i zaczął ssać koniuszek jej palca. Desdemona zacisnęła zęby i wstrzymała oddech. Doskonale wiedział, czego chciała.

— Pozwól mi się z tobą kochać — szepnął.

— Kochaj się ze mną — powiedziała chrapliwie. Jej ciało naprężyło się. Przesunęła dłońmi wzdłuż pleców Harry’ego i z całej siły przyciągnęła go do siebie.

— Proszę — powiedziała na półbłagalnie, na półrozkazująco. Odgarnął z jej zaróżowionej twarzy zasłonę złocistych włosów i zaczął rozwiązywać jedwabną kokardę przy sukni. Połyskliwy materiał zsunął się z ramion Desdemony, obnażając jej piersi. Bładozłote półkule wysadzone koralami. Harry patrzył, zafascynowany ich krągłością.

— Dotykaj mnie — powiedziała. Czuł jej oddech na swej skórze. Przeszedł go dreszcz. Z czcią objął dłonią delikatną pierś. Musnął koniuszkiem języka sterczącą brodawkę, a potem łapczywie przywarł do niej ustami.

Desdemona zachłysnęła się, kiedy zaczął ją ssać. Palce zanurzyła mu we włosach i mocniej przycisnęła jego głowę do swego ciała. Takiego miękkiego, takiego drobnego, takiego silnego...

— O Boże. — Z gardła dziewczyny wydobywały się zduszone okrzyki. Wiedział, że sprawia jej przyjemność. A miał do zaoferowania jeszcze dużo więcej.

Przestał całować jej pierś i pospiesznie zaczął się szamotać ze sznurówkami, guzikami i licznymi haftkami broniącymi mu dostępu do Desdemony. Pod dotykiem jego rąk poruszała się bezwiednie, podniecając go jeszcze bardziej, sprawiając, że stawał się coraz bardziej niezdarny. W końcu rozpiął suknię, połuźnił halki. Jedną ręką ściągał z Dizzy ubranie, drugą przesuwał po jej kibici, biodrze, udzie, kolanie i łydce, tworzących płynną

linię...

Nagle poczuł, że Desdemona szarpie się z jego spodniami, wsunwszy mu udo między nogi, czym pozbawiła go do reszty rozsądku.

Zamknął oczy i zacisnął zęby, poddając się jej zabiegom. Po chwili napięcie puściło.

Zsunęła mu spodnie poniżej bioder. Przekręcił się, ściągnął je i czekał, wstrzymawszy oddech.

Serce waliło mu głucho w piersiach. Wyraźnie słyszał jego bicie.

Była dziewczicą. Jeśli się teraz wycofa, on nie uczyni jednego gestu, by ją powstrzymać, nie powie ani słowa. Zrobił tyle, ile mógł; resztę musiała mu ofiarować dobrowolnie.

Desdemona poczuła na swej skórze chłodne powietrze. Otworzyła oczy. Słowa skargi zamarły jej na ustach, kiedy spojrzała na I-larry”ego.

Wyglądał jak młody bóg.

Leżał nieruchomo. Zacisnął zęby, jakby toczył jakąś wewnętrzną walkę. Jego śliczne, zmysłowe wargi tworzyły cienką linię. Każdy mięsień był napięty. A ta część męskiego ciała, której opis sprawił kiedyś Magi tyle trudu, stanowiła harmonijną całość z resztą.

Desdemona podparła się na łokciu i nachyliła się nad I-larrym. Jej długie włosy łaskotały go. Naprężył mięśnie brzucha.

Nieśmiało przesunęła dłonią po jedwabistej kępcie brązowych włosów na podbrzuszu.

Niepewnie objęła palcami nabrzmiąły członek. Głośne syknięcie sprawiło, że spojrzała Harry”emu w twarz. Oczy miał szeroko otwarte. Patrzył na nią z uwagą i napięciem, pożądliwie i czujnie.

Dotąd prowadził ją instynkt. Instynkt, pożądanie i pięć lat pragnienia tylko tego mężczyzny, miłości tylko do niego jednego. Ale teraz, widząc jak Harry drży na całym ciele, zmieszała się. Ogarnął ją wstyd. Cóż ona mogła dać jemu, takiemu wytrawnemu kochankowi? Była całkowitą ignorantką. Nie wiedziała, na co on czeka, bo wyraźnie czekał na coś, o czym w swej kompletnej naiwności nie miała zielonego pojęcia.

— Nie wiem, co robić.

Nie był przygotowany na takie wyznanie. Wpatrywał się w ni ciężko oddychając, sam zmieszany.

— Nie wiem — powtórzyła przyciszonym głosem. — Powiedz mi. Naucz mnie. Chcę, żeby to było... niezwykle.

Jego powściągliwość zniknęła. Ujął jej twarz drżącymi dłońmi i przewrócił Desdemonę na

wmak, a sam podparł się nad nią na rękach, by nie przytłoczyć jej swoim ciężarem.

— Pragnij mnie.

— Pragnę. Ale co mogę...

— Na miłość Allacha, jedynie mnie pragnij, Dizzy. Tak jak ja pragnę

— Dobrze.

Potem znów zaczął ją całować. Były to słodkie, szalone, namiętne pocałunki. Obydwoje wiedzieli, że niebawem nastąpi koniec długiej męczarni i ogarnęła ich niecierpliwość.

Desdemona czuła dziwne napięcie w piersiach, udach i w dole, między nogami. Każdy ruch jego bioder sprawiał, że stawało się ono coraz dotkliwsze, aż w końcu zapragnęła, by Harry napierał na nią z całych sił tam, nisko. Instynktownie zaczęła poruszać biodrami w rytm miarowych ruchów jego lędźwi.

ciebie.

Uniósł się nad nią, odrzucił głowę do tyłu, wygiął szyję. Jego piękne usta rozchyliły się w grymasie, jakby hamował się ostatkiem sił. Wilgotne włosy kleiły się do skroni. Tors, pokryty warstewką potu, połyskiwał w nikłym świetle. Desdemona poczuła, jak ręka Harry'ego zaczyna głaskać porośnięty włosami wzgórek między jej udami. Ta pieszczota rozniecała w niej ogień. W końcu jego palce wsunęły się między wilgotne fałdy...

Wstrzymała oddech. Wygięła się w łuk i zacisnęła dłonie. Harry uśmiechnął się triumfalnie i zaczął w nią wchodzić, patrząc jej prosto w szeroko rozwarte oczy. Zacisnął zęby, nozdrza mu się poruszały przy każdym oddechu.

Desdemona poczuła nie tyle ostry ból, co rozpieranie gdzieś w środku... i obietnicę rozkoszy. Uchwyciła rytm. Unosiła biodra na spotkanie z nim, aż wyrwał mu się z ust jęk zachwytu.

Próbował zwolnić, dać jej czas, by przyzwyczaiła się do tego, że jest w niej. W niej. Ta myśl zniweczyła w nim resztki opanowania. Jej ciało bez ogródek informowało o niezaspokojonym pragnieniu. Słyszał, jak Desdemona łapczywie chwyta powietrze, widział pożądanie w jej na wpół przymkniętych oczach.

Oplotła go ciasno nogami i już nie było dla niego ucieczki. Wtulił głowę w jej piersi, wilgotne od potu, wdychał zapach delikatnego ciała. Zatopili się w szalonym tańcu, który miał im przynieść zaspokojenie. A jednak... a jednak nawet teraz jakaś część duszy I-larry'ego opiewała piękne kształty, wdzięk i siłę kobiety, którą trzymał w ramionach. Jego

Dizzy.

Całe życie czekał na tę chwilę. Wszystko, czego pragnął, do czego dążył i co osiągnął do tej pory, było jedynie wstępem do tego, co właśnie miało nastąpić. Czuł, że traci panowanie nad sobą. Nigdy wcześniej mu się to nie zdarzyło. Zacisnął zęby, pragnąc dać jej to, czego pragnęła, nim sam osiągnie spełnienie.

I udało mu się.

Krzyknęła raz, cała drżąc z rozkoszy. Na dźwięk jej głosu pozwolił sobie na pełną ekstazę.

26

Dizzy - szepnął Harry. — Obudziłaś się?

- Hm.

— Śpij, śpij. — Wyczuła uśmiech w jego głosie i sennie skinęła głową, wtulając policzek w poduszkę. Jakby skądś z daleka usłyszała, że Harry wstaje.

Wolno ńniosła powieki i zamarła w bezruchu. Harry, odwrócony do niej tyłem i zupełnie nagi, sięgał właśnie po leżące na podłodze spodnie. Nie wiedział, że Dizzy nie śpi.

Skorzystała z okazji, by ukradkiem go obserwować. Zaczął się ubierać. Prosta czynność, a mogłaby ją oglądać godzinami, latami. Był taki przystojny, z taką obojętnością traktował swoją męskość.

Jeśli w ciągu ostatnich kilku dni w umyśle Dizzy zrodziły się różne pytania, to zarazem uzyskała parę odpowiedzi. We wczesnej młodości Harry nie cieszył się popularnością, co tylko zwiększyło jego magnetyzm. Bo nigdy nie słysząc, jaki jest urodziwy, dojrzewał w błogiej nieświadomości tej prawdy. Desdemona nie dostrzegła w nim arii śladu próżności czy zmanierowania.

Miał wysportowaną sylwetkę. Jego skóra, blada w świetle porannego słońca, była czysta i gładka. Dizzy nadal czuła na swych rękach, nogach i ustach ciepło jego ciała. Cudownego. Oszałamiającego. Niemożliwością było określić, co wsx5lnie przeżyli. Zamknęła oczy, oddając się wspomnieniom, i pogrążyła się w drzemce.

— Idę zrobić dla nas śniadanie — usłyszała tuż przy uchu cichy głos Harry”ego, a potem na swych ustach poczuła leciutkie muśnięcie. Pocałunek był krótki, ale skutecznie rozproszył jej rozleniwienie. Przewróciła się na wznak i przeciągnęła,ate Harry już zniknął za drzwiami, które zamknęły się z cichym stuknięciem.

Dizzy, trochę rozczarowana, żałośnie pociągnęła nosem, spuściła nogi na podłogę i owinęła się płóciennym prześcieradłem. Przez chwilę rozważała, czy nie udać się w ślad za Harrym do kuchni, ale doszła do wniosku, że lepiej nie. Potrzebowała kilku minut, by się zastanowić, nie rozpraszana przez jego dotyk, głos, usta.

W ciągu nocy ich przyjaźń, i tak już zmieniona nie do poznania, uległa jeszcze raz metamorfozie, przeistaczając się w coś nieskończenie słodkiego, czulego, gwałtownego i pełnego pasji. Nie przypominało to w niczym wzniosłych przeżyć opisywanych w powieściach.

Desdemona wstała i podeszła do okna. Ciemne niebo rozjaśniło się już słabym, szafranowo-różowym światłem poranka. Odwróciła się i uśmiechnęła na widok rozrzuconych na biurku rzeczy Harry'ego. Czując dziwne skrepowanie, pragnąc dotknąć czegoś, co należy do ukochanego, pogładziła szczotkę oprawioną w kość słoniową szylkretowy grzebień, włożyła złote spinki do emaliowanego pudełeczka. Czule przesuwając dłoń po tych kilku osobistych drobiazgach i wówczas jej wzrok przykuło nazwisko Harry'ego widniejące na pliku dokumentów.

Zaciekawiona, wygładziła papier i zaczęła czytać pierwszą stronę. Znieruchomiała. Był to testament mianujący Harryego spadkobiercą Darkmoor Manor.

Poczuła łaskotanie w żołądku. Zadowolenie ustąpiło miejsca zaniepokojeniu. Jej wcześniejsze uczucie sytości przemieniło się w pustkę. W umyśle Dizzy zrodziło się podejrzenie przypominające trujący, czarny kwiat. Przed oczami stanęły jej dziesiątki nieprzyjemnych obrazów.

Ostra rywalizacja, jaką natychmiast dostrzegła między kuzynami. Współzawodnictwo, które trwało od wielu lat. Szczera troska w głosie Blake'a, gdy zapewniał Dizzy, że Harry nie jest takim człowiekiem, za jakiego ona go uważa. Relegowanie Harry'ego z Oksfordu. Przysięga Blake'a, że odzyska to, co mu się należy. I jego słowa, że Harry nie może wrócić do Anglii, ponieważ wszystko będzie mu tam przypominało o tym, czego nie zdobędzie za żadne skarby świata. Harry drwiącym tonem pytający Blake'a, czy ma na myśli Darkmoor. Pochyliła się do przodu, z trudem chwytając powietrze. To nie mogło być tak, jak wyglądało. Harry nie mógł doprowadzić do wydziedziczenia kuzyna. Ale, na Boga, jak inaczej wytłumaczyć całą tę sytuację? Od samego początku było jasne, że Blake nie przyjechał do Egiptu, by odzyskać równowagę po zawodzie miłosnym. Jego obecność tutaj miała związek z Harrym.

Zmiała testament. Jeszcze jedna tajemnica. Jeszcze jedno kłamstwo. I kilka możliwych odpowiedzi. Przerazających odpowiedzi.

Usłyszała Harry'ego, jeszcze zanim wszedł do pokoju. Niósł drewnianą tacę, zastawioną filiżankami, imbrykiem z herbatą i koszykiem ze słodkimi bułeczkami. Odwrócił się z chłopięcym uśmiechem, szukając wzrokiem Dizzy. Poczowała ból w piersiach. Serce jej się ścisnęło.

— Obudziłaś się — powiedział głosem pełnym zachwytu. Podeszedł do niej, odgarniając włosy do tyłu nieśmiałym gestem.

Chciała zamknąć oczy i nie patrzeć na jego przystojną twarz, na jego zniewalający uśmiech, ale nie mogła. Był tak cholemie szczęśliwy.

— Dizzy...

— Muszę już iść. — Przełknęła głośno ślinę i ściślej owinęła się prześcieradłem, przytrzymując materiał na piersiach.

Z zakłopotaniem zmarszczył brwi, ale wciąż jeszcze się uśmiechał.

- Najpierw...

Pochylił się i pocałował ją. Machinalnie przysunęła się bliżej. Ta krótka pieszczota sprawiła, że zmysły, dopiero co zaspokojone, znów się obudziły. Dizzy, wstrząśnięta, odsunęła się. Harry ujął jej twarz w swoje dłonie.

— Dizzy, kocham cię.

Miał taką szczerą minę, takie mądre, czułe oczy, taki szelmowski uśmiech. Pięć lat czekała na te słowa. Nigdy nie myślała, że mogą tak zabołec.

— Och, Harry — szepnęła. Do oczu napłynęły jej łzy. — Gdybym mogła ci wierzyć.

— Co chcesz przez to powiedzieć? — Starał się nie stracić opanowania. Wyznał jej prawdę. Nigdy żadnej kobiecie nie powiedział tych słów, a jedyne, co usłyszał w odpowiedzi, to wątpliwość. Piętno znaczące jego życie.

„Nie łudź się nadzieją, że możesz rywalizować, Harry”.

„Nie uda ci się ukończyć Oksfordu, synu”.

„Czemu tracić pieniądze, płacąc wikaremu, by czytał ci te wszystkie książki?”

Powinna powiedzieć „a ciebie też kocham, Harry”. Ogarnął go lęk, kiedy ujrzał na jej twarzy wyraz rezygnacji i rozpacz.

— Harry, kocham cię od pięciu lat...

Podeszedł, by wziąć ją w ramiona. Uniosła rękę i powstrzymała go, kładąc mu dłoń płasko

na piersi.

— Nie! Wysłuchaj mnie. Proszę! Przyszłam do ciebie. Wyśmiałeś mnie...

— To było trzy lata temu.

Pokręciła głową.

— To nie ma znaczenia.

— Nie zgadzam się z tobą. — Z trudem wydobywał głos ze ściśniętego gardła.

Największym wysiłkiem woli powstrzymał się, by nią nie potrząsnąć. — Nie mam zwyczaju uwodzić nieletnich.

— Miałam siedemnaście lat.

— Mogłaś mieć nawet trzydzieści. Nie liczy się wiek, tylko dojrzałość.

Znów pokręciła głową w ten swój zdumiewająco dorosły sposób. Uświadomił sobie, że na nic nie zdadzą się jego wykręty. Dizzy samodzielnie wyciągała wnioski. Myśl ta przeraziła go do głębi.

— Nigdy, żadnym słowem ani uczynkiem nie okazałeś mi, że darzysz mnie... głębszym uczuciem.

A więc o to jej chodziło... o odrobinę romantyzmu? Przesunął palcami po włosach.

— Czego chcesz? — spytał gwałtownie. — Pięćset cholernych róż?

Zbiadła, a on przeklął w duchu samego siebie i zacisnął pięści.

— O to właśnie chodzi, prawda? — szepnęła.

— O co? — spytał.

— O róże. O Blake'a. Pięć lat, a ani razu niczym nie okazałeś, co do mnie czujesz.

— Nie — zaprzeczył żarliwie. — To nie tak. Nic nie mówiłem, ponieważ uważałem, że nie mamy przed sobą żadnej przyszłości. Moja miłość do ciebie się nie liczyła, niczego nie zmieniała. Nie mogłem ci dać tego, o czym marzyłaś. Nie mogłem zabrać cię do Anglii. Nie mogłem tam wrócić.

— Dlaczego?

— Bo nie potrafię czytać.

Znieruchomiała. Szukała wzrokiem jego twarzy, skonsternowana, nieufna.

— Nie rozumiem.

— To dlatego stamtąd wyjechałem. I dlatego nigdy tam nie wrócę. Wylali mnie z Oksfordu, Dizzy. Nie byłem w stanie zdać egzaminu pisemnego! Do diabła... — Roześmiał się gorzko.

— Nie mogłem nawet do niego przystąpić.

— Co ci się stało?

Zamknął oczy. Wciąż niczego nie rozumiała. Myślała, że jakiś wypadek, jakaś choroba pozbawiły go umiejętności, którą kiedyś posiadał.

— Nic. Nic mi się nie stało — mruknął ze znużeniem. — Nigdy nie potrafiłem czytać ani pisać.

— Przecież sama widziałam...

— Proste, znajome zwroty. Kilka słów.

Na jej gładkim czole pojawiła się głęboka zmarszczka.

— Chodziłeś do Eton.

— Przez dwa lata. Potem nauczyciele zrezygnowali z dalszych prób i odesłali mnie do domu.

— Nie rozumiem — powtórzyła.

Jak mogła zrozumieć? Nikt tego nie rozumiał. A najmniej on sam. Ale spróbuje wyjaśnić jej to, co niewytłumaczalne.

— Widzę wyraz, a on staje się w moim umyśle wieloma wyrazami, a potem każdym wyrazem. Czasem udaje mi się go rozpoznać, a czasem nie potrafię przypomnieć sobie jego znaczenia, drwi sobie ze mnie w żywe oczy. — Bezranie rozłożył ręce.

— A hieroglify? — spytała. — Wiem, że je tłumaczysz. Skinął głową.

— Potrafię przeczytać niektóre z nich, ponieważ mogę je dotknąć. Wodzę dłońmi po rysunkach, czuję je pod palcami, zapamiętuję ich kształt i kiedy później na nie patrzę, odtwarzam w umyśle to, co „widziały” moje ręce — powiedział. Machnął dłońmi rezygnując z dalszych prób wyjaśnienia tego Dizzy. — I dlatego nie mogłem ci powiedzieć, że cię kocham. Tutaj, w Egipcie, nie ma znaczenia, że nie umiem czytać, ani pisać. I tak mogę się zajmować tym, co kocham... — Jego głos stał się rozgorączkowany. — Robić to, co ma dla mnie wartość. Odkrywać. Badać. W Anglii jestem jedynie upośledzonym analfabetą. Nie mogłem tam wrócić, znów stać się przedmiotem współczucia. Albo pogardy. Nie mogłem. — Nie potrafił pohamować gorzkości.

Uniósł wzrok i zobaczył, że Dizzy drży. Na jej twarzy malowały się zmieszanie, wyrzuty sumienia i rezygnacja.

— Nie mogłeś — powiedziała. — Ale teraz już możesz.

Skinął głową i wziął głęboki oddech.

— Tak. Mogę. Jeśli chcesz. Jeśli tego pragniesz. Kocham cię.

Pokręciła z mocą głową. Łzy popłynęły jej po policzkach. Znow chciał do niej podejść i znow go powstrzymała.

— Nie rozumiesz, Harry?

— Co mam rozumieć? — Jego głos przepełniały lęk i bezradność.

Wyznał jej prawdę i teraz widział, że miał rację przez te wszystkie lata, kiedy ukrywał przed nią swoją tajemnicę. Przyznał się do wstydlivej ułomności i teraz z tego powodu straci Dizzy.

— Przyjeżdża Blake i aż nadto widoczne jest, że istnieje między wami jakaś odwieczna rywalizacja.

— Blake? — spytał zaskoczony. — A co Blake ma z tym wspólnego?

— Ty żywisz do niego urazę, on żywi urazę do ciebie. — Ostrożnie ujęła dokumenty, jakby bała się nimi ubrudzić. Przekłete papierzyska przywiezione przez jego przekłętego kuzyna.

— Odziedziczysz Darkmoor Manor. W jakiś sposób zabrałeś mu to, do czego miał prawo. [dlatego możesz teraz wrócić do Anglii. Wygrałeś główną nagrodę, Harry.

— Nagrodę? — Powinien był spalić ten cholerny testament. — Na litość boską, Dizzy, wcale mi nie zależy na Darkmoor Manor.

Głośno przełknęła ślinę.

— Wiem. I właśnie to mnie tak przeraża. Nie zależy ci na tym domu, ale itak go odziedziczysz. A ja? A... my? — Głos jej się załamał.

Harry wpatrywał się w nią oszołomiony i zły. Spuściła wzrok.

— Wygląda na to, że mnie też wygrałeś.

— Nie wiem, co powiedzieć, żeby cię przekonać, że się mylisz — oświadczył. Nagle zrozumiał, o co jej chodzi, i jego gniew gdzieś pierzchnął. — To nie był konkurs. Nie byłaś główną nagrodą.

Słowa te zabrzmiały fałszywie. Ostatniej nocy w myślach nazwał ją swoją nagrodą.

Zaprzagnął ją zdobyć za wszelką cenę, kiedy nabrał podejrzeń, że zakochała się y Blake'u.

Ale nie kierował się takimi powodami, jak sądziła. Gotów był oddać za nią życie. Już oddał jej swoje serce.

— Zawsze cię kochałam, Harry. — Wciąż wpatrywała się w swoje przemarznięte wystające spod prześcieradła stopy. — Bez względu na to, co robiłeś albo co myślałam, że robisz. Bez względu na to, co umiesz czy czego nie umiesz. Jesteś łotrem czy nie, zawsze cię kochałam.

— Dizzy... — Błagalnie, bezradnie uniósł dłón.

— Zwyczajnie za bardzo cię kocham. Nie zniosłabym, gdybym widziała, jak twoje zainteresowanie mną słabnie w tym samym tempie, co zainteresowanie domem Blake’a.

— Jezu! — Pokręcił głową i opadł na skraj biurka. Stracił czucie w nogach, był zupełnie pozbawiony zdolności działania. Ręce zwisły mu bezwładnie. W jednej chwili zawalił się cały jego świat. — Nie mogę... jak mogłaś uwierzyć... że jestem do tego zdolny?

— Nie myślę, że zrobiłeś to celowo, Harry — odpowiedziała słabo. — Zresztą sama nie wiem, co myśleć. Jest tyle rzeczy, o których nie wiedziałam... nadal nie wiem. Tyle tajemnic. Tyle spraw, o których nigdy mi nie mówiłeś. Stałeś się dla mnie obcym człowiekiem, Harry. Ale wiem, że nie skrzywdziłbyś mnie celowo.

— Cóż — powiedział z rozgoryczeniem. — Dzięki przynajmniej za to.

— Boże! Myślała, że pozbawił Blake’a należnej mu schedy. — Jezu, Dizzy. — Uniósł głowę i spojrzał na nią z mocą. — Kocham cię.

Niepewnie zaczerpnęła powietrza.

— Jeśli zostanę z tobą tutaj wystarczająco długo, uwierzę ci tylko dlatego, że tego chcę. — Jej głos był słaby.

— Uwierz w to!

— Nie mogę wybrać takiej prostej drogi, Harry. Później może już nie być odwrotu. To nie byłoby uczciwe. Ani dla ciebie, ani dla mnie. — Spojrzała na niefortunne dokumenty i wypuściła je z rąk, jakby japarzyły. — Nie jestem łupem w twojej wojnie z rodziną, Angli kimkolwiek czy czymkolwiek.

Zacisnął dłonie w pięści, myśląc gorączkowo. Starał się znaleźć jakieś argumenty, cokolwiek, byle tylko ją przekonać, zniszczyć tę jej okropną pewność. Myśl o przyszłości bez Dizzy wywołała kompletny mętlik w jego głowie. Rozpacz pozbawiła go rozumu. Kiedy uniósł wzrok, już jej nie było.

Desdemona siedziała na skraju łóżka, spoglądając przez okno na blade poranne słońce. Ręce jej drżały gwałtownie. Zaczęła wyginać palce, aż poczuła ból. Wreszcie coś poza tą przemożną pustką i rozpaczą.

Zraniła Harry’ego, a pragnęła jedynie uchronić ich oboje przed jeszcze większym cierpieniem. Jak może istnieć ból większy od tego?

Czy postąpiła słusznie? Czy fakt, iż Harry miał przed nią tajemnice, coś ukrywał, oznaczał, że nie mógł jej kochać szczerze, całym sercem? Uczciwość i Harry wydawały się do siebie nie pasować. Desdemona zamknęła oczy. Nie miało to dla niej znaczenia. Chciała mu

wierzyć. Nigdy nie pragnęła niczego więcej. Może gdyby wróciła i wyjaśniłby jej wszystko o Darkmoor...

— Sitt? — rozległ się za drzwiami do sypialni głos Duraida.

— Tak, Duraidzie?

Chłopak wsunął się do pokoju.

— Wiem, że jest bardzo wcześnie, Sitt. Ale to leżało pod drzwiami, kiedy przyszedłem dziś rano. — Podał jej złożoną kartkę papieru.

Wzięła ją od niego. Zauważyła markotną minę chłopca.

— Czy coś się stało, Duraidzie?

Smutno pokiwał głową.

— Chodzi o fermę indyków, Sitt. Właściciel domaga się wyższego czynszu.

— Dlaczego mnie o tym nie poinformowano?

— Matm nie chciał panienki martwić, Sitt. Wie, że próbuje panienka zdobyć pieniądze na nowe indyki. Miał nadzieję, że uda mu się skłonić właściciela do zmiany decyzji. Ale... — Rozłożył ręce. — Właściciel nie chce czekać.

Do jej rozpaczy dołączyło się jeszcze poczucie winy. Całkowicie zapomniała o indykach. Zawiodła dzieci.

Wstała, podeszła do komody i otworzyła szufladę. Wyciągnęła banknot pięćofuntowy, który trzymała na nieprzewidziane wydatki i wcisnęła Duraidowi w rękę.

— Weź to. Poproś w moim imieniu właściciela, żeby zaczekał. Tylko tydzień. Powiedz mu, że zapłacę odsetki za zwłokę.

— Tak, Sit!. Dziękuję, Sitt. Pójdę od razu. Natychmiast! Niech Allah opromieni twarz panienki, Sit!. — Chłopak wycofał się z pokoju, kłaniając się do ziemi.

Wierzchem dłoni otarła łzę z policzka i wtedy zorientowała się, że wciąż trzyma kartkę, którą dał jej Duraid. Obojętnie ją rozłożyła. List napisany został niewprawną ręką po arabsku.

Sit! przynieście mi mój papirus, a ja dam byka, którego panienka chce mieć. Jestem w sklepie Josepha Hassama. Nie będę długo czekać.

Rabi Hakim

Byka, którego ona chce mieć... Apisa?

Westchnęła nad swoją naiwnością. Rabi prawdopodobnie wyprodukował jakąś nędzną

imitację. Jednak bez względu na to, jak mała istniała szansa, że naprawdę posiadał posążek Apisa, nie mogła jej zlekceważyć. Poza tym list dawał okazję zajęcia się czymś, zrobienia czegoś dla dzieci z fermy indyków, dla Matma, dla dziadka.

Desdemona spojrzała na pozłacany zegar stojący na biurku. Było kwadrans po ósmej.

Wsadziła kartkę do kieszeni i podeszła do szafy, gdzie trzymała ostatnio swój łup.

Wyciągnęła go teraz i umieściła w małym pojemniku o twardych ściankach, używanym przez dziadka do transportu papierusów.

Pospiesznie narzuciła na głowę ciemny szat i wymknęła się na korytarz, rozglądając się, czy nie widać gdzieś Magi. Gospodyni nigdy by jej nie pozwoliła iść na bazar bez męskiej opieki. a po wyjściu Duraida w domu był tylko jeden mężczyzna. Po raz ostatni Dizzy spojrzała smutno na drzwi do biblioteki i ruszyła przez pusty hol.

Wczesnym rankiem ta część miasta była cicha i opustoszała. Na rogu ulicy stał jakiś kryty powóz. Konie drzemały w zaprzęgu. Prawie już doszła do skrzyżowania, kiedy usłyszała za sobą stukot obcasów. Obejrzała się.

Marta Douglass z miną pełną determinacji spieszyła w stronę domu Roberta Carlislea.

— Pani Douglass? — zawołała Dizzy, zaskoczona widokiem gościa o tak wczesnej porze.

Zawróciła w kierunku domu.

Nagle czyjeś grube ramię obezwładniło ją i uniosło w górę. Desdemona rozpaczliwie szarpnęła się raz i drugi. Otworzyła usta, by krzyknąć, ale natychmiast przesłoniła je czyjaś wielka dłoń. Marta Douglass skamieniała z przerażenia, patrzyła, jak nieznajomy mężczyzna wciąga Desdemonę do czekającego powozu.

*

Zaczęła się wycofywać, rozglądając się za kimś, kto mógłby przyjść z pomocą. W pobliżu jednak nie było żywego ducha, oprócz jakiegoś obdartego arabskiego wyrostka, który szybko ukrył się w cieniu, kiedy się zorientował, że został dostrzeżony.

Z powozu dobiegał głos Maurice'a wykrzykującego rozkazy woźnicy.

— El Aguza? — Woźnica wymienił nazwę dzielnicy na południu miasta.

ko!

— La! — wrzasnął po arabsku Maurice. —Nie! Al-Bawiti. Yalla! Szyb-

Marta знаła tylko kilka arabskich zwrotów, ale było to dość, by zrozumieć, że porywacz chce jechać prastarym szlakiem przez pustynię. Pospiesznie podeszła do drzwi domu Carlisle'ów. Już Harry będzie wiedział, co zrobić. Uratuje...

Zatrzymała się z uniesioną ręką. Serce łomotało jej w piersi. Strach walczył z chęcią wykorzystania sytuacji. Jeśli Harry uratuje Desdemonę, dziewczyna w końcu zrozumie, co do niej czuje. I Harry nigdy więcej nawet nie spojrzy na Martę.

Ostatni wieczór... Ostatni wieczór był cudowny. Cal i ona... Ale nie będzie żadnego „Cala i Marty”. Zaciśnęła zęby, zła na własną głupotę. Nie zamierza zamienić jednej obcej kultury na inną, Egiptu na Teksas, nawet gdyby Cal ją poprosił. Czego zresztą nie zrobił. Nie chce znowu ryzykować. Nie zakocha się w nim. Nie może. Pragnie Harry”ego.

Ale Harry szalał za Desdemoną, a Desdemona była pod urokiem angielski ego wicehrabiego, aroganckiego lorda Rayenscrofta. Marta opuściła rękę i spojrzała w dół ulicy. Tam, gdzie powóz zniknął za rogiem, wciąż jeszcze unosił się obłok kurzu.

Zrodzona pod wpływem paniki myśl wydała jej się bardzo kusząca. Niech lord Rayenscroft zabawi się w błędnego rycerza i uratuje swoją damę.

Odwróciła się.

Z szybkością o jaką nikt nigdy by jej nie podejrzewał, pobiegła w dół ulicy.

Rabi Hakim wynurzył się z cienia i ruszył truchtem w przeciwną stronę.

27

Chcę, żeby wszystkie moje kufry wysłano przed końcem tygodnia.

W recepcji hotelu Shepharda Marta kończyła właśnie pisać wiadomość dla lorda Rayenscrofta, kiedy usłyszała za sobą donośny głos o silnym obcym akcencie. Gunter Konrad przeszedł tuż obok niej szybkim krokiem. Cztery bagażowicy podążali za nim niczym ryby pilot za rekinem. Przystanął i wskazał wielki stos walizek u podnóża schodów.

Najwidoczniej Austriak opuszcza Kair, pomyślała Marta. Bardzo dziwne. Sezon wykopalisk dopiero się zaczynał.

Wręczyła chłopcu hotelowemu swój liścik wraz z instrukcjami, po czym rozsiadła się w fotelu. Gunter zauważył ją. Zaczerwienił się i zaczął kręcić się nerwowo niczym niegrzeczny dzieciak przyłapany na buszowaniu w słoju z cukierkami.

— Panie Konrad! — zawołała do niego, rada, że może z kimś porozmawiać. Nie opuszczała jej myśl o Desdemonie. Dziewczyna znalazła się w łapach Maurice’a, groziło jej... Nie, Marta nawet nie chciała dopuścić do siebie takiej myśli. Desdemona była obywatelką angielską. Maurice nie ośmielił się jej skrzywdzić. — Panie Konrad!

Na dźwięk jej głosu Austriak westchnął, ale odwrócił się.

— Madame?

— Już pan wyjeżdża? — spytała. — Nie dostał pan koncesji?

— Owszem, dostałem. Naturalnie, że dostałem. Przecież jestem Gunterem Konradem.

— Rozumiem. Mam nadzieję, że powodem pana wyjazdu nie są kłopoty w domu? —

Zachowywała się szokująco bezpośrednio, ale w tej chwili było jej to obojętne. Gdyby tylko Rayenscroft już się pojawił...

— Zapewniam panią, że nie.

— W takim razie...? — Zawiesiła głos.

Jego czerstwa twarz zrobiła się jeszcze bardziej czerwona.

— Jest pani okropnie wścibska, pani Douglass. Ale dobrze, powiem pani. W Kairze jest pewien człowiek, który świadczy usługi wszelkiego rodzaju. Wynająłem go, by coś dla mnie zrobił. A on... a on posunął się za daleko, wykonując moje zlecenie.

— Tak? — spytała Marta, skonsternowana.

— Stał się natrętny, a co więcej wcale nie mam pewności, czy nie jest niebezpieczny.

Przyszedł do mnie, Guntera Konrada, i groził mi, twierdząc, że jestem mu winien więcej pieniędzy. Z całą pewnością nie ma tutaj — rudzielec popukał się palcem w czoło dobrze poukładane. Doszedłem do wniosku, że lepiej wyjechać z Kairu.

— Rozumiem.

Widocznie nie spodobał mu się jej ton.

— Niewątpliwie mógłbym dać ostrą nauczkę temu łobuzowi, ale naraziłbym się tutejszym władzom. Nie mam pewności, czy drań jest obywatelem Egiptu, aja, Gunter Konrad, nie chcę kłopotów. Dlatego najlepiej będzie, jeśli wyjadę. Tak będzie bezpieczniej dla niego.

— Naturalnie.

Uderzył pięścią w dłoń.

— Wściekły pies nie zwraca uwagi, na kogo się rzuca, pani Douglass.

— Ma pan rację — powiedziała. — Chyba mu to obojętne.

Austriak zacisnął usta i odwrócił się, wykrzykując polecenia tragarzom krążącym wokół stosu jego kufrów. Akurat przepychał się między nimi lord Rayenscroft. Niedbale skinął głową Gunterowi.

— Witam, pani Douglass — pozdrowił Martę pochodząc do niej.

— Dzień dobry, lordzie Rayenscroft — powiedziała. — Poprosiłam tu pana w sprawie

niezwykłej wa...

Niewątpliwie. Ale jestem pewien, że bez względu na to, co panią do mnie sprowadza, lepiej nie rozmawiać o tym przy świadkach. — Ujął ją pod ramię i wyprowadził na taras.

— A więc o co chodzi, pani Douglass? Chociaż pani obecność tutaj bardzo mi pochlebia, muszę panią uprzedzić, że jestem zainteresowany inną...

— Cóż za arogancja! — Marta poczuła, jak rumieniec oblewającej twarz.

— Nie chodzi mi o pana! Przyszłam powiedzieć panu, że Desdemona Carlisie została porwana.

Kompletnie go zaskoczyła. W innej sytuacji być może roześmiałyby się Blake'owi prosto w nos i zostawiła go z otwartymi ustami, chwytającego powietrze jak ryba. Ale już minęło tyle cennego czasu...

Wyrzuty sumienia i niepokój o drugą kobietę, uczucia dla Marty zupełnie nietypowe, kazały jej działać.

— Pół godziny temu widziałam, jak panna Carlisle została siłą wciągnięta do powozu czekającego przed jej domem. Słyszałam polecenia, które porywacz wydawał woźnicy. Znam tego drania i wydaje mi się, że wiem, dokąd ją zabrał.

Oczy lorda Rayenscrofta zrobiły się okrągłe z przerażenia.

— Musimy poinformować władze...

— Jakie władze? — spytała szeptem. — Tureckie? Francuskie? Angielskie? Znając tempo ich działania, minie kilka dni, nim ruszą do akcji.

— Rozumiem — powiedział ponuro. — Dokąd ją pani zdaniem zabrał ten osobnik?

— Do Al-Bawili, opuszczonego osiedla na skraju oazy Al-Bahrija.

— Jak można tam dotrzeć? — spytał, zaciskając z determinacją szczęki.

— Będzie panu potrzebny przewodnik. I koń. Może pan to załatwić w recepcji hotelowej.

Spojrzał na nią z niesmakiem.

— Nadal uważam, że powinniśmy zawiadomić władze. Dysponują niezbędnymi środkami. Będą wiedzieli, kto by najwięcej skorzystał na...

— Urwał niespodziewanie. Głębokie bruzdy na jego czole wygładziły się. — Proszę mi powiedzieć, pani Douglass, czemu ktoś miałby porywać pannę Carlisie?

— Nie wiem — odparła.

— Panna Carlisie nie ma majątku, czego nie ukrywa. Jest na utrzymaniu swego dziadka. A

powszechnie wiadomo, że sir Robert boryka się z kłopotami finansowymi. Jeśli to rzeczywiście porwanie, nie ma nikogo, kto zapłaciłby wysoki okup, którego z reguły żądają w takiej sytuacji bandyci.

— Nie wiem — powtórzyła niecierpliwie. Już i tak bardzo naraziła bezpieczeństwo Desdemony. Wyrzuty sumienia nie dałyby jej spokoju, gdyby przez nią dziewczynie coś się stało. — Muszę odszukać Harry’ego

— mruknęła do siebie.

— Powiem bez ogródek — ciągnął lord Rayenscroft tonem pełnym wyższości. — Egipt należy do Anglii. Bez względu na to, co wypisują tanie pisemka, dobrze urodzone Angielki nie bywają tu porwane na ulicach, a następnie sprzedawane do haremów.

— Do czego pan zmierza?

— Panna Carlisle ma romantyczną naturę. Czy to możliwe, że aby wzbudzić... — Urwał. — Ostatniego wieczoru — wyjaśnił zmieszany — pozwoliłem sobie wobec niej na pewną poufałość, nie ujawniwszy swoich intencji. Wrażliwa, romantyczna kobieta w rodzaju panny Carlisle mogłaby się poczuć zmuszona do uzyskania... pewności, co do zamiarów adorującego ją mężczyzny.

Desdemona miałaby zaaranżować swoje własne porwanie? Wykluczone.

— Nie, lordzie Rayenscroft To nie ma sensu. Nie było żadnych świadków. Ja znalazłam się tam zupełnie przypadkowo. I szczerze mówiąc, wątpię, by Desdemona miała aż taką fantazję.

— Cóż, bez względu na to, czy przyłożyła do tego ręki czy nie, trzeba ją ratować — powiedział z uśmiechem. Pani Douglass, mogła sobie myśleć, co jej się podobało, ale lord Rayenscroft najwyraźniej uważał, że wie, czemu porwano Desdemonę. — Potrafię sobie wyobrazić jej zakłopotanie, gdybym zwrócił się do władz, a potem okazałoby się, że to wyreżyserowana przez nią... scenka.

Obrzydliwy zarozumialec, pomyślała Marta.

— Powinienem poczekać na jakąś wiadomość. Ale z drugiej strony po co czekać? Chodźmy, pani Douglass, zapytajmy o tego przewodnika.

— Bihyatak... — zaczęła Desdemona. Powóz gwałtownie przechylił się na bok, aż rzuciło ją na drzwiczki. Usiadła prosto, walcząc ze łzami i przeklinając pod nosem. Tylko gniew sprawiał, że nie uległa panice.

W ciągu niespełna dwóch tygodni uprowadzono ją już drugi raz. Zaczynała mieć tego

serdecznie dość!

Ale ten porywacz był bez porównania bardziej niebezpieczny od Rabiego. Przerzął ją. Przełknęła ślinę i spróbowała znowu.

— Bihyatak...

— Mów po angielsku — warknął Maurice. — Nie rozumiem ani słowa z tej twojej... arabszczyzny. — Uśmiechnął się szyderczo. Gładka, bezwłosa skóra jego twarzy zmarszczyła się niczym delikatna bibułka pęd ciemnymi oczami i w kącikach małych ust. Wyglądał bardzo młodo, a przecież Desdemona wiedziała, że pracował przy wykopaliskach jeszcze, nim ona przyszła na świat. Dziewczęce rysy, ciemne włosy i europejski akcent nie pozwalały określić jego pochodzenia. Z tego, co opowiadał Harry, wynikało, że Maurice specjalnie robił z tego tajemnicę.

— Błagam, niech mnie pan zawiezie z powrotem do Kairu.

— Błaga pani? Jak miło. W dzisiejszych czasach tak niewielu młodych ludzi ma dobre maniery. Ale... — Wzruszył ramionami. — Obawiam się, że muszę panią rozczarować. Jeszcze nie spełniła pani swojego zadania.

— Dobrze pan wie, że porywając mnie wywoła pan zatarg międzynarodowy — powiedziała, siląc się na obojętność. Harry załatwiłby to znacznie zgrabniej. Harry. Dobry Boże, niech ją odnajdzie..

— I co z tego? — Maurice roześmiał się. — Gwizdzę na to. Z całą pewnością nie kocham Egiptu. Ani Francji. Ani Anglii. Ani żadnego kraju. Niech się dopatrują intrygi politycznej w moim postępowaniu. Niech uznają, że jestem agentem któregoś z mocarstw. Doskonale.

— A czym agentem pan jest?

Lekko skłonił głowę.

— Swoim własnym.

- Ale...

Pochylił się i położył jej delikatnie palec na ustach. Odsunęła gwałtownie głowę i wytarła wargi rękawem. Jego oczy stały się zimne jak u gada. Desdemona modliła się w duchu, by nie dotknął jej znowu.

Gdyby zmusił ją do zrobienia tego, co robiła z Harrym... Chyba by umarła. Zbyt niedawno poznała, co znaczących ukochanego mężczyzny, by pozwoliła zbecześcić się komuś takiemu jak Maurice.

Boże, niech Harry ją odszuka, pomyślała znowu. I w tej samej chwili zrozumiała, że nie

wątpi, iż będzie jej szukał. Tylko czy odnajdzie?

Harry pojedzie za nią. Harry, przypomniała sobie słowa Magi, zawsze za nią pospieszy. Wiedziała, że to prawda. Była go tak pewna, jak tego, że słońce wschodzi, pustynia jest rozpalona, a morze słone. Harry pospieszy za nią, bo ją kocha.

Zrozumiała teraz jego miłość. Kierował się nią we wszystkim, co robił. Nieważne, kiedy wyznał, że kocha Dizzy. Zawsze ją kochał.

Gnali na złamanie karku opustoszałymi drogami, przez rudobrunatną krainę. Tysiące ważek otoczyło powóz. Ich przezroczyste skrzydełka połyskiwały w rozgrzanym powietrzu. W miarę upływu dnia wewnątrz robiło się coraz bardziej gorąco. Kurz drapał Desdemonę w gardle, piekły ją oczy. W końcu rozległ się czyjś donośny okrzyk i zatrzymali się.

Maurice kopnięciem otworzył drzwiczki i wyciągnął dziewczynę z powozu. Potknęła się, z trudem utrzymała równowagę. Nogi miała zdrętwiałe od długotrwałego siedzenia. Nie mogąc się oprzeć wrażeniu, że już raz coś podobnego przeżyła, zmrużyła oczy porażone ostrym światłem. Teraz dostrzegła przed sobą kilku mężczyzn z osłoniętymi twarzami.

Nieco dalej spalone słońcem, rozsypujące się budynki, dawały nieme świadectwo Życiu, które tu kiedyś istniało. Maurice przywiózł ją do wymarłego miasteczka. Tylko jeden czy dwa domy sprawiały wrażenie, że mogą jeszcze zapewnić jakieś takie schronienie. To małe skupisko zabudowań i od dawna pusta cysterna na wodę, bardziej przypominały starożytne ruiny niż współczesną osadę. Kobieta, koło której plątała się wychudzona koza, kuciała w cieniu rzucanym przez na wpół rozwalony mur domu. Spojrzała na Desdemonę i szybko odwróciła wzrok.

Strach, który nie doszedł do głosu podczas niekończącej się, otepiałej jazdy, ujawnił się teraz z całą siłą. Desdemona nie miała pojęcia, gdzie jest. Nie widziała tu nic znajomego, tylko pustynię, ogromne obszary piasku ciągnące się we wszystkie strony aż po horyzont. Maurice chwycił swoją ofiarę za ramię i pchnął ją. Mężczyźni wydali niepokojące pomruki. — Usskut! — krzyknął.

Było to jedno z niewielu słów, które Desdemona знаła. Kazał im być cicho. Mężczyźni zamilkli.

Dumnie uniosła głowę. Najgorsze, co można zrobić w obecności takiej kreatury, to okazać strach.

— Co to ma znaczyć? — spytała. — Nazywam się Desdemona Carlisie. Jestem obywatelką Wielkiej Brytanii i poddaną Jej Królewskiej Wysokości...

Kobieta z kożą aż się zachłysnęła. Maurice rzucił jej złe spojrzenie i wpił palce w ramię Desdemony. Poczwała przenikliwy ból.

— Zamknij się — powiedział spokojnie. — Zamknij się albo cię zabiję. Nie ma to dla mnie znaczenia.

Jeszcze nikt nigdy nie zagroził jej śmiercią. Desdemona poczuła, jak szczypią ją oczy.

— Dlaczego mnie pan porwał? — spytała, prawie nie słysząc drzenia w swym głosie. — Dlaczego.. Chcę... chcę wrócić do domu! — Słowa te wyrwały się jej mimo postanowienia, by zachowywać się dumnie i odważnie. Łzy popłynęły po policzkach.

— Przykro mi. — Maurice wzruszył ramionami. — Widocznie taka była wola Allacha. Natomiast moją wolą jest, by nie wróciła pani do domu. A tutaj liczy się tylko moja wola.

— Czego pan chce?

— Ach. — Skinął głową. — Kobieta, która domaga się konkretów. Czego chce? Chcę pani, panno Carlisle.

— Dlaczego?

Jego oczy stały się ciemne i martwe, z twarzy zniknął wyraz fałszywej uprzejmości.

— W charakterze przynęty.

— Przynęty na kogo?

— Na Harry'ego Braxtona. Oby zgnił w piekle.

28

Zakrawało na ironię, że w każdej scenie, którą sobie wyobrażał, w każdej spowiedzi, jaką sobie przygotowywał, Dizzy odtrącała go z uwagi na niedoskonałość jego umysłu — nigdy serca. Ale jakoś nie potrafił się teraz z tego śmiać.

Rozejrzał się wkoło. Niczym egzotyczny ptak, gubiący barwne pióra, zostawiła po sobie jedwabny szal na oparciu krzesła, pończoszkę na łóżku, kolorową bransoletkę na skraju wytartego perskiego dywanu.

Podniósł bransoletkę i przesunął palcem po delikatnym wzorze. Czy sam ją zdjął Desdemonie ostatniej nocy? A może podczas namiętnych pieszczot zsunęła się z jej ręki... Pochylił się nad biurkiem i oparł na sztywno wyprostowanych rękach. Kochał ją. Czuł pogardę do samego siebie. Kochał ją tak bardzo, że pozwolił jej odejść.

Słuchał pozornie słusznego rozumowania Desdemony i nie zrobił nic, by ją wyprowadzić z

błędu. Tylko gapił się na nią, zaniemówiwszy ze słusznego gniewu, wściekły, że mogła w niego zwątpić. A przecież samją uczył, by mu nie ufała. Dlaczego nagle miałyby uwierzyć w jego deklaracje? Z jej punktu widzenia te niespodziewane wyznania były podejrzane, a zaloty mogły stanowić reakcję na przyjazd Blake’a.

Dość tych żalów. Kocha Dizzy i znajdzie sposób, żeby ją przekonać o szczerości swych uczuć. Bez względu na to, jakich poświęceń by to wymagało.

Sięgnął za łóżko i pociągnął za sznur dzwonka. Po chwili w drzwiach pojawiła się głowa Magi. Kobieta figlarnie uniosła jedną brew, wyraźnie zadowolona.

— Tak, Harry? Czym mogę służyć?

— Gdzie jest Dizzy? Muszę się z nią zobaczyć.

Gospodyni weszła do pokoju i rozejrzała się.

— Nie ma jej tutaj? — Zmarszczyła czoło. — Kiedy zauważyłam, że nie spała w swoim łóżku, pomyślałam... miałam nadzieję... — Sciągnęła brwi. — Coś ty jej zrobił, Harty?

Wydrę ci serce, jeśli ją skrzywdziłeś...

— Za późno — odpowiedział. — Nie mam już serca. Ani Desdemony. Muszę ją odnaleźć, Magi. — Chciał przejść obok niej, ale chwyciła go za ramię.

— Dlaczego sobie poszła?

— Myślała, że zainteresowałem się nią, ponieważ Blakeją adoruje. — Chociaż mówił opanowanym głosem, był zupełnie rozkojarzony. Zastanawiał się, dokąd mogła pójść Dizzy.

Ruszył do drzwi.

— Dlaczego tak pomyślała? — Surowy ton głosu Magi sprawił, że zamarł w pół kroku. Na jej twarzy malował się niepokój.

— Blake przywiózł mi kopię testamentu naszego dziadka. Stary wydziedziczył Blake’a I mnie mianował swoim spadkobiercą. I przyszłym właścicielem Darkmoor — dodał kwaśno.

— Dizzy przeczytała testament. Myśli, że przez całe życie usiłuję pokonać Blake’a na każdym polu. A ona jest jednym ze zdobytych trofeów.

— Och, Dizzy. — Magi smutno pokiwała głową.

Harry wsunął ręce w rękawy marynarki i znów skierował się do wyjścia. Gospodyni pospieszyła za nim.

— Dokąd idziesz? — spytała.

— Do muzeum odparł. — Czasem Dizzy chadza tam, kiedy chce zebrać myśli.

— Muzeum jest jeszcze zamknięte.

Wyjął zegarek z wewnętrznej kieszonki, spojrzął na niego, a potem schował go z powrotem, zakławszy pod nosem. Zupełnie stracił poczucie czasu. Wydawało mu się że upłynęły dni, odkąd rozstał się z Desdemoną. A minęły ledwo dwie godziny.

— Dokąd jeszcze mogła pójść?

Magi wzruszyła ramionami.

— Nie wiem. Nie włączyłaby się sama po ogrodach, a suk jest jeszcze nieczynny.

— Przecież musi gdzieś być.

Ich spojrzenia spotkały się.

— Hotel Shepherda.

Tak. Mogła chcieć usłyszeć wersję Blake’a.

— Poślij kogoś do hotelu, żeby się dowiedział.

— Nie wiem, co było w liściku. — W oczach Duraida błyszcząły łzy. — Nie umiem czytać.

— Do cholery, czy nikt w tym domu nie umie czytać? - zagrział Harry, waląc pięścią w blat biurka.

— Nic nie pomoże, że będziesz wrzeszczał na chłopaka — zbeształa go Magi.

Do diabła, pomyślał Harry. Miała rację.

— Przepraszam, Duraidzie. Powtórz mi wszystko jeszcze raz.

— Dziś z samego rana pod drzwiami kuchennymi znalazłem liścik. Było na nim imię Sitt!

Tyle umiem przeczytać — dodał z lekkim wyrzutem. — Chciałem zanieść panience tę kartkę, kiedy usłyszałem, jak woła mnie mój przyjaciel. Podszedłem do niego, a on mi mówi, że właściciel ziemi, na której jest ferma indyków, żąda więcej pieniędzy. I to dziś, natychmiast. Bardzo się martwię o dzieciaki z fermy. Dobrze się znamy. Więc postanowiłem odszukać Sitt. Sitt zawsze znajdu je jakieś rozwiązanie.

— Mów dalej.

— Zastałem panienkę w jej pokoju. Chyba nie czuła się dobrze. Była bardzo blada, a tutaj...

— pokazał na oczy — jakby ją bolało.

— Duraidzie, mów nam tylko, co się działo — poprosiła Magi.

— Oddałem jej liścik i powiedziałem o fermie, a Sitt wyjęła pieniądze i kazała mi biec z nimi do właściciela. Więc zaniósłem je. A kiedy wróciłem, okazało się, że Sitt zniknęła. — Rozłożył ręce. — Przysięgam, master Harry, powiedziałbym panu, gdzie jest panienka, gdybym tylko wiedział.

— Wierzę ci. — Harry zmusił się do spokoju. Nie ma jej zaledwie od kilku godzin. Była,

jak zauważył Duraid, smutna i nieszczęśliwa. A jeśli chodzi o jej bezpieczeństwo... Maurice siedzi w więzieniu, a Dizzy zna to miasto lepiej. niż powinna je znać Angielka z dobrego domu.

Służący, którego Magi wysłała do hotelu Shepharda, wsunął się do salonu i szepnął coś gospodyni na ucho. Kobieta zmarszczyła czoło.

— Co się stało?

Magi odprawiła służącego. Dopiero, gdy zamknęły się za nim drzwi, zwróciła się do Harry'ego.

— Recepcjonista w hotelu twierdzi, że lord Rayenscrol wynajął przewodnika i konie na nocną wycieczkę.

— Cóż, skoro Blake udał się na wycieczkę, niezbyt nam pomoże w odszukaniu Dizzy — powiedział Harry. Jeszcze jedna droga zamknięta.

— Lord Rayenscroft poprosił o dwa konie. Recepcjonista mówi, że towarzyszyła mu Angielka.

Harry znieruchomiał.

— Kto?

— Nie zna jej nazwiska.

Dosłyszał niepokój w głosie Magi. Nie miała powodu do zmartwienia. Ktokolwiek towarzyszył jego kuzynowi, nie była to Dizzy. Dizzy mogła uznać za konieczne poinformowanie Blake'a, że nie powinien wiązać z jej osobą żadnych nadziei. I to wszystko. Cztery godziny temu, pomyślał Harry, powiedziała, że mnie kocha. Nigdy nie sprzeniewierzyłaby się swojemu sercu.

— Nie mogę tu czekać na jej powrót — powiedział. — Pojadę na fermę indyków. Jeśli pod moją nieobecność Dizzy wróci, poproszę ją, żeby na mnie poczekała.

— A jeśli nie będzie chciała się z tobą widzieć? — spytała Magi.

— Nie zawsze mamy to, czego chcemy — odparł ponuro.

Desdemona podciągnęła nogi, oplótła je ramionami i oparła głowę na kolanach. Dygotała. Przez pojedyncze okno wysoko w murze wpadały ostatnie promienie słońca. Wkrótce zapadnie noc. Nie miała niczego poza szalem, by ochronić się przed jej zimnymi objęciami. Jakiś czas temu w jej komórce pojawiła się Arabka z naręczem koców. Maurice uderzył kobietę w twarz, aż się przewróciła. Poza nią nikt się do Desdemony nie zbliżał. Nikt nie przyniósł jej jedzenia ani wody. Przesunęła suchym językiem po spierzchniętych wargach

pokrytych warstewką pyłu.

W zamku szczęknął klucz. Desdemona zerwała się na nogi i przywarła do ściany. Drzwi otworzyły się i wszedł Maurice. Bez słowa rzucił jej skórzany bukłak. Złapał go i uniosła do ust. Łapczywie piła ciepłą wodę. Zaspokoiwszy pragnienie, otarła usta wierzchem dłoni.

— Proszę mnie wypuścić — powiedziała zachrypniętym głosem.

— Nie martw się. Nie zamierzam trzymać cię tutaj długo. Tylko do przyjazdu Braxtona.

— Czego pan chce od Harry’ego? — Już kilkanaście razy zadała mu to pytanie, ale nie doczekała się odpowiedzi.

— Strasznie pani zrzędzi, panno Carlisie. - Mówił bez obcego akcentu, ale miał trudności z właściwą intonacją. — Nikt tego pani nie powiedział? Nie znoszę zrzęd. Są na świecie kraje, gdzie gadatliwym kobietom obcina się język. Niezły pomysł.

Desdemona wojowniczo uniosła podbródek. Cieszyła się, że nie zadrżały jej usta; tak były zeszywniałe.

— Czego pan chce od Harry’ego?

Burknął coś.

— A więc?

— Jego śmierci.

— O nie. Nie może pan tego zrobić. — Gwałtownie pokręciła głową.

— O, tak. Mogę.

— Dlaczego?

— Ponieważ jest moją... nemezis? — W zamyśleniu wzniosł ku górze czarne oczy, błyszczące jak żuki. — Tak. Nemezis. Chociaż wydaje się, że to takie romantyczne pojęcie, aja z całą pewnością nie jestem romantykier i. Jestem człowiekiem interesów. Świadczę usługi za pieniądze.

Wszystko, co robię, robię dla zysku. Czy uważa pani to za nierozsądne?

— Miał taką minę, jakby szczerze interesowało go jej zdanie.

- Nie.

— Nie — powtórzył. — Nigdy nie popełniłem tego błędu. Nigdy nie pozwoliłem, żeby względy osobiste przeszkodziły mi w interesach. Jednak Harry wiele razy psuł mi szyki.

— Jestem pewna... — Myślała gorączkowo, co by tu powiedzieć. — Jestem pewna, że on też kierował się chęcią zysku.

— O, nie — powiedział Maurice. — Nie. Sprawiało mu przyjemność oszukiwanie mnie,

dyskredytowanie... obrzucanie obelgami. Wie pani, że kiedyś byłem w Egipcie czołowym dostawcą zabytkowych przedmiotów? Kiedyś Braxton i ja byliśmy współnikami.

— Niemożliwe.

— Tak! — Zaperzył się. — Jako główny nadzorca wykopalisk dla Muzeum Kairskiego wiedziałem, gdzie ich szukać. Kierowałem szeregiem prac archeologicznych. Nie wyobraża sobie pani skarbów, do których kiedyś miałem dostęp. — Zachmurzył się i zamyślił.

Wstrzymawszy oddech, Desdemona powoli przesuwiała się wzdłuż ściany.

— [-larry czerpał korzyści z mojej wiedzy, z moich kontaktów. Ale potem zaczął wtrącać swoje trzy grosze. — Na twarzy Maurice’a pojawiła się złość. — Wie pani, dlaczego Harry Braxton to robił?

Zatrzymała się, kiedy na nią spojrział. Na szczęście chyba nie zauważył jej manewrów.

— Stał się zbyt skąpy? Z pewnością można zrozumieć, na jakie pokusy był narażony...

— Nie — przerwał jej. — Chciwość potrafiłbym wybaczyć. Chciwość to element interesów. Walnął pięścią w rozłożoną dłoń, aż Dizzy drgnęła.

— Dla dobra interesów można wtrącić się w cudze życie, zniszczyć czyjąś karierę. Ale jemu nie chodziło o interesy! Przyczepił się do mnie z powodu jakichś przeklętych bachorów. Desdemona prawie dotarła do kąta pokoju. Trąciła coś nogą. Na ziemi leżał pojemnik, w którym schowała papirus. Uniosła wzrok i stwierdziła, że Maurice się jej przygląda.

— Bachorów?

— Tak, bachorów — powiedział wolno. — Dzieciaków fellahów pracujących przy wykopaliskach. Jedno z nich zmarło. Zdechł skamlący bachor, a Braxton zorganizował bunt!

— Bunt? Myślałam, że pokonał pana w walce. — Znieruchomiała, kiedy zobaczyła, jaki efekt wywołały jej słowa. Gładkątwarz Maurice’a wykrzywił grymas. -

— Ma pani rację — powiedział, wyraźnie starając się zachować panowanie nad sobą. — Biliśmy się. A potem wybuchł bunt. To był koniec mojej kariery. Człowiek, który nie budzi strachu w fellahach, nie może być nadzorcą robót. Nie zapewni wystarczającej ilości rąk do pracy podczas wykopalisk.

Zaczerpnął głęboko powietrza, by się uspokoić.

— A jednak nie chciałem się mścić. To byłoby... nieprofesjonalne. Mogłem poświęcić się czemuś innemu — ciągnął. — W Egipcie jest wiele możliwości, żeby robić pieniądze. Nie

musiałbym się natykać na Braxtona.

— Bardzo przyzwoicie z pana strony. — Była kilka kroków odotwartych drzwi.

— Och, proszę się nie oszukiwać:— Jego ton wyraźnie świadczył, że Desdemonie nie powiodła się próba udobruchania mężczyzny. — To nie znaczy, że wybaczyłem Braxtonowi te jego sentymenty zakłócające moje interesy.

Umarło dziecko, a ten człowiek widział w tym tylko zakłócenie swoich interesów.

Naprawdę był szalony.

— Jestem przebiegły. Postanowiłem się przygotować na wypadek, gdyby znów wszedł mi w drogę Harry — powiedział. — Rozpytywałem ludzi. Chciałem poznać jego tajemnice. Jego słabości. Na próżno. A potem... nastąpił szczęśliwy zbieg okoliczności, uśmiechnął się do mnie los. Obojętnie, jak to nazwać. Wynajęto mnie, bym zrobił to, czego od dawna pragnąłem. Zapłacono mi — i to hojnie — żebym stłukł Braxtona na kwaśne jabłko. A on sam zdradził, co jest jego piętą achillesową. Jest nią pani.

Zagryzła usta, nie chcąc dać mu tej satysfakcji, że zobaczy jej ból.

— Och, nie musiał nic mówić — ciągnął Maurice. — Wystarczyła jego mina, jego spojrzenie, kiedy wymieniłem pani imię i zasugerowałem, że coś was łączy. — Roześmiał się. Desdemonie ścisnął się żołądek. — Chociaż był związany, rzucał się, jak wściekły pies, gdy tylko o pani wspomniałem. Nigdy nie widziałem czegoś podobnego. Nawet skatowany, nadal próbował się uwolnić i lecieć panią chronić.

Miejsce strachu zajęła wściekłość, zimna i nieprzejednana. Ten człowiek pobił Harry'ego, znęcał się nad nim. I ktoś mu za to zapłacił.

— Kto pana wynajął?

— Pewien Austriak — odparł Maurice, wzruszając ramionami. — Zdaje się, że ten pani Harry nie cieszy się powszechną sympatią.

Utnie Konradowi głowę, kiedy go tylko zobaczy... Jednak po chwili wściekłość zniknęła i znów zastąpił ją strach. Desdemona przypomniała sobie, gdzie jest.

— Ale skoro już pokonał pan Harry'ego, czyż rachunki między wami nie zostały wyrównane? — spytała pospiesznie. — Raz on zwyciężył, raz pan. Jesteście kwita.

Gładką twarz znów wykrzywił grymas, niczym wir mącący spokojną powierzchnię wód Nilu.

— Czyżby? Na tym wcale się nie skończyło. Już Braxton się o to postarał. Wrobił mnie! — Maurice podniósł ze złości głos. — Ukradł kanopę z kolekcji palli dziadka i podrzucił ją do

mojego domu! A potem nadszedł turecką policję, żeby mnie aresztowała, zamknęła w więzieniu. Wie pani... — Przysunął się do niej bliżej, nie zważając na otwarte drzwi. Twarz Desdemony owionął jego gorący, nieświeży oddech. — Potrafi sobie pani wyobrazić, jak wygląda arabskie więzienie?

Pokręciła głową, zahipnotyzowana pełnym jadu spojrzeniem.

— Nie jesteśmy zwykłymi wrogami. Harry Braxton jest moją nemezis. Pragnie mnie zniszczyć. Całkiem zrozumiałe, że chcę uderzyć pierwszy. I uda mi się — powiedział — ponieważ mam panią. A Braxton nie będzie się mógł powstrzymać, żeby po panią nie przyjechać.

Skoczyła w kierunku otwartych drzwi.

Wyprzedził ją, złapał za włosy, szarpnął do tyłu i wierzchem dłoni uderzył w twarz, rozcinając wargę. Desdemonie aż zaparło dech. Upadła na kolana.

— Ma pani jeszcze jakieś pytania... Sitt?

29

Harry spoglądał w lustro, ledwo poznając swoje odbicie. Wyglądał okropnie. Oczy miał podkrążone. Skóra wydawała się cienka i napięta.

Dizy nie wróciła do domu.

— Przecież ktoś musiał ją widzieć. — Ile razy to powtarzał, na głos i w duchu?

Kazałem ludziom przeszukiwać miasto. Wysłałem wiadomość do sir Roberta do Luksoru. Pewnie pojechała do niego — powiedział Simon Chesterton. Wyjął z ust niezapalone cygaro, które zuł nerwowo, i zaczął obracać je w palcach. Pułkownik też nie wyglądał najlepiej. Jego zwykle rumiana twarz była pomarszczona jak tysiącletni papirus. Nawet broda wydawała się rzadsza.

Bez ubrań, pieniędzy, nie mówiąc nic Magi? — powątpiewał Harry.

— Odnajdziemy ją. — Słowa Simona nie uspokoiły go.

Harry posłał po pułkownika wczoraj późnym wieczorem, kiedy jego własne poszukiwania okazały się bezowocne.

- Kawy?

- Dziękuję, Magi. — Chesterton podsunął gospodyni filiżankę, by ponownie napełniła ją parującym napojem.

— A ten chłopak z fermy indyków? — znów zapytał Harry. — Jest pan pewien, że nie widział jakiejś Angielki?

- Tak.

— A może widział miejscową kobietę ojaśniejszej cerze? Dizzy czasem przebiera się za... Simon ponuro pokręcił głową.

Niczego nie znalazł. Najmniejszego śladu, żadnej wskazówki, kto ją porwał i dokąd wywiózł... Bo niewątpliwie została porwana.

Młoda kobieta, porwana w biały dzień na ulicy. Harry mocno przycisnął palce do skroni i oddychał głęboko przez nos, starając się uspokoić. Nieco ponad tydzień temu, kiedy Rabi uprowadził Dizzy z suku, przeżył podobną noc, okropną i pełną najgorszych obaw. Wtedy też szukał jej tak gorączkowo, jak ostatniego wieczoru. Do rana przemierzał bazy, zaułki i ulice, nim w końcu otrzymał wiadomość od Abdula.

Być może teraz jest tak samo. Sytuacja wygiąda groźnie, ale w końcu wszystko się wyjaśni. Musi tak być.

Potarł oczy. Prawie nie dotarło do niego, że jego dłoń zrobiła się wilgotna.

— Marto, co się stało, moja droga? — spytał Cal. Dał znak krążącemu w pobliżu kelnerowi, by się oddalił, i oparł obie ręce na stole. — Byłem zachwycony, kiedy dostałem twój liścik z propozycją wspólnego śniadania na tarasie u Shephearda, ale coś mi się teraz wydaje, że to nie jest zwykła randka, prawda?

Chociaż sama zaproponowała mu spotkanie, było jej wstyd przed Calem. Dolną wargę ma na pewno pogryzioną do krwi. Włosy... Uniosła dłoń i poprawiła fryzurę. Włosy sterczały w nieładzie. Przez ostatnie kilkanaście lat ani razu nie pojawiła się potargana w miejscu publicznym. Speszona wlepiła wzrok w scenkę uliczną rozgrywającą się pod tarasem.

Cal wyciągnął rękę ponad stolikiem. Ujął Martę pod brodę i zmusił, by spojrzała na niego.

— Lepiej mi powiedz, Marto. Wtedy będę mógł temu jakoś zaradzić.

— Widziałeś lorda Rayenscrofa?

— Nie. A czemu pytasz? — Ironicznie wykrzywił usta. — Wymyśliłaś jakiś nowy fortel, by wzbudzić zazdrość Harry’ego Braxtona, tym razem wykorzystując osobę pięknego Blake’a?

Zamrugła powiekami.

Westchnął, rozsiadł się wygodniej i wyciągnął z kieszonki kamizelki zegarek. Odczepił od złotej dewizki wysadzaną rubinami kulkę i zaczął się nią bawić. Pozornie obojętne ruchy

kontrastowały z jego spiętarzą.

— Słuchaj, Marto — powiedział w końcu. — Nie wytrzymam tego dłużej. Zawsze uważałem się za człowieka, który potrafi blefować, ale nigdy przedtem stawka nie była tak wysoka.

— Nie wiem, co masz na myśli.

— Dobrze. W takim razie powiem ci wszystko bez ogródek. Moim zdaniem najwyższa pora, żebyś przejrzała na oczy. Harry Braxton cię nie kocha. Nie widzi świata poza panną Carlisie. I dobrze o tym wiesz.

Zareagowała odruchowo, pogardliwie odrzuciła głowę do tyłu.

— Dlaczego taki mężczyzna jak Harry miałby pokochać taką dziewczynę jak Desdemona Carlisle?

— Jesteś inteligentną kobietą Marto. Jak to się dzieje, że nie widzisz tego, co masz przed samym nosem? — Wyżej podrzucił świecidełko. Rubiny sypały czerwone skry. Złapał kulkę w powietrzu i znów ją podrzucił. Jego ruchy stały się szybsze, gwałtowniejsze.

— Nie wiem, o czym mówisz — powiedziała ze złością Marta.

— Nie sądzisz, że panna Carlisle jest bardziej spostrzegawcza niż przystoi skromnej panience? I usilnie stara się ciebie naśladować. — Jeszcze mocniej odchylił się do tyłu na krześle, nie przestając się bawić rubinowym cackiem.

Oczy Marty zrobiły się okrągłe ze zdumienia.

— Mnie?

— Z jakichś przyczyn ta dziewczyna pragnie być kimś innym. I wielka szkoda. Nie ma nic złego w Desdemonie Carlisie takiej, jaka jest.

Podejrzewam, że Harry to jedyny człowiek, przy którym czuje się z siebie zadowolona.

— Zdumiewające, że w ciągu zaledwie kilku spotkań udało ci się dostrzec w tych ludziach to, czego nie udało się zobaczyć mnie, która znam ich od lat.

Krzesło z głośnym trzaskiem opadło na cztery nogi. Amerykanin pochylił się nad stołem, kulka uderzyła o blat, potoczyła się i spadła na podłogę.

Marta czuła na sobie pełne napięcia spojrzenie Cala. Serce zabiło jej mocniej.

— Nie znasz Harry'ego Braxtona lepiej ode mnie — powiedział przez zaciśnięte usta. — Wykorzystujesz go jedynie jako pretekst i tyle.

— Jako pretekst? — Spiotła dłonie, które nagle zrobiły się zimne. Czuła się, jakby stała na skraju ciemnej przepaści, z której bił żar. chociaż bała się tej czeluści, ktsiła ją obietnica

ciepła.

— Tak — powiedział, wyciągając ręce przez stół i ujmując jej dłoń. Przyciągnął Martę do siebie. — Uganiaś się za mężczyzną, który już dawno oddał swoje serce innej, o czym doł2rze wiesz. A ja znam tego powód.

— Wprost nie mogę się doczekać, aż usłyszę, cóż to za powód. — Chciała, żeby zabrzmiało to sarkastycznie, ale nie udało jej się.

— Proszę bardzo — odpowiedział. — Uganiaś się za Harrym Braxtonem, ponieważ nie musisz się martwić, że go usidlisz. A jeśli nie uda ci się związać z mężczyzną, on nie może cię skrzywdzić.

Patrzyła na niego w osłupieniu.

— Wcześniej owdowiałaś. Znam cię i nie wątpię, że gorąco kochałaś swego męża. I naprawdę przykro mi, że los tak okrutnie się z tobą obszedł. Ale dzielne kobiety nie spędzają całego życia w lęku, by znów nie cierpieć.

Zamknęła oczy. Wiele prawdy było w jego słowach.

— Jesteś dzielną kobietą, Marto.

— Nieprawda — powiedziała słabo.

— Kocham cię, Marto.

Wiedziała, że jej nie okłamuje. Kiedyś, z obawy przed zranieniem, zamknęła się w pancerzu. Ale teraz jej serce poznało się na prawdziwym uczuciu i żywiej zabiło. Nie miało znaczenia, że Cal jest od niej młodszy, ani że przyjechał z drugiego końca świata, ani że był człowiekiem prostym i niewykształconym.

Pokochał ją taką jaka była.

Jednak radość szybko zgasła. Cal zmienił zdanie, kiedy się dowiedział, co Marta zrobiła z zazdrości o Desdemonę Carlisle.

— Pokochałem cię w chwili, kiedy cię ujrzałem, Marto. — Wolno uniósł jej dłoń do swych ust i złożył na niej gorący pocałunek. — Ty też mnie kochasz.

Nie mylił się, ale ona nie potrafiła znaleźć słów, by mu o tym powiedzieć.

Wziął jej milczenie za powątpiewanie.

— Marto, na podłogę potoczyło się cacko wartości pięciu tysięcy dolarów, a ty nawet nie mrugnęłaś powieką. Jeśli to nie jest miłość, moja droga, to nie wiem, jak to nazwać.

Pewnie by się uśmiechnęła, gdyby nie lęk, że zbyt późno uświadomiła sobie własne uczucia, że naraziła się na stratę tego skarbu, jeszcze zanim się dowiedziała o jego istnieniu.

— Ale dość o Harrym Braxtonie i Blake'u Rayenscrofcie — powiedział Cal. — Marto, zostań moją żoną. Zaopiekuję się tobą.

— Widziałam, jak porwano Desdemonę Carlisie — wyrzuciła z siebie pospiesznie. — I... I myślę, że naraziłam jej życie na niebezpieczeństwo.

Przyjrzał jej się uważnie, ale w jego wzroku nie było ani śladu potępienia.

— Co się stało?

— Wczoraj rano widziałam, jak pewien mężczyzna siłą wciągnął pannę Carlisie do powozu. Słyszałam, jak wydawał polecenia woźnicy. Wiem, że powinnam była powiedzieć o tym Harry'emu, ale zamiast tego zawiadomiłam lorda Rayenscrofta. Miał mnóstwo czasu, żeby ją odnaleźć. Powinni byli już wrócić. — Głos jej się załamał. — Nie chciałam, żeby spotkało ich coś złego.

— Dlaczego nie powiedziałaś Braxtonowi? Zna tych ludzi, zna kraj...

— Pomyślałam, że jeśli Rayenscroftowi uda się ją uratować, Desdemona... — Urwała z nieszczęśliwą miną.

Uzna go za swego błędnego rycerza?

Skinęła głową bez słowa.

— Och, Marto. — Westchnął, wstał z krzesła i wyciągnął do niej rękę.

— Chodźmy. Będziesz musiała o wszystkim powiedzieć.

— Nie mogę wyjawić Harry'emu, co zrobiłam. Nie mogę — zaprotestowała, próbując wyrwać się Calowi. Nie pozwolił jej. Objął ją pasie, prowadząc delikatnie, ale zdecydowanie.

— Możesz, najdroższa — powiedział z mocą. — Będę z tobą. Na zawsze, jeśli pozwolisz.

Z wdzięcznością spojrzała mu w oczy. Niczego bardziej nie pragnęła.

Zaczerpnęła głęboko powietrza i skinęła głową.

— Pozwolę — powiedziała. — Bardzo tego chcę.

Harry zbladł, jakby otrzymał silny i niespodziewany cios.

— ...a potem słyszałam, jak Maurice kazał woźnicy jechać szlakiem na Al-Bawiti — dokończyła pospiesznie.

— Maurice? Jesteś tego pewna?

Skinęła głową.

— Maurice Franklin Shappeis. Jezu. — Pułkownik Chesterton z wściekłością szarpnął brodę. — Jest poszukiwany przez władze przynajmniej dwóch państw za różne

przestępstwa. Zabito urzędnika celnego...

— Maurice jest mordercą? — słabo spytała Marta, wyczytując odpowiedź z ponurego milczenia Simona. — O, Boże, nie wiedziałam.

— Powiedział Al-Bawiti? — Harry już otrząsnął się po ciosie i doszedł do siebie o wiele szybciej, niż przypuszczała, że to możliwe. — Jesteś pewna?

— Jestem tak pe...

— Jesteś pewna? — powtórzył Harry.

— Tak — szepnęła Marta. Trudno jej było rozpoznać w tym nieznanym o spiętej twarzy swego czarującego ekskochanka. Harry odwrócił się i skinął na gospodynię.

— Poślij Duraida do stajen po moją klacz — rozkazał. — Niech przyprowadzi ją pod dom, osiodlaną i gotową do drogi.

Zapomniał o mnie, pomyślała Marta. Nie była mu już potrzebna. przestał zaprzętać sobie nią głowę. Wątpiła, czy w ogóle dociera do niego, że ona nadal tu jest.

— Świetnie, Harry — powiedział Simon Chasterton. — Wydam polecenie, żeby moi ludzie byli gotowi najdalej za godzinę...

Harry wyciągnął plik zmiętych banknotów i wcisnął je w rękę Magi.

— Nie będę czekał. Dołączcie do mnie, kiedy będziecie gotowi — oświadczył i niemal wybiegł z pokoju. Simon pospieszył za nim.

Magi też wyszła, by odszukać chłopaka, o którym wspomniał Harry. Marta siedziała nieruchomo. Zostali tylko ona i Cal. Poczula, jak poruszył się obok niej. Zajął przy niej miejsce na początku rozmowy i aż do tej pory tkwił tam bez ruchu.

Wprawdzie jego obecność dodała Marcie odwagi, ale właściwie nie był potrzebny. Mogła się nie obawiać, jak Harry zareaguje na jej dwulicowość. Przyjął to najzupełniej obojętnie.

Harry”ego interesowało jedynie, co Marta mogła mu powiedzieć o okolicznościach porwania. Nie przywiązywał najmniejszej wagi do tego, jak postąpiła. Cała jego uwaga skupiała się wyłącznie na Desdemonie. Ani mu było w głowie złościć się na Martę. Jakie to uczucie być obiektem takiego całkowitego oddania?

Poczula na swoim ramieniu rękę Cala i położyła na niej swoją dłoń.

Na Boga, dowie się.

Dzięki Bogu — szepnęła Desdemona, wpatrując się w malutką postać jeźdźca na koniu, wyraźnie odcinającą się na tle jasnego nieba. Wiedziała, że Harry po nią przyjedzie. Poczula nagły przyptyw miłości. Poczula taką ulgę, że zaczęła drzeć. Teraz pozostało im jedynie poczekać kilka godzin, by uciec pod osłoną nocy. A może nadejdą posiłki? Uśmiechnęła się. Wielki, hebanowy rumak stanął dęba, a wspaniała postać mężczyzny...

Desdemona zmarszczyła czoło. Wcale nie wyglądało, jakby Harry zamierzał zakraść się po zmroku, by ją uwolnić. Nie wyglądało, jakby zamierzał czekać na posiłki. Kierował się wprost do obozowiska. W biały dzień.

Zamrugła powiekami, nie mogąc uwierzyć, że jej sprytny Harry może być tak lekkomyślny. Nic z tego. Wciąż widziała to samo: nadciągającego pełnym galopem jeźdźca na czarnym ogierze.

Czarnym? Noga Desdemony osunęła się z odwróconego dnem do góry wiadra, na którym dziewczyna stała. Harry nie miał czarnego konia. Nie był to też ogier. Miał mlecznobiałą klacz.

Uchwyciła się parapetu i podciągnęła tak wysoko, jak tylko mogła, by wyjrzeć przez wąskie okienko. To nie był koń l-larry”ego, bo to wcale nie był Harry, tylko Blake Rayenscroft.

Jechał z odkrytą głową mimo palącego słońca. Pęd powietrza wydymał mu czarną kamizelkę. Gnał na złamanie karku do opuszczonego miasta.

Dobry Boże, pomyślała, zabiją go.

Podbiegła do drzwi. Aż poobcierała sobie skórę twarzy o surowe drewno, kiedy próbowała dostrzec coś przez szpary między deskami.

Zobaczyła jednego z ludzi Maurice’a kucającego pod rozsypującym się murem. Drugi gramolił się na częściowo zawalony dach, niczym jaszczurka, wpełzająca na rozgrzaną półkę skalną. Potem ujrzała całkiem blisko Blake’a.

— Uciekaj stąd! — zawołała. — To pułapka!

Zeskoczył z konia i zaczął nadśłuchiwać, by się zorientować, skąd dobiegał jej głos.

— Uciekaj!

— Niestety, na to już za późno, moja droga — rozległ się zza drzwi głos Maurice’a. Po chwili ujrzała go, jak zmierza w kierunku Blake’a. Blake, przechyliwszy głowę, spoglądał na niego wyniośle i pogardliwie wzruszył ramionami.

— Czcigodny Sid — przemówił Maurice. — Czemu zawdzięczamy tę wizytę?

— Przetrzykuje pan Angielkę. Żądam, by natychmiast ją pan uwolnił.

— Bardzo mi przykro, ale obawiam się, że nie zrobię tego.

— Jestem poddanym Jej Królewskiej Mości królowej Wiktorii i domagam się...

Maurice uderzył go w twarz. Blake zatoczył się do tyłu.

Zamknij się i słuchaj, to może uda ci się wyjść z tego cało.

W głosie Maurice'a słychać było nutkę podniecenia. Najwyraźniej sprawiło mu przyjemność spoliczkowanie nieznanego. — Dostarczy pan tę wiadomość niejakiemu Harry'emu Braxtonowi. Powie mu pan, że ta kobieta jest w moich rękach i o ile wkrótce on sam się tu nie pojawi, to, co będzie musiała wycierpieć...

— Ty psie! — Blake rzucił się do przodu. Maurice zrobił unik i uderzył napastnika w potylicę, aż ten padł na ziemię. Desdemona bezradnie patrzyła, jak Blake wstaje. Przybrał boksyerską postawę, jakby zamierzał stoczyć pojedynek na pięści z dżentelmenem.

Maurice natychmiast uzyskał przewagę. Z całej siły wymierzył mu cios w żołądek. Blake zgiął się w pół.

— Nie warto być większym głupcem niż to niezbędne — poradził mu Maurice. — Przekaze pan wiadomość Braxtonowi. Znajdzie go pan...

— Wiem, gdzie go szukać — powiedział Blake, dysząc ciężko. — Jest moim kuzynem.

Na widok reakcji Maurice'a Desdemona straciła resztki nadziei. Lord Rayenscroft właśnie przypieczętował swój los.

— Cóż, to całkowicie zmienia postać rzeczy — oświadczył w zamyśleniu Maurice. — Mam teraz dwie przynęty zamiast jednej.

Blake wsparł się ręką o kolano i stanął prosto. Musiało go to kosztować sporo wysiłku, bo był śmiertelnie blady. Twarz pokrywały mu kropelki potu.

— No, no. Jestem pod wrażeniem. Nie należy pan przecież do ułomków, prawda? Niestety, taki krzepki mężczyzna wymaga, by pilniej go strzec. A ja nie mogę sobie teraz na to pozwolić. — Rzucił spojrzenie nad ramieniem Blake'a.

Człowiek, przyczajony na dachu, skoczył niczym pająk, który rzuca się na ofiarę z ukrycia. W ręku trzymał krótki, gruby kij. Nim Blake się odwrócił, Arab z całej siły uderzył go kijem po nogach. Blake krzyknął i zwałił się ciężko na ziemię.

— Myślę, że nie będzie pan już sprawiał żadnych kłopotów, prawda?

— spytał łagodnie Maurice, patrząc z góry na swoją ofiarę. — Yalla!

Dwaj mężczyźni podbiegli, ujęli Blake'a pod ramiona i zaczęli go ciągnąć w stronę więzienia Desdemony. Przyglądała się temu z rozpaczą. Łzy płynęły jej po policzkach. Łzy

gniewu, a zarazem żalu. Blake swoją odwagą naraził nie tylko siebie, ale również życie Harry’ego. I po co? Dla pustego gestu. Mógł z łatwością zakraść się późną noc kiedy Maurice niczego by się nie spodziewał. Uwolniłby ją i uciekliby. Ogarnięta bezsilną złością zaczęła walić pięściami w ścianę.

Drzwi otworzyły się i mężczyźni bezceremonialnie cisnęli Blake’a na ziemię. Jęknął.

Natychmiast minęła jej wściekłość. Desdemona przyklęła obok rannego.

— Nic ci nie jest?

— Chyba mam złamaną prawą nogę. — Syknął z bólu.

Spojrzała na Maurice’a, który stał w drzwiach i zimno przyglądał się tej scenie.

— On potrzebuje lekarza.

— Może Harry sprowadzi go ze sobą.

Desdemona przysunęła się bliżej do Blake’a, uważając, by nie sprawić mu bólu. Zapadła noc. Skończył się upał i zrobiło się przejmująco zimno. Małe pomieszczenie oświetlał jedynie wąski sierp księżycy. Jego światło było równie lodowate, jak powietrze.

Chciała zbadać chorą nogę, ale Blake się nie zgodził. Jedyne, czym mogła mu służyć poza wodą była własna obecność. Niewielka pociecha.

Cierpiał. Twarz miał jak z wosku. Czoło pokrywała warstewka potu.

— Zachowałem się jak głupiec. — Mamrotał to zdanie w kółko. Ta nieustanna samokrytyka zaczynała już Desdemonę denerwować.

— Chciałeś jak najlepiej.

— To była głupota. Ale kiedy usłyszałem twój rozpaczliwy krzyk...

— Wołałam, żebyś uciekał — przypomniawszy mu cierpko. Współczucie zastąpiła irytacja.

— Cóż, kiedy przyjeżdża się po porwaną kobietę i słyszy się jej krzyk, naturalnym przypuszczeniem jest, że ktoś zmusza ją do...

— Takie przypuszczenie zrodziłoby się w umyśle tylko tego, kto nie słucha, co się do niego krzyczy — odcięła się.

— Przecież powiedziałem, że to była głupota — zauważył. — Mogłabyś spróbować docenić, że przyznałem się do błędu.

— A ty mógłbyś spróbować nie rozwodzić się wciąż nad swoimi błędami, swoimi grzechami i swoimi brakami. Dotąd nie zdawałam sobie sprawy, że ludzie mogą czerpać takie zadowolenie z umartwiania się.

Wlepił w nią wzrok, z którego nic nie mogła wyczytać i spróbował usiąść prosto. Jęknął z

bĆlu

Z miejsca poczuła wyrzuty sumienia.

— Przepraszam — powiedziała szczerze. — Proszę, wybacz mi ten wybuch złości — prosila. — Jestem...

— Być może masz rację.

Umilkła gwałtownie.

Blake ostrożnie ułożył obolałą nogę, po czym rzucił Desdemonie ponure spojrzenie.

— Kilka dni temu Harry powiedział mi coś bardzo podobnego. Już nie raz się przekonałem, że jeśli dwoje ludzi zupełnie niezależnie od siebie czyni taką samą obserwację, to sprawa warta jest zastanowienia.

Desdemona uśmiechnęła się do niego. Nie oddał jej uśmiechu. Wyglądał niezwykle romantycznie z tą swoją bladą twarzą, czarnymi oczami i zmierzwionymi, lśniącymi lokami. Dokładnie tak, jak wyglądałby Bertie Cecil w podobnych okolicznościach. I miał równie ponurą minę.

Nigdy się jakoś nie zastanawiała, czy Bertie Cecil często się uśmiechał. Kiedy teraz o tym pomyślała, doszła do wniosku, że z całą pewnością nie. Bertie i jemu podobni nie potrafią cieszyć się życiem.

A Harry potrafił. Harry był dobry we wszystkim. Harry, taki mało romantyczny, taki zwyczajny. Zwyczajny. Mało romantyczny. Ależ była głupia.

Harry powiedział, że ją kocha, a ona mu nie uwierzyła. Była zbyt zaślepiona myślą, że jest tyle rzeczy, których o nim nie wie, że zakwestionowała to, co wiedziała. i to od lat: że zawsze kierował się honorem i był lojalny, że nigdy nie krył tego, co czuje, że chociaż czasem postępował nieetycznie, był człowiekiem o wysokim poczuciu moralności, że ją rozśmieszał, stawiał wyzwania jej pomysłom i szanował jej wiedzę. Ze go kochała.

Nie była zwyczajną angielską dziewczyną i nigdy nie będzie. Nie potrafiła sobie wyobrazić siebie w wiecznie zielonej Anglii. Musi znaleźć dziadkowi jakiegoś towarzysza, kiedy sir Robert uda się tam z odczytami i ze swoimi zbiorami. Jej przyszłość związana była z Egiptem. Z Harrym. O ile Bóg da, że będzie miała jakąś przyszłość. Zmusiła się, by o tym nie myśleć.

Bez żalu pożegnała się z romantycznymi fantazjami. Spełniły ważne zadanie, obudziły jej serce. Ale jeśli chodzi o próbę ich urzeczywistnienia... Prawdopodobnie jest uczulona na wrzosa, a jeśli naprawdę istnieją mężczyźni w rodzaju Bertie”ego Cecila, to zapewne

przypominają Blake’a. Są nieszczęśliwcami zapatrzonymi tylko w siebie: najważniejsze dla nich są ich zasady i doznane krzywdy.

Przysunęła się bliżej do swego towarzysza niedoli.

Opowiedz mi o Flarrym, o czytaniu, o Oksfordzie i Darkmoor — poprosiła.

Westchnął — trudno powiedzieć, z ulgą czy z niezadowoleniem — i wygodniej oparł się o ścianę.

— Flarry nie jest zbyt... — Szukał odpowiedniego słowa. — ...bystry. Nie umie czytać.

Nie umie pisać. Ale nie dlatego musiał opuścić Oksford w niesławie. Został wyrzucony za coś gorszego. Zapłacił pewnemu studentowi, by napisał za niego pracę roczną. Chłopak przysięgał, że Harry podyktował mu każde słowo, ale to niczego nie zmieniło. Oszustwo to oszustwo. Więc przyjechał tutaj.

— Na szczęście — ciągnął Blake — Flarry odznacza się wyjątkową zdolnością papugowania, która bardzo mu się w życiu przydaje.

Desdemona z niedowierzaniem wpatrywała się w Blake’a. Zdolność papugowania? Jak można tak określić umiejętność opanowania niuansów i subtelności wymowy kilku dialektów?

— Przepraszam — powiedział Blake, błędnie odczytując jej zaskoczenie. — To zrozumiałe, że odkrycie niedostatków umysłowych Harry’ego stanowi dla ciebie prawdziwy cios.

Niedostatki umysłowe, pomyślała cierpko Desdemona. Oskarżać Harry’ego o „niesprawność umysłu” to to samo, co ubolewać, że sokół nie potrafi szybko biegać. Mysz, nad którą pojawia się cień pikującego sokoła, musi go uważać za wystarczająco szybkiego i nie zwraca sobie głowy tym, czy mógłby ją dogonić, gdyby nie miał skrzydeł.

— Każdy widzi, że między tobą a nim istnieje szczególna więź. Wiem, że ta smutna prawda niewątpliwie wpłynie na twoje uczucia. Przykro mi, że tak długo pozostawałaś w błędnym mniemaniu o tym człowieku. Będziesz musiała to potraktować jako nauzkę na przyszłość.

Wierz mi

— ciągnął Blake, nie zwracając uwagi na jej zaciśnięte usta i spuszczone wzrok — że niedorozwój umysłowy Harry’ego wpłynął na życie nas wszystkich.

— Jak fakt, że Harry nie zdołał nauczyć się czytać mógł wpłynąć na twoje życie? — spytała cichym głosem.

— Nie widzę powodu, by to przed tobą ukrywać. — Na twarzy Blake’a malowały się godność i cierpienie. Desdemona poczuła, jak znów ogarnia ją złość. — Kiedy Lenora

DuChamp dowiedziała się, że mój bliski kuzyn jest nienormalny, poprosiła o unieważnienie zaręczyn. Nie mogła pogodzić się z myślą że któreś z naszych dzieci mogłoby być...

niezupełnie zdrowe. Kiedy dziadek dowiedział się, że się ze mną rozstała, uznał, iż przyczyną było moje niewłaściwe zachowanie. I wydziedziczył mnie. Bardzo lubił Lenorę.

— Więc I-Iarry nie starał się zostać spadkobiercą waszego dziadka? — słabo spytała Desdemona. O Boże, niemal oskarżyła go, że doprowadził do wydziedziczenia kuzyna.

— Nie. Jak mógłby to zrobić? — spytał z irytacją Blake.

— I nie powiedziałaś dziadkowi, dlaczego Lenora się wycofała?

— Nie. Byłoby sprzeczne z moim honorem obwiniać Harry’ego, który, ostatecznie, nic nie może poradzić na swój nieszczęsny stan umysłu. Dżentelmen nigdy nie szuka kozła ofiarnego.

— Złe mnie zrozumiałeś — powiedziała chłodno. — Chodziło mi o to, dlaczego nie powiedziałaś dziadkowi, jaką małoduszną obłudnicą jest Lenora, i że lepiej, że się jej pozbyłeś.

Nawet w mroku widziała, jak Blake poczerwieniał na twarzy.

— Lenora zrobiła to, co zrobiłaby każda rozsądna, uczciwa młoda kobieta, która myśli o założeniu rodziny. Wolą nie ryzykować urodzenia nienormalnego dziecka.

— Nienormalnego? Na Boga — szepnęła Desdemona, nachylając się nad nim z oczami pociemniałymi i płonącymi z oburzenia. — Jeśli Harry jest nienormalny, powinniśmy się modlić, by na świecie żyło takich jak najwięcej! — Jej głos był niski, pełen pasji. — I jeśli twój stosunek do niego to próbka tego, co Harry musiał znosić w szkole, jestem pełna podziwu, że udało mu się zachować nie tylko wyrozumiałość i pogodę ducha, ale poczucie własnej wartości i szlachetne serce. Harry Braxton jest bez porównania lepszym człowiekiem od ciebie, Blake’u Rayenscrofcie. Ty rzeczywiście zasługujesz na Lenorę.

— A ty jesteś małą kobiecą dziwaczką i zasługujesz na Harry’ego Braxtona odciął się wściekle Blake. Spod warstewki rezerwy wyłonił się zazdrosny i niepewny mały chłopiec. Desdemona uniosła dumnie podbródek. Po raz pierwszy słowa te sprawiły jej zadowolenie.

— Myślisz, że człowiek z takimi problemami, jak Harry, w ogóle jest zdolny do miłości? — Widać było, że chce jej dopiec. — Czy chociaż ci powiedział, że cię kocha?

— Mówił mi to od lat — odparła cicho. — Tylko ja go nie słuchałam.

su.

— S/II!

Desdemonę obudził dobiegający zza drzwi dźwięk kobiecego gb-

— Sil!! — znów się rozległo. — Usskut!

Cicho! Desdemona słyszała ten wyraz wystarczająco często, by wiedzieć, co znaczy.

Spojrzała z niepokojem na Blake'a, który starał się podnieść. Koszulę miał moką od potu.

Drzwi się otworzyły i do środka wtargnęła fala zimnego powietrza. Na progu stała

Egipcjanka. Była to ta sama kobieta, która poprzedniego dnia przyniosła koce. Skinęła na Desdemonę, by podeszła bliżej, i nerwowo zerknęła za siebie.

— Naprawdę pani jest Sitt Carlisle?

Desdemona skinęła głową.

— Yalla! — szepnęła kobieta, wciskając jej w ręce jakieś zawiniątko.

— Koń osiodłany. Wszyscy śpią. Sili ucieka.

Dlaczego nam pomagasz? — spytała Desdemona, podejrzewając pułapkę. Ale jaką korzyść mógłby z tego odnieść Maurice?

Kobieta wysunęła spod obszernych szat groźnie wyglądający sztylet i małą, zatłuszczoną paczuszkę. Podała oba te przedmioty Desdemonie i jeszcze raz wskazała na drzwi.

— Tu światło. Jedzenie. Sit! ucieka!

— Dlaczego?

— Ferma indyków. — Egipcjanka z trudem szukała angielskich słów.

— Moi młodszy bracia, bez matki. Zadnej pomocy. Sit! otwiera fermę indyków. Jedzenie, łóżko. Sztł pomaga. Ja pomagam Sili. — Pociągnęła Desdemonę za rękę. — Sili idzie ze mną.

Desdemona pozwoliła się pociągnąć, ale po chwili zatrzymała się, jakby ją krępowały jakieś niewidzialne pęta. Ze złamaną nogą Blake nie da rady usiedzieć na koniu.

— Jedź — powiedział Blake. Zrezygnował już z prób powstania. Zamknął oczy, walcząc z bólem. — Odszukaj Harry'ego i ostrzeż go.

— Ale ty... — Boże. Jeśli go nie ostrzeże, Harry wpadnie w ręce Maurice'a. To będzie koniec. Maurice przynajmniej nie miał powodu zabijać lorda Rayenscrofta.

Blake, jakby czytając w jej myślach, powiedział:

— Maurice nie będzie się nade mną znecał dla samej przyjemności. Nie miałby w tym żadnego interesu. — Uśmiechnął się dzielnie. Bertie Cecil byłby z niego dumny.

Proszę — powiedziała błagalnie Egipcjanka. — Yalla. Idzie chamsm. Siti rusza zaraz. Ja odszukam mój mąż. On tu jedzie. Sit! ucieka przed chamsm.

Chamsin. Groźne burze piaskowe szalejące wiosną na pustyni.

— Kiedy nadciągnie? — spytała Desderna. Jeśli nie uda jej się uciec przed nadejściem chamsinu, nigdy może już nie dotrzeć do Kairu. I Harry nigdy się nie dowie, jak bardzo go kochała.

— Wkrótce — powiedziała kobieta.

Blake znalazł pojemnik na papirus i wyciągał z niego zwój. Rzucił Desdemonie puste pudełko.

- Wykorzystaj to do przechowania jedzenia i wody.

Wlepiała w niego wzrok. Nie sądziła, że Blake kiedykolwiek wystąpi w charakterze posłańca jej miłości. Wiedziała, co powinna zrobić.

Wepchnęła zatłuszczony pakunek i worek z wodą do pojemnika. Potem uklękła, oderwała kawałek zwoju i wygładziła ręką złocisty papirus. Następnie sięgnęła do włosów i wyciągnęła z nich szpilkę. Bez wahania ukłuła się w palec. Kiedy pojawiła się krew, umoczyła w niej koniec szpilki, nie zwracając uwagi na przerażoną minę Blake'a.

Starannie nakreśliła kilka hieroglifów na niezapisanej stronie papirusu. Przez chwilę machała nim w powietrzu, by tajemnicze znaki wyschły, a potem wręczyła go Blake'owi.

— Jeśli..., jeśli nie dotrę do Harry'ego na czas, żeby powstrzymać go przed przyjazdem tutaj, proszę. oddaj mu to. — Bez słowa wziął od niej papirus.

— Proszę, Sili! — szepnęła ponagląco Arabka.

— Sprowadzę pomoc — obiecała Dizzy, rzucając Blake'owi sztylet. Nim zdążył zaprotestować, zniknęła.

31

Stał się czujny, kiedy usłyszał głos mężczyzny. Okrzyk nagle urwał się, jakby nożem uciął.

Blake rozejrzał się wkoło. W okienku nad głową dostrzegł pierwszą zapowiedź świtu.

Z zewnątrz wciąż dobiegał niewyraźny hałas.

Złapali Desdemonę. Ogarnięty paniką, zaczął się posuwać w stronę wyjścia. Zacisnął zęby, kiedy poczuł w złamanej nodze przeszywający ból. Ciężko dysząc, pchnął drzwi. Nie były zamknięte na klucz i nieco się uchylły. Wyrzwał przez szparę.

W odległości jakichś pięciu metrów ujrzał Harry'ego. Naprzeciw niego, szczerząc zęby, kulił się Maurice.

Blake rozejrzał się, wypatrując ludzi Mauricea. Jeden leżał pod murem domu. Jego ciało było dziwnie poskręcane. Drugi siedział zgarbiony obok drzwi. Jeśli kobieta uciekła ze swoim kochankiem, to gdzieś musiało kryć się jeszcze dwóch Arabów.

— Pytam cię kolejny raz! Gdzie ona jest? — Blake nigdy nie słyszał u kuzyna tak złowrogiemu tonu.

Maurice przesunął się chyłkiem kilka kroków. Głowa poruszała mu się wahadłowym ruchem. Przypominał szykującą się do ataku kobrę.

— Sam jesteś temu winien, Harry! — krzyknął. — Nie musiało tak być! Obaj mogliśmy ciągnąć zyski z Egiptu. Teraz nie mam innego wyjścia. Muszę cię zabić!

I-larry nie odpowiedział. Jeśli Maurice kiwał się jak kobra, Harry drżał jak wściekły pies. Obserwował Maurice'a, napinał i rozluźniał mięśnie, zmieniając nieznacznie pozycję ciała. w odpowiedzi na ruchy wroga.

Blake dostał gęziej skórki. Po raz pierwszy uświadomił sobie, jak niebezpiecznym przeciwnikiem może być Harry.

Maurice wiedział o tym już wcześniej. Na jego twarzy malował się strach.

— To ty zrobiłeś z tego sprawę osobistą. Dlaczego? Dlaczego mnie wrobiłeś? — Oburzenie wzięło górę nad lękiem. — Bo cię pokonałem?

— Nie — odparł Harry, nie spuszczać wzroku z Maurice'a. — Zrobiłem to, bo pozostajesz na wolności, jesteś zagrożeniem dla Desdemony. Sam to powiedziałeś.

— Co takiego? Chciałeś, żebym gnął w więzieniu z powodu tego, co dopiero mógłbym zrobić? — Maurice przystanął, rozgorączkowany. — Nie uważasz, że to lekka przesada?

— Nie — powiedział cicho Harry. — Nie dopuszczę, by Desdemonie groziło jakiegokolwiek niebezpieczeństwo. Nieważne, realne czy tylko możliwe.

Wtedy Blake zrozumiał.

Nigdy nie miałyby szans, konkurując z kuzynem o serce tej dziewczyny. Harry walczyłby takim orężem, jaki dla Blake'a był nieosiągalny. Nie cofnąłby się przed niczym, nie zważałby na własne bezpieczeństwo. Zrobiłby wszystko, by chronić Desdemonę przed tym, co zagrażałoby jej szczęściu, jej pomyślności albo jej przyszłości.

Blake przypomniał sobie swoje dawne pretensje i poczuł ukłucie zazdrości. Jednak się przełamał. Wczorajsza utarczka z Desdemoną dała mu do myślenia. Sprawiała, że poczuł się jak mały chłopczyk, bezsilny i zawistny.

Wyciągnął sztylet zza pasa, zdecydowany pomóc kuzynowi. Tymczasem Maurice przesunął

się chyłkiem. zmuszając Harry'ego, by stanął pod na wpół zawalonym dachem, gdzie...

— Harry! Uważaj! — krzyknął Blake. Za późno. Zobaczył, jak na ziemię zeskakuje jakiś człowiek, wymachując krótkim, ciężkim kijem. Ale Harry, ostrzeżony przed niebezpieczeństwem, obrócił się i zrobił unik. Uniósł ręce w samą porę, by odepchnąć kij, którym zamachnął się na niego Arab. Chwytał mężczyznę za koszulę przy samej szyi i pociągnął. Jednocześnie uniósł kolano na wysokość jego twarzy. Arab stęknął i bezwładnie runął do przodu. Harry zachwiał się pod ciężarem jego ciała. Nogi mu się zaplątały w długie szaty napastnika. Przewrócił się, a nieprzytomny Arab zwałił się na niego.

Maurice zaśmiał się krótko, triumfująco i ruszył biegiem, po drodze chwytając z ziemi ciężką pałkę. Uniósł ją nad głowę w tej samej chwili, kiedy Blake uniósł sztylet. Pięć metrów, ale równie dobrze mogło być piętnaście. Nie mógł mieć nadziei na...

— Mogliśmy stworzyć wyjątkowy zespół, Harry! Nikt nam nie dorównuje! — wrzeszczał Maurice, wywijając nad leżącym pałką. Harry już nie próbował wstać. Nawet z takiej odległości Blake widział pogardę w jego jasnych oczach, kiedy w milczeniu wpatrywał się w rozjuszonego Maurice'a. Nie bał się. Nic a nic.

— Ale mnie zdradziłeś! A teraz...

Blake z poczuciem bezsilności cisnął sztyletem. Maurice zachwiał się. Ostrze ugodziło go w bok. Na twarzy pojawił mu się wyraz zdumienia.

Harry odepchnął ciało nieprzytomnego Araba i rzucił się do przodu. Dwa razy uderzył Maurice'a. To wystarczyło. Maurice osunął się na kolana, a potem padł twarzą prosto w piasek.

Blake stanął w otwartych drzwiach. Spojrzenia kuzynów się spotka

1v.

— Nie uciekłem.

— Nie — poważnie potwierdził Harry. — Dziękuję. — Pochylił się i oderwał gruby pas materiału od peleryny Maurice'a. Sprawnie skrępował mu nim ręce i nogi. — Tam leży jeszcze jeden związany i zakneblowany — mruknął. Wyprostował się. — Gdzie Desdemona? Szukałem jej, ale nigdzie jej nie ma.

— Uciekła dzisiaj nocy — wyjaśnił Blake. — Pomogła jej jakaś tutejsza kobieta.

Harry szybko związał nieprzytomnego Araba, którego powalił w walce. Blake zauważył, że kuzyn ma twarz wymizerowaną, a oczy nienaturalnie jasne i błyszczące. Wygiąda, jakby odebrano mu całą radość życia, pomyślał.

Zaraz po przyjeździe do Egiptu wyczuł jakąś zmianę w wyglądzie Braxtona, ale nie potrafił wyjaśnić, na czym ona polega. Młody Harry, który uciekł z Anglii, i dorosły Harry, który zdobył sobie uznanie w Egipcie, różnili się od siebie. Chłopak, którego wyrzucono z Oksfordu, lubił psocić i żartować, ale nie był szczęśliwy. Tutaj, w Egipcie, Harry znalazł swoje szczęście. Dopiero teraz, kiedy go zabrakło, do Blake'a w pełni dotarło, jak wiele odebrano jego kuzynowi. Bo Blake wiedział, co było źródłem tego szczęścia. A raczej kto. Pomacał kieszonkę, gdzie schował skrawek papirusu, na którym Desdemona coś napisała.

— Powiedziała, żebym cito dał, gdybym zobaczył się z tobą pierwszy.

Harry odgarnął włosy z twarzy.

— Przeczytaj. Wiesz, żeja nie umiem.

Blake pochylił się nad papirusem i rozprostował go. Uniósł głowę.

— Obawiam się, żeja też nie umiem tego odczytać.

— Co? — Harry zmarszczył brwi, jakby podejrzewał, że znów jest przedmiotem drwin.

— To po egipsku. — Blake podał mu papirus.

Harry wziął go niepewnie. Spojrzał, na jego twarzy pojawiło się zdumienie. Odwrócił papirus na drugą stronę.

Blake mógłby się założyć o Darkmoor Manor, że to, co jego kuzyn wyczytał z hieroglifów, sprawiło, iż na chwilę przestał oddychać, a może nawet zmarło w nim serce. Na twarzy Harry'ego ukazało się zdurnienie i radość — nie, coś znacznie większego i gwałtowniejszego niż zwykła radość. Oczy mu błyszczały triumfująco, widać w nich było determinację.

— Kiedy uciekła Desdemona? I w jakim kierunku pojechała? — spytał.

— Kilka godzin temu. Pojechała tam. — Blake wskazał na wschód.

— A niech to wszyscy diabli! Tam szaleje chamsin!

- Chamsin. To samo powiedziała Egipcjanka. Co to znaczy?

— Burza piaskowa. Potrafi poranić nosorożca do krwi — mruknął Harry. Spojrzał na Blake'a, najwyraźniej po raz pierwszy widząc jego dziwnie wykręconą stopę. — Masz złamaną nogę.

— Cóż za spostrzegawczość. — Blake mógł przezwyciężyć zazdrość, ale czuł, że nigdy nie polubi Harry'ego. Zbyt różnili się, by się nawzajem rozumieć.

Harry zlekceważył sarkazm w tonie kuzyna. Odwrócił się i zniknął w jednym z lepiej zichowanych budynków.

— Co robisz? — zawołał Blake.

I-larry wyłonił się z wypchanym workiem. Bez żadnych wyjaśnień wniósł go do pomieszczenia, w którym Maurice więził Blake'a i Desdemonę.

— Muszę odnaleźć Dizzy, nim burza rozszałeje się na dobre — powiedział. — Chesterton przyjedzie tu z posiłkami. Jeśli nie pojawi się przed chamsinem, nie wychodź z domu. Masz tu jedzenie i wodę. Chroń oczy, a usta i nos zasłoń wilgotną szmatą.

— Jak długo może trwać burza? — spytał Blake.

Harry uśmiechnął się po raz pierwszy tego dnia. Ale nie był to wesoły uśmiech.

— Chamsin znaczy po arabsku pięćdziesiąt. I obawiam się, że nie odnosi się to do godzin. Desdemona zdjęła koniowi uzdę i klepnęła go w zad, żeby pobiegł przez wydmy. Nie miała wyboru. Nie mógł skryć się razem z nią w wąwozie, a ciągnięcie go za sobą byłoby dla biednego zwierzęcia równoznaczne z wyrokiem śmierci. Spoglądała za wierzchowcem, póki nie zniknął, potem podniosła z ziemi skórzany bukłak oraz końską derkę i odwróciła się w stronę wąskiego skalistego przesmyku.

Było to wejście do parowu, nieśmiałe początki tego, co nieco później przeobrazi się w wadi albo suchą dolinę biegnącą ku rozległemu obszarowi zalewowemu Nilu. Spojrzała na niebo poźółkłe na zachodzie.

Tam szalał chamsin, porywając piasek na wysokość tysięcy metrów nad ziemię. Za chwilę przesłoni dzieńne światło. Desdemona nie miała pojęcia, ile upłynie czasu, nim nadciągnie burza, ani też jak długo potrwa, kiedy już się zacznie na dobre. Tak samo jak nie miała pojęcia, gdzie się znajduje.

Jechała w kierunku wskazanym przez Egipcjankę, ale kilka kilometrów za wymarłym miastem droga zniknęła pod zwałami piasku. Niezbyt znając się na gwiazdach, nie mogąc też posłużyć się słońcem, by ustalić, gdzie jest wschód, a gdzie zachód, podróżowała tak przez całą noc w nadziei, że natknie się na jakieś szczegóły krajobrazu. Niczego takiego nie dostrzegła, ale nad ranem zobaczyła lekką mgiełkę. Tylko na płaskich skałach gromadziło się dość wilgoci, by powstała z niej poranna mgła. Skały mogły oznaczać oazę albo, jak w tym wypadku, wąwóz.

Ruszyła w głąb wąwozu, stąpając ostrożnie i rozglądając się zajaskinią, w której mogłaby się schronić. [m dalej szła, tym zbocza jaru stawały się coraz bardziej strome, a dno coraz bardziej nierówne. W końcu znalazła się obok skalnej półki nad wąską ale głęboką rozpadliną. MoĘła Spróbowaćjaobejść, jednak spojrzawszy na zachód, stwierdziła. żebui

szybko nadciąga. Nabrała głęboko powietrza w płuca. Będzie musiała przeskoczyć. Wysoko podniosła spódnicę i zacisnąwszy zęby, odbiła się od ziemi. Potknęła się już po drugiej stronie i upadła. Osuwając się po stromej ścianie, starała się chwytać skalnego gruzu. W końcu zatrzymała się. Czuła nieznośny ból. Łkając wstała i uniosła spódnicę. Spojrzała na swoje zdarte do krwi nogi. Usiadła, objęła rękami kolana i zaczęła się kiwać. Łzy kapły na skaleczenia, które jeszcze bardziej zaczęły szczypać i piec. Ból podziałał orzeźwiająco. Harry byłby zgorszony takim pobłażaniem sobie. Desdemona zamrugła powiekami i stwierdziła, że spogląda wprost w niską, ciemną, ukrytą pod skalnym nawisem, z którego wybiła się do skoku. Wstała i ostrożnie zajrzała do środka. Był to mały, zasłany kamieniami korytarz, suchy i — na szczęście — bez węży. Wrzuciła do środka końską derkę. W powietrze uniosły się chmury drobnego duszącego pyłu. Zakaszła. Nie było sensu chować się głębiej. Usiadła skulona w pobliżu wejścia. Była tutaj bezpieczna.

Na razie.

Wiatr uderzał gwałtownie. Wydawało się, że od wielu godzin nie słabnie. Walił w kamienne ściany, wpadał przez okienko, wciskał się przez szpary między deskami drzwi, usypując w kątach izby pagórki z piasku.

Lord Blake Rayenscroft skrzywił się ponuro. Prawdopodobnie umrze w tym przeklętym kraju pogrzebany przez pustynną burzę. A Darkmoor stanie się własnością Fiarry’ego. Jeśli liarry przeżyje. Pewnie nie. Harry zginie, szukając swojej ukochanej Dizzy.

— Jest tam kto? — rozległ się na zewnątrz obcy głos. Ktoś próbował przekrzyczeć wycie wiatru. — Sit!, jest tam pani?

Blake podparł się na rękach. To nie był Chesterton. Może ludzie Maurice’a? Zresztą jakie to ma znaczenie? Jeśli się stąd nie wydostanie i tak umrze.

— Tutaj! — krzyknął. W chwilę później drzwi się otworzyły i ukazała się w nich grupka mężczyzn z zasłoniętymi twarzami.

— GdziejestSitt? — spytał jeden zprzbyłych. —Nazywam się Abdul Hakim. Jestem przyjacielem Sit! Carlisle. Gdzie ona jest?

— Ty jesteś przyjacielem panny Carlisle? — Właściwie nie powinno go to dziwić. Zdaje się, że Desdemona nie przywiązywała większej wagi do pochodzenia swych przyjaciół. — Trzeba ją odnaleźć.

Abdul skinął głową i odsłonił twarz. Turban zsunął mu się na bok. Poprawił go

niecierpliwym gestem.

— Właśnie jej szukam. Mój głupi syn — rzucił gniewne spojrzenie w kierunku jednego ze swych towarzyszy — powiedział, że przywieziono ją tutaj.

— Zgadza się. Ale uciekła. Jest na pustyni.

Abdul westchnął, wyraźnie poirytowany.

— Nie rozumiecie? Trzeba natychmiast za nią jechać. Szaleje chamsin..

— Nie, nie. — Arab pokręcił głową. — Może dalej na północy, ale nie tutaj. Tu tylko trochę wieje. To nie chamsin. Myśli pan, że przyjechalibyśmy podczas cham sinu?

Stojący za nim mężczyźni roześmieli się.

— Proszę się nie martwić. Poszukamy Sitt. To może trochę potrwać. Wzięła ze sobą wodę, prawda?

Blake skinął głową.

— Tak, napelniła worek zapasami.

— W takim razie nic jej nie bę... — Wzrok Abdula padł na zwój, porzucony przez Desdemonę. Oczy zrobiły mu się okrągłe ze zdumienia. — Sit! to zostawiła?

- Tak.

Mężczyzna podniósł papirus i ostrożnie go rozprostował.

— Ktoś oderwał kawałek.

— Des... Stu napisała na nim wiadomość dla Harry'ego, Harry'ego Braxtona.

Mężczyźni zamilkli. Słysząc było jedynie szalejącą na zewnątrz burzę piaskową.

— Harry ma ten brakujący kawałek?

— Tak. Przeczytał go i udał się na poszukiwanie panny Carlisie.

Abdul odwrócił się w stronę swych towarzyszy tłoczących się w milczeniu na progu.

Powiedział kilka zdań po arabsku. Następnie znów odwrócił się do Rayenscrofta, wyraźnie zbity z tropu.

— Proszę potwierdzić, że dobrze wszystko zrozumiałem. — Przykucnął obok Blake'a i spojrzał mu prosto w oczy. — Był tu Harry. Widział ten papirus. Trzymał go w ręce. Czytał go.

— Tak. — Ten człowiek musi być przygłuchy.

— I zostawił tutaj zwój. Zabrał tylko ten skrawek, na którym S/U coś napisała?

— Tak.

— I pojechał za Sitt? — Jego konsternacja powoli ustępowała miejsca wesołości. Sprawiał

wrażenie niezwykle rozbawionego.

— Tak, ale...

— Ach, ta miłość. — Westchnął melodramatycznie i zwrócił się do swych ludzi. —

A”Iashallah! Braxton murram Sit!! — Mężczyźni głośno zarechotali.

— Musicie...

— Proszę mnie uważnie wysłuchać — przerwał mu Abdul. — Przyjechałem tutaj, żeby ubić z Siu interes. To... — skinął na jednego ze swych ludzi i złożył u stóp Blake’a owinięty w jedwab przedmiot wielkości melona. — . . .w zamian za papirus. Dał go Sitt bez mojej zgody mój głupi syn. Więc rozumie pan, że wcale nie musiałbym w zamian czegokolwiek proponować.

Jeszcze jeden Arab wpadł do izby, gestykulując i coś tłumacząc. Towarzysze Abdula byli wyraźnie poruszeni.

— Co on mówi? — spytał Blake.

— Ze zobaczył dwudziestu jeźdźców — wyjaśnił Abdul. — Żołnierzy angielskich. Pięć kilometrów stąd. Jadą galopem.

Złapał Blake’a za ręce i wcisnął mu opakowany w jedwab przedmiot. Był ciężki. Bardzo ciężki. I twardy.

— Proszę. Dotrzymałem słowa. — Ostrożnie zwinął papirus. Rzucił swym ludziom jakiś rozkaz, a oni niemal w mgnieniu oka zniknęli.

— Harry i panna Carlisie potrzebują waszej pomocy — powtórzył Blake.

— Jak daleko mogli dotrzeć pieszo? — spytał Abdul, zasłaniając twarz.

Obydwoje jadą konno.

Arab przystanął. Z jego ust wyrwało się jakieś słowo. Blake przypuszczał, że to arabskie przekleństwo.

— Niedobrze. Kiedy wieje wiatr, cały krajobraz się zmienia. Ale jesteśmy Tuaregami, a Harry jest jednym z nas. Odnajdziemy go. I jego Desdemonę. - Powiedziawszy to, wyszedł. Blake oparł głowę o ścianę. Jego ulga była niemal namacalna. Chesterton będzie tu lada chwila. Spojrzał na pakunek, który trzymał w ręku, i zaczął odwijać jedwab.

Po chwili ujrzał przed sobą złotego byka.

Dizzy! — Okrzyk pełen był rozpaczy i zwątpienia.

Wolno się budziła. Dźwięk znajomego głosu wyrwał ją głębokiego letargu. Przetarła oczy rękami, oblizwała suche, spękane usta. Minęły już całe dni? godziny?, odkąd wypięła ostatnie

krople wody i oparła głowę na kolanach, by odpocząć...

— Dizzy!

Pochyliła się do przodu. Zdrętwiałe ramiona i szyja zaprotestowały. Wyjrzała ze swojej kryjówki.

Nie widziała go wyraźnie. Jego postać przesłaniała gęsta zasłona piasku. Gwałtowny wiatr unosił głos w głąb wąwozu. Po chwili Harry zniknął jej z oczu.

Oparła się o skalną ścianę. Bolała ją głowa, powieki miała jak z ołowiu. Była bardzo zmęczona. Uśmiechnęła się słabo. W końcu się pojawił. Jej bohater, jej rycerz w lśniącej zbroi.

A może to tylko fatamorgana?

Przecież nawet najbardziej oddany rycerz nie mógłby jej odnaleźć w tym bezkresnym morzu piasku. Jednak były to przyjemne złudzenia, a Desdemonie niewiele więcej pozostało.

Głowa jej opadła i prawie zupełnie zamknęły się powieki, kiedy go znów zobaczyła. Tym razem wyłonił się bliżej. Z najdrobniejszymi szczegółami widziała jego profil.

Miał na sobie brudną, białą koszulę, a na głowie kaffijeh. Jeden jej koniec powiewał na silnym wietrze, uderzając go w szyję i ramiona. Poruszał się zwinnie i pewnie wśród skalnych głazów. Pył zamazywał jego szlachetne rysy, ale przez zasłonę piasku itak widziała jego twarz, tragiczną i poważną, stanowczą i naznaczoną cierpieniem.

Biedny zrozpaczony rycerz.

— Na Boga. Dizzy, odpowiedz mi!

Musi go pocieszyć.

Na czworakach wypełzła z jaskini.

— Proszę pana! — zawołała, ale z jej ust wydobył się tylko zachrypnięty szept. Stał do niej tyłem. Widziała jego koszulę, przylepioną do szerokich pleców.

— Proszę pana!

Odwrócił się. Oczy mu błyszczały od wewnętrznego...

— Desdemono!

Przełknęła ślinę i wyciągnęła ręce do biegnącego w jej stronę mężczyzny. Po jego szczupłych policzkach płynęły łzy,
To nie był rycerz. Ani Bertie Cccii.

To był Harry.

Ale przecież tylko jego pragnęła ujrzeć.

Epilog

Lord Blake Rayenscro ukając, przechadzał się po pokładzie spacerowym najnowszej luksusowej parowca wycieczkowej Thomasa Cooka. Znalazł wolny leżak i usiadł. W zadumie spoglądał na egipski krajobraz. Dał znak lokajowi, by przyniósł mu szkocką z wodą. Noga, złamana tydzień temu, solidnie jeszcze dokuczała, a przekłete łubki utrudniały poruszanie się.

Od ślubu minęło zaledwie kilka godzin. Przyjechał do portu prosto z kościoła, nawet się nie przebrał. Chociaż nie miał żadnego powodu, by przedłużyć swój pobyt, czuł się, jakby uciekał.

Panna młoda wyglądała uroczo, musiał to przyznać. Nawet mimo tego, że jej kreację tworzyła osobliwa niestrawna mieszanka elementów stroju europejskiego i orientalnego. Welon przypominał przejrystą zasłonę odalisek. Na szyi miała staroegipski naszyjnik, albo pektorał, jak poinformowała go tonem pełnym nabożnej czci Marta Douglass. Ozdoba wyglądała na wysadzane drogimi kamieniami sępa.

Efekt był niepokojący.

Cóż, sama panna młoda wywoływała w Blake'u uczucie niepokoju.

Wprawdzie śliczna i powabna, ale zdecydowanie było w niej coś dziwnego.

Ktoś mógłby nawet powiedzieć — dziwaczne. Jak zresztą w tym całym Egipcie, nienależącym do nikogo, chociaż tyle państw uzurpowało sobie do niego prawo.

Blake znużonym wzrokiem powiódł po wodach Nilu koloru herbaty.

W oddali można było dostrzec, jak pustynia wyciąga swoje ciemnobrązowe ramiona w stronę rzeki.

Nikt nigdy nie zawładnie tą krainą.

Może ostatecznie Egipt należy do pustyni? Kto wie? Blake z pewnością wiedział jedno: że nie było tu miejsca dla niego. Egipt nie pociągał go, nie rzucił nań czar. Dla niego zawsze będzie polem bitwy, gdzie został zmuszony do zmierzenia się z własnymi słabościami.

Zachował się dzielnie. Jak przystało na człowieka honoru, stawiał czoło prawdzie o sobie.

Ale dlaczego czuł się, jakby ten zapomniany przez Boga kraj w jakiś tajemniczy sposób ujawniał w nim rysy charakteru niegodne prawdziwego dżentelmena?

Nie, Egipt nie był dla niego. Podobnie, jak Desdemona. Okazali się zagadkami, których wcale nie pragnął zrozumieć.

No cóż, pomyślał, biorąc pokrytą szronem szklaneczkę, którą podał mu milczący lokaj. Przynajmniej nie wyjeżdża z tego przeklętego miejsca z pustymi rękami. Wsunął dłoń do wewnętrznej kieszeni marynarki, żeby się upewnić, że nadal spoczywa tam gruby plik amerykańskich banknotów. Dziesięć tysięcy dolarów za jeden posążek Apisa. Wystarczy, by odzyskać prawo do spadku. Dziadek jest człowiekiem bardzo praktycznym..

Tak, Harry miał Dizzy, ale on, Blake, będzie miał Darkmoor Manor.

Jednak po chwili uśmiech zniknął mu z twarzy. Lord Rayenscrof wpatrzył się w szklaneczkę pustym wzrokiem. Nie mógł się oprzeć wrażeniu, że Harry zrobił lepszy interes.

Abdul przyglądał się, jak jego najmłodszy syn pakuje sprzęty kuchenne. Przez najbliższe sześć miesięcy Rabi będzie wykonywał kobiece prace. I będzie to robił bez szemrania. Taką otrzymał karę.

Abdul pokręcił głową. Ten chłopak nie tylko najwyraźniej stracił rozum, porywając Angielkę. Potem, na domiar złego, podarował tej kobiecie papirus!

No cóż, pomyślał Abdul, wskazując patelnię, która umknęła uwadze Rabięgo. Pod koniec pokuty chłopak lepiej będzie rozumiał obowiązki spoczywające na ich rodzinie. Obowiązki przekazywane z dziada pradziada. Chociaż prawdę mówiąc — tu Abdul z irytacją wskazał derkę, którą Rabi musiał jeszcze spakować — nie była to wyłącznie wina chłopaka.

W pierwszym rzędzie Abdul nie powinien był zabierać papirusu z grobowca. Od czasu do czasu, na przestrzeni lat i dziesięcioleci, trzeba było sprzedać jakiś drobiazg z olbrzymiego skarbu, aby zapewnić rodzinie utrzymanie. Ale zawsze wybierano coś niepozornego, by nikt się nie domyślił, z jakiego grobowca pochodzi. Dopiero kiedy Abdul przetłumaczył fragment tekstu, dotarło do niego, że jakiś bystry naukowiec natychmiast się zorientuje w sytuacji. Były to wiersze, które słynna z piękności królowa napisała dla swego męża, Echnatona.

A teraz Harry, jeden z nielicznych znanych Abdulowi ludzi, zdolnych do poznania się na wartości papirusu, był w posiadaniu jego fragmentu.

Abdul poruszył ten temat w drodze powrotnej do Kairu, kiedy Harry czule trzymał Sit! w ramionach, a ona to zasypiała, to się budziła. Tuaregowie pomogli mu odnaleźć Sitt, tłumaczył Abdul, teraz Harry musi zwrócić fragment papirusu.

Przez całą minutę patrzyli sobie prosto w oczy. Abdul wiedział, może lepiej od innych, jakie znaczenie dla Harry'ego ma ten zwój. Harry zyskałby wielki szacunek w środowisku naukowców. W końcu osiągnąłby pozycję, której do j pory mu odmawiano z uwagi na jego brak umiejętności czytania. Stary Arab wstrzymał oddech. Chociaż Harry był człowiekiem honoru i wiele zawdzięczał Hassamom, nawet Abdul nie potrafił odgadnąć, jaką usłyszy odpowiedź.

W końcu Harry przeniósł wzrok z Abdula na kobietę, którą trzymał w ramionach. Na jego twarzy pojawił się wyraz czystego szczęścia.

— Mam tylko kawałek tego papirusu. Jest to... — Spojrzał na Araba, oczyma, w których malowały się miłość i szczerść. — Prywatny list. Dla mnie bezcenny. Nigdy się z nim nie rozstanę. nikomu go nie pokażę ani nie sprzedam.

Ani tobie, ani nikomu innemu.

Tak będzie. Harry nigdy nie kłamał.

Abdul westchnął i podniósł derkę leżącą u jego stóp. Cisnął ją synowi, który zrobił przestraszoną minę.

Po chwili ojciec zmiękł i uśmiechnął się do chłopaka.

Trzeba oddać Rabiemu sprawiedliwość: odnalazł i kobietę, i zwój, nim doszło do poważniejszych szkód.

Może wkrótce Rabi będzie gotów, by przejąć obowiązki spoczywające od pokoleń na ich rodzinie: ochronę grobu Nefretete do czasu, gdy Egipt będzie należał do Egipcjan.

Harry sięgnął do podłużnego pudełeczka wiszącego na złotym łańcuszku na szyi. Było ciepłe, bo znajdowało się tuż przy jego sercu. W delikatnym, ale mocnym kryształowym pojemniczku spoczywał ściśle zwinięty skrawek papirusu z kilkoma prostymi hieroglifami. „Jesteś tylko mój, na zawsze kochany”.

Nawet teraz te proste słowa sprawiały, że zadrżała mu dłoń. Uniósł wzrok, niecierpliwie oczekując swojej żony. Słyszał ją jak się krząta w sąsiednim pokoju. Czuł jej obecność.

Jego żona.

Jeszcze pięć dni temu przedzierali się przez pustynię pod opieką Tuaregów. Zawiózł Desdemonę prosto do jej szalejącego z niepokoju dziadka i przysiągł — albo, jak później utrzymywał sir Robert, zagroził — że wróci, żeby się z nią ożenić.

Kilka kolejnych dni upłynęło na przygotowaniach do ślubu. Najpierw trzeba było rozwiać wątpliwości sir Roberta. Harry zaproponował mu prawo pierwokupu na wszystkie swoje

znaleziska — oczywiście, po specjalnych, preferencyjnych cenach. Przykro było patrzeć, jak starszy pan toczy wewnętrzną walkę. Ostatecznie archeolog zwyciężył nad opiekunem. Magi opowiadała później, że szalę przeważyła Dizzy, oświadczając kategorycznie, iż nie chce i nigdy nie chciała przenosić się do Anglii. Mówiła o wyjeździe tylko dlatego, żeby sir Robert wiedział, że zawsze może wrócić do Londynu, by zdobyć uznanie, na jakie zasługuje.

Sir Robert musiał mieć komiczną minę, słuchając wywodów wnuczki. Ogromnie mu ulżyło. Prawdę mówiąc, zupełnie się rozkleił. Przez zaciśnięte ze wzruszenia gardło wydusił tylko jedno zdanie: „Nie znoszę tweedów”.

Po pokonaniu tych przeszkód Harry przekupił egipskich i brytyjskich urzędników — mając błogosławieństwo Simona Chestertona — by przyspieszyli wydanie zezwolenia na ślub. Przez cały czas obmyślał też, w jaki sposób przekonać Dizzy o szczerości swych uczuć. Jeśli chce mieszkać w Anglii, zamieszkajaw Anglii. Zamieszka wszędzie, byleby tylko ona była z nim.

Nie chciała już Anglii; chciała jego. Kiedy pojawił się w jej sypialni wczorajszego wieczoru i powiedział, że ją kocha, a ona okaże się skończoną idiotką, jeśli w to nie wierzy i nie zgodzi się z nim żyć długo i szczęśliwie, w jakim tylko kraju zapragnie, odparła, Że już znalazła to, czego najbardziej pragnęła.

Na wspomnienie jej słów ogarnęło go błogie zadowolenie. Niecierpliwie rozejrzał się wkoło. Usłyszał Desdemonę kilka sekund wcześniej, nim stanęła w drzwiach. Przypominała zwiewną zjawę, złotą i śniadą, i w ogóle cudowną.

Podeszła do otwartego okna i rozsunęła story, żeby promienie popołudniowego słońca zalały pokój.

Skóra jej połyskiwała, włosy przemieniły się w lśniący woal spływający na ramiona i plecy. — Można by oczekiwać, że przy takich cenach dyrekcja Shephearda powinna zadbać o to, by wietrzono pokoje — burknęła.

Roześmiał się.

— Kocham cię, Desdemono. Bóg mi świadkiem, jak bardzo cię kocham.

Odwróciła się. Jej twarz rozpromieniał uśmiech.

Harry najchętniej w kółko powtarzałby te słowa, po pierwsze dlatego, że była to prawda zbyt długo trzymana w tajemnicy, a poza tym ze względu na cudowną przemianę, jaką za każdym razem wywoływały one w Desdemonie. Wprost rozkwitała na ich dźwięk.

Jeszcze kilka dni temu rumieniłaby się, nieśmiało spuszczała oczy, unikała jego wzroku. Teraz cała jaśniała szczęściem.

— Tylko dlatego mnie kochasz, bo potrafię czytać i pisać. Myślisz, że poślubiając mnie zyskasz darmowego skrybę na całe życie.

Aż mu mowę odebrało. Doznał kolejnego olśnienia. Przez całe życie fakt, że nie potrafił czytać, był czymś wstydliwym, co należało ukrywać, stanowił źródło cierpienia. A ona... żartowała sobie z tego, delikatnie, czule, od niechcenia. Efekt jej słów był zdumiewający. Harry nigdy nie czuł się tak silny. Zdolny do wszystkiego. Niewykluczone, że napisze ten traktat, do czego od lat namawiał go sir Robert. Może sposób, dzięki któremu nauczył się odczytywać hieroglify, okaże się przydatny i w przypadku języka angielskiego. Teraz wszystko było możliwe.

Dizy go kochała.

— Nie próbuj temu zaprzeczać — powiedziała, uniósłszy brew.

— Jak się tego domyśliłaś? — spytał ponuro.

Jesteś okropnym oportunistą., Harry Braxtonie. Każdy o tym wie. Tylko ponieważ cię ko...

— Urwała, patrząc na niego figlarnie. — Dość powiedzieć, że nie wolno mi dopuścić, by poważne zaciemnienie umysłowe wpływało na moje sądy.

- Powiedziałaś „ko...” Co „ko...”? — Ubóstwiał mówić jej o swojej miłości, ale równie dużą przyjemność sprawiało mu słuchanie, jak ona to mówi. Przysunął się bliżej. Roześmiała się. Miała śliczne, kształtne usta.

— Kocham... twoje usta.

Złapał ją, objął. Przypomniał sobie, jak się kochali pierwszy raz.

— Na Allacha najwyższego, cholernie się cieszę, że podobają ci się moje usta. — Ledwo słyszał swój głos przypominający schrypnięty szept. Za bardzo się podniecał, kiedy czuł ją tuż przy sobie. Mógł muskać jej ciepłą, aksamitną skórę, głaskać, pieścić i... Z trudem przełknął ślinę.

Jak tak dalej pójdzie, ich miesiąc miodowy skończy się, zanim się jeszcze zaczął.

Dotknęła ustami jego szyi i zaczęła posuwać się w górę, wywołując rozkoszne dreszcze.

Objęła go i naparła na niego całym ciałem. Zorientował się, że popycha go w stronę łóżka.

— Nie — poprawiła po chwili zmysłowym szeptem, odrywając się od Harry'ego, czym wywołała jęk niezadowolenia. — Wcale nie podobają mi się twoje usta. Kocham je.

Kocham ich kształt. — Przesunęła koniuszkiem palca tam i z powrotem wzdłuż jego dolnej

wargi. Jej ciemne oczy stały się niemal czarne z pożądania. — Kocham ich wygląd. — Stanęła na palcach i przesunęła językiem tak samo, jak przed chwilą przesuwała palcem, niemal rzucając go na kolana. — I ich smak.

Wziął ją w ramiona i zaczął się cofać, aż poczuł za sobą łóżko.

— Ale najbardziej kocham ich dotyk — powiedziała i pocałowała go żarliwie, namiętnie.

Runął na plecy, pociągając Desdemonę za sobą. Zapadli się w miękkim, puchowym materacu, spleceni w uścisku. Jej włosy łaskotały mu tors.

Zamknął oczy, przesuując policzek po chłodnych, jedwabistych splotach. Czuł jej miękką kobiecą skórę. Gwałtownie przekręcił się na bok tak, że Desdemona znalazła się pod nim.

Utkwił w niej wzrok. Czuła ogrom jego pożądania.

Policzki i szyję pokrył jej rumieniec. Harry rozchylił usta, rozkoszując się znajomym zapachem, smakiem, lekko słoną wilgocią która otaczała ją niczym aura. Oddech

Desdemony stał się szybki, nerwowy. Podniecało ją, kiedy tak się jej przyglądał. Nie mogła już wytrzymać tego spojrzenia.

— Co robisz? — spytała cieniutkim głosem. — Nie powinieneś tak na mnie patrzeć.

Sprawiasz, że...

Umilkła niespodziewanie.

Spojrzał jej w oczy i uśmiechnął się szelmowsko. Doskonale wiedział, co chciała powiedzieć. Wolno zaczął odpinać malutkie, perłowe guziczki gorsetu.

Serce biło jej jak oszalałe. To ogarniał ją wstyd, to czuła przyływ śmiałości. Kiedy ją tak rozbierał, budziło się w niej pożądanie.

— Jesteś prześliczna. — Odsunął fragment gorsetu i musnął palcem jej nagą skórę.

Desdemonę przebiegł dreszcz, — Czy mówiłem ci, jak nauczyłem się odczytywać hieroglif”?

— Jak?

— Dotykiem — powiedział cicho. — Tak. — Wsunął dłoń pod koronkową koszulkę i zaczął pieścić krągłe piersi. — Z równą łatwością potrafię odczytywać twoje ciało.

Odszukał brodawki i ujął je w palce, po czym zaczął delikatnie ugniatać.

— Potrafię odczytywać podniecenie, które odczuwasz. Jeszcze nie pożądanie, ale coś więcej niż zwykłą tęsknotę.

Zostawił jej piersi w spokoju, zadarł spódnicę, aż ukazały się szczupłe uda, i odszukał koronkowe podwiązki podtrzymujące jedwabne pończoszki. Delikatnie i niespiesznie

ściągnął najpierw jedną apotem drugą. Ani na chwilę nie odrywał wzroku od twarzy Desdemony.

— Czuję, jak powoli rozluźniasz mięśnie — szepnął. Jeszcze zaciskasz nogi. Potrzebują zachęty, by się rozchylić jak kwiat hiacyntu. — Przesunął lekko dłonią po najbardziej wrażliwej wewnętrznej stronie ud. — Otwórz się dla mnie, Dizzy.

Przebiegł ją dreszcz. Jego dotyk był zarówno znajomy, jak obcy. Poprzednio kiedy się kochali, dali się ponieść instynktowi i długo tłumionym emocjom. Teraz był to zmysłowy taniec, którego Harry był mistrzem. Prowadził ją za sobą, nie potrafiła mu się oprzeć, a on... Sprawiał wrażenie, jakby w pełni panował nad sytuacją był oswojony z dźwiękami zmysłowej muzyki.

Desdemonie nie dawało spokoju, że sprawował kontrolę nad tym, co działo się między nimi, podczas gdy ona była zupełnie zagubiona. Nie wiedziała, w czym ma swój udział, a co dostaje. Pojmowała jedynie, że nie ma wyboru, musi dać się unosić fali pożądania, którą potrafił z taką łatwością obudzić w jej ciele i sercu. Tak bardzo pragnęła uczestniczyć w tym misterium. Nie tylko brać, ale również dawać. Zeby było to coś szczególnego, wyjątkowego i... i cudownego.

Harry sprawiał wrażenie, jakby rozumiał jej niepokój, niewyrażone wątpliwości, bo niespodziewanie zabrał rękę spod jej ud. i ujął jej twarz w obie dłonie.

— Dizzy, nigdy nie czułem się tak jak teraz. Nigdy. Mogłem tylko marzyć o tym, żeby to było takie... ważne — powiedział przyciszonym głosem. — Diz, przez całe życie czekałem na ciebie.

— Na mnie? — Nie potrafiła ukryć lekkiego niedowierzania w głosie.

— Tak. — Spojrzał jej prosto w oczy. — Diz, pamiętasz to zwierciadło?

Skinęła głową.

— Czekałem tyle czasu, by cię podarować, chociaż moje uczucie do ciebie było prawdziwe od naszego pierwszego pocałunku. Pielęgnowałem tę miłość przez trzy lata. — Jego niski głos hipnotyzował, spływał na nią jak ambra i słodkie wino.

Kwiaty, które skłaniacie kielichy..

*Moje serce się skłania ku tobie,
wszystkim twoim pragnieniom ulegam,
kiedy w twoich objęciach spoczywam.
Bo twa prośba — to szminka dla oka,*

*widok twój to jest blask moich oczu.
Lgnę do ciebie, gdy widzę twą miłość,
boś ty serca mojego włodarzem.
Jakże piękna jest taka godzina,
niechaj trwa ta godzina jak wieczność.
Gdy u boku twojego spoczywam,
serce moje unosisz wysoko,
ale zawsze mnie smutek ogarnia,
kiedy jesteś ode mnie daleko.*

Łza spłynęła jej po policzku. Roztarł ją palcem.

— Czy bardzo jesteś ode mnie daleko, Dizzy? — spytał cicho. Przez krótką chwilę dawne wątpliwości, echa przeszłości, sprawiły, że jego wzrok stał się chmurny. Nigdy nie chciała go takim oglądać.

Pokręciła głową. Oczy jej znów zwilgotniały.

— Nie. Podobnie jak ty nie jesteś daleko ode mnie.

Ich usta złączyły się. Nie chciał, żeby płakała. Nie teraz, kiedy czuł takie pożądanie, a serce waliło mu tak mocno, że mało nie wyskoczyło z piersi. Teraz był czas radości.

— Czy... — Zaczerpnął głęboko powietrza i nagle się uśmiechnął. W tym uśmiechu był zarazem dawny, jak i nowy Harry. — . . .było to dla ciebie wystarczająco romantyczne?

Nie zawahała się z odpowiedzią ani chwili. Byli tak do siebie podobni, tak blisko złączeni duszą sercem. Dostrzegła jego pragnienie i pojęła, że pragnie tego samego.

Szczęścia.

— To dopiero początek — odpowiedziała figlarnie.

I nic a nic nie skłamała.

Koniec książki.

